Aby rozpocząć lekturę,

kliknij na taki przycisk ,

który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.

port wydawniczy
@literatura net.pl
KLIKNIJ TUTAJ

Niezwykłe przygody Don Kichota z La Manczy
według Miguela Cervantesa de Savedry
na nowo opowiedziana przez Wiktora Woroszylskiego

Wydawnictwo „Tower Press”
Gdańsk 2001

Rozdział pierwszy, w którym nie mieszkając, bo i po cóż mieliby mieszkać, pojawiają się bohaterowie książki: Don Kichot i Sanczo Pansa

Przez skwar, od jasnego nieba do rudej roli jak na sznurze wielkie pranie sztywno rozwieszony w powietrzu, przez skwir ptactwa polnego, przez ojczystej ziemi skwierczenie na przyrody i dziejów gorącej blasze, jedzie, kolanami chudymi chude boki rumaka swego Rosynanta ściskając, bohaterski rycerz Don Kichot.

Już niebawem dowiecie się o nim więcej, w pierwszym zdaniu zaś o to tylko chodziło, żeby wjechał Don Kichot w ów skwar i skwir, i skwierczenie, i zarazem pierwszy ślad na tej białej przedtem kartce zostawił, i przejechał dalej, a wy – byście oczy zaciekawione na rycerza unieśli i czekali, co też go spotka.

Jedzie, chudy i długi, spiczastością kolebiącej się w siodle postaci widnokręgi okrągłe kłując, z Rosynantem jak on kościstym niemal jedność tworząc, niezmożony Don Kichot, już niemłody, nim wyruszył bowiem w swą drogę, do rycerskiej doli sposobiąc ducha lat strawił wiele, jedzie więc nasz bohater, oby Bóg mu sprzyjał i Wszyscy Święci!

Parę kroków za nim, na osiołku brzuchem powłóczącym po ziemi, Don Kichota giermek, Sanczo Pansa jak miech pękaty, wypukłością kształtów mnąc i tłamsząc prostą krechę drogi, w skwar ten sam, a jakby nie tak doskwierający, wjeżdża, w skwir ten sam i skwierczenie, byście jego także dojrzeć zdążyli, boć i o nim dowiecie się wnet co niemiara, a na razie – byle go dojrzeć, jak za panem swoim walecznym pierwszy ślad na białej zostawia karcie.

Jadą obaj, nierozłączni w tej opowieści i w pamięci świata, różni tacy, że trudno o większą różność, nie do pomyślenia wszelako – Don bez Sancza, Sanczo bez Dona.

Don Kichot, chudy i długi, niczym tyka grochowa ku górze pnie się.

Sanczo Pansa, bulwiasty ziemniak, bruzdy się trzyma.

Don Kichot, srebrny kłos wybujały, wiatr kołysze nim, żeby tylko nie złamał!

Sanczo Pansa, nać przyziemna, z pędrakami ledwie-ledwie pełznąca, nie popędzisz jej, nie przepędzisz!

Jeszcze można do drzew porównać obydwu: Don Kichota do topoli w błyszczącym hełmie, Sancza – do przysadzistej oliwki, myśmy nie zwyczajni takiego drzewa, lecz w Hiszpanii oliwka, co wody prosi niewiele, w twardy grunt korzenie wbija czepliwe, owocem zaś mięsistym, choć drobnym, bez sknerstwa darzy, tam oliwka – jak sąsiad znany od dziecka, niebogaty, szary, ale zaradny, on nie zginie i z nim nie zginiesz.

Jadą, nierozłączni, rycerz i giermek, rycerz przodem, giermek, jak przystoi, parę kroków za nim, w górze niebo rozpostarte jasność rozlewa, w dole – końskich i oślich kopyt bębnienie w skórę ziemi napiętą, a przed nimi – niewiadome przygody.

Rozdział drugi, w którym wszyscy śmieją się z szaleństwa Don Kichota, autor zaś, choć powinien się z tego cieszyć, ma uczucia mieszane

W naszych czasach nie ma już, niestety, błędnych rycerzy.

W czasach, w których żył i wędrował Don Kichot, też ich już właściwie nie było, i dlatego wytykano Don Kichota palcami, i rysując palcem kółko na czole śmiano się do rozpuku.

Kiedy mówię o czasach Don Kichota, mam na myśli te czasy, w których nieśmiertelne życie jego poczęło się w wyobraźni człowieka imieniem Miguel de Cervantes Saavedra i niezwykłe przygody Don Kichota przez tegoż Cervantesa po raz pierwszy opisane zostały w dwóch grubych księgach.

Ja jestem tym, co opowiada wam je na nowo kilka wieków później w czasach zupełnie innych, mających jednak z tamtymi przynajmniej tyle wspólnego, że w nich także nie ma błędnych rycerzy.

Może zresztą nie tylko tyle, ale na razie nie będziemy się w to wdawali.

Miguel Cervantes de Saavedra urodził się w połowie szesnastego stulecia w Alcala de Henares, małej mieścinie na północ od Madrytu, jako jedno z siedmiorga dzieci niezbyt zamożnego szlachcica (po hiszpańsku – zapamiętajcie to słowo – **hidalga**), parającego się medycyną. Kiedy byłem w Hiszpanii, odwiedziłem Alcala de Henares, a w nim – stojące po dziś dzień domostwo pana doktora, z wewnętrznym podwórkiem, na którym rośnie drzewo figowe i wodą orzeźwiającą darzy niewielka studnia. W pokojach obejrzałem stare meble i inne przedmioty – i wiecie, co uderzyło mnie tam najbardziej? Łóżka – bo uświadomiłem sobie naraz, jacy mali i drobni musieli być ludzie, którzy w nich sypiali. Jeżeli tacy byli współcześni Don Kichota, cóż dziwnego, że gniewał ich i śmieszył między innymi wzrost, którym rycerz wybijał się nad otaczający go tłumek! Już ten wzrost oznaczać musiał dla nich dziwoląga, odmieńca... A może Miguel de Cervantes sam był wyższy od innych i niemało się przez to nacierpiał, i dlatego bohatera swojego obdarzył taką postacią, przenosząc na niego własne upokorzenia i współczując wymyślonemu bardziej niż mógłby sobie żywemu? Nie dziwiłbym się wcale, gdyby tak właśnie było...

Ale teraz zbyt nam przecież pilno do walecznego rycerza i dziwnych jego przypadków, byśmy chcieli dokładniej zająć się życiem, choć też niezwyczajnym, tego, który go stworzył. Pomijając więc wszystko, co było przedtem, odnajdźmy Cervantesa w momencie, gdy z

pobrużdżoną już twarzą i siwiejącą brodą, w dużym i bardzo pięknym (wiem, bo także byłem mieście Sewilli, lecz, niestety, odgrodzony od wszystkich jego piękności, za siedmioma zamkami, za siedmioma troskami, za siedmioma smutkami i nieszczęściami, w sewilskim więzieniu pióra się chwyta, by w zbroję rycerską odziać i na koń wsadzić bohatera imaginacji swojej, jegomościa Kichanę, co się przezwał był Don Kichotem...

Czemuż to – sam się sobie dziwiąc, pyta Cervantes – niemłodego już i steranego w tę wyprawę żmudną wysyłam? Czyżby w moim, który ruszyć się stąd nie mogę, zastępstwie miał przestworem cwałować, od skrępowań wszelakich wolny, nie podległy nawet myśli potocznej, rozsądną zwanej, mój bohater jak ja szalony, lecz inaczej niż ja – nie wstydzący się swego szaleństwa?

I tu nad samym jego uchem głos się rozlega, jakby do własnego podobny, a inny – nie słyszany dotąd – głos Don Kichota: cóż słodszego – mówi głos ów – nad wędrówkę w poszukiwaniu przygody, nad stawianie czoła łotrostwu w obronie wdów, sierot i dziewic napastowanych?

Ach, nie! – broni się przed pokusą Cervantes. – Pisarzowi cel zbożny winien przyświecać: ku przestrodze i pouczeniu powstają dzieła. I ja też ucieszną historię o Don Kichocie szalonym opowiedzieć pragnę, by rodaków przed wpływem przestrzec, jaki szerzą opowieści rycerskie. To one umysły mącą, prawu życia niewierne, swoim prawem ułudnym na manowce zwodzą...

Ledwie wszakże wypowiada oskarżycielskie te słowa, mimowolne westchnienie tęsknoty z piersi mu się wyrywa: ileż ja im oddałem nocy, jak słuchałem ich głosu...

I jakby tylko czekał na tę chwilę słabości, metaliczny głos księgi rycerskiej, w mieczy jasne szczękanie oprawny, przybywa z oddali: dając ci miecz, przyjmuję cię do stanu rycerskiego – huczy – który nie uznaje żadnej podłości. Pamiętaj o tym, rycerzu, że kiedy przyjdzie ci walczyć, a pokonany przeciwnik błagać będzie o litość, wysłuchaj go, proszę, i z zimną krwią nie zabijaj...

Wzburzony Cervantes wstaje z zydla i zaczyna chodzić po celi. Wojny, w których walczył, stają mu przed oczyma, lądowe i morskie – podobnego głosu, pamięta, nikt nie słyszał wówczas! Dobijano leżących, dłonie ucinano bezbronnym, czci kobiecej nie oszczędzano... Może kiedyś istniało prawo rycerskie, aleć dzisiaj czas nowy – sławny wiek szesnasty oto końca dobiega, siedemnasty w fanfarach wschodzi – podłość rządzi światem i małość, nie uznaje zaś jej chyba tylko Don Kichot!

I tu w celi samotnej pisarza wrzawa się rozlega, śmiechy, głosy z wszystkich stron, przekrzykujące się wzajem:

– Obłąkany Don Kichot!

– Naczytał się tych bredni!

– Na uwięzi, jak psa, trzymać go trzeba!

– Inkwizycji Świętej na próbę oddać!

– Patrzcie, patrzcie, ludzie, na obłąkańca!

– Śmiejcie się z Don Kichota!

Są to głosy współczesnych – i Cervantes chciałby przyłączyć się do nich, sam więc nie wie dlaczego, miast przyklasnąć ogólnemu weselu, odzywa się z raptowną popędliwością:

– Hola! Nie myślicie chyba, że ja, autor, razem z wami naigrawam się z nieszczęśnika! Śmiejcie się – po to piszę tę książkę – ale znajcie miarę, bo wasz głośny triumf mnie mierzi. Odrobina szacunku i współczucia też należy się rycerzowi. Podnieście go z ziemi, zdejmijcie zbroję strzaskaną, zaprowadźcie do łóżka...

I już widzi, że stanowczy rozkaz jego zostaje spełniony, ktoś podnosi Don Kichota, prowadzi go ostrożnie – ach, toć i ja po kilku wiekach to samo widzę – i wy, trochę tylko wytężcie oczy, też widzicie, nieprawdaż? – jak rycerza we wrota domu jego wprowadzają,

naprzeciw gospodyni przejęta ze schodów zbiega: Matko Miłosierna! – woła. – Mój pan! Cóż to się stało? Przeczuwałam biedę, gdy przepadł przed trzema dniami razem z koniem i zbroją!

– Znalazłem go bez czucia na drodze – poczciwy sąsiad klaruje – a gdym spytał, co mu dolega, o Rodrygach jakowychś i Baldwinach powiadał, ani chybi w gorączce...

– Przywołajcie wróżkę Urgandę, aby mię opatrzyła i wyleczyła rany – słabym głosem prosi Don Kichot.

Gospodyni potężne ramię nadstawia, radzi Don Kichotowi, żeby się oparł, i dorzuca: – Bez tej jakiejś Furkandy poradzimy uleczyć was, panie, byleście zechcieli nas słuchać. O, przeklęte księgi, które rozum wam pomieszały!

Ceryantes odkłada pióro i zamyśla się. Nie zna jeszcze dalszego ciągu swej opowieści, ale jedno wie: że Don Kichot nie usłucha tych, co uleczyć go pragną z rycerskiego szaleństwa, gdyby bowiem usłuchał, bohater opowieści przestałby istnieć, a i w ogóle opowieści tej by nie było...

Rozdział trzeci, w którym dowiadujemy się., co miał i czego nie miał Don Kichot, wyruszając na pierwszą swoją wyprawę

Pierwszą wyprawę, z której w tak opłakanym, jak widzieliśmy, powrócił był stanie, samopas, bez giermka odbył Don Kichot, a to dlatego, że n i e m i a ł go jeszcze wcale.

Przez wiele lat sposobił się do wyprawy, wiedzę z ksiąg o szlachetnym rzemiośle rycerskim czerpiąc i wciąż nowe nabywając foliały, trzeba zaś wiedzieć, że nie było to w owych czasach tanią rozrywką, droższą nad grę w kości było lub polowanie, musiał więc nasz **hidalgo**, by namiętności do lektur uczynić zadość, raz po raz włóki ziemi odziedziczonej po ojcach sprzedawać, i tak stopniał jego majątek, ledwie domek mu został, parę grzęd za domem oraz koń zołzowaty w stajni.

Gospodyni jego rumiana i siostrzenica blada (m i a ł, jak z tego widać, gospodynię i siostrzenicę) porządnie musiały się nafrasować, żeby w podupadłym tym gospodarstwie miska soczewicy na stole była codziennie i gołąbek w niedzielę.

Zatopiony w księgach Don Kichot o tak błahe bytowania drobiazgi mało się troszczył.

Kiedy zaś uznał, że czas już najwyższy na rycerską wyprawę ruszać, jeśli bowiem dłużej zwlekać będzie, krzywdy ludzkie nienaprawione zostaną, łzy nieotarte, bezeceństwa nieukarane, jednym słowem – świat szkody poniesie, jakich wolałby n i e m i e ć na sumieniu Don Kichot, kiedy uznał zatem, że czas na niego, zaraz gestem stanowczym księgi na półkę odłożył, zbroję przywdział, konia dosiadł i przed lipcowym świtem gorącym na rozstajne drogi wyjechał.

Tę zbroję m i a ł po przodkach: rdzą i kurzem przeżarta, wieki w jakimś kącie leżała – wyciągnął ją, wytrzepał i wyszlifował, aż zdatną mu się zdała do boju, z jedną tylko skazą, że bez przyłbicy. Z tektury przyłbicę przyczepiwszy więc do szyszaka, na próbę mieczem ciął i zniszczył za pierwszym ciosem. Niezrażony, nową zrobił, na blaszanej obręczy, i tej już na wszelki wypadek nie próbował mieczem.

Rumaka w stajni znalazł – wiadomo już, co to był za rumak – i Don Kichot wiedział, nim go osiodłał – ale siodłając nadał zarazem konisku imię nowe i piękne: Rosynant – i z tym imieniem dźwięcznym, którego żaden wierzchowiec przedtem nie nosił, gdyż Don Kichot sam je wymyślił w trudzie wyobraźni, z tym imieniem więc koń wydał mu się całkiem inny niż dotąd, po chabecie chuderlawej nie zostało śladu, kopytem grzebał najwspanialszy z rumaków świata, godny swego pana Rosynant.

Bodaj że i Rosynant poczuł swoją odmianę, w chwili bowiem gdy go Don Kichot dosiadł, zarżał donośnie i tak jakoś wyzywająco, chociaż z lekka chrapliwie.

W opowieściach, na których Don Kichot wzorował swe postępowanie, każdy rycerz miał damę serca: piękną panią, czasem nawet księżniczkę, którą kochał gorąco i miłości tej dowodził na wszelkie, zdarzało się, że bardzo dziwne sposoby. Musiał więc i nasz rycerz, oprócz zbroi i konia, m i e ć damę serca: obrał nią urodziwą wieśniaczkę ze wsi Toboso, imieniem Aldonza, ale imię to zmienił na dużo melodyjniejsze – Dulcynea. Prawdę mówiąc, Aldonza nie wiedziała nawet, że jest Dulcyneą i damą serca znakomitego rycerza, jak dawniej chodziła za krowami i w pole, mniemając, że po staremu jest zwyczajną Aldonżą. Ale tym z kolei Don Kichot się nie przejmował i rojąc o damie serca, widział już w duchu, jak zwyciężeni przezeń w bitwach mocarze udają się z hołdem do Dulcynei umiłowanej, by padając na kolana oświadczać na przykład co następuje: „O Pani! Jam jest niegodziwy Karakuliambro, przez nikogo dotąd nie pokonany, pokonany jednak przez Don Kichota, który rozkazał mi do stóp twoich przypaść i służby, jakich tylko zażądasz, pełnić w pokorze".

M a j ą c już konia, zbroję i damę serca, o giermku nasz rycerz na śmierć zapomniał, chociaż księgi, które czytał, wspominały wyraźnie o pożytku dla błędnych rycerzy z giermków płynącym. Ostatecznie, nie ma co się dziwić, że zapomniał, i bez tego wyruszając m i a ł dość na głowie. Ale jak markotno bywa w drodze samemu, m i a ł się wnet przekonać.

Na razie nie było mu jeszcze markotno, tylko bardzo podniośle, bo nie co dzień się przecież Don Kichotowi zdarzało, a prawdę powiedziawszy, przez blisko pięćdziesiąt lat życia nie zdarzyło się ani razu na rycerską wyprawę przed świtem ruszać, w zbroi, wierzchem na Rosynancie, z Dulcyneą w sercu, z płomiennymi nadziejami w okrytej szyszakiem głowie. Świętem nie lada był więc ten początek wyprawy, i każdy krzew przy drodze rozjarzony promieniami jutrzenki, każdy ptak ćwierkający w gnieździe, każdy obłok na coraz jaśniejszym niebie temu świętu wtórował. Niewiele brakowało, a zaśpiewałby nawet Don Kichot z przepełniającej go podniosłości, skoro zaś nie zaśpiewał, to dlatego tylko, że, niestety, słuchu n i e m i a ł ni głosu.

No, a skoro o zapomnieniach mowa, to i ja w chwili wyruszania Don Kichota zapomniałem, po pierwsze, zaznaczyć, że Dulcyneą nie nazywała się po prostu Dulcyneą, lecz okazalej: Dulcyneą z Toboso, a to z przyczyny, że imię jej wsi ojczystej brzmiało, jak się rzekło: Toboso. Sądzę, że nie jest jeszcze za późno, by wam o tym powiedzieć – wszak Don Kichot nawet stai nie ujechał od wrót swego domostwa.

Co się jego tyczy, to nie po prostu Don Kichotem, lecz Don Kichotem z La Manczy się nazwał, La Mancza bowiem – to całej części Hiszpanii miano, tej właśnie, gdzie urodził się, mieszkał i m i a ł przeżyć największe swoje przygody.

Nadrobiwszy te przeoczenia, pozwólmy rycerzowi spokojnie posuwać się naprzód, minąć dróg rozstaje, skręcić w jedną z czterech, jakie miał do wyboru, bez namysłu, na końskim kaprysie raczej się opierając, cały dzień potem jechać pod prażącym słońcem, bez wytchnienia, kropli napoju i kruszyny jadła, i wieczorem dojechać wreszcie do zajazdu, gdzie nie czekał na Don Kichota nikt z ludzi, a czekała przecież pierwsza przygoda.

Klnę się wszystkimi rycerskimi księgami, że m i a ł jej sprostać.

Rozdział czwarty, w którym Don Kichot spędza pierwszą noc poza domem rodzinnym, i noc owa, zgodnie z obietnicą karczmarza, nastręcza rzeczywistą sposobność do niezmrużenia oka

Zajazd, do którego dotarł Don Kichot, niepokaźny był i plugawy, w gospodarzu każdy odgadłby łacno szelmę i starego obwiesia, kompania zaś, która zatrzymała się tu na nocleg, to umorusani mulnicy i towarzyszące im w drodze do Sewilli panny lekkich obyczajów, też nie całkiem domyte.

Don Kichotowi jednak roiło się, że ma przed sobą zamek wspaniały, czterema wieżami niebo podpierający, okolony fosą z mostem zwodzonym, dalej – że stary hultaj kasztelanem zacnym jest czy burgrabią, mulnicy – rycerzami, dziewki zaś – damami o białych dłoniach.

Traf chciał, że właśnie stado świń pędzono do chlewu i świniopas zadął w róg z tej okazji. Don Kichotowi zdało się, że to karzeł na murach zamczyska jego przybycie tą melodią zwiastuje.

Podjechał do wrót gospody, widokiem swoim najpierw strasząc, następnie śmiesząc zażywające wieczornego powietrza dziewki, uniósł przyłbicę i przemówił do nich bardzo dwornie, wyjaśniając, że ze strony rycerza nic dostojnym damom nie grozi.

Parsknęły śmiechem, na co pogniewał się trochę, ale zbliżający się gospodarz wnet go udobruchał, bo jako szelma nad szelmami w mig się połapał, na czym szaleństwo rycerza polega, i trochę żeby się nie narażać, trochę dla zabawy, jął z Don Kichotem rozmawiać tak, jakby wyobrażenia tamtego były samą rzeczywistością. Obiecał więc rycerzowi nocne schronienie dla niego i dla rumaka, tyle że – jak zaznaczył – łoża nie mógł mu już zapewnić, wszystkie bowiem były zajęte, następnie zapytał, czy jego szlachetność nie chciałby się posilić.

Don Kichot o łoże nie dbał, zgodnie ze starą balladą, mówiącą, że pościelą wojownika skały są twarde, snem zaś wieczyste czuwanie, wieczerzą wszakże nie wzgardził, i z bolesnym wysiłkiem zaczął zsuwać się z konia.

– Co do czuwania, czyli niespania – powiedział stary obwieś – to nie ma obaw, sposobność do tego nastręczy się tu każdej nocy, nie tylko tej jednej – co mówiąc, uprzejmie przytrzymał strzemię Don Kichotowi – a wieczerza tu na podwórcu podaną zostanie, jeśli waszmość pozwolisz.

Don Kichot pozwolił, i gospodarz, zaprowadziwszy Rosynanta do stajni, poszedł wydać rozporządzenia w sprawie posiłku. Zaraz na chłodzie przed drzwiami zajazdu ustawiono stół bez obrusa, na stole zaś pojawił się dzban cienkiego wina, kromka chleba czarnego i spleśniałego oraz porcja ryby przesolonej i półsurowej, znanej u nas pod nazwą dorsza.

Tymczasem obie panny lekkich obyczajów z ciężkiej zbroi rozbierały rycerza, bo sam nie dałby sobie rady. Ale one też, prawdę mówiąc, nie całkiem dały sobie radę: zdjęły mu, owszem, napierśnik i naplecznik, domyślacie się, nieprawdaż, z tych nazw, co to za części zbroi, w żaden sposób jednak nie mogły zdjąć hełmu z przyłbicą, był on bowiem podwiązany pod grdyką mnóstwem wstęg zielonych z tyloma supłami, że rozwikłać ich nijak się nie dawało, najprościej byłoby przeciąć, ale na to znów się Don Kichot nie zgadzał. W końcu został w tym żelastwie głowę i twarz skuwającym, przez co nie mógł nic do ust własną ręką włożyć, i znów panny mu pomogły: on przyłbicę unosił i przytrzymywał, one zaś paluszkami cienkimi w tak powstałą szczelinę kęsy chleba i ryby wtykały. Wino na odmianę gospodarz mu przez trzcinę wydrążoną do gardła wlewał, ale więcej się za kołnierz przy tym wylało, niż trafiło, gdzie trzeba.

Mimo wszystko był zadowolony z posiłku. W tym czasie znowu zabrzmiał opodal róg świniopasa, utwierdzając naszego rycerza w mniemaniu, że jest gościem zamczyska, gdzie na jego cześć koncert się odbywa przy uczcie, sama zaś uczta jest wyborna, z pstrągów i kołaczy białych złożona, przednim winem podlana, przez wykwintne damy uświetniona i przez najzacniejszego z burgrabiów dysponowana.

Trochę tylko hełm go uwierał i niemiłe poczucie dokuczało, nie od tej chwili zresztą, lecz od samego rana, gdy wyruszył był w drogę, w głąb pamięci spychane, ciągle jednak na wierzch wypływające, a w tej chwili, gdy, jak sądził, tak wspaniale na zamku rycerskim był przyjmowany, osobliwie przykre: że nie przysługują mu do owych splendorów prawa, bo, choć w duszy niechybnie jest już rycerzem, nigdy nie był oficjalnie pasowany i do stanu rycerskiego przyjęty.

Ani przez myśl nie przeszło biednemu Don Kichotowi, że pasowany czy nie, prawdziwszym jest rycerzem niż wszystkie zamki, jakie może napotkać – zamkami, kasztelani – kasztelanami, damy – damami...

Ledwie przeto spożył, czym go uraczono, padł na kolana przed starym szelmą karczmarzem i wyznając mu swą zgryzotę, błagać zaczął, by pasował go na rycerza. Tamten w pierwszej chwili nie pojmował, o co chodzi, i wytrzeszczał w zdumieniu ślepia, próbował przy tym podnieść klęczącego, Don Kichot jednak opierał się i mówił, że nie wstanie, póki imć kasztelan nie obieca, że następnego ranka prośbę jego spełni. On sam – dodawał – noc całą spędzi na zbrojnym czuwaniu i medytacjach w kaplicy, kształcąc ducha do czekającej go uroczystej chwili, gdy zaś stanie się to, o co błaga, ruszy dalej w świat, by zgodnie z powołaniem, potwierdzonym i uświęconym przez pasowanie, walczyć z krzywdą, tępić bezprawie i ku chwale nadobnej pani Dulcynei z Toboso pokonywać okrutnych wrogów, ludzkości.

Karczmarzowi rozjaśniło się wreszcie we łbie i pojął, czego żąda mający go uparcie za rycerza i kasztelana zamku Don Kichot. Postanowiwszy ciągnąć zabawę, szczwany lis skłonił się z największą gracją, na jaką stać go było, i oznajmił, że z rozkoszą uczyni zadość mężnej chęci przybysza. Don Kichot odetchnął z ulgą i nie bez trudu podniósł się z klęczek, podczas kiedy karczmarz z coraz większym zapałem obiecywał, że rankiem odprawi należne ceremonie i pasuje go na rycerza, którym jest już, oczywiście, i w tej chwili, gdy rozmawiają ze sobą, niechaj wszakże rytuał pozostanie rytuałem, żeby nikt nigdy nie mógł Don Kichotowi zarzucić, jakoby czegokolwiek zaniedbał. Kaplicy wprawdzie do medytacji bezsennych zdatnej nie ma teraz na zamku, starą bowiem zburzono, by nową na jej miejscu wystawić, czego jeszcze z kolei nie uczyniono, zbrojnie czuwać wszakże można i na dziedzińcu zamkowym.

Don Kichot, zgadzając się we wszystkim z wymownym karczmarzem, poważnie kiwał długą głową, wciąż w żelastwo odzianą, i błogo wzdychał na myśl o mającej nastąpić za kilka godzin wielkiej chwili pasowania.

– I ja w obronie wdów i sierot walczyłem jak tygrys – coraz bardziej zapędzał się stary hultaj – aż po wielu wspaniałych czynach osiadłem tu na swym zamku, by gościnność okazywać wszystkim błędnym rycerzom, z samej do nich sympatii, oni zaś z samej do mnie sympatii, wdzięcznością wspartej, dzielą się ze mną wszystkim, co posiadają. Wy, panie – zainteresował się w tym miejscu – dużo macie pieniędzy?

Don Kichot odparł, że ani grosika, nigdy bowiem nie było mowy w żadnej z ksiąg rycerskich, by rycerzom potrzebne były pieniądze.

– Księgi nie wspominają o tym, co się samo przez się rozumie – wyjaśnił krzywiąc się, jakby go zęby bolały, karczmarz. – Zapewniam jednak, że prawdziwy rycerz to ten, co ma pełną kiesę i bieliznę na zmianę w sakwach przytroczonych do łęku, i apteczkę polową, i różne inne przydatne rzeczy, że pominę już wożącego to wszystko giermka.

Don Kichot przyrzekł, że udając się w następną wyprawę uwzględni te informacje, za które prawdziwie wdzięczny jest mości kasztelanowi. Tamtemu jednak nie rozjaśniła się mina i mrukliwość nagła go ogarnęła, aż pomyślał Don Kichot, że może niechcący dotknął czymś burgrabiego, lecz choć szczerze żałował takiego obrotu rzeczy, nie miał czasu na zastanawianie się, które słówko zawierało mimowolną niedelikatność, trzeba bowiem było żwawo przystąpić do zbrojnego czuwania i medytacji.

Pośrodku rozległego dziedzińca, który mu wskazał gospodarz, widniała studnia, a przy niej drewniane koryto. Na tym korycie złożył Don Kichot napierśnik swój i naplecznik, po czym z kopią w jednej dłoni i tarczą w drugiej przechadzać się jął miarowym krokiem dokoła. Noc już zapadła, ale księżyc wszedł bardzo duży i jasny, wyraźnie więc widać było krążącego wokół koryta rycerza; przypatrywali mu się też jak dziwowisku i mulnicy umorusani, i towarzyszące im w drodze do Sewilli panienki, i zły czegoś gospodarz zajazdu.

Naraz jeden z mulników przypomniał sobie, że nie napoił swoich mułów przed nocą. Chcąc to naprawić, skierował się do koryta i sięgnął po leżącą na nim zbroję Don Kichota. Ten na widok zuchwalca przerwał przechadzanie się i medytacje i rzekł podniesionym głosem:

– Kimkolwiek jesteś, kawalerze, nie waż się dotykać mej zbroi! Życiem zapłaci, kto nie usłucha wezwania!

Mulnik nie zwracając uwagi na pogróżkę złapał za zbroję i odrzucił ją o kilka kroków od koryta. A przecież Don Kichot wcale nie żartował, kiedy go ostrzegał! Teraz nie pozostawało mu nic innego, jak spełnić groźbę. Wyobrażając sobie, że pani jego serca, Dulcynea z Toboso, przypatruje się z oddali zachowaniu swego znieważonego wasala, bez namysłu odrzucił tarczę i oburącz ujmując kopię wymierzył nią zuchwalcowi cios w głowę. Mulnik runął jak długi, a Don Kichot z powrotem złożył zbroję na korycie i spokojnie podjął swoją przechadzkę, tudzież medytacje.

Nie był to jednak koniec jego walk tej nocy w obronie honoru. Niebawem inny mulnik, którego nie było przy opisanym wydarzeniu, skierował się do koryta, by napoić swoje zwierzęta. Jak poprzedni, sięgnął po zawadzającą w tej sytuacji zbroję, a Don Kichot, rezygnując tym razem z ostrzeżeń, jak poprzednikowi rozłupał mu kopią głowę.

Uczynił się wielki rejwach: pozostali mulnicy, rozwścieczeni, zaczęli obsypywać rycerza kamieniami, on zaś, nie opuszczając stanowiska przy zbroi, kręcił się tylko w jednym miejscu, to przód, to tył, to boki zasłaniając tarczą. A choć drugiego mulnika zranił był w milczeniu, teraz krzyczał wielkim głosem przeciwko zdradzie, która rozpanoszyła się w zamku i nie wzbrania bezecnej zgrai napastować z ukrycia błędnego rycerza. Równie głośno darł się karczmarz, apelując do mulników, by dali spokój, bo walczą z obłąkanym, takiego

zaś, choćby wszystkich pozabijał, każdy sąd uniewinni. Najgłośniej piszczały niecnotliwe panienki, ale nie wiadomo, czy za Don Kichotem, czy przeciw niemu.

Nie wiadomo również, czy mulników wystraszyły niezwykłe obelgi miotane przez rycerza, czy raczej przestrogi karczmarza, dość że z widocznym lękiem zaczęli się wycofywać i nawet z dalszej odległości zaniechali miotania kamieni na Don Kichota. Ten szlachetnie zezwolił na wyniesienie obu rannych i podjął, jak przedtem, zbrojne czuwanie oraz medytacje. Karczmarz wszakże miał już najwidoczniej dość tych igraszek, coraz bardziej krwawych i niebezpiecznych.

– Już czas, panie – powiedział, z całą ostrożnością, by nie dostać znienacka w łeb, podchodząc do Don Kichota – odbyć ceremoniał, którym wam przyrzekł. Naczuwaliście się i namedytowali do woli, choć trochę wam w tym przeszkodzili nieobyci przejezdni, ale nie tak znów bardzo. Więc jak, panie, chcecie być pasowani?

– Niczego bardziej nie pragnę – odrzekł Don Kichot – skoro bowiem to nastąpi, będę mógł naprawdę policzyć się z ukrytymi w murach tego zamku wiarołomcami. Oszczędzę, naturalnie, was, a także niewiasty i tych mężów, których mi polecicie.

Karczmarz, nie wdając się w dyskusję, przyniósł ogarek świecy i księgę buchalteryjną, w której zwykł zapisywać obrok, na kredyt wydawany mulnikom. Wezwawszy do asysty znane nam już panienki, rozkazał Don Kichotowi uklęknąć, co ten bez sprzeciwu uczynił. Stary obwieś, zaglądając do księgi, wymamrotał coś niezrozumiałego, po czym niespodziewanie walnął Don Kichota pięścią w kark i dalej mamrotał. Don Kichot wzdrygnął się od ciosu, ale przyjął go równie posłusznie, jak posłusznie przed chwilą ukląkł. Wtedy karczmarz wziął miecz Don Kichota i płazą uderzył go w ramię, co było nie mniej bolesne od poprzedniego uderzenia pięścią, ale rycerz znowu przyjął pokornie, co go spotykało, jako należące do rytuału. Karczmarz wręczył miecz jednej z panienek, aby przypasała go rycerzowi, co też uczyniła, powstrzymując śmiech, a Don Kichot poważny ani się domyślił, ile ją to kosztuje. Karczmarz, zaglądając do księgi, cały czas mamrotał, tak szybko i niewyraźnie, że tylko ktoś o wybitnym słuchu i niezwykle skupionej uwadze odróżniłby słowa: „ćwierć i jeszcze pół ćwierci i ćwierci ćwierć i ponadto ćwierć".

Tak dokonała się owa ceremonia pasowania Don Kichota na rycerza, a ledwie się dokonała, poczuł nasz bohater, jak wstępują weń nowe siły, pośpiesznie więc wdział na siebie brakujące części zbroi, okulbaczył Rosynanta, uściskał gospodarza, mówiąc: „nigdy nie zapomnę waszmości tej rycerskiej przysługi", skłonił się dwornie pannom lekkich obyczajów i wsadził nogę w strzemię, dodając: „niech Opatrzność sprzyja temu gościnnemu zamczysku".

Karczmarz, syty już i zabaw, i obaw, wybawienia tylko pragnął od Donkichotowej fantazji, odpowiedział przeto równie uprzejmie i skłonił się równie dwornie, i z pośpiechem równym temu, z jakim Don Kichot zebrał się do drogi, rozwarł mu wrota zajazdu. Długo jeszcze spoglądał w ślad za odjeżdżającym, niespokojny, czy aby tamtemu nie przyjdzie do głowy zawrócić. Nie zażądał nawet zapłaty za wieczerzę, nocleg i pasowanie, szczęśliwy, że pozbył się wreszcie dziwacznego gościa. Ani pomyślał też, ani pożałował, że ginąc z oczu Don Kichotowi, sam przemienia się z powrotem z zacnego kasztelana w starego obwiesia, jakim jest naprawdę, zamczysko, w którym gościł był rycerza – w karczmę plugawą, kompania zaś, która zatrzymała się tu na nocleg – w umorusanych mulników i towarzyszące im w drodze do Sewilli panny lekkich obyczajów, też nie całkiem domyte.

Rozdział piąty, w którym Don Kichot po raz pierwszy staje w obronie krzywdzonego i co z tego wynika

Jechał nasz rycerz drogą, aż zajechał do lasu średnio gęstego, a w tym lesie najpierw dźwięki jakieś dobiegły go niezbyt zrozumiałe, następnie zaś obraz przedstawił się jego oczom, niestety czy na szczęście dający się zrozumieć bez trudu.

Był to obraz krzywdziciela i krzywdzonego.

Krzywdzonym był drobny chłopiec, półnagi i przywiązany do drzewa, krzywdzicielem – rosłe chłopisko z batem w ręku. Tym to batem drab okładał jęczącego chłopca, dogadując przy tym:

– A masz, nicponiu! I jeszcze raz masz, żebyś wiedział! Teraz masz, żebyś zapamiętał! A masz, a masz!

– Oj, wybaczcie, mój panie gospodarzu! – szlochał chłopiec. – Już wiem, już mam, już pamiętam, już nigdy nie będę!

– Dość tego!–zawołał zatrzymując się oburzony Don Kichot. –Nie godzi się znęcać nad bezbronnym! Dosiądź konia i ze mną się zmierz, ty tchórzu!

Chłop zaprzestał swej okrutnej czynności i wyjaśnił z całą pokorą:

– Panie rycerzu, ten ladaco to mój pastuch niedbały, któremu co dzień ginie jedna owieczka. Kiedy zaś go karcę, łże, nicpoń, że czynię to, by nie płacić mu należności.

– W mojej przytomności zadajesz kłam niewinnemu? – jeszcze bardziej oburzył się Don Kichot. – Odwiąż go natychmiast i zapłać, coś winien; jeżeli nie, przebiję cię kopią na wylot.

– Odwiązuję, już odwiązuję. Ależ waszmość prędki – poskarżył się wieśniak i skwapliwie jął targać sznury.

– Ile ci jest winien, mów, chłopcze, śmiało – zwrócił się Don Kichot do krzywdzonego.

– Za dziewięć miesięcy, panie rycerzu, po siedem reali każdy – odparł, nie ociągając się, chłopak.

– To wynosi sześćdziesiąt trzy reale. Nuże, człowiecze, potrząśnij kiesą, jeśli ci życie miłe!

– A trzy pary chodaków, którem mu sprawił? – zaprotestował chłop. – A puszczanie krwi, kiedy chorzał?

– To już skwitowane chłostą – wyjaśnił Don Kichot. – Jeśli on zdarł chodaki, ty zdarłeś mu skórę z grzbietu, a jeśli cyrulik puszczał mu krew, gdy był chory, ty puściłeś, gdy był zdrów. Kwita.

– Bieda tylko – westchnął chłop, nie targując się już o sumę – że nie mam przy sobie tej kiesy do potrząsania. Niechby poszedł ze mną do domu, a wypłacę mu wszystko co do grosika.

– Nie pójdę! – wrzasnął chłopiec. – Obłupi mnie w domu ze skóry!

– Wszak nie zrobi tego – powiedział Don Kichot – skoro przysięgnie na prawo rycerskie, że usłucha mego rozkazu.

– Przysięgam – uderzył się w piersi chłop – na wszystkie prawa rycerskie, jakie są i jakich nie ma na świecie, że wypłacę mu wedle zasług.

– No widzisz – ucieszył się Don Kichot. –Ale bacz, człowiecze – zwrócił się surowo do krzywdziciela – że jeśli nie spełnisz, coś poprzysiągł, wrócę, aby odszukać cię i ukarać. Wiesz, kto ci rozkazuje?

– Wiem, że wielki rycerz.

– Usłysz więc moje imię. Jam Don Kichot z La Manczy, mściciel wszelkich krzywd i bezprawia. A teraz obydwaj zostańcie z Bogiem!

Co rzekłszy, Don Kichot spiął konia i zawrócił ku drodze. Serce przepełniała mu słodka duma i radość, że obronił krzywdzonego przed krzywdzicielem. Usłyszał jeszcze, oddalając się, okrzyk chłopca: – Dzięki za wstawiennictwo, szlachetny panie rycerzu!

Ale nie usłyszał już, jak chłop, kiedy tupot kopyt Rosynanta ucichł za lasem, odezwał się łagodnie:

– Zbliż się, najmilszy, zapłacę ci, com winien, jak obiecałem temu panu.

– Jeśli mnie zwiedziecie – przypomniał chłopiec – on powróci i zada wam bobu.

– Nie zwiodę cię, nie – przyrzekł chłop, podchodząc do chłopca i unosząc bat. – Masz za pierwszy miesiąc! – wrzasnął nagle, spuszczając bat na nagie plecy nieszczęśnika. – Masz za drugi! Masz za trzeci miesiąc służby leniwej!

– Oj, wystarczy, mój panie gospodarzu! – błagał, jęcząc pastuszek.–Za resztę już mi nie płaćcie!

– Nie może być, żebym ci został dłużny – upierał się chłop, okładając chłopca. – Dostaniesz wedle zasług. Za siódmy miesiąc! Za ósmy! Za dziewiąty! A to – za nieproszonego obrońcę! Wołajże teraz mściciela krzywd, niech odbierze, czego ci nie dodałem...

– Oj, panie rycerzu – jęczał chłopiec – gdziekolwiek jesteście, o jedno was błagam: choćbyście widzieli, że ćwiartują mnie na kawałki, to nie brońcie, lecz pozostawcie mojej niedoli, bo nie może być gorsza od tej, jaką wstawiennictwo wasze przynosi... I bodajbym już żadnego błędnego rycerza w życiu nie spotkał...

Biedny chłopiec – ale i biedny Don Kichot! Mimo wszystko lepiej, że nie słyszał tych gorzkich wyrzutów... Może by się zawahał przed spełnieniem powinności rycerskiej? To prawda, że wstawiennictwo za krzywdzonymi czasem powiększa tylko ich niedolę – czyżby jednak pomniejszała ją obojętność przechodzących obok i przymykanie na mijaną krzywdę oczu i uszu?... Gdyby Don Kichot w to uwierzył – i my wszyscy gdybyśmy uwierzyli za nim – resztka niezbędnej do życia nadziei zniknęłaby ze świata, w którym tyle jest jeszcze przemocy, niesprawiedliwości i okrucieństwa.

Rozdział szósty, w którym Rosynant ma wpływ na drogi i upadki Don Kichota, a krewni i przyjaciele chcą mieć wpływ jeszcze większy

Jechał dalej Don Kichot i duma go rozpierała, że zaledwie pasowany na rycerza, już zmierzył się z krzywdą, krzywdzonego obronił, krzywdziciela od krzywdzenia skutecznie odwiódł. Rozpamiętując najświeższą swoją przygodę, wznosił w duchu oczy do pięknej Dulcynei z Toboso i przemawiał do niej: „O, pani mego serca! To twoja niewidzialna opieka aureolą opromienia me kroki, mocy dodaje memu ramieniu i słowu! Wierzaj, szczęsna, że czyny Don Kichota nie przyniosą ci ujmy! Jak nocą rozpędziłem w zamczysku podłą hałastrę, teraz zaś łotra, znęcającego się nad chłopięciem, zmusiłem do zaprzestania okrucieństw, tak nadal będę wiernie używał rycerskiego oręża dla powiększenia twej chwały i pognębienia zła, gdziekolwiek je spotkam!”

Tak przemawiając w duchu do Dulcynei, kawałek drogi ujechał – i oto dostrzegł jadący z przeciwka orszak. Byli to kupcy z miasta Toledo, z pachołkami swymi i mulnikami udający się do Murcji po jedwab. Aliści Don Kichot nie ujrzał w nich tych, kim naprawdę byli, lecz hufiec rycerski, przeznaczony widać przez Opatrzność do zademonstrowania na nim przez wielbiciela Dulcynei potęgi jego miłości. Jeźdźcy nie uczynili wprawdzie nic złego, a przynajmniej nie było jawnych dowodów, żeby uczynili, to jednak palącemu się do walki rycerzowi nie przeszkadzało.

Zastąpiwszy im drogę z nastawioną kopią zawołał:

– Ani kroku dalej! Musicie przyznać, waleczni rycerze, iż nie masz na całym świecie piękniejszej damy nad tę, której służę, niezrównaną Dulcyneę z Toboso.

Kupcy się zatrzymali i nawet w pierwszej chwili bodaj że lęk ich obleciał, przyjrzawszy się jednak temu, który ich zaczepił, wyzbyli się chyba trwogi i raczej dla żartu, niż dla rzeczywistej potrzeby, wdali się w dyskusję.

– Panie rycerzu – powiedział pierwszy kupiec – chętnie to przyznamy, ale pokażcie nam wprzódy piękną panią, o której mówicie, bośmy nigdy jej nie widzieli.

– To nie sztuka – sprzeciwił się Don Kichot – przyznać oczywistość na własne oczy stwierdzoną. Rzecz w tym, byście nie widząc przecudnej Dulcynei z Toboso, lecz dlatego, że ja tak mówię, potwierdzili natychmiast, iż nie ma nad nią piękniejszej, i przysięgli zawsze

bronić tego twierdzenia. Jeśli zaś odmawiacie, wyzywam was po kolei do walki, jak prawo rycerskie każe. Pokonani przeze mnie, nie będziecie mogli dłużej się wzdragać przed prawdą.

– A może – zaproponował kupiec – pokażecie nam chociaż konterfekt owej damy, niechby był maciupeńki jak ziarnko, byleśmy mieli na czym się oprzeć w sądzie, którego od nas żądacie. Zresztą – dorzucił pojednawczo – dla przypodobania się wam, panie rycerzu, z pewnością ją pochwalimy, choćby jednym okiem krzywym, drugim kaprawym łypnęła na nas osoba z portretu.

– Ośmieliłeś się coś takiego powiedzieć o najsłodszych oczach niezwykłej Dulcynei z Toboso? – zapałał gniewem Don Kichot. – Giń, bluźnierco! I wy wszyscy, ilu was jest, zapłacicie mi za tę straszną zniewagę!

Co rzekłszy, natarł z furią na kupca, i zaprawdę, przebiłby go kopią na wylot, dowodząc w ten sposób niezbicie, iż nie ma na świecie damy piękniejszej nad Dulcyneę z Toboso, gdyby Rosynant nie potknął się na samym środku drogi, wywracając się sam i zrzucając na twardą ziemię jeźdźca. Don Kichot usiłował się wygramolić z upadku, ale w ciężkiej zbroi, z ostrogami, szyszakiem, kopią i tarczą, nie było to wcale łatwe. Szamotał się bezsilnie, jak przewrócony żółw w pancerzu, wołając:

– Nie triumfujcie, tchórze! Nie wyście mnie obalili, lecz koń mój! Czekajcie, aż wstanę i dam wam nauczkę!

Kupcy chcieli jechać dalej, nie zważając na krzyki wysadzonego z siodła rycerza, ale jednemu z mulników mało tego było (tak już się składało, że poganiacze mułów z zasady nie darzyli Don Kichota sympatią). Ów niegodziwiec zbliżył się do leżącego, połamał mu kopię, a następnie jej szczątkami zaczął nieszczęśnika tak okładać, tak dokładać mu i przykładać, że ten mimo zbroi odczuł okładanie to, dokładanie i przykładanie z całą dokładnością. Nie skarżył się jednak na ból, lecz nadal głośno znieważał wrogich rycerzy, za jakich miał zaczepionych przez siebie kupców. Ci tymczasem, nie krwiożerczy wcale, wzywali mulnika, żeby dał spokój, ale ten usłuchał dopiero wtedy, gdy porządnie się zmęczył. Zostawiwszy Don Kichota na ziemi, cały orszak ruszył wreszcie w swą drogę, on zaś wówczas znów się próbował podnieść, taki jednak był obity i obolały wewnątrz swej zbroi, że do czego nie był zdolny przed zemstą mulnika, tym bardziej nie stał się zdolny teraz. Zaprzestał tedy płonnych wysiłków i leżał spokojnie, z lekka pojękując, bynajmniej jednak nie czując się nieszczęśliwym, nikt go bowiem nie pokonał i zuchwałe męstwo jego w obronie i ku chwale pięknej Dulcynei z Toboso było niezaprzeczalne, jedynie niefortunnemu stąpnięciu Rosynanta, który tymczasem wstał, odszedł o parę kroków i skubał trawę na zboczu drogi, zawdzięczał Don Kichot swój upadek.

Kiedy tak leżał, dla rozrywki i osłody przypominając sobie przeczytane historie i po trosze utożsamiając się z ich bohaterami, jak na przykład z walecznym Baldwinem, którego porzucono rannego w górach, ocalony jednak został przez swego stryja, markiza z Mantui, kiedy więc tak leżał czas jakiś, to w gorączce, to znów w omdleniu, znalazł go ów sąsiad, zesłany, o czym była mowa w rozdziale drugim, przez miłosiernego autora. Nie tylko przez niego jednak, lecz i przez taką okoliczność, że wczoraj jechał Don Kichot w jedną stronę, a dzisiaj, po opuszczeniu zajazdu, w drugą, w obu przypadkach na Rosynanta się zdając, którego, jak to konia, najpierw bawiło oddalanie się od stajni, następnie zaś powrót do niej. W rezultacie znajdowali się obecnie bardzo blisko wsi rodzinnej, i dobry kmiotek z sąsiedztwa, który Don Kichota znalazł, a którego ten nie poznał, biorąc za markiza z Mantui, dobry ten kmiotek nie miał szczególnego kłopotu z odtransportowaniem rycerza do domu. Rozebrawszy ze szczątków zbroi, podniósł go z ziemi i wsadził na swojego chłopskiego kłapoucha, po czym poprowadził za uzdę kłapoucha i Rosynanta, aż doprowadził do wrót Donkichotowego domostwa, tam zsadził ostrożnie i wprowadził we wrota...

Pewnie pamiętacie jeszcze okrzyki przejętej gospodyni i pieczołowitość, z którą prowadziła swego pana po schodach do sypialni, obiecując, że bez wróżki Furkandy uleczony

tutaj zostanie, byle słuchał życzliwych sobie i kochających ludzi. Siostrzenica już mu tymczasem pościel przygotowała, ksiądz proboszcz i balwierz wioskowy, obecni akurat na miejscu wielcy przyjaciele Don Kichota, poruszyli z dwóch stron poduszki, żeby lepiej mu się leżało... Nie ulega wątpliwości, że wszyscy ci ludzie naprawdę kochali Don Kichota i byli mu życzliwi, sęk w tym jedynie, że współczując jego ciału, wspólnie czuć nie potrafili z jego umysłem ani wspólnie czuwać z jego sumieniem. Tak obce i niepojęte im były jego fantazje, iż za dobroczynną swoją względem niego powinność uważali wypędzenie z głowy Don Kichota rycerskich wyobrażeń i tęsknot, by uczynić go n o r m a l n y m, takim jak oni sami, zjadaczem chleba. W ten sposób, sprzyjający jemu, nie sprzyjali najgłębszej i najprawdziwszej jego istocie, temu, co Don Kichota Don Kichotem czyniło, ale skoro tak – czy sprzyjali faktycznie Don Kichotowi?

W następnym rozdziale dowiemy się niechybnie, co uczynili bliscy, aby Don Kichota od Don Kichota wyzwolić, Don Kichota z Don Kichota uleczyć, Don Kichota w Don Kichocie zniszczyć i zabić.

Rozdział siódmy, w którym pod oknem Don Kichota płonie stos Inkwizycji, ale rycerz, zmorzony pierwszą wyprawą, śpi

Kiedy Don Kichot, opatrzony, umyty i nakarmiony rosołem z pasztecikiem, zasnął mocnym snem w swoim łożu, jego blada siostrzenica wyrzekła cichym głosem, spuszczając oczy:

– Wielebny księże proboszczu i wy, mości balwierzu, winną się czuję, że nie doniosłam wam w porę o szaleństwie mego wujaszka. Może bylibyście spalili te heretyckie książki i zaradzili nieszczęściu, zanim doszło do tego, co tu widzicie.

– Na całopalenie nigdy nie jest za późno – uspokoił ją proboszcz. – Bądź panna spokojna, dzień nie minie, a na stos poślemy kacerzy!

Musicie wiedzieć, że w owych czasach zdarzało się w Hiszpanii palić na stosie nie tylko książki, ale żywych ludzi, skazanych na to przez Świętą Inkwizycję, czyli bractwo duchowne, tropiące świętokradztwo, odstępstwo od wiary, obcowanie z diabłem i inne grzechy. Niestety, łatwiej było o coś takiego człowieka oskarżyć, niż oskarżonemu dowieść swej niewinności. Tak i teraz, gdy blada siostrzenica Don Kichota oskarżała o herezję, czyli obrazę prawd religijnych zgromadzone w bibliotece wujaszka opowieści rycerskie, cóż mogły biedne powiedzieć na swą obronę? Trwożnie i błagalnie szeleszcząc kartkami, musiały poddać się wyrokowi, który zapadł bez uczciwego zbadania rzeczy.

Rumiana gospodyni chyżo rozpaliła na dworze wielkie ognisko, powiada zaś autor, cytując powiedzonko hiszpańskie, iż zajmowała się tym z gorliwością takiej pracownicy, która większą ma ochotę palić niż tkać płótno, choćby nie wiem jak szerokie i cienkie. Znajdowało się to ognisko akurat na wprost okien komnaty bibliotecznej, do której wprowadzono inkwizytorów – proboszcza i balwierza.

– Podawajcie mi tedy księgi – rzekł, rozglądając się proboszcz – jedną po drugiej. Zobaczymy, która na stos zasługuje.

– Wszystkie! – zawołała siostrzenica. – Wszystkie co do jednej, to pewne!

Proboszcz i balwierz zbyt byli jednak ciekawi, żeby zgodzili się palić książki bez oglądania. Balwierz jął sięgać kolejno po oprawne foliały i podawać je księdzu po głośnym odczytaniu każdego tytułu; wtedy dopiero ksiądz ogłaszał wyrok i wykonywał go, nie zwlekając.

– „Wielkie czyny Esplandiana” – obwieścił balwierz.

– Giń, wszetecznico! – wykrzyknął proboszcz, przez otwarte okno ciskając księgę na stos. Sypnęły iskry, „Wielkie czyny Esplandiana” zajęły się odpowiednio też wielkim płomieniem.

– „Florismarte z Hirkanii”.

– Nie zasługuje na łaskę!

I „Florismarte” powędrował za „Esplandianem”.

– „Rycerz Platir”.

– Za innymi niech idzie żwawo!

– Tak, dobrodzieju, tak – dogadywała zadowolona gospodyni – toć mówiłam, że wszystkim się stos należy.

– „Palmerin z Oliwy”.

– I ta oliwa bynajmniej nie sprawiedliwa – niech spłonie, by ani kropli z niej nie zostało.

Tak oto, kiedy Don Kichot, przygodami zmorzony, spał w swym łożu pod baldachimem, proboszcz z balwierzem, w asyście gospodyni rumianej i siostrzenicy bladej, nad księgozbiorem jego w wielkim pośpiechu inkwizycję sprawowali najsroższą. Może i niedobre to książki, może i banialuki opowiadały, z naiwności autorów lub – odwrotnie – licząc na czytelników naiwność, może nawet styl ich mocno szwankował, ale wyznam wam, że kiedy opisuję tę scenę, opisując zaś widzę, jak karty ksiąg w płomieniu się skręcają z sykiem żałosnym, raptem serce mi się ściska, jakbym obecny był przy paleniu ludzi na stosie, i chciałbym rękę inkwizytora zatrzymać...

– „Historia słynnego rycerza Tyranta Białego” – ogłosił balwierz.

Proboszcz drgnął.

– Co, macie tam „Tyranta Białego”? – przepytał się podniecony. –Toć to powieść, gdzie za młodu znajdowałem był kopalnię rozkoszy, daję wam słowo! Pamiętam jak dziś, jest tam Don Kyrieeleyson z Montalbanu, rycerz jakich mało, i brat jego, Tomasz z Montalbanu, walka słynnego Tyranta z brytanem i cesarzowa zakochana w giermku swym, Hipolicie. Styl jest przedni, daję słowo, kumie, weźcie tę książkę do domu i przeczytajcie, a sami się przekonacie!

– Przeto ułaskawimy tę księgę – zgodził się balwierz.

No, więc jednak! Odetchnąłem na chwilę i wy chyba ze mną. Ale odłożywszy na bok „Historię słynnego rycerza Tyranta Białego”, inkwizytorzy sięgnęli po następne dzieła i te rzadko już znajdowały w ich oczach łaskę, traf bowiem chciał, że rzadko którą czytali za młodu, by móc teraz z rozrzewnieniem wspominać. Z górą sto książek, prozą i wierszem pisanych, poszło na stos, parę zaś zaledwie uniosło głowę z tej rzezi i uniesione zostało na plebanię lub do domu balwierza, by służyć wyjątkowym literackim uniesieniom niszczycieli książek.

Nie skończyło się na tym złowrogim ogniu: sama komnata biblioteczna, choć już pusta, zdawała im się miejscem zbyt straszliwych pokus dla Don Kichota, rankiem tedy, podczas gdy rycerz spał ciągle, sprowadzili robotników, a ci pod nadzorem gospodyni rumianej i siostrzenicy bladej żwawo zamurowali i zatynkowali niebezpieczną izbę, tak iż z żadnej strony nie było już do niej wejścia. Kiedy Don Kichot po dwóch dniach, zdrowszy, podniósł się z łoża, chciał się udać, swoim zwyczajem, do biblioteki – ale nic z tego! Trafił na gładką ścianę, którą obmacywał, naciskał, odchodził od niej i wracał, znów próbował, lecz ta trwała nieporuszona. Wreszcie, do cna zmieszany, wątpiąc w świadectwo swych zmysłów, poprosił domownic, by wskazały mu drogę do komnaty z książkami.

– Komnata z książkami? – parsknęła gospodyni. Nie ma w tym domu żadnej komnaty z książkami!

– A gdzież się podziała?

– Czart ją porwał!

– Nie czart – sprostowała siostrzenica – lecz czarodziej. Owej nocy pod nieobecność wuja spuścił się z chmury i porwał komnatę razem z książkami. Powiedział tylko, że tak mści się z wrogości do właściciela książek.

– Przejaśnia mi się w głowie – powiedział Don Kichot. – Czy zły czarodziej oznajmił, jak się nazywa?

– Jakieś takie dziwne imię – marszczyła czoło gospodyni. – Kończyło się chyba na „on".

– Freston! – wykrzyknął Don Kichot. – Mój straszliwy wróg czarodziej Freston sprawił, że biblioteka ma jakby rozwiała się w powietrzu! A to wszystko dlatego, że ja, błędny rycerz, sprzeciwiam się nieprawościom jego i zbrodniom. Ale nic z tego! Żeby nie wiem jak szkodził mi podły Freston, ostateczne zwycięstwo mnie musi przypaść.

– No tak – zgodziła się siostrzenica – ale czyż nie lepiej dać sobie spokój, nie wchodzić w paradę złym czarownikom, nie narażać się na ich zemstę ? Albo źle wujowi tu w domu?

Don Kichot nic nie odpowiedział. W myślach był już daleko od swego domostwa z zamurowaną komnatą, od tych niemądrych kobiet, od czarnego śladu pogorzeliska na podwórzu, które może by przyjął, gdyby zauważył, za ślad czarownika Frestona, od krzywdy, którą wyrządzili mu najbliżsi, a o której wcale nie miał pojęcia... Wbrew wszystkim i wszystkiemu, był przecież nadal – Don Kichotem.

Rozdział ósmy, w którym Don Kichot już nie samopas, lecz z giermkiem, wyrusza na swą drugą wyprawę

Kiedy Don Kichot prawdziwie wydobrzał po przygodzie, wieńczącej pierwszą jego wyprawę – nastąpiło to zaś jakieś dwa tygodnie po owym tyleż bolesnym co w kurzu tytłającym wieńczeniu – zaczai się potajemnie szykować do wyprawy drugiej. Potajemnie – bo doskonale uświadamiał sobie, że obydwaj jego wielcy przyjaciele, sprzymierzeni z obydwiema wiernymi domownicami, jeśli dowiedzą się o nie porzuconych przez Don Kichota zamiarach, na głowie staną, aby im przeciwdziałać. Zachowując więc pozory uspokojenia i pojednania z sytuacją, i tylko teoretycznie broniąc błędnego rycerstwa w dysputach z proboszczem oraz balwierzem, cichcem gromadził fundusze, sprzedając lub zastawiając, co się dało z posiadanych przedmiotów, przeważnie zresztą za marną cenę, ale co tu gadać o marnej cenie, kiedy największy majątek Don Kichota – księgozbiór – poszedł, jak wiemy, z dymem bez żadnej rekompensaty! Tak czy siak, w końcu zebrał Don Kichot sumkę godną chyba tego, co o błędnych rycerzach klarował pasujący go na tę dolę karczmarz. Zbroję przysposobił sobie na nowo z tego, co ocalało jeszcze na strychu, naprawił połamany hełm, kopię z tarczą pożyczył u znajomego **hidalga** z okolicy, zaopatrzył się też w koszule, szarpie i inne potrzebne w drodze przedmioty, wszystko zgodnie z radami karczmarza. Rosynant czekał w stajni, piękną Dulcyneę z Toboso miał Don Kichot, jak zawsze, w sercu, brakowało mu więc jeszcze tylko – no, właśnie, giermka.

Upatrzył sobie na giermka pewnego klepiącego biedę wieśniaka z sąsiedztwa, imieniem Sanczo Pansa. Jak wyglądał Sanczo Pansa, to już wiemy, a jaki był w środku, nie warto z góry mówić, bo niebawem się przekonamy. Nie od razu, oczywiście, zdecydował się Sanczo Pansa na taką awanturę, jak wyruszenie ni stąd ni zowąd w świat, w charakterze giermka błędnego rycerza; dotychczas nie opuszczał nigdy opłotków ojczystej wsi i nikomu nie giermkował, o błędnym zaś rycerstwie miał bardzo niewyraźne pojęcie. Wyraźne jednak pojęcie miał o piszczącej biedzie, w jakiej żył wraz z żoną i gromadką dzieci, toteż gdy Don Kichot, namawiając go, wysunął taki argument, że zdobędą, być może, jakąś wyspę bogatą, i wówczas Sanczo właśnie zostanie jej wielkorządcą, Don Kichot zaś wyruszy dalej rycerskim szlakiem, usłyszawszy zatem o wyspie, Sanczo zapalił się do wyprawy i giermkowania, i nie musiał go nasz rycerz dłużej namawiać: Wyznaczywszy dzień i godzinę, zawiadomił Sancza, aby ten także zaopatrzył się w co potrzeba, nade wszystko zaś, by nie zapomniał o sakwach. Ten zapewnił, że nie zapomni nie tylko o sakwach, lecz również o bukłaku do wina, tudzież

ośle do dźwigania jego giermkowskiej tuszy, a wreszcie o wyspie, która będzie mu przyświecała z dala. Cóż, każdemu musi coś przyświecać w bohaterskich wędrówkach Don Kichotowi przyświecał obraz Dulcynei, Sanczowi wyspa bogata, którą miał rządzić; trudno mieć coś przeciwko takiemu czy innemu przyświecaniu, nie bardzo natomiast był w smak Don Kichotowi ten osioł, na którym zamierzał wyruszyć Sanczo. Osioł, pracowity i pożyteczny zwierzak, po dziś dzień w estymie jest u chłopów hiszpańskich, był i w czasach, o których mowa, ale nie da się też specjalnie ukryć, że nie uchodzi i nigdy nie uchodził za zwierzę wykwintne bądź szlachetne. Nie ulegało wątpliwości, że żaden rycerz nie jeździł na ośle, czy natomiast zdarzało się to giermkowi, Don Kichot ani rusz nie mógł sobie przypomnieć, sprawdzić zaś też nie mógł, w domu bowiem nie pozostała ani jedna książka, która mogłaby rozstrzygnąć tę kwestię. W końcu zgodził się na Sanczopansowego osła, postanawiając, że przy pierwszej sposobności daruje giermkowi odpowiedniejszego wierzchowca, zdobytego na wrogach.

Nic nikomu nie mówiąc i dla bezpieczeństwa nie żegnając się z nikim, Sanczo Pansa zatem – z żoną i dziećmi, Don Kichot – z gospodynią i siostrzenicą, że nie wspomnę o proboszczu tudzież balwierzu, w oznaczonej chwili rycerz z giermkiem puścili się w drogę, było to zaś jeszcze wcześniej przed świtem niż za pierwszym razem, właściwie głęboką nocą, tak iż kiedy dzień zaświtał, byli pewni, że już żadna pogoń ich nie doścignie.

Don Kichot chudy i długi na Rosynancie jak on kościstym jechał przodem, Sanczo Pansa pękaty na osiołku brzuchem powłóczącym po ziemi, z przytroczonymi do siodła sakwami i bukłakiem, parę kroków za nim, droga była ta sama, co za pierwszym razem, i w górze jasne niebo to samo, ale ci dwaj na drodze i pod niebem – teraz dopiero tacy, jak być powinni, nierozłączni, różni i nie do pomyślenia osobno – Don bez Sancza, Sanczo bez Dona.

Jakiś czas jechali niewiele mówiąc, najwyżej coś tam o drodze kładącej się pod kopyta wierzchowców i słońcu wspinającym się uparcie po niebie jak biedronka po liściu, aż Sanczo Pansa nie wytrzymał dłużej niepewności, która musiała go trawić od chwili wyruszenia z rodzinnego obejścia, i rzucił, niby to spokojnie i obojętnie:

– Jeżeli wam się zdaje, panie błędny rycerzu, że ja nie poradzę rządzić tą wyspą, którą przyrzekliście mi ofiarować, to jesteście w wierutnym błędzie. Jeszcze jak poradzę, choćby była sto razy większa od naszej wioski!

A gdy Don Kichot nic na to nie odpowiedział, Sanczo Pansa z widoczniejszym już niepokojem zapytał:

– Długoż to trzeba czekać na zdobycie tej wyspy?

– Możliwe, że bardzo krótko – odrzekł Don Kichot. – Owszem, zdarzali się i tacy błędni rycerze, którzy dopiero na starość nadawali spracowanemu giermkowi tytuł hrabiego jakiejś przełęczy albo przylądka, co do mnie jednak, to jeżeli przed końcem tygodnia zdobędziemy godną tego miana wyspę, gotów jestem z miejsca obdarzyć cię jej koroną.

– Niby że zostałbym królem tej wyspy?

– Dziwniejsze jeszcze rzeczy zdarzały się w dawnych czasach.

– A moja kobieta panią królową?

– Któż śmie o tym wątpić?

– Za przeproszeniem, ja śmiem wątpić. Nie znacie jej i mówię wam, wasza nieznajomość, że królowa to dla mojej kobiety trochę za dużo. Z bożą pomocą, wystarczyłaby jej hrabina.

– Jak sobie życzysz – powiedział Don Kichot – ale naprawdę, Sanczo, wydajesz mi się za skromny, nie sięgając po to, co osiągnąć możesz bez trudu.

– Jeżeli uważacie, wasza uważność, że ona może być królową, to już się nie sprzeciwiam – powiedział Sanczo. – I chętnie sięgnę po wszystko, co mój dobry pan zechce mi wręczyć i co zdołam unieść.

– To rozsądna mowa – pochwalił giermka Don Kichot.

Tak sobie gwarzyli, posuwając się coraz dalej, mijając pola, łąki i zagajniki, aż równina, po której się posuwali, falować zaczęła i fałdować się, i wypychać z siebie wzgórza garbate, musieli więc zwolnić nieco, zwłaszcza że i Rosynant, i osiołek dość już byli zmęczeni, i tak zwalniając, i wpatrując się przy tym baczniej w przestrzeń przed sobą, dostrzegli w oddali, na zieleniejącej wyżynie, jakieś białe postacie, i Don Kichot zatrzymał się, dając znak Sanczowi, by uczynił to samo.

Rozdział dziewiąty, w którym Don Kichota spotyka najsłynniejsza z jego niezwykłych przygód, ale jak na najsłynniejszą kończy się ona dość błyskawicznie, autor zaś nic nie może na to poradzić

Chcecie wiedzieć, co to były za postacie?

Zanim usłyszymy, co o nich mniemał Don Kichot, odkryję wam, że były to wiatraki, wietrzne młyny, z których słynie La Mancza, dziś jeszcze można je tam napotkać, ja też widziałem na własne oczy wiatraki La Manczy – białe, przysadziste w podstawie i smuklejące ku górze, każdy z czworgiem ramion w szerokich dworskich mankietach; nie poruszały nimi, co prawda, kiedym je widział, i nie zbiegło się tych wiatraków trzydzieści lub czterdzieści na jednym wzniesieniu; cóż, nasze czasy nie sprzyjają już im tak bardzo, wiatraki bezszelestnie schodzą z pola, dzieląc pod tym względem los błędnych rycerzy, ale niegdyś, ho-ho... dobre i to zresztą, że je można jeszcze zobaczyć.

Kiedy mijałem wiatraki La Manczy, znałem już przygodę, jaką przeżył z nimi Don Kichot – spoglądałem więc na nie i ze wzruszeniem, jako na świadków i uczestników owej dawnej historii, i z wyrzutem, bo nie da się powiedzieć, żeby ładnie potraktowały naszego rycerza. W każdym razie – rad byłem ze spotkania starych znajomych i ani mi w głowie postało, że widzimy się po raz pierwszy...

A Don Kichot, czy naprawdę nigdy ich przedtem nie widział, czy nie poznał widywanych już dawniej, dość że wcale nie wziął napotkanych postaci za zwyczajne wiatraki, lecz dopatrzył się w nich zastępujących mu drogę olbrzymów.

– Dobra nasza – powiedział do Sancza Pansy – widzisz tych paskudnych olbrzymów? Poucinam im łby, nie zważając na liczebną przewagę diabelskiego nasienia. Dobrodziejstwem dla ludzkości będzie wytępienie takich potworów, nie ma więc też powodu, byśmy się wzdragali przed wzięciem łupów.

– O jakich olbrzymach pan mówi? – zapytał Sanczo Pansa, wytężając wzrok.

– O tych przed nami, co tak wymachują łapskami w modnych mankietach.

– Zdaje mi się – westchnął Sanczo Pansa – że to nie żadne olbrzymy, tylko wiatraki, co mielą mąkę dla ludzi. Te długie łapska – to ich skrzydła, poruszane wiatrem.

– Widać – rzekł Don Kichot – że się nie znasz na rycerskich przygodach. Nie mam do ciebie pretensji, wierzaj mi jednak, że to najprawdziwsze olbrzymy. Przyjrzyj się dobrze

mojej nierównej i zwycięskiej walce z nimi, a nauczysz się więcej niż z ksiąg, a nawet niż z rozmów ze mną.

Rzekłszy to, pogalopował z nastawioną do przodu kopią w stronę wiatraków.

– Powstrzymajcie się, panie! – zawołał błagalnie giermek, ale rycerz nie słuchając go, pędził na wroga, rosnącego w oczach i obracającego – bo właśnie zerwał się wiatr – potężnymi skrzydłami.

– Uciekacie? – z pogardą wołał Don Kichot, choć wiatrakom ani się śniło postąpić kroku. – Stójcie, tchórze! Wszak jam jeden, a was jest tyle! Stójcie i po kolei zmierzcie się ze mną! Ty pierwszy, potworze!

Z tymi słowy natarł na pierwszy z brzegu wiatrak.

Konia i jeźdźca owionęło gorące tchnienie obracających się skrzydeł, i przerażony Rosynant, mimo że ponaglany ostrogami Don Kichota, zatrzymał się w miejscu. Gryzł wędzidło i drgał nerwowo za każdym razem, gdy tuż przed jego wielkimi, smutnymi oczyma z dołu w górę przesuwało się groźne ramię wiatraka.

– Dajcie spokój, panie rycerzu! – wołał z bezpiecznej odległości Sanczo Pansa. – Może to i olbrzymy, ale skrzydła mają całkiem jak wiatraki, i nie dacie rady mocować się z nimi! Widzieliście już ich z bliska, a teraz wróćcie na drogę!

Ale Don Kichot nie odpowiadał giermkowi, zajęty skłanianiem Rosynanta, żeby poniósł go do ataku. Sprawił wreszcie, manewrując wędzidłem i ostrogami, że spłoszony koń oderwał kopyta od ziemi i choć nie zaszarżował na pierwszy wiatrak, lecz odwrotnie, skoczył w bok, aby go wyminąć, to nie uniknął znalezienia się oko w oko z wiatrakiem następnym. Coraz bardziej przerażony, koń dał susa w drugi bok, ale teraz wiatraki zewsząd otaczały miotającego się Rosynanta z Don Kichotem w siodle.

– Wszyscy na jednego? – zawołał z jeszcze większą niż przedtem pogardą Don Kichot. – Niech i tak będzie, rozprawię się ze wszystkimi, niedoczekanie wasze, żebym prosił pardonu!

– Wracajcie, panie! – coraz żałośniej wzywał go Sanczo Pansa, ale mężny Don Kichot z nastawioną znowu do przodu kopią mknął na oszalałym ze strachu Rosynancie wprost na olbrzymi szumiący wiatrak, widząc więc, że nic jego pana nie uratuje, Sanczo Pansa zamknął oczy i zaczął się cicho modlić.

I stało się! W chwili, kiedy usiłował wbić weń kopię, wiatrak uniósł skrzydło, tym samym ruchem jakby przyciągając i jednocześnie odpychając precz Don Kichota. Potężna siła porwała rycerza z siodła, pogruchotała mu kopię, obaliła Rosynanta, który zaniósł się rozpaczliwym rżeniem, i odrzuciła konia i jeźdźca, każdego z osobna, daleko w pole. Wszystko to odbyło się tak prędko, że Don Kichot zdążył tylko odczuć nagły zawrót głowy i dojrzeć łamiące się nad nim wpół i wywracające koziołka niebo, po czym obezwładnił go gwałtowny ból całego ciała zderzonego w rozpędzie z biegnącą naprzeciw ziemią.

Kiedy Sanczo Pansa odważył się otworzyć oczy, dostrzegł Don Kichota leżącego nieruchomo w polu, w pokaźnej odległości od wiatraków, co świadczyło o sile, z jaką został odrzucony. Kilka kroków od niego Rosynant z trudem stawał na cztery nogi.

– Boże miłosierny! – zaszlochał Sanczo Pansa, podążając na ośle ku rycerzowi. – Zabiły pana te wiatraki przeklęte! Nie mówiłem, żeby się z nimi nie wdawać?

– Mylisz się, Sanczo – sprostował Don Kichot, podnosząc głowę – gdyby to były wiatraki, nie opadłyby mnie ze wszystkich stron z taką zaciekłością. Nie przeczę, że w tej chwili wyglądają na wiatraki, a to dlatego, że podły czarownik Freston, który ukradł mi komnatę z książkami, po bitwie nadał taką postać olbrzymom, żeby pomniejszyć moje zwycięstwo.

– To pan ich zwyciężył? – stropił się Sanczo Pansa.

– Widziałeś przecież! Mimo że było ich tylu, a ja jeden, nauczyłem łotrów moresu, i gdyby nie te sztuczki Frestona...

– Musiałem źle patrzeć – podrapał się w głowę Sanczo Pansa, pomagając poturbowanemu Don Kichotowi wstać z ziemi i wgramolić się na równie poturbowanego rumaka.

Mimo obolałości wszystkich członków, nasz rycerz był ożywiony i pewny siebie; i chociaż ciało jego przed chwilą domagało się podniesienia z upadku, na duchu wcale go nie trzeba było podnosić. Kiedy posuwali się dalej w kierunku znakomitej przełęczy Psia Łapa, gdzie, jak twierdził Don Kichot, niepodobna uniknąć rozlicznych przygód, ponieważ miejsce to do przygód jest wprost stworzone, jedynym zmartwieniem, któremu dawał wyraz, była powtórna strata kopii. Ale od czegóż rozległa wiedza i żywy koncept Don Kichota! Wnet poweselał, przypomniał sobie bowiem, iż pewien rycerz hiszpański, Diego Perez de Vargas, kiedy złamał mu się miecz, chwycił grubą gałąź dębową i pozabijał nią tylu wrogów, że nazywano go odtąd, jak również jego potomków: Vargas-Maczuga.

– I ja też – oznajmił Don Kichot – będę walczył maczugą i dokonam nią takich czynów, że mogąc być ich świadkiem, poczujesz się najszczęśliwszym giermkiem pod słońcem.

– Bardzo chętnie – zgodził się Sanczo – ale czemu to, wasza zabójczość, tak nierówno siedzicie w siodle, nie całą przeznaczoną do tego częścią, tylko jej brzeżkiem? Czy reszta, na której nie ważycie się usiąść, tak was, Boże uchowaj, boli?

– Błędnym rycerzom – wyjaśnił Don Kichot – nie wolno skarżyć się na ból, choćby rozpierał ich od pięt aż po czubek głowy.

– Bardzo byłbym nierad – przyznał się Sanczo – gdyby i giermków dotyczył ten zakaz. Bo jak mnie boli, to lubię sobie ponarzekać, a myślę, że i wam by ulżyło, gdybyście odrobinę jęknęli.

Don Kichot zapewnił Sancza, że giermka zakaz skarżenia się nie dotyczy.

– To dobrze – powiedział Sanczo – bo teraz na przykład żołądek boli mnie z głodu. Ale bardziej jeszcze od narzekania smakowałoby mi śniadanie.

I znowu Don Kichot nie oponował przeciwko zdrowym popędom giermkowej natury, chociaż sam nie odczuwał głodu. Jechali tedy dalej i Sanczo rozpierając się na ośle jak na ławie w gospodzie, zajadał, co tam miał w sakwach, i popijał z bukłaka zabrane w drogę domowe wino. Pod wpływem tego popijania wydało mu się niebawem, że faktycznie miła to rzecz i wesoła, taka wyprawa z błędnym rycerzem w poszukiwaniu przygód, i choćby nawet na wyspę wypadło jeszcze nieco poczekać, to i tak co użyje sobie, tego mu już nikt nie odbierze. W ten sposób posuwali się aż do zmierzchu. Noc spędzili w lesie pod drzewami: Don Kichot oka nie zmrużył, oddając się rozmyślaniom o pani swego serca, dla której chwały stoczył był minionego dnia zwycięską bitwę z hufcem olbrzymów, Sanczo Pansa natomiast chrapał jak suseł, a czy śniło mu się coś, nie wiadomo, bo obudzony nic na ten temat nie mówił.

Don Kichot o brzasku ułamał prostą gałąź z drzewa i przemyślnie nasadził na nią grot ze zniszczonej kopii. Następnie, widząc, że giermka nie budzą ani promienie słońca, ani ptasi świergot, potrząsnął nim i Sanczo otworzył oczy, sięgając jednocześnie po bukłak, dużo chudszy, niestety, niż poprzedniego wieczora. To go trochę zafrasowało, ale nie tak bardzo, bo coś niecoś mimo wszystko chlupotało jeszcze w skórzanym worze. Powitał więc nowy dzień popijaniem i zakąszaniem, nie tracąc nadziei, że po tak sympatycznym początku nastąpi równie dobry ciąg dalszy. Don Kichot znowu zrezygnował z posiłku, swoim zwyczajem karmiąc się myślami o Dulcynei, jak również o czynach, których dokonał i miał zamiar dokonać. Kiedy wreszcie Sanczo skończył śniadanie, ruszyli w dalszą drogę ku znakomitej przełęczy Psia Łapa, gdzie, jak wiemy, spodziewali się doznać kolejnych przygód i, zaprawdę, nie mieli się zawieść, chociaż najsłynniejszej przygody z wiatrakami udającymi olbrzymów czy też olbrzymami zamienionymi w wiatraki te następne nie mogły tak łatwo zaćmić.

Rozdział dziesiąty, poświęcony przygodom Don Kichota i Sancza Pansy na przełęczy Psia Łapa

Dojeżdżając do obiecującej przełęczy, Don Kichot nie bez trudu obrócił się w siodle, by uprzedzić Sancza, że choćby ujrzał, jak pan jego słania się pod ciosami z lewa i z prawa, sam za miecz chwytać nie ma prawa, osobom bowiem nie należącym do najszlachetniejszego stanu nie godzi się wtrącać, kiedy między rycerzami toczy się sprawa.

– Chyba że – dodał po krótkim namyśle – napadłaby mnie jakaś hołota. W tym wypadku nie uchybiłbyś przyzwoitości, stając w mojej obronie.

Sanczo zapewnił, że zawsze chętnie pohamuje swoją chęć wyciągnięcia miecza, tym chętniej, iż nie posiada miecza i w ogóle naturę ma pokojową.

– Chyba że – również po krótkim namyśle dodał – napadniętą zostałaby moja własna osoba. Wówczas musiałbym się bronić, i ten mus byłby musem prawdziwie przymuszającym.

Tak uzgadniając poglądy, dostrzegli dwóch braciszków benedyktynów w podróżnych okularach od kurzu, pod parasolami od słońca i na mułach wielkich i garbatych niczym wielbłądy. Kilka kroków za nimi toczył się powóz w otoczeniu sług jezdnych i pieszych. Gdyby Don Kichot zapytał, dowiedziałby się, że powóz nie ma nic wspólnego z zakonnikami, przypadkiem jedynie dopędził ich w drodze. Pewna dama biskajska udawała się powozem tym do Sewilli, gdzie mąż mianowany właśnie na wysokie stanowisko do Indii czekał, aby razem z nią wsiąść na statek. Don Kichot nie zapytał jednak, nie dowiedział się więc tego wszystkiego, z własnej głowy natomiast wysnuł mniemanie, iż dama jest księżniczką, gwałtem uprowadzaną przez czarowników, za których to czarowników wziął Bogu ducha winnych braciszków. Opinią tą podzielił się zaraz z Sanczem.

– Ja tam – powiedział Sanczo – nie widzę czarowników, tylko braci benedyktynów oraz jakichś podróżnych, o których nie wiem, są czy nie są książęcego rodu, ale na wszelki wypadek nie zaczepiałbym nikogo, bo może się to skończyć jeszcze gorzej niż z wiatrakami.

– Już ci wspominałem – odparł Don Kichot – że nie znasz się na rycerskich przygodach. Odpuszczę ci i tym razem, nie odstąpię jednak od mojej misji. Co oznajmiwszy, zajechał drogę zakonnikom, wołając:

– Porzućcie swe zamiary, źli czarownicy! Nie pozwolę wam na uprowadzanie dostojnych księżniczek! Wyrzeknijcie się ich dobrowolnie albo walczcie ze mną, synowie piekieł!

Zakonnicy zatrzymali się i jęli tłumaczyć, kim są, ale Don Kichot nie wierzył im, naturalnie, wierzył bowiem, jak zwykle, swej wyobraźni. Spiąwszy Rosynanta, runął z furią

na pierwszego mnicha i pokaleczyłby go niechybnie, gdyby ten wcześniej nie spadł z muła, jeszcze nie kopią tknięty, lecz samym strachem. Nie mniej przerażony drugi zakonnik puścił się na swoim mule do ucieczki, Don Kichot zaś nie ścigał go, stwierdził bowiem, że bitwę z synami piekieł ma już wygraną. Podszedł więc do powozu, który zatrzymał się w chwili, kiedy rycerz zajechał był drogę benedyktynom, i kłaniając się rzekł:

– Jeśli chcesz, piękna księżniczko, wiedzieć, kto cię ocalił, nie kryję, że masz przed sobą Don Kichota z La Manczy. Za usługę, jaką ci oddałem, nie żądam nic, prócz tego, abyś zawróciwszy stanęła przed obliczem pani mego serca, najpiękniejszej Dulcynei z Toboso, i opowiedziała, com uczynił dla wyzwolenia ciebie od czarowników.

Tymczasem Sanczo Pansa, również stwierdziwszy, iż pan jego jest zwycięzcą, wyciągnął z tego wniosek praktyczny: pospiesznie zsunął się z osła, skoczył do leżącego na ziemi pierwszego mnicha i zaczął go odzierać z odzieży. Tu zbliżyli się pachołkowie damy z powozu i zapytali, co by to miało znaczyć. Sanczo Pansa chętnie wyjaśnił, że znaczy to łup wojenny, który słusznie mu przysługuje jako giermkowi zwycięzcy. Pachołkowie, inaczej niż Sanczo, nie mieli za sobą nawet elementarnego kursu wykładów o prawie rycerskim, uznali więc jego tłumaczenie za kiepskie żarty i rzuciwszy się na biedaka spuścili mu takie lanie, że ledwie zipał. Skorzystał z tego wystraszony benedyktyn, by podnieść się, wleźć na muła i w ślad za swoim towarzyszem pomknąć na przełaj polami, byle dalej od niebezpiecznych szaleńców, o których żaden z mnichów nie przypuszczałby nawet, że w tych czasach można ich spotkać na przełęczy Psia Łapa...

Don Kichot, nie zdając sobie wcale sprawy, jaka krzywda za jego plecami spotyka wiernego, choć może zbyt niecierpliwego, jeśli chodzi o łupy wojenne, giermka, z dumnym uśmiechem czekał na przyrzeczenie księżniczki, iż zawróci do Toboso, by opowiedzieć pięknej Dulcynei o jego czynie. Ta, którą brał za księżniczkę, milczała jednak zakłopotana, odpowiedział mu natomiast jej sługa, Bask ogromnego wzrostu:

– Nie naprzykrzajcie się, panie, bo będę musiał zabić was za natręctwo.

– Gdybyś był rycerzem – rzekł z godnością Don Kichot – zapłaciłbyś mi za te słowa, zuchwalcze.

– Każdy Bask, nawet pastuch i żebrak, jest rycerzem, panie. Jeśli chcesz się o tym przekonać, porzuć kopię i chwyć za miecz, a stawię ci czoła.

Don Kichot usłuchał wezwania: odrzucił kopię, chwycił za miecz i z impetem zaatakował Baska, tak iż ten ledwie zdążył swego miecza dobyć, drugą ręką miast tarczy poduszkę łapiąc z powozu. Pani, zaskoczona i wystraszona gwałtowną sceną, szeroko otwartymi oczyma przypatrywała się pierwszemu zderzeniu mieczy. Rozległ się donośny szczęk, klinga ześliznęła się po klindze, rycerze – jeden na Rosynancie, drugi na mule – odskoczyli od siebie i znów naskoczyli, i wtedy Bask nagłym ruchem spuścił miecz na głowę i lewe ramię Don Kichota. Niewiele brakowało, a dobiegłyby kresu wszelkie przygody i fantazje szalonego rycerza, ale Bóg był mu widać łaskaw – miecz Baska zboczył nieco z obranej drogi i zamiast rozpłatać wpół Don Kichota, uciął mu jedynie lewą stronę hełmu oraz pancerza, który zwalił się z wielkim chrzęstem na ziemię. Niestety! Nie da się zaprzeczyć, że wraz z hełmem uciął mu również kawałek lewego ucha, co nie jest niczym przyjemnym, ale zawsze lepiej nawet całe ucho postradać niż życie.

Rozwścieczony z powodu rany, a może bardziej jeszcze z powodu uszkodzonej zbroi, Don Kichot uniósł się w strzemionach i oburącz zadał Baskowi cios mieczem, nie słabszy, zaprawdę, od tego, jaki dopiero co spadł na jego ramię, a przy tym dużo celniejszy. Poduszka, którą Bask zasłaniał się jak tarczą, trochę tylko ów cios osłabiła – z przeciętej wpół wyfrunęło pierze jak stado białego ptactwa, a w ślad za nim chlusnął z czującego się rycerzem sługi strumień krwi purpurowej. Bask zachwiał się w siodle, stopy wypadły mu ze strzemion, i runął z wierzgającego muła. Don Kichot, też broczący krwią, zeskoczył z konia i podbiegł do leżącego.

– Oszczędź go, mości rycerzu, błagam! – zawołała z powozu dama, o którą poszło.

– I owszem – skłonił się Don Kichot – dzielny to rycerz i nie dybię na jego życie, niech jednak przyrzeknie udać się do pani mej, Dulcynei z Toboso, i ugiąwszy kolano hołd jej złożyć pokorny.

Dama z powozu pośpiesznie obiecała, że tak się stanie.

– Skoro tak – rzekł Don Kichot – żadnej krzywdy więcej mu nie uczynię. Żegnaj, pani – i jeszcze raz się skłonił.

Tymczasem Sanczo Pansa, odzipnąwszy nieco po własnej bitce, jeżeli wypada bitką nazwać sytuację, w której człowiek nie bije, tylko jest bity, podniósł się z ziemi i podszedł do Don Kichota, rozdziawiając usta, jakby miał bardzo wiele do powiedzenia. Okazało się, że miał istotnie, jednak nie na temat swojej krzywdy, w której mu Don Kichot, nie widząc jej, nie pośpieszył z pomocą, ani na temat swojego posłuszeństwa, dla którego nie pośpieszył z pomocą Don Kichotowi, ale na temat obiecanej wyspy, której królem czy wielkorządcą rad by już zostać.

Trzymając strzemię dosiadającemu Rosynanta rycerzowi, Sanczo Pansa mówił:

– Raczcie mi już, panie, ofiarować tę wyspę, którą zdobyliście w krwawym pojedynku. Choćby i tysiąc razy była większa od naszej wioski, poradzę nią rządzić nie gorzej od innych. Pewnie, że markotnie mi trochę rozstawać się z wami, ale co królowanie, to królowanie.

Co wygłosiwszy, cmoknął Don Kichota w łokieć.

– Poczekaj, Sanczo – powiedział Don Kichot – przygody, które przeżyliśmy na przełęczy Psia Łapa, choć wspaniałe, nie są jeszcze tymi, z których wychodzi się z wyspą do rządzenia, lecz tymi, z których wychodzi się najwyżej z raną do opatrzenia lub, nie przymierzając, z uciętym uchem. Bądź cierpliwy, będą jeszcze i tamte, a wówczas bez twoich próśb nawet obdarzę cię wyspą albo całym archipelagiem,

Wdzięczny Sanczo Pansa raz jeszcze cmoknął w łokieć usadowionego już w siodle rycerza, po czym dosiadł przestępującego z nogi na nogę osiołka i znów ruszyli przed siebie.

– Powiedz, Sanczo – podjął, trzęsąc się na kościstym grzbiecie Rosynanta, Don Kichot – czy widziałeś rycerza albo może czytałeś o takim, co by żwawiej ode mnie nacierał na wroga, odważniej znosił razy, zręczniej je oddawał i umiejętniej wysadzał z siodła?

– Widzieć nie widziałem – przyznał Sanczo – a czytać też nie czytałem, bo czytać ani pisać nie umiem, ale chyba w żadnej książce nie ma o takim rycerzu, któremu krew z ucha ciurkiem płynie, a on sobie, jakby nigdy nic, jedzie i gada. Może byście, wasza krwiopłynność, przystanęli i dali się opatrzyć? Mam w sakwach szarpie i odrobinę maści gojącej.

Don Kichot zgodził się, a podczas gdy giermek go opatrywał, mówił:

– Nie byłoby to potrzebne, gdybym miał ze sobą cudowny balsam Fierabrasa, wyjeżdżaliśmy jednak z domu w takim pośpiechu, żem zapomniał go był przyrządzić.

– Cóż to za cudowny balsam? – zaciekawił się giermek.

– Wystarczy parę jego kropelek, by uleczyć każdą ranę i nie lękać się śmierci. Recepta jest mi znana, w wolnej chwili sporządzę go przeto i dam ci na przechowanie. Skoro w jakiejś bitwie na przykład rozpłatają mię na dwoje, wystarczy żebyś dokładnie złożył obie połówki i dał mi wypić łyk balsamu, a zrosnę się natychmiast i wstanę zdrowy jak rydz.

– Toć to lepsze od wyspy! – zawołał wstrząśnięty Sanczo Pansa. – Zrzekam się wszystkich królestw za receptę na cudowny balsam, którego uncję, myślę, sprzeda się nie taniej jak za dwa reale, co przy dobrych obrotach pozwoli zbić majątek rychlej niż na handlu wołami. Nauczcież mnie, wasza uczoność, czym prędzej sporządzania balsamu!

– Nie, Sanczo – pokręcił głową Don Kichot – za balsam ten nie wolno pobierać pieniędzy, bo straciłby on całą swą moc cudowną. Tajemnicę jego mogę ci zwierzyć we właściwej chwili...

– E, jak tak, to szkoda nią zaprzątać głowę – powiedział zniechęcony Sanczo. – Poczekam na wyspę.

Póki tak rozprawiali, zapadł wieczór i błędny rycerz z giermkiem – zgodnie tym razem – poczuli głód. Sanczo wyciągnął z sakwy resztki chleba, sera i cebuli, zaznaczając, iż nie jest to jedzenie godne rycerza, na co Don Kichot odparł, że błędni rycerze mogą wcale nie jeść, choćby i miesiąc, a jeśli jedzą, to nie są nazbyt wybredni: wystarczą im znalezione w lesie korzonki. Tłumacząc to, z apetytem zajadał chleb, ser i cebulę.

Posiliwszy się, znowu dosiedli swych wierzchowców i popędzili, by znaleźć jakowyś nocleg nim zupełna noc się rozpostrze.

Rozdział jedenasty, w którym mowa jest między innymi o potędze miłości

Nocleg znaleźli w górach u koziarzy: ci nie tylko przyjęli ich do swych ubogich szałasów, ale zaprosili na wieczerzę przy ognisku, co także było przyjemne, bo tamte resztki chleba, sera i cebuli nie nasyciły, prawdę mówiąc, ani giermka, ani rycerza. Rozesławszy na ziemi skórę owczą, koziarze zdjęli z ognia kociołek, w którym gotowało się kozie mięso, przyciągnęli dwa bukłaki z winem, rozsypali na skórze garść jadalnych żołędzi. Dla rycerza przygotowali siedzenie z wywróconego koryta, sami rozsiedli się na gołej ziemi. Sanczo Pansa stanął za swoim panem, by mu usługiwać, ale Don Kichot posadził go zaraz przy sobie, mówiąc, że błędne rycerstwo, jak miłość, równa wszystkich ludzi.

Koziarze nie wszystko pojmowali z długich peror Donkichotowych, a musicie wiedzieć, że nasz rycerz przemawiał dłużej i kwieciściej, niźli tu przytaczam, nie poprzestał na przykład na zauważeniu, że miłość równa wszystkich ludzi, lecz z zamierzchłej pamięci ludzkości obraz Wieku Złotego przywołał, kiedy to pospólnie władając ofiarowanymi im przez przyrodę darami i nie znając słowa „moje" czy „twoje", ludzie w ogóle nie nauczyli się jeszcze nierówności, krzywdzicielskich przewag i niesprawiedliwych podziałów. Mówił dużo więcej, a tym, co prostaczkowie koziarze uchwycili z jego mówienia, było właśnie słowo „miłość", przez co potwierdzony został skądinąd pogląd, iż równa ona osoby wszelkiego stanu.

Kiedy urwał przeto, jeden z młodych koziarzy zaśpiewał mu w odpowiedzi romancę o swojej miłości do zalotnej Eulalii, kończącą się słowami:

Eulalio, bardzo proszę,
Mą małżonką zechciej zostać,
Bo jak nie – to habit włożę,
Zakonnika wezmę postać.

Po wysłuchaniu pieśni mieli już się ułożyć do snu, kiedy nadszedł inny młody koziarz, nieobecny przedtem, bo przez starszych wysłany na wieś po żywność, i nadchodząc w wielkim przejęciu zawołał:

– Wiecie, co się stało?

– Skąd mamy wiedzieć?

– Student Grisostomo odebrał sobie życie z miłości do tej okrutnicy Marceli, a pogrzebać się kazał u źródła, gdzie zobaczył ją był po raz pierwszy. We wsi wielkie poruszenie, bo przyjaciele Grisostoma chcą dokładnie spełnić jego ostatnią wolę, a księża się sprzeciwiają.

Podnieceni koziarze zagadali jeden przez drugiego, że pójdą na pogrzeb Grisostoma, jednego tylko spośród siebie zostawiając, by kóz pilnował.

Don Kichot poprosił, by zechciano mu opowiedzieć o samobójcy Grisostomie tudzież winowajczyni jego niechrześcijańskiego postępku, Marceli. Prośbę rycerza spełniono bez ociągania, oto więc co usłyszał.

Młodzieniec i dziewczyna byli dziećmi bogatych rolników z tej okolicy. Grisostomo studiował na uniwersytecie w Salamance i wrócił stamtąd bardzo uczony, znający się zwłaszcza na ruchu gwiazd w niebie oraz zaćmieniach słońca i księżyca, ponadto zaś umiejący układać wiersze. Niebawem odumarł go ojciec i Grisostomo odziedziczył po nim znaczny majątek, ruchomy i nieruchomy, rogaty i nierogaty, brzęczący i szeleszczący. Jakież było zdziwienie bliższych i dalszych sąsiadów, gdy zamiast wieść życie zgodne ze swym stanem posiadania, Grisostomo w stroju pasterskim z kosturem i w serdaku, zaczął się uganiać po górach, i to samo czynili inni jego przyjaciele-studenci. Ale zanim oni wpadli na taki pomysł, pasterką została przepiękna i majętniejsza jeszcze Marcela, osierocona przez oboje rodziców i wychowująca się pod opieką wuja, księdza prebendariusza. Starający się oblegali Marcelę od najwcześniejszych lat, ale ona żadnego nie chciała, a wuj nie przymuszał jej do zamążpójścia. Nie poprzestawszy wszakże na swobodzie, jaką cieszyła się w domu, pewnego dnia, jak się rzekło, została pasterką, za własną trzodą chodzącą, i ani wuj, ani ktokolwiek inny nie potrafił wybić jej tego z głowy. Uroda Marceli jaśniała tymczasem coraz jaskrawiej, widoczniejsza zaś była na polanach i górskich ścieżkach bardziej jeszcze niż w domowym zaciszu. Pociągnęli więc za Marcelą w góry, stroje pasterskie przywdziawszy, liczni zakochani młodzieńcy, ze szlachty i wieśniaków po równi. Ale ona, grzeczna i przyjazna dla wszystkich, nie stroniąc od rozmów i towarzystwa gładkich i edukowanych pasterzy, o żadnym zakochaniu nie chciała słuchać i żadnemu ze swych wielbicieli, z których najżarliwszym i najwytrwalszym był Grisostomo, nie robiła nadziei. Rychło zaczęły doliny i wąwozy rozbrzmiewać skargami i wyrzutami odtrąconych kochanków, najczęściej słowem „okrutnica", zwielokrotnionym przez echo: „ok-rut-ni-caaaaaa!". Na korze drzew, na omszałych kamieniach pojawiły się wyrżnięte napisy tej samej treści. Ale nic nie zdołało skruszyć pięknej Marceli – zawsze wolnej i niefrasobliwej, z obojętnym uśmiechem obserwującej wzdychania i zabiegi młodzieńców. I oto stało się nieszczęście – Grisostomo własną ręką śmierć sobie zadał z miłości. Może teraz drgnie serce pięknej okrutnicy, lecz dla Grisostoma za późno...

Don Kichot podziękował koziarzom za tak wzruszającą opowieść, która prawdziwie go zajęła. Sancza Pansy nie zajęła w tym stopniu i zachrapał, bodaj że nie doczekawszy jej końca. Don Kichot aliści nie zasnął tej nocy wcale, rozmyślając o wszystkim, co usłyszał i co zobaczy jutro, gdy, jak postanowił, uda się z koziarzami na pogrzeb nieszczęsnego Grisostoma. Miłość studenta pasterza do okrutnicy Marceli przywiodła mu też na myśl własną miłość do Dulcynei z Toboso, chociaż ta dama, jak był przeświadczony, nie odtrącała go i wdzięcznie przyjmowała jego namiętne hołdy.

Korzystając z twardego snu Sancza Pansy i niemych rozmyślań Don Kichota, pozwólmy też sobie na odrobinę zastanowienia nad tym, czego dowiedzieliśmy się w tym rozdziale. Don Kichota nie przypadkiem chyba tak zajęły perypetie młodzieńców i dziewcząt hasających po górach w pasterskich strojach – musiał poczuć, że są mu nadspodziewanie bliscy – bliżsi od siostrzenicy, gospodyni, proboszcza, balwierza i wszystkich innych ludzi spotkanych dotąd. Czyż nie odrzucili, jak on, powszedniości wyrachowanej, żeby pójść za porywem serca i fantazji, za pomysłem nierozsądnym może, ale szlachetnym, za marzeniem nie godzącym się ze szpetotą świata, który zrodził ich i wychował? Miast ciułać i powiększać majątek, woleli

obcować z żywą przyrodą, miast pysznić się atłasami i koronkami – przywdziać prosty serdak i kostur wziąć w rękę, miast oszukiwać, skąpić, zabiegać, knuć, pochlebiać, zazdrościć – chodzić za owcami po górach, pić ze źródła, zachwycać się tym co piękne, miłować. Oczywiście, był to inny ideał niż ten, który przyświecał Don Kichotowi – ale czy tak bardzo odległe sobie były obydwa – czy nie łączyło ich podobne niepojednanie z bezsensem świata (przez tak zwanych rozsądnych ludzi uznanym za sens), z niewolą i złem uznanym za konieczność, z szarzyzną i jednostajnością uznaną za doskonałą harmonię?

Jeszcze nieraz w dziejach pojawią się pokolenia takich młodych ludzi, zbuntowanych przeciw zgiełkowi swojej epoki i uciekających do natury, do prawdy uczuć, do potęgi namiętności, niekiedy zaś, niestety, także do samobójczej śmierci...

– Nie śpicie, panie? – zapytał półgłosem jeden z gościnnych koziarzy. – Już dnieje, czas wyruszać, jeśli chcecie zdążyć na pogrzeb Grisostoma.

Rzeczywiście, ruszyli zaraz, o porannym chłodzie, gdy zaś dotarli do podnóża pewnej góry z bijącym źródłem, i Don Kichot domyślił się, że to tutaj, co starszy koziarz potwierdził skinieniem głowy, niemiłosierne południe dźgało już ich ostrzami swoich promieni. Ścieżkami górskimi z różnych stron schodzili się do tego miejsca pasterze, wszyscy w czarnych kożuchach i z cyprysowymi wieńcami na głowach. Sześciu pasterzy dźwigało otwartą trumnę, całą w świeżych gałązkach i kwieciu. Postawiwszy ją pod skałą, zaczęli ostrymi czekanami drążyć grób dla przyjaciela. Don Kichot ze współczuciem i smutkiem wpatrywał się w młode i piękne, choć już zesztywniałe, rysy zmarłego.

Jeden z pasterzy, któremu wszyscy inni byli posłuszni, zwrócił się do Don Kichota:

– Ciało to, panie, na które współczującym okiem spoglądasz, opuszczone zostało przez duszę rzadkiej szlachetności. Niestety! Przymioty jego, które długo mógłbym wyliczać, nie doczekały się na tym świecie nagrody, przeciwnie. Kochał, lecz nie pokochano go, błagał, lecz nie został wysłuchany, cierpiał, lecz nie wzbudził litości. Sam sobie śmierć zadał, lecz winowajczynią śmierci jest niewdzięcznica, którą unieśmiertelnić pragnął w swych wierszach...

W chwili gdy to mówił, oczy któregoś z pasterzy, za nim – drugiego, a wnet oczy wszystkich obecnych skierowały się w górę.

Tam na wierzchołku skały, pod którą kopano grób, stała dziewczyna tak wielkiej urody, że ci, którzy ujrzeli ją po raz pierwszy – zamarli z wrażenia, ci, którzy widywali ją byli przedtem – czerwienili się i bledli na przemian, a niektórzy wyglądali, jakby zakręciło im się w głowie i z trudem trzymali się na nogach.

Była to, naturalnie, piękna Marcela.

Przyjaciel zmarłego, ochłonąwszy po nagłym ciosie, jaki zadała mu jej uroda, zawołał z oburzeniem:

– Małoż ci tego, co uczyniłaś, okrutna? Przychodzisz chełpić się swoim czynem, triumfować nad swą ofiarą, patrzeć, jak w obecności twojej z powrotem krwawić zacznie jego zastygła już rana? Mów, potworze, po co przychodzisz?

– Nie po to przychodzę, co podejrzewasz – łagodnym i smutnym, ale pewnym i dość donośnym, niezwykle przy tym melodyjnym głosem zaprzeczyła Marcela. – Chcę bronić własnej sprawy i wszystkim, którzy oskarżają mnie o śmierć Grisostoma, wytłumaczyć, jak bardzo nie mają racji. Czy zechcecie mnie wysłuchać?

– Sprawiedliwość wymaga, by cię wysłuchać, piękna pasterko – wykrzyknął Don Kichot – a kto zechce temu przeszkodzić, że mną będzie miał do czynienia!

– Dziękuję. Słuchajcie więc: bez mojej zasługi ani winy niebo uczyniło mnie piękną. Ta moja uroda – znów bez woli mojej, życzenia czy najtajniejszej chęci – jak twierdzicie, każe mnie kochać. Za to domagacie się wzajem mojej miłości, ale jakim prawem? Jeżeli każda miłość ma być odwzajemniona miłością, a pokocha mnie stu, mam też stu pokochać? Miłość – sądzę – wolna jest i nieprzymuszona, dlaczegóż więc mam zniewalać się do miłości w

odpowiedzi na to, że ktoś mnie o miłości prawi? Gdybym była brzydka, czy poczytalibyście mi za winę, że mnie nie kochacie? Jak mogę zasługiwać na potępienie za to, że jestem piękną? Chcę być wolną i po to wybrałam życie w tym pustkowiu: tylko do gór, drzew i strumieni pragnę należeć – i któż może zarządzić, że ma być inaczej ? Jak każdemu z was, nie dałam żadnej nadziei także Grisostomowi – czy to nie było uczciwe? Gdybym go była utrzymywała w złudzeniu, kłamałabym; gdybym, nie kochając, uległa błaganiom jego miłości, fałsz mój byłby jeszcze dotkliwszy. Nie dałam mu nadziei – upierał się, by trwać przy niej; nie kochałam go i nie nienawidziłam, lecz życzyłam mu dobrze – a przecież wpadł w rozpacz. Wina była w nim, a nie we mnie. Los Grisostoma niech przestrogą będzie dla innych. Kto mnie ma za okrutną – niech nie przysparza sobie cierpień, kochając mnie, kto nazywa niewdzięcznicą –niech mi nie służy, gdyż wie, że nie otrzyma zapłaty, kto sądzi, żem zwodnica – niech nie lgnie do mnie. Wiedzcie raz na zawsze, że nikogo nie wabię, nikomu nie obiecuję, nikim władać nie pragnę i niczyjej też nie poddam się wiadzy. Po to jestem tu, by być wolną; jeżeli wy, tu gdzie jestem, nie potraficie zachować wolności – odejdźcie, by jej szukać gdzie indziej.

To rzekłszy, nie czekając na odpowiedź, Marcela odwróciła się i zniknęła w zaroślach nad skałami, pozostawiając obecnych w podziwie nie tylko dla urody swej, lecz i dla rozumnej wymowy. Którzyś zakochani pasterze, mimo ostrzeżenia, chcieli biec za nią, ale Don Kichot, kładąc dłoń na rękojeści miecza, uprzedził:

– Kto chce prześladować piękną Marcelę, najpierw ze mną będzie miał sprawę. Dowiodła wszak, iż winy w niej nie ma, oznajmiła też wyraźnie, iż nie zamierza ulec czyjejkolwiek miłości, nie kochając sama i pragnąc wolną pozostać. Dlatego niech nie będzie więcej nękana, lecz odwrotnie – chwalona i szanowana przez wszystkich. Grisostomo zaś nieszczęsny niech spoczywa w spokoju.

Usłuchawszy perswazji Don Kichota, pasterze poniechali pościgu. Ciało Grisostoma złożono w grobie, wydrążonym w skalistej ziemi, i przywalono ogromnym głazem, a następnie przysypano kwiatami i zielonymi gałązkami. Wszyscy po kolei żegnali się z Don Kichotem, a on wyrażał im współczucie z powodu śmierci przyjaciela i przyrzekał, że nie zapomni całej wzruszającej historii, której zakończenia był świadkiem. Wreszcie, gdy wszyscy rozjechali się w różne strony, rycerz z giermkiem też ruszyli jedną ze ścieżek, prowadzących dalej przez góry.

Rozdział dwunasty, w którym z winy Rosynanta źle się dzieje Don Kichotowi, ale wstawiennictwo autora sprawia, że nie dzieje mu się jeszcze gorzej

Z ulgą pisałem jedenasty rozdział niezwykłych przygód Don Kichota i Sancza Pansy.

Przynajmniej raz nie potraktowano błędnego rycerza brutalnie i szyderczo, lecz okazano mu szacunek, gościnnie zaproszono do ogniska, podzielono się strawą, odsłonięte wreszcie przed nim fragment życia, kierującego się – jak jego własne – nie chciwością i żądzą władzy, lecz szlachetnym marzeniem i bezinteresownym uczuciem.

Dlatego, mimo że w rozdziale tym również nie zabrakło pełnych napięcia wydarzeń i nawet dramatycznej śmierci z miłości, w przygodach Don Kichota stanowił on moment wytchnienia i ulgi, i kto wie, może zebrania sił przed tym, co czekało go dalej.

Dalej, a właściwie już całkiem blisko, czekały go, niestety, kolejne cięgi. Tym razem ściągnął je na rycerza, jego giermka oraz – najpierw – siebie samego, nie kto inny, tylko najwspanialszy z rumaków, Rosynant.

Pożegnawszy zacnych koziarzy i pozostałych uczestników pogrzebu nieszczęśliwego Grisostoma, Don Kichot i Sanczo Pansa, obaj na swych wierzchowcach, jedną ze stojących do wyboru ścieżek zagłębili się w góry. Przebyli gęsty las i znaleźli się na bujnej, zielonej łące, przedzielonej ożywczym szmerem strumienia. Czystość wody i soczystość trawy znęciła ich do popasu, zwłaszcza że siarczystość południowych promieni mocno już dokuczała. Puściwszy wolno konia i osła, by poszczypały sobie do syta trawy, wędrownicy nasi też sięgnęli do sakiew, w których niedawno przeświytywało już było dno, dzięki koziarzom jednak pojawić się zdążyły nowe zapasy.

Nikomu nie przyszło na myśl, że Rosynanta zdałoby się spętać, jak dotąd bowiem trudno było poczciwca podejrzewać o kłopotliwy dla innych temperament. Ale widocznie był to ten właśnie szczególny dzień, w którym coś zagrało w końskiej szerokiej duszy, może też zbyt ponętne było stadko pasących się nie opodal klaczy galicjańskich, by rumak powściągnąć zdołał namiętność, dość że ledwie je zwęszył, a bez opamiętania rzucił się do wymienionych klaczy, przymilnym rżeniem zapraszając je do wspólnego baraszkowania. Niestety! Im nic widać nie grało tego dnia w duszy, chciały paść się w spokoju i nieprzychylność wzbudzał, kto zakłócał ów spokój, możliwe też, choć przykre, że Rosynant nie wydawał im się atrakcyjnym kawalerem do zabaw, w każdym razie przyjęcie zgotowały mu wojownicze –

zębami i kopytami – i biedakowi pozostawało tylko się wycofać, z żałosnym na odmianę rżeniem. Ale wycofać się z honorem też mu nie dano. Stadko należało do poganiaczy koni i mułów, wielkich prostaków, z miejscowości Yanguas – ci, kiedy ujrzeli niefortunne amory Rosynanta, nie bacząc na to, że klacze same odparły, i jeszcze jak, niemiłe sobie umizgi, nadbiegli z kijami i nuże młócić chude boki rycerskiego rumaka. Upadł wnet, lecz to także nie powstrzymało ich sękatych kijów, i sami zasapani, grzmocili ledwie żywego już konia, przygadując:

– Żeby ci się odechciało na przyszłość, pokrako!

– Żeby we łbie ci nie postało, maszkaro!

– Żebyś nigdy nie próbował, kościotrupie jeden!

Ujrzawszy, co się dzieje, Don Kichot odezwał się do giermka:

– To hołota, mój Sanczo, możesz mi więc śmiało pomóc w ukaraniu ich za krzywdę Rosynanta.

– Jakżeż ich ukarać – powątpiewająco odparł Sanczo Pansa – kiedy naliczyłem z górą dwudziestu, a nas nie wiem czy dwóch się doliczy, prawdę powiedziawszy.

– Mnie możesz liczyć za stu – wyjaśnił Don Kichot i dobywszy miecza rzucił się na hałastrę, zadając pierwszemu z brzega poganiaczowi taki cios, że przeciąwszy skórzany kaftan zranił go głęboko i uczynił niezdolnym do dalszych zmagań. Atak ten oszołomił na chwilę również towarzyszy rannego, ale pozostawało ich przecież nadal z górą dwudziestu, uzbrojonych w sękate kije, przeciw sobie zaś mieli nie wiadomo czy dwóch, może tylko, jak skromnie uważał Sanczo Pansa, półtorej męża, żeby zaś liczyć Don Kichota za stu, zanadto byli niewykształceni. Skoro tedy zdali sobie sprawę z takiego stosunku sił – a nastąpiło to prawie natychmiast po pierwszym oszołamiającym ciosie Don Kichota – unieśli w górę kije i miarowo zaczęli spuszczać je na rycerza i giermka. Pokrzykiwali przy tym:

– Porachujemy chudzielcowi kości!

– I tłuściochowi także nie przepuścimy!

– Kupą, przyjaciele, kupą!

– Po naszej młócce matki rodzone ich nie poznają!

Sanczo Pansa runął na ziemię i potoczył się w bok, ku strumieniowi, co ocaliło go od dalszych ciosów, chociaż tych poprzednich też wystarczyło.

Powalili i Don Kichota – leżał w miejscu, w którym padł – i z niestygnącym zapałem tłukli powalonego kijami. Znad kłębowiska ramion, kijów, głów unosiły się tylko ochrypłe głosy:

– Wal go! O tak! Jeszcze zipie! Wykończ go! Czekaj, ja mu dołożę! Doprawię! Dosolę! Dobra!

Czy nie sądzicie, mili czytelnicy, że w tym miejscu winien znowu rozlec się głos autora, powściągający okrutników? Zaprawdę, jeśli mistrz Cervantes zaniedba interwencji, ja, który po wiekach opowiadam tę historię na nowo, sam wkroczę, bo inaczej... Mniejsza o to zresztą, kto to uczyni, wystarczy, że ten głos się rozlega:

– Dość! Dość, powiadam! Rozstąpcie się!

I najgrubszy z poganiaczy nieruchomieje z kijem w ręku i sapiąc jeszcze z wysiłku mówi:

– Byłbym głupca zatłukł, gdyby tamten mi nie przeszkodził.

– Czy on ma do tego prawo? – marszczy się drugi, ciężko opuszczając kij na ziemie.

– Kimże jesteś, głosie, iż tak śmiało sobie poczynasz ? – pyta trzeci ze złością.

Ale wszyscy, ilu ich jest – dwudziestu z górą – zaprzestali już, acz niechętnie, swojej niecnej zabawy.

– A kim wy jesteście, którzy chcecie zgładzić Don Kichota? – zapytuje głos, rządzący tą opowieścią.

I poganiacze odpowiadają mądrzej, niż jeszcze przed chwilą wydawałoby im się, że potrafią wykrztusić:

– Jesteśmy tym – mówi pierwszy – o czym świadczy twój wzrok, słuch i powonienie.

– Tym, co ma krzepkie pięści i kije – dodaje drugi.
– Czemu burczy w brzuchu, brzęczy w trzosie i kurzy się ze łba – uzupełnia trzeci.
– Co dosiada mułów i koni – podejmuje pierwszy.
– Pachnie potem, czosnkiem i winem – chełpi się drugi.
– Jesteście zatem samą rzeczywistością – mówi w zamyśleniu autor.
– Która daje nauczkę obłąkanej fantazji – wpada mu w słowo trzeci poganiacz.
– Zaprawdę – powiada autor – uznaję rzeczywistość i służę jej pilnie, ale nie aż tak admiruję, bym pozwolił jej na zgładzenie szalonego rycerza. Prawem przeto, które mi przysługuje, raz jeszcze ocalam Don Kichota z opresji.

Poganiacze z Yanguas już się nie spierają. Zrozumieli widać, iż rzeczywistość, choć potężna, musi ustąpić pola współczującej i miłującej wyobraźni autorskiej. W pośpiechu, milcząc ponuro, objuczają swe klacze i ruszają przed siebie, pozostawiając Don Kichota, Sancza Pansę i Rosynanta na pobojowisku, w pogniecionej trawie nad szemrzącym strumieniem. Wszyscy trzej leżą i nie mogą się podnieść. Tylko osiołek Sancza, który nie uczestniczył w bitwie z mieszkańcami Yanguas, spokojnie drepce i poszczypuje trawę o kilka kroków dalej.

Rozdział trzynasty, w którym rycerzowi oraz giermkowi bardzo by się przydał cudowny balsam Fierabrasa

– Oj – jęknął Sanczo Pansa, ocknąwszy się po niejakim czasie i z trudem podnosząc głowę – oj, ojoj, ojojoj, ojojojoj, wasza litościwość!

– Czy chcesz czegoś, mój poczciwy Sanczo? – równie zbolałym głosem, ale starając się nie wydać jęku, zapytał leżący obok Don Kichot, przy czym nie zadał sobie trudu podniesienia głowy.

– Chciałbym, jeśli łaska, tego balsamu, co pan wspominał, bo myślę, że skoro jest on skuteczny na rozpłatanie wpół, to na takie obicie, po którym czuję się połamany na dwadzieścia części, też byłby niezgorszy.

– Zaiste, gdybym miał go tutaj, nic więcej nie byłoby nam potrzebne – westchnął Don Kichot. – Ale słowo błędnego rycerza, iż nim dwa dni miną, zdobędę cudowny balsam Fierabrasa dla siebie i ciebie!

– A ile dni minie – zainteresował się Sanczo Pansa – nim będziemy mogli poruszyć ręką i nogą?

– Tego nie da się tak dokładnie określić. Ale powiem ci za to, mój Sanczo, co ważnego wynika z naszej przygody. Otóż błąd popełniłem wdając się z tymi nieokrzesańcami i przysięgam, że na przyszłość przeciw takiej hołocie nie dobędę miecza. Jeżeli więc kiedy spostrzeżesz, że podobne tałałajstwo znieważa nas, sam stawaj do walki, by ich poskromić. Ja ze swej strony, jeżeli sprawa będzie z rycerzami, pokażę, jak nieraz już pokazałem i co sam widziałeś, co moje ramię i miecz potrafi.

– To już jak pan uważa – powiedział Sanczo – ale ja postanowiłem odtąd wybaczać wszelkie zniewagi i krzywdy, i ręki nie podnosić ani na rycerza, ani na prostaka, i może jakoś tutaj wyjdę na swoje, a na tamtym świecie Pan Bóg moim krzywdzicielom odpłaci.

– Zdumiewasz mnie, człowieku! – wykrzyknął Don Kichot silniejszym niż przedtem głosem, a siły tej dodało mu zgorszenie pacyfistyczną postawą giermka. – A jeśli podaruję ci wyspę, jak obiecałem, i zostaniesz jej władcą, także chcesz wybaczać wszystkim, którzy godzić będą w twą władzę? Będzie ich wszak co niemiara: spiskowców szykujących przewrót, wichrzycieli narzekających na ład, jaki zaprowadzisz, dowcipnisiów szydzących z twej postaci i manier, że nie wspomnę już o szpiegach państw ościennych i dywersantach zatruwających studnie. Władca, mój drogi, musi mieć wolę walki i zemsty na wrogach, gdyż w przeciwnym razie postrada wszystko, czym włada.

– Teraz mam wolę podniesienia się z ziemi – wymijająco odparł Sanczo Pansa – bo obawiam się, że nic tu dobrego nie wyleżymy. Gdyby i pan spróbował się podnieść, może razem dźwignęlibyśmy także Rosynanta, choć wcale na to nie zasłużył jako ten, od którego się zaczął cały ten kłopot. I kto by się był po nim spodziewał takich awantur?

– Awantury takie czy owakie nieodłączne są od rycerskiego rzemiosła i nie godzi się towarzyszowi wyprawy, choćby i czworonogowi, wymawiać, że jest ich przyczyną – skarcił małodusznego giermka Don Kichot.

– Na temat owakich nie mam zdania, ale jeśli o takie chodzi, ciekaw jestem, czy się często zdarzają – mruknął Sanczo. – Bo po dwóch gradobiciach nie jestem pewien, czy potrafimy wytrzymać trzecie...

Tak rozmawiając, czynili żmudny wysiłek podniesienia się z ziemi, który to wysiłek zdobił oblicza ich tysiącem wykrzywień i zmarszczeń i, zanim doprowadził do pożądanego skutku, ukształtował mnóstwo póz i figur pośrednich między leżeniem a staniem, czasem wielce skomplikowanych, które nie w każdym cyrku da się obejrzeć.

– Bo musisz wiedzieć, mój Sanczo – tłumaczył, stojąc na czworakach Don Kichot – iż żywot błędnych rycerzy pełen jest zaskoczeń i przemian. Dziś to, co nazywasz gradobiciem, jutro – korona cesarska. Dziś kije prostaków, jutro – wstążka z rąk pięknej damy.

– W takim razie niech już będzie jutro – orzekł Sanczo Pansa, opierając się na lewym łokciu i usiłując zgiąć w kolanie prawą nogę. – Z okazji korony zapomnimy może o kijach.

– Nie mówiłem o jutrze dosłownie, tylko przykładowo – wyjaśnił Don Kichot.

– Czyli że jutro znów powiecie, wasza niechybność, iż kalendarz wskazuje dziś – westchnął Sanczo Pansa.

– I będzie to prawdą. Ale nie martw się, przyjacielu. Każde wspomnienie zatrze czas, każdą boleść ukoi zgon.

– To prawdziwa pociecha – pokiwał głową stojący już na obu kolanach Sanczo Pansa.

Rozmawiali tak jeszcze czas jakiś, bo musieli sobie urozmaicić żmudne wstawanie z pobojowiska. Don Kichot przytaczał różne przykłady dobrych i złych losów rycerskich, a Sanczo Pansa każdy przykład lokował, jak umiał, w swej okrągłej głowie, by go w odpowiedniej chwili stamtąd wyciągnąć. Kiedy już ostatecznie wstali, podnieśli też Rosynanta, który, gdyby władał mową człowieczą, na pewno także nie poprzestałby na jękach i skargach, lecz niejedno dorzuciłby do ich rozważań. Choć stojący już na czterech nogach, nie był jednak zdolny do dźwignięcia swojego pana, podobnie jak ów – do tego, by dosiąść konia. Sanczo Pansa przerzucił tedy mozolnie Don Kichota przez ośli grzbiet, Rosynanta podwiązał do oślego ogona, sam zaś ujął za uzdę i pokuśtykał, sykając z bólu, w stronę królewskiego gościńca.

Rozdział czternasty, w którym okazuje się, iż nie ma dla Don Kichota bezpiecznego zajazdu

Gościńcem tym, zostawiwszy za sobą góry, posuwali się czas jakiś, aż dotarli do gospody, którą przerzucony przez ośli grzbiet Don Kichot wziął za... no za co? – znacie już na tyle naszego rycerza, by wykrzyknąć chórem i nie omylić się przy tym wcale, iż Don Kichot wziął gospodę za zamek.

Obaj potłuczeńcy stoczyli z tej okazji małą dyskusję, bo Sanczo Pansa, jego też przecież znacie, w żaden sposób nie chciał się zgodzić, że to zamek, twierdząc z uporem, że skąd, zwyczajna gospoda. Ale w końcu, zostawszy każdy przy swoim, zdecydowali się wkroczyć w obręb zamku gospody, cokolwiek to bowiem było, miało dach, ściany, ogień na palenisku, żłoby dla czworonogów i zapewne leża, w których rycerz i giermek mogli się spodziewać wytchnienia dla swoich zbolałych kości.

Gospodarz i gospodyni, na widok Don Kichota, przerzuconego jak worek zboża przez grzbiet osła, zaczęli się ze współczuciem dopytywać, jaka to zła przygoda spotkała przybysza. Zanim otworzył usta, Sanczo szybko odpowiedział, że nic szczególnego, po prostu upadek ze skały, ale ciepłe okłady niechybnie dobrze by bokom jego pana zrobiły.

Litościwa karczmarka żwawo zabrała się do dzieła, przywoławszy sobie do pomocy córkę, młodziutką i dość urodziwą, oraz służącą imieniem Maritornes, też młodą, ale tak szpetną, że aż nie chce się szpetoty jej opisywać, tym bardziej że ani oczy zerkające w dwie różne strony, ani płaska twarz o wklęśniętym nosie, ani karłowatość, ani długie do ziemi ręce, ani inne podobne szczegóły jej powierzchowności nie pozbawiały dziewczyny wielkiego powodzenia u zatrzymujących się w gospodzie podróżnych, a tym bardziej nie powściągały jej samej przed darzeniem owych podróżnych wszelakimi względami. Wszystkie trzy niewiasty zajęły się tedy Don Kichotem, szykując mu, po pierwsze, łoże, następnie zaś okładając potłuczone miejsca, to znaczy praktycznie całe ciało, mokrymi szmatami i plastrami.

– Wygląda to raczej na skutki uderzeń niż upadku – zauważyła gospodyni, przypatrując się obrażeniom rycerza.

– To dlatego – wyjaśnił Sanczo Pansa – że skała, o której mówiłem, wiele miała ostrych kantów i iglic, pozostawiających tego rodzaju ślady. Ale, ale, jakby wam parę przyzwoitych szmatek zostało, to i ja nie wzgardziłbym może okładem.

– Więc i wy, panie, spadliście ze skały? – zdumiała się gospodyni.

– Ja nie – zaprzeczył Sanczo – ale jako wiernego giermka zawsze mnie boli, ilekroć mój pan, błędny rycerz, ucierpi na ciele.

– Cóż to jest błędny rycerz? – zapytała córka gospodyni.

– Naprawdę nie słyszałaś, panienko, o błędnych rycerzach? Jak by ci tu wyjaśnić? Rycerz błędny to w jednej osobie ten, który dostaje kije i który bierze koronę, co mówię – koronę! Dwie, trzy, cztery korony, żeby i giermkowi swojemu rozdać.

– Dał ci już, panie, jaką?

– Jutro – powiedział Sanczo. – Za krótko jeszcze jeździmy po świecie, żeby dziś nas spotkała nagroda, ale jutro z pewnością jej doczekamy.

Tu Don Kichot, nie biorący dotąd udziału w rozmowie, uznał za właściwe osobiste do niej wkroczenie.

– Wierzajcie mi, szlachetna pani – rzekł, chwytając karczmarkę za rękę – iż i was nie ominie wdzięczność za gościnę w tym zamku i za czułość, z jaką opatrzyłyście moje rany. Gdyby zaś nie to, że z wyroku niebios na wieki niewolnikiem jestem innej najcudowniejszej istoty, nie pozostałbym też obojętny na niezwykły urok wasz, o pani, tudzież tych łaskawych panienek.

Wszystkie trzy niewiasty bardzo się zmieszały, bo choć przemowa błędnego rycerza wydała im się jakby wygłoszona w obcym i niezrozumiałym języku, tyle przecież się domyśliły, że zawiera ona komplementy, jakich nigdy od nikogo nie słyszały pod własnym ani czyimkolwiek adresem. Zdumione, pochlebione i zawstydzone, rozpierzchły się przeto, i jedynie Maritornes naprędce opatrzyła jeszcze Sancza, poturbowanego przecież nie mniej od Don Kichota.

Don Kichot i Sanczo Pansa zostali w komnacie sypialnej, a dokładniej mówiąc – na strychu, z którego przez dziurawą strzechę mogli przyglądać się mrugającym gwiazdom. To, co przedtem nazwane zostało łożem Don Kichota, było właściwie dechą na nierównych kozłach, przykrytą podartą i brudną derką. Sanczo leżał na macie trzcinowej w głębi pomieszczenia, jeszcze głębiej zaś, na stosunkowo najwygodniejszym legowisku, bo złożonym z wypchanych juk, jakie sam zdjął ze swych mułów, spoczywał pewien zamożny mulnik. Nie byli to wszyscy aktualni lokatorzy zajazdu, ale wszyscy nocujący na strychu, a na dole, oprócz stałych mieszkańców, przebywał akurat gość szczególnie szanowany, nie dla kiesy, lecz dla strachu, jaki budził, był to bowiem łucznik z Santa Hermandad, czyli Świętego Bractwa, którą to nazwę nosiła jedna z paru groźnych policji, strzegących w owych czasach porządku w Hiszpanii. Wspominam o tym łuczniku nie bez kozery, bo i on odegra tu niebawem swą rolę, ale na razie wróćmy do trzech, w tym dwu potłuczonych, mężczyzn śpiących na strychu. Z tych, prawdę mówiąc, nie spał jeszcze żaden: Sanczo, bo go bolały boki, Don Kichot, ponieważ i jego wszystko bolało, a ponadto dlatego, że uroił sobie romans z przepiękną córką pana tego zamku, nieprzytomnie rozkochaną w nim, Don Kichocie, i mającą zamiar złożyć mu po nocy wizytę, co wprawiało rycerza w rozterkę, chciał bowiem pozostać wierny damie swego serca, Dulcynei z Toboso, a zarazem pokusa wydawała mu się ogromna, wreszcie mulnik na trzecim legowisku nie spał, gdyż z wieczora umówił się ze szpetną Maritornes, iż ta faktycznie odwiedzi go pod osłoną mroków, czekał przeto, by spełniła swą obietnicę.

Tak leżeli wszyscy trzej bez ruchu i dźwięku, aż szelest jakiś i skrzypienie podłogi dało im znać, że ktoś wszedł do sypialni. Była to Maritornes, bosa, w nocnej koszuli i czepku, stąpająca na palcach, by nie obudzić postronnych i dotrzeć, jak przyrzekła, przyrzeczeń zaś zwykła dotrzymywać, do stęsknionego mulnika. Zmylona ciemnościami, nie zdołała jednak wyminąć leża Don Kichota i trafiła prosto w jego wyciągnięte ramiona.

– O pani – szeptał wzruszony Don Kichot, przyciągając Maritornes i sadzając ją obok siebie na twardym i krzywym wyrku – wielką jest twoja łaskawość dla skromnego rycerza i nie mniejszą wdzięczność moja, tudzież zachwycenie twoją olśniewającą urodą. Nie może ci

jednak pozostać tajnym, iż wierność ślubowałem niezrównanej Dulcynei z Toboso, jakkolwiek przeto miłość twoja i we mnie najżywsze budzi płomienie, odwzajemnić jej nie mam prawa.

Tak odmawiając pannie wzajemności, nie wypuszczał jej jednak, mimo że wyrywała mu się w milczeniu, przestraszona i rozzłoszczona tą niespodziewaną napaścią.

Sanczo zdążył tymczasem zasnąć, mimo bolących boków, mulnik jednakże czuwał i słyszał zarówno przemowę Don Kichota, jak szamotanie się Maritornes. Z przemowy nie pojął ani słówka, cała sytuacja była mu wszelako wyraźnie nie w smak i bez większego namysłu przyznał sobie prawo do interwencji. Przysunąwszy się cicho do legowiska Don Kichota, zadał rycerzowi potężny cios pięścią w usta, po czym wskoczył mu kolanami na żebra i jął niemiłosiernie ugniatać. Łoże runęło z wielkim hałasem, który obudził gospodarza na dole. Rozległy się głośne krzyki i wymyślania, że to pewnie znów sprawki tej hultajskiej Maritornes, po czym kroki na schodach i zbliżające się światło kaganka dały znać, że gospodarz idzie zrobić porządek. Wystraszona dziewucha ukryła się na barłogu Sancza Pansy, który, obudzony ze snu nagłym ciężarem na sobie, mniemał, że zmora go atakuje, i mimo deklarowanej niedawno pokojowej postawy wobec wszelkich możliwych krzywdzicieli, zaczął wymachiwać pięściami, żeby zmorę odeprzeć. Maritornes, której się w ten sposób dostało, nie pozostała mu dłużna, to Sancza jeszcze bardziej rozwścieczyło, i w wyniku tych wzajemnych ataków i kontrataków giermek ze służącą rozpoczęli regularne zapasy, jedno i drugie postękując z bólu i złorzecząc przeciwnikowi.

Tu, dojrzawszy w świetle kaganka, jaka krzywda dzieje się jego damie, przybiegł jej na odsiecz mulnik, to znowu wtrącił się gospodarz, by ukarać dziewkę, zdaniem jego – winowajczynię całej awantury. No i tak: karczmarz okładał Maritornes, Maritornes Sancza, Sanczo mulnika, mulnikowi nic więc nie pozostawało, jak zabrać się do karczmarza. Dobrze, że choć Don Kichota zostawili w spokoju, ale rycerz i tak miał dość i leżał bez czucia. Tamta czwórka nie zwracała na niego uwagi, a gdy zgasł kaganek gospodarza, tłukła się dalej, w wirze walki nie dbając już o to, kto kogo...

I wtedy właśnie wkroczył, obudzony przedłużającym się harmiderem, łucznik z Santa Hermandad. Wlazłszy po omacku na strych, rzucił się w stronę, skąd dobiegały odgłosy walki, wołając:

– W imię prawa, zatrzymajcie się! W imię Świętego Bractwa, zaprzestańcie!

Nim jednak dopadł bijących się, natknął się na leżącego bez czucia Don Kichota. Złapawszy go za szyję, raz jeszcze zawołał:

– W imię prawa!

W tej chwili spostrzegł, że ten, którego trzyma, nie daje znaku życia, puścił go więc i zawołał:

– Zamordowano człowieka! Niech nikt się nie oddala i zamknąć mi natychmiast bramy zajazdu! Póki nie odnajdę mordercy, wszyscy są podejrzani!

Rozdział piętnasty, w którym Don Kichot przyjmuje do wiadomości, że to była gospoda, nie zamek

Krzyk łucznika ze Świętego Bractwa spłoszył bijących się. Gospodarz czmychnął na dół, szpetna Maritornes za nim, wojowniczy mulnik – do stajni. Łucznik popędził za nimi, by złapać domniemanego mordercę, ale po ciemku potknął się raz i drugi, zwolnił więc kroku i rezygnując już z natychmiastowego triumfu sprawiedliwości ostrożnie skierował się w stronę paleniska, by zapalić nowy kaganek. Sanczo Pansa porwał się do biegu z innymi, ale bezsilnie opadł na swój barłóg i tak już został posapując ciężko i jęcząc.

W tej właśnie chwili ocknął się z omdlenia Don Kichot i zapytał:

– Sanczo, śpisz? Zły sen cię chyba trapi, sądząc po jękach, przeto obudź się lepiej.

– Nie we śnie, lecz na jawie – odparł giermek – coś mnie znów skatowało, jak wszyscy diabli. Chciałbym zatem wiedzieć, czy ciągle mamy dziś, czy już jutro, bo jeżeli jutro, to ta nowa przykrość spotkała mnie wbrew umowie.

– Widzisz, Sanczo – wyjaśnił Don Kichot – nie ulega wątpliwości, że zamek ten jest zaklęty... Mnie przytrafiła się tu przygoda szczęśliwa i podniecająca, obdarzony bowiem zostałem miłością przez córkę pana tego zamku, ach, powiadam ci, wprost niebiańskiej urody. Pozostałem, naturalnie, wierny pani mego serca, niezrównanej Dulcynei z Toboso, spędziliśmy jednak z pomienioną panną czas jakiś na słodkiej i czarującej rozmowie... Niestety! Wnet straszliwy czarnolicy Maur, na rozkaz złego czarodzieja strzegący widać skarbu piękności owej panienki, rozłączył nas i zadał mi na dobitkę kilka okropnych ciosów...

– Mną musiało się zająć pięciuset Maurów – zauważył Sanczo – bo stłukli mnie bardziej niż tamci mulnicy nad strumieniem, a w dodatku nie miałem przyjemności obcowania z żadną cudną panienką na pociechę przed albo po biciu.

– W tej sytuacji – orzekł Don Kichot – muszę przystąpić do sporządzenia balsamu Fierabrasa. Zaraz przypomnę sobie, jakich doń potrzeba składników.

W trakcie tej rozmowy wrócił na strych, z zapalonym kagankiem, łucznik ze Świętego Bractwa. Bacznie rozglądał się za trupem, zamiast niego znalazł jednak dwie niechybnie żywe, bo spokojnie gwarzące ze sobą, acz niemocą złożone, postacie. Stanął jak wryty i nastawił uszu.

– Ktoś przyszedł, panie – oznajmił Sanczo. – Czy to aby nie ów zaczarowany Maur?

– To niemożliwe – wyjaśnił Don Kichot – ponieważ zaczarowani nie dają się widzieć.

– Ale dają się odczuć – przypomniał Sanczo – moje biedne ciało świadkiem.

– Moje też – zgodził się Don Kichot – ale to całkiem inna sprawa.

Łucznik, niewiele rozumiejąc z tego gadania, odchrząknął i podchodząc do błędnego rycerza, zagadnął go najuprzejmiej, jak umiał:

– Jakże tam wasze gnaty, dobry człowieku?

Don Kichot nie docenił jednak policyjnej uprzejmości – przeciwnie, wziął ją za grubiaństwo – z wyniosłością tedy, bodaj że nie całkiem licującą z jego poziomą pozycją, odrzekł:

– Jestem błędnym rycerzem i wypraszam sobie tę poufałość.

To z kolei musiało się wydać niegrzeczne łucznikowi, nie powiedział już bowiem ani słowa, tylko trzymanym w ręku kagankiem rąbnął w głowę Don Kichota. Kaganek zgasł przy tym, znowu więc po ciemku, jak za pierwszym razem, opuścił łucznik poddasze.

– Miałeś rację, Sanczo – powiedział Don Kichot, macając nowy guz na głowie – to musiał być ów zaklęty Maur. Tym razem zaatakował mnie, by uniemożliwić sporządzenie balsamu Fierabrasa, ale faktycznie wzmógł jeszcze we mnie wolę posiadania tego cudownego napoju. Idź, wierny mój giermku, i poproś pana zamczyska o następujące składniki... – tu zawahał się chwilę, jakby szukał w pamięci, po czym, przezwyciężając wahanie, szybko wyliczył: – sól, pieprz, oliwę, wino, rozmaryn...

Obolały Sanczo Pansa posłusznie powlókł się na dół, gdzie powtórzył pierwszej napotkanej osobie życzenie swego pana. Osobą tą był nikt inny, jak popędliwy łucznik ze Świętego Bractwa, który usłyszawszy, o co chodzi, doszedł do wniosku, że ma do czynienia z obłąkanymi, nie postąpił więc z nimi, jak to miał w zwyczaju, lecz przywołał karczmarza i kazał dostarczyć żądanych ingrediencji. Karczmarz spełnił rozkaz bez szemrania i Don Kichot, też dotarłszy z trudem do paleniska, przystąpił do dzieła. Wszystkie otrzymane składniki zagotował razem w dużym garnku, mieszając chochlą i odmawiając przy tym z górą osiemdziesiąt Ojczenaszów, Zdrowasiek i Wierzę. Zdjąwszy płyn z ognia, poprosił o flaszę, by go przelać, ale w braku takowej poprzestał na blaszance po oliwie. Blaszanka była mniej pojemna od garnka, zostało w nim przeto po przelaniu jeszcze z pół kwarty płynu. Nie chcąc go zostawiać, a łaknąc też rychłego wypróbowania cudownego balsamu, chwycił garnek i wlał sobie płyn do gardła.

– Gdyby mój pan był przecięty wpół – odezwał się Sanczo Pansa do karczmarza, łucznika i innych obserwatorów – zobaczylibyście teraz, jak się zrasta równiutko...

Ledwie to powiedział, musiał odskoczyć w bok, gdyż Don Kichot zaczął gwałtownie wymiotować, pocąc się przy tym i dygocąc na całym ciele. Skoro te sensacje ustały, słabym głosem poprosił, by go zostawiono samego, i zapadł w sen, z którego obudził się po trzech godzinach, rześki i wesół.

– Pomogło! – wykrzyknął zachwycony Sanczo Pansa. – Teraz nie musimy się już bać żadnej bitwy i złej przygody! Pozwólcie mi, wasza skuteczność, także skosztować cudownego balsamu, bo i ja, ośmielam się przypomnieć, jestem srodze obity.

– Pij – zgodził się wspaniałomyślnie Don Kichot, przeto giermek, chwyciwszy oburącz garnek, w którym dość sporo jeszcze pozostało, wychylił go łapczywie do dna. Ale czy to przez czas snu Don Kichota niezwykły płyn nabrał zjadliwszej i różnorodniejszej mocy, czy żołądek giermka większy stawiał mu opór, za co został też ukarany, dość że zanim Sanczowi zebrało się na wymioty, chwyciły go takie bóle brzucha i mdłości, iż wijąc się w męce wielkim głosem przeklinał nie znanego sobie bliżej Fierabrasa oraz wszystkich głoszących chwałę jego balsamu.

– Rzecz w tym – w obronie swojego balsamu odezwał się Don Kichot – że to napój dla rycerzy przeznaczony, ty zaś, Sanczo, bynajmniej nie jesteś rycerzem.

– Toć wiedzieliście, panie, że nie jestem – wykrzyknął oburzony giermek – a pozwoliliście mi zażyć tego paskudztwa!

W tym momencie mieszanka zaczęła ostatecznie działać, czyszcząc wnętrzności Sancza Pansy na obie strony i tak burzliwie, że zniszczeniu uległa zarówno mata, na której leżał, jak płachta, którą się przykrywał. On również, jak przedtem Don Kichot, pocił się przy tym i dygotał, trwało to jednak znacznie dłużej, a gdy ustało, Sanczo ani nie zapadł w sen, ani nie poczuł ulgi, lecz taki był storturowany i słaby, jakby miał za chwilę wyzionąć ducha.

Tymczasem Don Kichot, całkiem zdrów i niepomny złych przygód minionego dnia oraz nocy (którą zdążył już zluzować kolejny dzień pełen blasku i skwaru), poczuł zapał do nowych przygód i niecierpliwość pchającą do niezwłocznego wyruszenia na rozstajne drogi. Przypomniał sobie, że wdowy, sieroty i niewinne panienki czekają na jego opiekę i pomoc, złoczyńcy zaś – na upokorzenie i karę. Pewności, że poszczęści mu się w nowych przygodach, dodawał też Don Kichotowi cudowny balsam Fierabrasa, który wprawdzie Sanczowi, jako nie pasowanemu na rycerza, nie poszedł na zdrowie, ale jego – rycerza prawdziwego – niezawodnie chronić miał odtąd przed najgorszym. Rozpierany zapałem i nie mogąc liczyć na pomoc giermka, osobiście osiodłał Rosynanta i wskoczył w siodło. Okrążył następnie konno całe podwórze, defilując przed obecnymi w zajeździe osobami, było ich zaś ze dwa tuziny, wzrok jednak kierując ku jednej – urodziwej córce karczmarza – i wymownie przy tym wzdychając, które to westchnienia wszakże poczytane zostały przez wszystkich za wyraz cielesnych bólów. Zatrzymawszy się przed gospodarzem, rycerz przemówił z siodła następującymi słowy:

– Nie byle dobrodziejstw i rozkoszy doświadczyłem, mości kasztelanie, w waszym zamku wspaniałym, toteż wdzięczności za nie, swoim zwyczajem, po kres żywota dochowam. Gotów ją też jestem zaraz okazać, na przykład mszcząc się za waszą krzywdę lub obrazę na wskazanej osobie.

– Panie rycerzu – odparł gospodarz – za krzywdę lub obrazę, gdy ośmieli mi się ją kto wyrządzić, sam się zemścić potrafię, że popamięta. Co do was, to zapłaćcie mi tylko za wieczerzę, nocleg, opatrunki, lekarstwa, słomę i jęczmień dla waszych bydląt, a wreszcie za wszystkie szkody, za sprawą waszej niespokojności wyrządzone tej nocy w gospodzie.

– Jak to – zdumiał się Don Kichot – byłażby to gospoda, nie zamek?

– Najlepsza gospoda na tej drodze w obydwie strony.

– Myślałem, że to zamczysko... – zafrasował się Don Kichot, dając, o dziwo, wiarę temu, co usłyszał. – Ale skoro to gospoda – dorzucił po chwili zastanowienia – to muszę was zawiadomić, że błędni rycerze nie zwykli płacić w gospodach za nocleg ani za nic innego, ponieważ dobre i bezinteresowne przyjęcie należy im się za wszystkie trudy rycerskiego żywota, poświęconego wyplenieniu z tej ziemi niesprawiedliwości i krzywdy.

– Nic mnie to nie obchodzi – wzruszył ramionami karczmarz, – Zapłaćcie, co się należy, i jedźcie z Bogiem.

– Głupstwa gadacie – zaperzył się Don Kichot i nie chcąc kontynuować denerwującej rozmowy, spiął Rosynanta ostrogami. Nie zatrzymywany przez nikogo wyjechał za wrota zajazdu i znalazł się na szerokiej drodze.

Karczmarz dopiero po chwili otrząsnął się z osłupienia i zażądał uregulowania rachunku od pozostawionego w gospodzie Sancza Pansy. Ten wyjaśnił, że jako giermek nie może postępować wbrew zasadom swojego pana, błędnego rycerza. Rozzłoszczony karczmarz zaczai mu grozić niemiłymi skutkami takiego oporu, ale Sanczo jedynie rozkładał ręce.

Zaiste, nie spodziewał się, co go spotka: nie z samym bowiem gospodarzem miał do czynienia, ale i z chwilowymi gośćmi zajazdu, ludźmi bardzo wesołymi i pomysłowymi, byli zaś wśród nich sukiennicy z Segowii, przekupnie z Sewilli, jak też osobnicy niewiadomego procederu z placu Źrebięcego w Kordobie. Oni to, zmówiwszy się, celem ukarania Sancza, dogodzenia karczmarzowi i dostarczenia sobie rozrywki, rozrywkę zaś lubili najbardziej w świecie, może jeszcze bardziej niż oszukiwanie klientów, otoczyli nieszczęsnego brzuchacza, położyli na derce i nuże go podrzucać do góry, a że działo się to na podwórzu gospody, niebo

jedynie było granicą, powstrzymującą wesołków od podrzucania ofiary na jeszcze większą wysokość.

Sanczo wrzeszczał i kwiczał jak zarzynany. Jego przeraźliwy krzyk przedarł się nawet przez chóralny rechot zabawiających się nim łobuzów i doszedł do uszu Don Kichota. Ten zawrócił z drogi i chciał pędzić swemu giermkowi na ratunek, jednakże wrota zajazdu były już zamknięte. Objeżdżając dookoła wysokie mury, otaczające karczmę wraz z podwórzem, raz po raz widział wzlatującego wysoko i opadającego w dół Sancza Pansę. Wyglądało to jak bardzo wymyślna akrobacja cyrkowa, i gdyby Sanczo bez pomocy potrafił wyprawiać takie łamańce, tak się wzbijać, przekręcać w powietrzu i spadać, by znowu wzlecieć, mógłby być spokojny o utrzymanie dla siebie, żony i gromadki dzieci. Trwało to czas jakiś, i nie przerwały tej zabawy ani błagania i lamenty Sancza, ani pogróżki Don Kichota zza muru – przerwało ją dopiero zmęczenie samych wesołków.

Po raz ostatni podrzuciwszy Sancza Pansę i przyjąwszy opadający ciężar na derkę, zostawili go wreszcie w spokoju. Siedział teraz zmordowany na gołej ziemi i sapał, nic nie widząc ani nie słysząc. Dwa stworzenia w tej sytuacji zlitowały się nad nim: własny jego kłapouch, który zbliżył się i przełożył mu przez ramię swój długi łeb, oraz szpetna, jednakże dobrego serca dziewka Maritornes, która przyniosła mu dzban świeżej wody prosto ze studni. Napiwszy się, ochłonął i rzekł:

– Toć to woda. Nie macie jakiego wińska?

Poczciwa Maritornes przyniosła mu tedy wina, płacąc za nie gospodarzowi z własnej kieszeni.

Teraz Sanczo poczuł się naprawdę inaczej. Wstał, wgramolił się na osiołka i wyjechał przez otwarte tymczasem na oścież wrota, bardzo z siebie zadowolony, że nie dał się przekonać do uiszczenia rachunku. Nie zauważył, co prawda, że sakwy pozostały w gospodzie i że może dlatego karczmarz nie broni mu już wyjazdu.

Na drodze giermek przyłączył się do rycerza i razem ruszyli dalej.

– Nie przeczę – odezwał się po chwili Don Kichot – że nie był to wcale zamek, lecz zajazd, nie zwyczajny wszakże zajazd, ale zaklęty. Kim innym, jeśli nie marami i mieszkańcami zaświatów, mogli być ci, którzy cię tak dręczyli? To dlatego wszak nie zdołałem ani z konia zejść, ani przez mur się przedostać, by ci przybyć z pomocą. Gdyby nie rzucili na mnie czarów...

Sanczo Pansa nie podjął dyskusji i tylko wymownie westchnął.

Rozdział szesnasty, w którym i my zadać sobie musimy pytanie, co jest rzeczywistością, co zaś złudzeniem

Cały czas opowieść się ciągnie o tym, jak mylił się Don Kichot, biorąc coś zwyczajnego za nadzwyczajne, niskiego za wzniosłe, ludzkiego lub bydlęcego nawet – za niebiańskie i czarodziejskie.

Nie wierzył w widoczną postać niczego, nie ufał kształtom przez cokolwiek przybranym, wierzył w to, co mu się roiło, ufał temu, co wyobraził sobie, że widzi.

Z takiego to odmiennego od wszystkich wierzenia i niewierzenia wynikały Donkichotowe przygody, najczęściej, niestety, niemiłe i dotkliwe dla jego skóry.

Podobnie będzie też dalej; i w chwili, w której rycerz z giermkiem, opuściwszy gospodę swoich nocnych i porannych niedobrych przygód, znaleźli się na królewskim gościńcu, gdzie pierwsze zdania wymienić zdołali na temat przyczyn prawdziwych tego, co ich spotkało, już nieporozumienie szykuje się nowej jeszcze o nim nie wiedzą, jeszcze zwiastujących go tumanów kurzu, z dwu stron do nich drogą spieszących, nie widzą, ale ja już widzę i wiem nawet, co to, albo zdaje mi się, że wiem; i co z tego wyniknie, przeczuwam, albo zdaje mi się, że przeczuwam.

Nie sądźcie jednak, proszę was o to z całym naciskiem, iżbym lekceważył pomylone Donkichotowe niewiary i wiary.

To nie takie proste – co jest rzeczywistością, a co nią nie jest, i czy bardziej nas łudzi to, co sobie roimy, czy to, co widzimy na własne oczy.

Od paru tysięcy lat najuczeńsi, najwnikliwsi myśliciele i filozofowie zastanawiają się, c o j e s t r z e c z y w i s t o ś c i ą, i nie potrafią dać odpowiedzi, która by wszystkich raz na zawsze zadowoliła.

Czy rzeczywistością jest codzienne słońca dookoła ziemi krążenie, jak kozy na postronku dokoła słupa?

Czy rzeczywistością jest powała niebios i horyzont zamykający przestrzeń, i wszystko, co zdaje się nas nieubłaganie więzić, ograniczać, hamować, przeszkody nie do przebycia stawiać naszym ruchom i myślom?

Czy jest nią powierzchnia nieprzenikalna kamienia, drzewa, ludzkiego ciała?

Czy rzeczywistością jest to, co poszczególni ludzie i całe narody sądzą o swoim postępowaniu, o przyczynach wojen, które toczą, wypraw, które przedsiębiorą, sympatii i antypatii, które żywią do innych, o wszelkich swoich emocjach, snach, przerażeniach?

Od paru tysięcy lat kolejne odkrycia ludzkie, błyski geniuszu, wyniki rozmaitych doświadczeń podważają niezbite przedtem mniemania o tym, co rzeczywiste.

Coraz powszechniejsze jest tedy przeczucie, że nasza wiedza o rzeczywistości – to nie rzeczywistość sama, lecz jej niedoskonałe, pełne luk i nieścisłości, wyobrażenie.

Platon, wielki filozof starożytnej Grecji, przedstawił sytuację człowieka wobec rzeczywistości w postaci takiego porównania: jesteśmy jak więźniowie w ciemnej jaskini, zwróceni twarzą ku jej ścianie, po której przemykają cienie tego, co się dzieje na zewnątrz. Z cieniów tych, jedynie dostępnych naszemu wzrokowi, wróżymy sobie o rzeczywistości, której naprawdę zobaczyć nie potrafimy...

Dzisiaj człowiek więcej wie o sobie i o tym, co go otacza, niż wiedział był jego odległy przodek – można powiedzieć, że cienie na ścianie jaskini zrobiły się bardziej gęste – ale nie można powiedzieć, że odkryły nam całą istotę rzeczy, że już się nie łudzimy i wszystko staje przed nami takie, jakie jest naprawdę, wszystko pojmujemy do końca.

Wybaczcie mi te rozważania; snując je, nie zapominam przecież o rycerzu i giermku, na gościńcu pozostawionych; i w obie strony na tumany kurzu nadciągające zerkam, aby urwać w porę, nim zanadto się zbliżą; a właśnie, napomknąłem, że wiem lub zdaje mi się, że wiem, co to za tumany; a wy nie domyślacie się? To dwa stada baranów i owiec, z miejsca na miejsce przez pastuchów pędzone; już i Don Kichot kurzawy obydwie dostrzegł, już rycerską fantazję prąd jakiś przeszył; nie ma rady, czas stanąć u bohatera naszego boku, by do rozważań w sposobniejszej powrócić chwili.

– A więc nadszedł ten wielki dzień! – zawołał podniecony Don Kichot. – Widzisz, Sanczo, te dwa wojska potężne, z dwu przeciwnych stron zmierzające, by się zderzyć bez pardonu na polu bitwy?

– Jakież to wojska? – zapytał przejęty giermek.

– Wjedźmy na to wzgórze – powiedział Don Kichot – a dostrzeżemy je wyraźniej. Jestem wszakże przekonany, iż to z prawej strony jest wojskiem chrześcijańskiego króla Pentapolina z Obnażonym Ramieniem, zwanego tak ponieważ w walce zawsze zwykł jedno ramię mieć nagie, to z lewej zaś należy do pogańskiego cesarza Alifanfarona, również wielce potężnego monarchy.

Skoro wjechali na wzgórze, tak jak chciał Don Kichot, Sanczo Pansa zapytał:

– I czegóż to nie podzielili ci władcy potężni, że tak dybią na siebie?

– Popędliwy Alifanfaron – wyjaśnił Don Kichot – zapałał miłością do nadobnej córy Pentapolina i zażądał jej ręki, ale ojciec nie chce oddać dziecka poganinowi, póki ten nie wyrzeknie się fałszywego proroka swego Mahometa i nie nawróci na wiarę chrześcijańską.

– I słusznie! – zawołał Sanczo. – Też jestem za tym, żeby spuścić cięgi pohańcowi zatwardziałemu!

– Obaj więc spełnimy swą powinność w tej bitwie – orzekł Don Kichot. – Uczestniczyć w niej zaszczytem będzie nie lada, najznakomitszych bowiem widzę rycerzy po stronie Pentapolina i dzielne w boju nacje rozliczne po przeciwnej stronie.

W nadciągających z lewa i z prawa tumanach kurzu ciągle jeszcze niepodobna było odróżnić żadnych kształtów wyraźnych, ale Don Kichot wzrokiem swojej fantazji widział, co chciał widzieć, i w natchnieniu prawdziwym pokazywał giermkowi:

– Ten tu rycerz w złocistej zbroi, z dziewicą i lwem u stóp jej leżącym w herbie, to nie kto inny, jak najwaleczniejszy z walecznych pan Laurkalko; ten tam w zbroi czterech barw – lazurowej, zielonej, białej i żółtej – to zawsze zwycięski i nigdy nie zwyciężony książę Timonel; w herbie kota ma złotego w czerwonym polu z literami MIAU, co początkiem jest imienia Miauliny z Algarby, pani jego serca, jak powiadają; ten znów, dźwigający zbroję w szachownicę błękitno-srebrną, ze szparagowym polem w herbie i napisem „Szczęście mnie ściga”, to sam książę Espartafilardo z Lasu, z którego mocą żadna inna moc się nie równa...

– Co za rycerze wielcy! – kiwał głową przejęty Sanczo. – Żebym to i ja potrafił tak ich dostrzec, jak wasza przenikliwość!

– Tutaj zaś – ciągnął Don Kichot – masz przed sobą wszelkie narody z cnót żołnierskich słynne: i Arabów koczowników wytrzymałych na skwar i pragnienie, i Numidów czarnych a chytrych, nie dotrzymujących obietnic, i Persów najcelniejszych łuczników, i Scytów równie okrutnych jak białych, Medów i Fartów pozorną ucieczką wciągających wroga w pułapkę, Etiopów o wargach przekłutych i...

– Dalibóg, wasza nieskończoność – przerwał Don Kichotowi słuchający go dotąd z uwagą Sanczo Pansa –nie wiedziałem, że tyle jest na świecie dziwacznych nacji. A żebym to i ja dostrzec je jak waszmość potrafił, to dopiero miałbym uciechę!

– Jak to? – zdumiał się Don Kichot. – Nie widzisz tych wojsk ogromnych? Może surm bojowych także nie słyszysz, bicia w bębny, nawoływań i rżenia koni?

– Prawdę mówiąc – wyznał Sanczo – jeżeli co słyszę, to tak jakby beczenie owiec, i owszem, nie paru lichych owieczek, ale bardzo wielkiego stada z jednej i drugiej strony, nic wszelako poza tym beczeniem nie słyszę.

Zasmucił się nasz rycerz taką nieczułością giermka swojego na bohaterską rzeczywistość, wyłaniającą mu się z tumanów kurzu, westchnął więc i powiedział, że to strach widać zmącił Sanczowi zmysły; a skoro tak, niechże czeka na wzgórku, aż pan jego interwencją śmiałą losy bitwy rozstrzygnie. Powiedziawszy to, spiął rumaka i – ale nie, zanim opiszę, co zaszło dalej, wrócę jednak do przerwanych rozważań, bo niebawem mogą się one okazać całkiem już niewczesnymi.

Chodziło, pamiętacie wszak, o kwestię, jak ma się to, co jest naprawdę, do tego, co myślimy, że jest naprawdę. Zgodziliśmy się chyba, że ma się różnie i nie należy nigdy żywić pewności, iż to, co sądzimy, że wiemy, jest istotą rzeczy, nie zaś jej łudzącym pozorem.

Teraz chciałbym dorzucić, że to, co myślimy o rzeczywistości, często wpływa i na nią, i na nas samych: ona taką się staje, jak o niej myślimy, a my takiej też stajemy się nieodrodną częścią. Jeżeli zdaje nam się na przykład, że wiemy, iż życiem rządzi złość i chciwość, nic więcej, taką wiedzę zatem czynimy również własną busolą w życiu – o, nie miejmy wątpliwości, życie stanie się takie wokół nas i w nas samych, i przez skorupę jego niełatwo będzie się przedrzeć bezinteresowności i życzliwości. Ale jeśli potrafimy sobie powiedzieć, że ta wiedza nasza o chciwości i złości rządzącej życiem jest, być może, złudzeniem, a naprawdę kto wie, czy nie mogą się ubiegać o władzę nad nim różne inne, całkiem przeciwstawne potęgi, to może, wcale nie twierdzę, że na pewno, ale może wszystko wokół i w nas samych przybierze trochę milsze barwy, życie zmieni się na lepsze i my będziemy w tym mieli swój niewielki udział?

Nie, teraz już naprawdę nie mogę dalej snuć tych rozważań – może zresztą powiedziałem wystarczająco dużo, żeby niektórzy z was sami zechcieli je ciągnąć – a ja nie mogę, bo Don Kichot odważny ostrogami spiął rumaka i gwałtownie ze wzgórka zjechał na piaszczystą drogę, między dwa tumany kurzu, co się właśnie chciały wyminąć.

Rozdział siedemnasty, w którym Don Kichot znowu zyskuje sławę bitewną, ale trudno utrzymywać, że nic przy tej okazji nie traci

Daremnie wołał był za nim Sanczo:

– Zawróćcie, panie mój, Don Kichocie, to nie żadne wojska, rycerze, książęta, szachownice buraczkowo-marchwiowe, lwy miauczące w herbie, czarnuchy i żółtki niemożliwie szpetne i chytre, nic takiego nie widzę i nie słyszę, tylko stada baranów i owiec, przez pastuchów pędzone, zatrzymajcie się, zawróćcie, zaniechajcie szaleństwa, bo przysięgam na Boga, źle to się skończy!

Ale rycerz głuchy pozostał na te wezwania, galopem ze wzgórza na piaszczystą drogę zjeżdżając i obwieszczając gromko, że Pentapolinowi z Obnażonym Ramieniem na pomoc zdąża, Alifanfarona zaś bezecnego zniszczyć zamierza.

Z takim to wołaniem wpadł w środek owczego stada i natarł na nie z takim impetem, jakby w samej rzeczy miał przed sobą żądne krwi zastępy pogańskie – owce i barany skłębiły się i beczeć rozpaczliwie zaczęły, pasterze zaś, zaskoczeni niespodziewaną w biały dzień na drodze napaścią, krzykami go usiłowali powstrzymać, ale skoro głuchy pozostawał na wezwania wiernego giermka, czemuż to gorliwiej miałby dawać ucha nieznajomym grubianom, z całą pewnością wykonującym jeden z owych chytrych bisurmańskich manewrów? Widząc, że nie pomagają perswazje, pasterze naciągnęli proce i jęli ostrzeliwać rycerza kamieniami pierwej niedużymi, potem coraz większymi, a wreszcie takimi wielkości dobrej chłopskiej pięści. Ale jak nie zwracał uwagi na małe, tak większe go nie zdołały przekonać i o te wielkości pięści również nie dbał, tylko uganiał się po polu bitwy przez samego siebie stworzonym i wołał:

– Pokaż się, pyszałku Alifanfaronie! Nie ukrywaj się, tchórzu! Niech nasz pojedynek zasłużone zwycięstwo sprawy świętej chrześcijańskiej nad brudnymi żądzami twymi przyniesie !

Alifanfaron jednak wolał widać nie ryzykować, pasterze natomiast wytrwale robili swoje, zwiększając tylko ciągle kaliber wyrzucanych kamieni.

Aż stało się, że potężny okrąglak trafił Don Kichota, łamiąc mu parę żeber w boku. Rycerz zachybotał się w siodle, nie spadł jednak, lecz przerwawszy na chwilę młócenie wroga, sięgnął po blaszankę z cudownym balsamem Fierabrasa i czym prędzej przytknął ją do ust. Tu nadleciał nowy kamień, który rąbnął go w dłoń i blaszankę z taką mocą, że strzaskał mu dwa palce u ręki, blaszankę zgniótł i odrzucił, a na dobitkę wybił rycerzowi cztery zęby przednie

oraz trzonowe. Runął biedny Don Kichot z konia i bez ducha leżał w kurzu drogi, na której tak krótko bitwę mu się udało toczyć w obronie dziewicy, i mimo tylu zasług nikt mu nie pośpieszył na pomoc. Tylko wrogowie – nie Numidowie wszakże podstępni i nie dotrzymujący obietnic, i nie Persowie najcelniejsi łucznicy, i nie Etiopowie o wywiniętych wargach przekłutych, lecz owczarze kastylijscy kudłaci obstąpili go teraz dokoła, a z bezruchu zrażonego kamieniami chudzielca wnosząc, że go zabili, pośpiesznie obie zmieszane trzody oddzielili jedną od drugiej, aby każdą w obranym kierunku popędzić i oddalić się od miejsca kiepskiej przygody, nim surowe straże porządku w to, co zaszło, się wdadzą.

Teraz dopiero Sanczo Pansa, który przez cały czas bitwy nie ruszył się był ze wzgórza i tylko z żalu wielkiego za brodę się targał przymawiając półgłosem „i po co ci to było, i po co ci to było", ujrzawszy, iż wróg opuścił wreszcie pole, zjechał w dół i odezwał się do rozciągniętego na drodze rycerza:

– I po cóż wam to było, wasza popędliwość, między dwie trzody pędzące tak się zapędzać? Toć błagałem was, byście zawrócili, gdyż rycerzy ani wojsk tu nijakich nie ma!

– Naprawdę tak ci się wydaje, przyjacielu? – słabym głosem silne zdziwienie swoje wyraził Don Kichot. – A więc ten czarownik, prześladujący mnie bez ustanku, do tego się posunął, zazdrosny o sławę, jaką pisane mi było zyskać w bitwie z Alifanfaronem, że walczące zastępy na koniec w trzody owiec przemienił! Ale jeśli chcesz poznać prawdę, pojedź żwawo za nimi, a z pewnością oba wojska w pierwotnej dojrzysz postaci, jaką znów przybiorą, oddaliwszy się od nas i wzajem od siebie.

– W którą mam jechać stronę, skoro w dwie się rozeszły te trzody... wojska znaczy? – zapytał Sanczo Pansa, nie kwapiąc się zbytnio do ruszania w którąkolwiek stronę.

– Na razie zostań tutaj – zmienił zdanie Don Kichot – bo jesteś mi potrzebny w stanie, w jakim się znalazłem dzięki swej waleczności. Sprawdź na początek, ile brakuje mi zębów.

Giermek zsiadł z osła, zbliżył się do swego pana i zajrzał mu do ust rozdziawionych boleśnie. I w tej to akurat chwili balsam Fierabrasa działać zaczął w żołądku rycerza: coś tam w głębi zabulgotało, wezbrało i chlusnęło gwałtownie prosto w twarz Sancza Pansy. Ten odskoczył i wrzasnął:

– O, nieszczęsny mój panie, śmiertelnie ranni być musicie, skoro krew wam tak wali ustami! – ledwie to jednak wyrzekł, zmiarkował, iż płyn, którym został oblany, niewiele ma z krwią wspólnego, co tak nań podziałało, że i jemu mdłości wywróciły żołądek, i w jego trzewiach zabulgotało coś, wezbrało i chlusnęło na leżącego w prochu Don Kichota.

Tak przeczyszczeni obaj, można przeto rzec, iż zrównani w swej wewnętrznej czystości, trwali chwilę bez słowa, po czym Sanczo ocknął się pierwszy i do osła skoczył, aby wziąć z sakiew co potrzeba dla zewnętrznego z kolei oczyszczenia siebie i pana. Nie pamiętał, biedak, o czym niechybnie pamiętają czytelnicy, że sakwy jego pozostały w tej złośliwej gospodzie, gdzie wzlatywał był przed niedawnym czasem do nieba. Skoro uprzytomnił to sobie, wpadł w taką wściekłość, tak złorzeczyć jął i przysięgać, że koniec z giermkowaniem i mędrkowaniem, i wędrowaniem u błędnego rycerza boku, że do domu wraca natychmiast, co mu tam zapłata za służbę, co mu tam wyspa, którą ma rządzić, nic mu już nie potrzeba, byle się skończyły te okropne przygody – tak tedy szaleć jął i maleć duchem widocznie, iż Don Kichota wzruszonego podniosło to na odmianę z upadku i, podszedłszy do giermka w pozie pełnej rozpaczy opartego o osła, przemówił doń łagodnie, chociaż stanowczo:

– Człowiek większy jest od innych, mój Sanczo, jeśli więcej od innych zniesie i zdziała. Burze, które nas spotykają, zwiastują rychłe rozpogodzenie; ani zło bowiem, ani dobro trwać nie może bez przerwy, skoro zatem zło tak długo nas nęka, dobro bliskie być musi, może już za tym tutaj zakrętem drogi... Nie trap się przeto dłużej niepowodzeniami, które mnie spotykają, a których ból i hańba ciebie wszak nie dotyka...

– A to dobre! – wykrzyknął Sanczo. – Więc nie na mnie takie i siakie razy spadały, i nie mnie podrzucano do góry w tym diabelskim zajeździe, i nie mnie sakwy z wszystkimi zasobami przepadły, i...

– Jak to – przerwał zaniepokojony Don Kichot – przepadły ci sakwy?

– Mówię przecież, że przepadły, ze wszystkim razem, co tam w nich było.

– Cóż więc będziemy dziś jedli? – zapytał Don Kichot.

– Myślę – westchnął Sanczo – że te korzonki czy jak tam, coście wspominali, że żywią się nimi błędni rycerze.

– Prawdę mówiąc – wyjaśnił Don Kichot – miałbym teraz apetyt raczej na placek z cebulą i śledzia wędzonego, niż na owe korzonki opisane w rycerskich księgach. Ale nie to nie: w Bogu ufajmy, iż nas nie opuści, i jedźmy dalej.

– Z waści to kaznodzieja byłby równie dobry, jak błędny rycerz – zauważył Sanczo – a kto wie, czy nie lepszy. Tak czy siak, w jednym macie słuszność, że pozostawać tu dłużej nie ma potrzeby. Jedźmy i za noclegiem jakim się rozejrzyjmy, byle takim, gdzie nie będziemy znów mieli do czynienia z zaczarowanymi Maurami i mieszkańcami zaświatów, co zabawiać się lubią podrzucaniem poczciwego człeka do góry.

– Tobie pozostawiam wybór dogodnego postoju – rzekł wspaniałomyślnie Don Kichot. – Najpierw tylko pomacaj, proszę, palcem, ile też mi zębów zabrakło, bo coraz dziwniejszą pustkę odczuwam w szczęce po prawej stronie.

– A ile też mieliście, panie, wprzódy zębów? – zapytał Sanczo, pakując rozcapierzoną rękę do ust Don Kichotowi.

– Wszysztkie – wyseplenił Don Kichot półgębkiem – bo przesz czałe życie żaden mi nie wypadł ani też czyrulik żadnego mi nie wyrwał szczypczami.

– Teraz – oznajmił Sanczo.– na dole po prawej stronie macie dwa i pół zęba, a na górze ani jednego.

– Smutna nowina – powiedział Don Kichot już nie sepleniąc, ponieważ Sanczo przy ostatnich swoich słowach wyciągnął mu rękę z ust. – Wolałbym zaiste ramię postradać, byle nie to, naturalnie, które mieczem tnie. Widzisz teraz, Sanczo, ile my, błędni rycerze, tracimy w zamian za sławę zyskaną w bitwach!

– Widzę – zgodził się giermek.

– Ale nawet zęby utracone w walce z niezmierzonymi wojskami Alifanfarona nie odwiodą mnie od posłannictwa, które mam spełnić! – rzekł Don Kichot, nabierając znów animuszu. – Naprzód, przyjacielu!

I ruszyli dalej królewskim gościńcem w stronę, w której, jak przeczuwał Sanczo Pansa, powinno się było znajdować schronisko, co może i odpowiadało rzeczywistości, tylko że bliżej jeszcze znajdowała się tam, a raczej miała zostać przez nich znaleziona, bo kto szuka, ten znajdzie, kolejna niesamowita przygoda.

Rozdział osiemnasty, w którym Sanczo Pansa w świetle pochodni na pierwszy rzut oka poznaje Rycerza Posępnego Oblicza

W forpocztach owej przygody szła nocna ciemność; i dopadła ich w drodze, i zapadła wokół, zanim oczy zdążyli przetrzeć; nie zatrzymali się jednak, bo nie mieli gdzie, Sanczo zaś był pewny, że skoro są na królewskim gościńcu, to lada chwila dotrą do jakiegoś zajazdu; wystarczy, mimo mroków, cierpliwie posuwać się naprzód; rycerz więc zdał się w tej życiowej sprawie na giermka.

I oto zaiste ujrzeli światło w ciemności; nie było to jednak nieruchome i zapraszające do miłego znieruchomienia światło zajazdu, lecz niezwykły jakiś ruch wielu świateł, zbliżających się z przeciwka w tanecznym rytmie i z każdym krokiem rosnących im w oczach coraz bardziej tajemniczo i groźnie.

Ściągnęli wodze i stanęli jak wryci.

– Sanczo – odezwał się ochłonąwszy z pierwszego wrażenia Don Kichot – za błahostkę poczytuję wszystkie dotychczasowe przygody w porównaniu z tą, w której niebawem dowiodę swej waleczności.

– Biada mi, jeżeli to znowu, a na to wygląda, mary i mieszkańcy zaświatów – westchnął giermek – zanim bowiem, panie, dowiedziecie tego, czego wcale już dowodzić mi nie musicie, będę miał obtłuczony tył i przód, i obydwa boki.

– Tym razem obronię cię – przyrzekł Don Kichot – choćby to były nie wiem jakie mary piekielne. Za poprzednim razem nie mogłem przekroczyć muru, ale teraz, jak widzisz, żaden mur nas nie dzieli!

– Tak to się mówi – nie dawał się przekonać Sanczo – ale jak znowu rzucą na pana czar i odrętwienie, to i pusta przestrzeń będzie jak mur nie do przebycia!

W tym miejscu wypadło im przerwać debatę, wędrujące światła zbliżyły się bowiem na tyle, że dojrzeli ich źródło: ze dwudziestu jeźdźców w długich białych koszulach, z zapalonymi pochodniami w dłoniach, którymi poruszali mrucząc coś chórem do taktu; za koszulnikami sunęła lektyka czarnym kirem obita, a za nią dalsi jeźdźcy w gęstej żałobie tudzież trochę pachołków pieszych.

Sanczo Pansa na ten widok przeraził się jeszcze bardziej, w Don Kichota natomiast, odwrotnie, animusz wstąpił, gdyż wyobraźnia rozigrana wyjaśniła mu natychmiast, w czym rzecz: w owej lektyce niechybnie rycerz się znajduje śmiertelnie ranny, jego zaś, Don Kichota, Opatrzność zesłała, by za rycerza nieznajomego się zemścił. Zastąpiwszy przeto

drogę ludziom w koszulach, a raczej, uściślijmy to, przyjrzawszy im się bliżej, w komżach, Don Kichot wystawił kopię i podniesionym głosem zawołał:

– Stańcie i opowiedzcie się, kim jesteście, skąd i dokąd zmierzacie, i kto spoczywa na noszach, które dźwigacie? Widzę bowiem, iż albo wyrządzono wam krzywdę, albo wyście ją wyrządzili, z czego wynika dla mnie konieczność bądź pomszczenia was, bądź ukarania.

– Zbyt nam spieszno – odparł, nie zatrzymując się jeden z koszulników (pozostańmy już przy tej wygodnej nazwie) – by stawać i opowiadać się wam, panie, tak jak żądacie.

– Skoro tacyście niegrzeczni – rzekł dotknięty Don Kichot – wypowiadam wam walkę.

I rzekłszy to chwycił za wodze mijającego go akurat muła, na którym siedział człowiek w komży; bydlę spłoszyło się i wierzgnąwszy zrzuciło swego pana na ziemię. Na to jeden z pieszych pachołów zaczął wymyślać Don Kichotowi, co wzmogło, naturalnie, gniew rycerza i skłoniło go do użycia kopii. Zwaliwszy na ziemię drugiego z rzędu koszulnika, nie poprzestał na tym zwycięstwie, lecz jął atakować i rozpraszać następnych, aż niektórzy, nie mając w sobie widać rycerskiego ducha, nie czekali na wysadzenie z siodła i sami pozeskakiwali z mułów, rozbiegając się z płonącymi pochodniami po całym polu. Także ci, którzy dźwigali byli lektykę, porzucili ją w popłochu i odbiegli na bezpieczniejszą odległość.

Don Kichot przyłożył ostrze kopii do grdyki pierwszego wroga, który spadł z muła, i zażądał bezwzględnego poddania, jeżeli nie chce zostać zabity.

– Poddany jestem najbezwzględniej – słabym głosem odparł tamten – nie mogąc się ruszać i z jedną nogą złamaną. Zabijać mnie więc, panie rycerzu, nie ma potrzeby, a ponadto nie godzi się, jestem bowiem licencjatem i mam pierwsze święcenia.

– Cóż to sprowadziło osobę duchowną na tę nocną drogę? – zdumiał się Don Kichot. – Mówcie wszystko, niczego nie zatajając, jak usiłowaliście byli przedtem z rzekomego pośpiechu.

– Teraz, kiedy tak leżę, wcale mi już niespieszno – rzekł licencjat. – Otóż wraz z innymi duchownymi podążam, panie rycerzu, z Baezy do Segowii, towarzysząc zwłokom hidalga, który zmarł w Baezie, spocząć zaś na wieki ma w grobowcu rodzinnym w Segowii.

– A któż winien jest jego śmierci? – zainteresował się Don Kichot.

– Gorączka, która w trzy dni go zabiła.

– W takim razie – orzekł Don Kichot – nie mam na kim się mścić, gorączka bowiem, bezcielesną będąc, nie dźwiga miecza i tarczy. Na tym też moja sprawa z wami skończona, pozostaje mi jedynie oznajmić, z kim mieliście do czynienia, byście pamiętali. Jestem rycerzem Don Kichotem z La Manczy, który wyruszył w świat, by naprawiać w nim krzywdy i prostować błędy.

– Mnie – westchnął licencjat – z prostego uczyniliście krzywym i noga moja złamana będzie krzywą po kres żywota, i cały mój żywot krzywy, a jeśli to wykrzywienie prostowaniem zwiecie i krzywd naprawą, to niech Bóg wam będzie miłościw, panie rycerzu.

– Dziękuję – skłonił się Don Kichot – a co jeszcze mogę dla was zrobić, wielebny licencjacie, zanim się rozstaniemy?

– Możecie pomóc mi się wydostać spod tego muła, który tak mnie przycisnął, że ani zipnę.

– Nuże, Sanczo! – zawołał Don Kichot. – Pomóż no duchownej osobie, a żwawo!

Sanczo jednak nie bardzo słuchał, był bowiem zajęty ładowaniem zdobycznej żywności z pokonanych przez Don Kichota mułów na własnego wierzchowca. Nieco wcześniej z prawdziwym podziwem obserwował rozprawę swego pana z żałobnikami, teraz zaś wyciągał z niej takie wnioski, jakie uważał za najwłaściwsze, to znaczy wyciągał co się dało z juk żałobników, a dało się niejedno, byli bowiem, jak to osoby duchowne, nieźle zaopatrzeni. Dopiero zakończywszy ładowanie, dosłyszał ponowione wołanie Don Kichota, podszedł przeto i udzielił licencjatowi wszelkiej pomocy: wydobył go spod muła, wsadził w siodło, podał pochodnię.

– Jedźcie z Bogiem, panie – rzekł Don Kichot – a towarzyszom swoim powiedzcie, by nie byli na mnie krzywi o te przykrości, które natchnieniem i powołaniem swoim wiedziony musiałem im sprawić.

– Gdyby zaś pytali – wpadł mu w słowo Sanczo Pansa – kto im tak dogodził, pouczcie nieświadomych, że to sławny Don Kichot z La Manczy, zwany inaczej Rycerzem Posępnego Oblicza.

– Powiem – zgodził się potulnie licencjat i żwawo odjechał, nie całkiem jeszcze zapewne wyzbyty trwogi, jaką napawało go tak bliskie obcowanie z wiedzionym przez natchnienie i powołanie śmiałkiem.

– Skąd ci przyszło na myśl – zapytał wówczas giermka Don Kichot – nadać mi taki niezwykły przydomek? I owszem, nie wydaje mi się źle brzmiący, ale skąd to do ciebie?

– Po prostu przyjrzałem się wam, panie, przy świetle pochodni – wyjaśnił skromnie Sanczo Pansa.

– Chcesz powiedzieć, że przydomek mam wypisany na twarzy? Nie, Sanczo, jestem przekonany, że to wyższe siły, kierujące naszymi krokami na tym padole, podszepnęły ci imię, pod którym będę odtąd występował stając do boju. Wymaluję nawet Posępne Oblicze na tarczy, aby nikt z przeciwników moich nie miał wątpliwości, komu ulega.

– Na to malowanie szkoda czasu i pieniędzy – obstawał Sanczo – bo wystarczy, żeby kto spotkał pana, bez tych zębów, a zwłaszcza po takim poście jak dzisiaj, i chyba oczu musiałby nie mieć, jakby się omylił. A teraz, wasza mizerność, pospieszajmy, bo tamtym, co pierzchli, odwidzi się jeszcze i powrócą zrobić z nami porządek.

Don Kichot nie sprzeciwiał się; możliwe, że wspomnienie o poście i przeczucie napełnienia wreszcie żołądka dyktowało mu tę zgodliwość. Ruszyli tedy obaj i pozostawiając za plecami pole zwycięskiej bitwy wjechali niebawem w rozległą i osłoniętą zewsząd dolinę. Tu zsiedli z wierzchowców i wyprawili sobie ucztę, korzystając z tego, co Sanczo odkryć potrafił w tobołach towarzyszących zmarłemu duchownych osób. Nie mieli tylko nic do picia: czy to że wino znajdowało się w innych tobołach, których Sanczo nie znalazł, czy żałobnicy, choć w to trudno uwierzyć, nie używali w ogóle takich napojów, dość że teraz posilających się rycerza i giermka nękało pragnienie, a nie mieli go czym ukoić.

– Panie mój – powiedział rozglądając się Sanczo – te wilgotne łąki świadczą niezawodnie, że w pobliżu musi być, choć nie wino, to jakaś woda. Czy nie spróbowalibyśmy jej odszukać?

Don Kichot i na to się zgodził, syty bowiem już nie tylko chwały bitewnej, ale i spożytego przed chwilą jadła, tym bardziej czuł się spragniony.

Poprzez otaczającą ich ciągle ciemność poszli przeto, prowadząc za wodze konia i osła, w stronę, gdzie spodziewali się zwilżyć wargi. I w rzeczy samej, ledwie uszli ze dwieście kroków, usłyszeli więcej nawet niż potok – bo triumfalny szum wodospadu.

Rozdział dziewiętnasty, w którym rozlegają się różne, bardziej lub mniej tajemnicze dźwięki

A to się dopiero napiją! A to sobie zaraz wypiją, popiją, będą pić a pić ten rozkoszny trunek – wodę czystą, przezroczystą, pryskającą im w oczy i parskającą, wargi najpierw zwilżą spieczone, gardło suche orzeźwią, potem przełyk do wilgoci ślący westchnienia – nie ze źródła, co ciurka, nie z potoczku, co po kamykach szemrze, ani nawet z rzeki, co falą pluszcze – wodospadu ulewnego światłą kroplistość spijać będą spragnionymi ustami, aż poczują, że dość, że do głębi już są wodą zroszeni jak grenadzkie bujne ogrody, wtedy wytchną i na łące legną zielonej...

– Panie mój – z niepokojem w głosie odezwał się raptem Sanczo Pansa – czy słyszycie te inne dźwięki?

– Słyszę – potwierdził Don Kichot. – Więc i ty je słyszysz? To nie zmysłów mych omam, nowej wypatrujących przygody?

Zatrzymali się, wsłuchani – Don Kichot z nadzieją, Sanczo Pansa z trwogą niezmierną – w noc, z której czeluści wraz z szumem wodospadu dziwny jakiś stukot dobiegał, szczęk żelastwa miarowy, brzęk łańcuchów jakby czy kajdan ciężkich.

– Teraz to już ani chybi zjawy piekielne – drżąc na całym ciele, wyszeptał Sanczo.

– Zmierzymy się z nimi! – wykrzyknął Don Kichot, którego nigdy nie opuszczała odwaga, i wskoczywszy na Rosynanta przygotował do boju kopię i tarczę.

– Nie mam nic przeciwko temu, żeby się pan zmierzył z piekielnikami – powiedział Sanczo Pansa – ale rad bym na własne oczy zobaczyć, jaką pan im odmierzy miarę, a po ciemku, dalibóg, nic nie wyślepię. Czy nie dałoby się z tym mierzeniem zaczekać, aż troszeczkę zadnieje?

– Nie mówmy o tym! – stanowczo odsunął pokusę Don Kichot. – Nierycerską rzeczą byłaby taka zwłoka. Ściągnij, przyjacielu, popręgi Rosynantowi i zostań z Bogiem. Jeśli do trzech dni nie wrócę, dłużej na mnie nie czekaj i do pani mej Dulcynei z Toboso podąż, z wiadomością żałobną i chwały pełną, iż niewolnik jej najpiękniejszych oczu, jak przystało, w walce z wrogiem przemożnym zginął.

Zrozumiawszy, że nic nie wskóra dyskusją, Sanczo postanowił uciec się do podstępu, by przynajmniej do rana zatrzymać niezłomnego rycerza. Gdy nachylił się tedy, aby zgodnie z rozkazem poprawić Rosynantowi popręgi, ukradkiem spętał uzdą swojego osła nogi rycerskiego rumaka. Nie da się ukryć, był to czyn zuchwały, ale do jakiego zuchwalstwa nie

skłoni człowieka trwoga? I udało mu się: gdy bowiem waleczny nasz jeździec, nie zdając sobie sprawy z Sanczowego figla, usiłował ruszyć z kopyta, koń zatoczył się tylko i stanął jak wrośnięty w ziemię, i nie pomagało spinanie go ostrogami ani żadne inne zachęty. Rad nierad, zdecydował się Don Kichot czekać świtania, które zdejmie z Rosynanta to, co wziął za nowe czarodziejstwo przeciwników ukrytych w mroku, i pozwoli rycerzowi dokonać pisanych mu czynów. Na dalej jednak idące namowy giermka – aby zsiadł wobec tego z konia i co nieco przespał się na murawie – już nie przystał, bo nawet gdy z tajemnych przyczyn nie może kroku postąpić, tylko czuwanie w siodle godne jest bohatera. Sanczo, niezmiennie przerażony rozlegającym się nadal metalicznym łomotem, nie miał już innego wyjścia, jak tylko stanąć u boku jeźdźca, siodła się jego chwycić i przytuleniem policzka do walecznego, choć chudego, Don Kichotowego kolana strach swój tłumić i pokonywać.

W takiej to pomnikowej pozycji parę godzin nocnych spędzili, aż bliżej już świtu, ciągle jednak w ciemnościach nieprzeniknionych, przytrafiło się Sanczowi coś, o czym niektórzy czytelnicy może uważać będą, iż nie wypada tutaj wspominać, a i sam się, prawdę powiedzieć, waham, skoro jednak – myślę – sam mistrz Cervantes, szlachetny przecież, kształcony i obyty w świecie hidalgo, swego czasu całego tego epizodu nie był przemilczał, lecz przeciwnie, opisał ze szczegółami, i ja także powinienem przestać się wzdragać i wyłożyć sprawę tak, jak się miała.

Otóż w pewnym momencie odczuł poczciwy giermek zwykłą, a nieodpartą ludzką potrzebę i to w stopniu, który wykluczał odłożenie rzeczy na później. Jednocześnie wszakże nie opuścił go ani trochę lęk przed łomocącym i szczękającym w mroku żelastwem, nie odważył się więc ani o pół kroku oddalić od swego pana. Rozdzierany sprzecznością pomiędzy potrzebą fizyczną a koniecznością duchową, pogodził obie w ten sposób, że jedną ręką trzymając się nadal siodła, drugą spuścił pantalony i podciągnął koszulę, po czym wypiął na wiatr swe pokaźne pośladki i przystąpił do nieodzownej czynności.

– Cóż to za dźwięki? – zapytał z wysokości siodła Don Kichot. – Nie mam na myśli szumu wody i zgrzytania żelastwa, lecz coś całkiem nowego.

– Nie wiem, panie – odparł pokornie Sanczo Pansa – ale chyba nic dobrego, gdyż przygody i nieszczęścia nigdy same nie chodzą.

– Hm – powiedział Don Kichot – a wiesz może, cóż to za zapachy?

– Nie wiem, panie – powtórzył Sanczo Pansa jeszcze pokorniejszym głosem.

– Zdaje mi się wszelako – rzekł rycerz, ściskając nos dwoma palcami – że zbyt wielki strach cię obleciał.

– Obleciał mnie – przyznał giermek – ale po czym to poznać teraz bardziej niż przedtem?

– Po twoim braku szacunku dla mnie – powiedział rycerz, ciągle zatykając sobie nos.

– Naprawdę spotyka mnie niesłuszne podejrzenie – zaprotestował Sanczo Pansa, jedną ręką wciąż trzymając się siodła, drugą zaś podciągając pantalony i opuszczając koszulę. Uczyniwszy to, poczuł się pewniej, powtórzył przeto mocniejszym głosem: – Niesłuszne podejrzenie, naprawdę.

Na to już Don Kichot nie odpowiedział.

Kiedy zaczęło się rozwidniać, giermek cichaczem rozpętał Rosynanta, a ten jął przestępować z nogi na nogę, co jeździec przyjął za oznakę rozpraszania się nocnych czarów. Niebawem dzień się zrobił zupełny i obaj wędrowcy dostrzegli, że znajdują się w przepięknej okolicy, pośród bujnych łęgów, drzew rozłożystych – były to kasztanowce, cieniem szafujące gościnnie – i pagórków spokojnych, miłych dla oka. Nawet Sancza trwożliwego część lęków opuściła w tym krajobrazie, nie do końca wszakże, bowiem łomot tajemniczy, mimo dnia białego, wciąż nie ustawał.

– Naprzód tedy! – zawołał uradowany Don Kichot i spinając Rosynanta ostrogami, pognał prosto w stronę łomotu.

– Nie zostawiajcie mnie, panie! –załkał Sanczo i pieszo, prowadząc osła za uzdę, pośpieszył za oddalającym się rycerzem.

Zarówno szum wody, jak miarowy szczęk żelaza, narastał i wzmagał się z każdym ich krokiem – aż znaleźli się w kotlinie, u podnóża skał, z których w dół ku strumieniowi pieniąc się, cwałował wielki wodospad. Nad strumieniem stały jakieś dosyć liche chałupy i to spomiędzy nich dochodził ów przerażający łomot. Don Kichot nie zatrzymał się, więc i Sanczo Pansa z duszą na ramieniu posuwał się za nim, bacznie wypatrując, co też za potwory wyjdą im za chwilę naprzeciw. I raptem... nie, tego nie potrafię opisać, jak śmiał się, rechotał, boki zrywał, pękał ze śmiechu Sanczo Pansa wpatrzony w sześć stęporów folusza, które wodą poruszane uderzały miarowo, czyniąc ów przeraźliwy łoskot! Don Kichot zasępił się w pierwszej chwili i karcącym spojrzeniem obrzucił giermka, ale wnet zaraził się jego wesołością i też śmiechem parsknął, opuszczając kopię i tarczę.

Ale, ale – wiecie aby, co to takiego folusz? To urządzenie służące w dawniejszych czasach, nie tylko w Hiszpanii, ale i u nas w Polsce, do wałkowania, filcowania po zdjęciu z krosien zgrzebnej tkaniny, aby znikła jej rozczochrana kosmatość, przeistaczając się w zbitą, ścisłą powierzchnię. No więc takie właśnie urządzenie, dzień i noc pracujące, napotkali w swej drodze Don Kichot i Sanczo Pansa – i jakże mieli się nie śmiać, porównując je ze swoimi przywidzeniami!

– Co, Sanczo – kpił Don Kichot – powiadasz, że to zjawy piekielne?

– Zmierzymy się z nimi! Idź, Sanczo, powiedz nadobnej Dulcynei, że jej miłośnik w walce z wrogiem przemożnym zginął! – nie pozostając mu dłużny, przedrzeźniał giermek.

Rycerz sposępniał.

– Zdaje się, przyjacielu – rzekł – że znów zanadto sobie pozwalasz.

– To ze szczęścia – wyjaśnił Sanczo – że oczy waszej oczywistości widzą tyle samo, co ja, usta zaś waszej ustawiczności nie twierdzą, iż to olbrzymy, na które każe wam się rzucić honor rycerski.

– Możesz być pewny – powiedział Don Kichot – że jeśli tych sześć stęporów zamieni się za sprawą diabelską w sześciu wielkoludów, to nie cofnę się i przed nimi, choćbyś mnie nie wiem jak powstrzymywał!

– Jestem pewny – zgodził się giermek – ale póki się nie zamieniły, wolę mimo wszystko śmiać się ze strachu, jakiego nam, chciałem powiedzieć – mnie, napędziły, niż opłakiwać was, gdybyście zginęli rzucając się na nie!

– Śmiechu ci nie wzbraniam – oświadczył Don Kichot – ale nikomu nie opowiadaj, co nas spotkało, bo nie każdy zrozumie to jak należy.

– Toć rozumiem, że taką przygodę trza zachować dla siebie – przyznał Sanczo Pansa. – A teraz może byśmy się napili tej szumiącej wody?

I na tym też stanęło.

Rozdział dwudziesty, w którym kropi deszcz i świeci słońce, odbijając się w hełmie Mambrina, a może w czym innym

Ledwie nachylili się do wody, inna woda z wysokości nachyliła się do nich, postać deszczu przybierając i kropiąc nie zanadto rzęsiście, ale wystarczająco, by to poczuli. Myślą Sancza było schronienie się do foluszów, Don Kichot jednak za szyderstwo, na jakie nocą pozwoliły sobie względem niego pożyteczne te urządzenia, takiej nabrał do nich odrazy, że żadną miarą nie chciał korzystać z ich gościnności. Mimo deszczu ruszyli przeto znowu w drogę, nie tam się wszakże kierując, skąd wczoraj przybyli, tylko całkiem gdzie indziej.

W tym samym czasie ten sam deszcz na tej samej drodze złapał innego jeźdźca, cyrulika mianowicie z okolicznej wioski, zdążającego do drugiej wsi, jeszcze niniejszej od tej, w której mieszkał, i nie posiadającej własnego cyrulika do świadczenia usług ludności. Główne usługi, świadczone w owych czasach przez cyrulików, były dwie: golenie zdrowych i puszczanie krwi chorym. Ten cyrulik, o którym mowa, golił brody oraz puszczał krew tak w swojej wiosce, jak i w tej drugiej, udając się do niej w tym celu co jakiś czas na szarym ośle i przy boku mając wszystko co trzeba, z lśniącą miską miedzianą na czele.

Kiedy zaczęło padać, miska znalazła się nie na czele, ale na czole i na całej głowie cyrulika, by osłonić go przed mokrością. Tak jechał, zadowolony z pomysłu, ani przeczuwając, jakie ściąga na siebie niebezpieczeństwo ze strony jadącego z przeciwka Don Kichota.

Zapałów zaś Donkichotowych nawet deszcz nie ochłodził; i ledwie rycerz nasz dojrzał cyrulika z nasadzoną na łeb miednicą, triumfalnie wskazał giermkowi:

– Popatrz, Sanczo, słusznie rzecze przysłowie, że gdzie jedne drzwi się zamykają, otwierają się drugie.

– Jakie drzwi? – nieufnie zapytał Sanczo.

– Wrota cudownej przygody – wyjaśnił Don Kichot. – Oto wszak na siwojabłkowitym rumaku zbliża się ku nam rycerz niewiadomego imienia w złotym hełmie Mambrina na głowie. Mówiłem ci już chyba o tym zaczarowanym hełmie, chroniącym właściciela od ciosów, a zdobytym swego czasu przez Rynałta z Montalbanu na królu mauretańskim Mambrinie? Teraz na mnie przyszła kolej, by na obecnym jego właścicielu ów hełm odwojować.

– Jakże to można uczynić – zwątpił Sanczo – skoro hełm ten, jak powiadacie, chroni właściciela od ciosów? Zresztą mnie się widzi, że ten człek, jadący z przeciwka, za przeproszeniem, na szarym ośle, wcale nie hełm, tylko inne jakieś naczynie dźwiga na głowie.

– Milcz, niedowiarku – rozsierdził się Don Kichot i odwracając się od Sancza natarł z nastawioną kopią na zbliżającego się cyrulika. Wołał przy tym:

– Oddaj dobrowolnie, coś mi winien, albo giń, nędzniku!

Cyrulik nie zdążył nawet wybrać pomiędzy tymi dwiema ewentualnościami ani na wszelki wypadek poinformować się, co też winien jest rycerzowi, kiedy już, choć kopią nie tknięty, znalazł się na ziemi, a jego błyszcząca miednica obok. Ciągle nie wdając się w rozważania i dociekania, co i z jakiej przyczyny go tu spotyka, zerwał się i umykać zaczął przed siebie.

Deszcz akurat ustał; zza chmur wyszło słońce i promienie jego odbiły się w leżącym na drodze złotym hełmie Mambrina. Sanczo podniósł naczynie i obmacując je starannie, mówił:

– Przednia miedź, w samej rzeczy, i obrobiona jak należy, a ja, głupi, nie myślałem, że trafi się panu taka gratka. Proszę – i podał miednicę Don Kichotowi.

Ten, wsadziwszy sobie natychmiast lśniącą zdobycz na głowę, poczuł, że kształt i rozmiary hełmu nie całkiem są takie, jak być powinny, jął więc kręcić to potylicą w misce, to miską na potylicy, żeby jakoś się dopasować, ale wszystko na próżno.

– Olbrzymi łeb musiał mieć ten poganin – stwierdził w końcu z przykrością – a najgorsze, że choć czegoś tu jakby za dużo, to i czegoś też brak zarazem w hełmie Mambrina.

Sanczo, który zbadał już przecież dokładnie, co to za hełm, parsknął śmiechem i od razu urwał pod karcącym spojrzeniem swego pana.

– Z czego się śmiejesz, Sanczo? – zapytał Don Kichot.

– Z łba tego poganina – wyjaśnił skwapliwie giermek. – A to ci łebski był drań faktycznie, że hełm nosił jak, nie przymierzając, miednica cyrulika!

– Myślę – wyjaśnił Don Kichot – że hełm Mambrina musiał trafić już od tego czasu w jakieś niedobre ręce. Głupi jakiś człek, nieświadomy i chciwy, zmiarkowawszy, iż to czyste złoto, a wznioślejszej wartości hełmu nie dostrzegając, stopił część dla zysku, z reszty zaś zrobił to, co przypomina ci miednicę. Ale nic to! W pierwszej napotkanej kuźni każę przywrócić hełmowi kształt należyty, do tego zaś czasu będę go nosił tak jak jest, bo założę się, że choć zniekształcony, hełm Mambrina potrafi mnie jeszcze uchronić przed ciosem.

– Pewnie – zgodził się Sanczo Pansa – byle to nie były kamienie z procy, jak w tej bitwie dwóch wojsk, kiedy to stracił pan zęby i blaszankę z cudotwórczym balsamem.

– Utratą balsamu Fierabrasa nie musisz się martwić – powiedział Don Kichot – ponieważ receptę mam wyrytą w pamięci.

– Nie martwię się – odparł Sanczo, niechcący dając do zrozumienia, że właściwie nigdy (wyjąwszy może pierwszy moment, gdy się o nim dowiedział) nie był entuzjastą balsamu, który i jemu wyrył się w pamięci, nie w postaci recepty wszakże, lecz w całkiem innej. Urywając zaś w tym miejscu, nasz mędrek czynił jakby aluzję, iż w podobnym stopniu, jak czarom balsamu Fierabrasa, ufa też pomocy hełmu Mambrina.

Don Kichot zaopatrzony był na szczęście w tak godziwe zapasy własnej ufności, iż niegodziwej nieufności giermka swego potrafił zgoła nie zauważyć.

Nie zauważył również, iż Sanczo w trakcie tej całej częściowo teoretycznej dyskusji nie zaniedbał i praktyki, a mianowicie, nim pozwolił osłu cyrulika pobiec truchtem w ślad za umykającym panem, zdjął zeń piękną nową uprząż i do własnego osiołka ją przystosował, wyrzucając starą i połataną.

Rozdział dwudziesty pierwszy, w którym Don Kichot wchodzi w konflikt ze sprawiedliwością królewską, a także z niewdzięcznością tych, których przed ową sprawiedliwością ocalił

Na zauważenie zasłużyło zresztą niebawem coś o wiele zauważalniejszego i dla giermka, i dla rycerza.

Najsamprzód brzęk łańcuchów usłyszeli, jak nocy minionej, i w pierwszej chwili nie oparli się nawet wrażeniu, że – stało się! – to stępory folusza ożyły i poboczami prześcignąwszy poszukiwaczy przygody, zachodzą im teraz drogę w postaci owych olbrzymów, nie tak dawno malowanych przez wyobraźnię. Nie zdążył jednak struchleć naprawdę Sanczo Pansa ani zapału bitewnego wzniecić w sobie Don Kichot, kiedy podniósłszy oczy całkiem inny ujrzeli widok.

Posuwał się oto z przeciwka jakby długi robak żelazny: z tuzin mężczyzn na jeden łańcuch nawleczonych za szyję, osobne zaś łańcuchy każdy miał na rękach i nogach. Dozorowali żelaznego robaka dwaj konni i dwaj zbrojni piesi po bokach.

– To więźniów – domyślił się Sanczo Pansa – przez sąd królewski skazanych, na galery prowadzą.

– Chcesz powiedzieć – zdumiał się Don Kichot – że Jego Królewska Mość tym tu ludziom przyrodzoną wolność odebrał?

– Wcale tego nie chcę powiedzieć – zaprzeczył Sanczo – widzi mi się tylko, że ci ludzie w królewskich kajdanach na królewskich galerach pod królewskim batogiem będą służyli.

– Potwierdzasz więc – rzekł Don Kichot – że nie dobra wola, lecz przymus nimi kieruje.

– Z dobrej woli robiliby co innego.

– Spełnię tedy swoją powinność: przeciwstawię się przemocy i wesprę skrzywdzonych.

– Tym sposobem zderzycie się, panie, z królewską sprawiedliwością i, przebóg, żaden złoty hełm was nie uchroni przed guzem.

Don Kichot nie słuchał jednak przestróg Sancza Pansy; cóż, znamy go już przecież na tyle, że mogliśmy to z góry przewidzieć; ale co dalej wyniknie z jego upartej chęci pełnienia powinności rycerskiej, tym razem mającej się zderzyć nie z łotrostwem karczmarzy i grubiaństwem mulników, nie z rogami też baranów i skrzydłami wiatraków, lecz z samą, strach pomyśleć, sprawiedliwością królewską, nie, tego przewidzieć niepodobna i nie warto

nawet próbować; lepiej spokojnie śledzić bieg wypadków i pokładać w Bogu nadzieję, że i po tym zderzeniu rycerz, choć obolały, znów się dźwignie z upadku.

– Czy wolno wiedzieć – uprzejmie zapytał Don Kichot mijających go właśnie konnych strażników – dokąd i po co prowadzicie tych dobrych ludzi ?

Strażnicy nie zdradzali zbyt wielkiej chętki do rozmowy; potwierdzili jedynie domniemanie Sancza, że dobrzy ludzie, których prowadzą, z wyroku sądu królewskiego udają się na galery; co się zaś win i występków każdego z osobna tyczy, to proszę, niech sami rycerzowi powiedzą, bo strażników ani to obchodzi, ani im przyjemność sprawia babranie się w czyichś tam bezeceństwach; a te szelmy, i owszem, wcale się nie wstydzą o wyczynach swoich rozprawiać.

– Powiedz, za co tak pokutujesz, dobry człowiecze – zapytał Don Kichot pierwszego z brzegu młodego galernika.

– Za to, żem się zakochał, łaskawy panie – odparł, wzdychając, zagadnięty.

– Czy być może? Za taką winę ja sam powinienem całe życie przy wiosłach spędzić! Cóż, dla pani mej, Dulcynei, gotów jestem...

– Ten tu – przerwał mu strażnik – nie w żadnej pani się zakochał, tylko w koszu z bielizną, który tak namiętnie obejmował, że dopiero policja wydarła przedmiot miłości z jego objęć.

Don Kichot puścił komentarz strażnika mimo uszu i zwrócił się ze swoim zapytaniem do drugiego galernika. Ten milczał, lecz wyręczył go znowu pierwszy:

– On śpiewał, proszę pana, to wszystko.

– Więc i śpiew już jest zakazany!

– Śpiewać – wtrącił się strażnik – to w języku tych ludzi znaczy wyznawać, jak się rzecz miała, kiedy sąd ich bierze na spytki. Ten tu wyśpiewał, ile sztuk bydła gdzie i kiedy wyprowadził z cudzej obory, i za to też został skazany. Koledzy obwiesie nie szanują śpiewaków, twierdząc, że to głupio własnemu językowi zawdzięczać wyrok.

– Mają rację – mruknął Saruczo Pansa, jego pan zaś, po cierpiących za namiętność miłosną i śpiew, zwrócił się z tym samym pytaniem do trzeciego z kolei więźnia.

– Ja – wyjaśnił ten – idę na galery, bo zabrakło mi dziesięciu dukatów.

– Więc za brak pieniędzy, który sam przez się wielkim jest utrapieniem, brakiem wolności jeszcze się karze!

– No pewnie, bo gdyby mi nie zabrakło tych brzękadeł, ubrałbym w nie moje grzechy, ciesząc oczy i uszy trybunału, a trybunał mnie by też potrafił wzajem ucieszyć. A tak grzechy moje, mniejsza o to, jakie, gołe drżały w sali sądowej...

Takie i inne rozmówki toczył Don Kichot po kolei z galernikami, aż trafił na silnego mężczyznę, którego każde oko w inną patrzyło stronę, ruchy zaś bardziej od pozostałych miał skrępowane, ponieważ na niego samego więcej przypadało łańcuchów, prętów żelaznych i kłódek niż na wszystkich jego kompanów razem wziętych. Zdziwiony Don Kichot zapytał, czemu by przypisać to wyróżnienie, na co strażnik odparł, iż człowiek, którego widzi, sam jeden więcej ma na sumieniu niż cała reszta, a ponadto tyle w nim zuchwałości, z której mimo sądu oraz wyroku nic nie utracił, że nawet w takim opakowaniu gotów się wywinąć sprawiedliwości.

Wysłuchawszy tych wyjaśnień, Don Kichot ze współczuciem odezwał się do galernika, pytając, jak też się nazywa i za co tak cierpi.

– Nie poznaliście, panie? – wykrzyknął strażnik. –Toć to słynny Gines de Pasamonte, inaczej zwany Ginesillo Krzywe Oczko. Nie pierwszy raz na galery wędruje, ale widać polubił je za poprzednim razem, skoro znów na nie trafił.

– Wolnego, panie strażniku – ponuro rzekł galernik – co lubię, a czego nie lubię, powiem przy lepszej okazji, a nazywam się faktycznie Gines de Pasamonte i kto myśli, że ma prawo inaczej mnie zwać lub przezywać, temu zwykłem te pomysły wpychać do gardła. Wy zaś,

mości rycerzu, jeżeli macie coś dla nas w zanadrzu, dawajcie żwawo i żegnajcie, a jeżeli nie macie, to też żegnajcie, bo nudne już się robią te wasze wypytywania.

– Bezczelnie gadasz, Ginesillo! – zdenerwował się strażnik. – Zaraz dostaniesz nauczkę – i podniósł w górę laskę. Nie zdążył jednak opuścić jej na zbója, ponieważ Don Kichot zagrodził mu drogę, prosząc, by wybaczył nieszczęsnemu swobodę języka, często przecież właściwą temu, kto ręce i nogi ma skrępowane.

Od tego jakże słusznego zdania rozpoczął nasz bohater jedno z bardzo ważnych swoich przemówień – ważnych, dodam, niezależnie od tego, jakie po chwili pociągnęło za sobą skutki – i zasługujących może, by słowo w słowo powtórzyć je tutaj za Cervantesem – skoro całą wszelako resztę nie słowo w słowo, lecz własnymi słowami, dbając, by z treści najistotniejszej nic nie uronić, na inną przecież, nowszą nieco i zwięźlejszą modłę wysławiam, przyjdzie mi i tutaj od zasady mej nie odstąpić. Zwracając się tedy do galerników i do ich eskorty, rzekł Don Kichot (moimi słowami, jego myśli starającymi się służyć po wiekach) co następuje:

– Widzę, bracia, że będąc, być może, winnymi różnych przeciw bliźnim występków, nie za nie bynajmniej pokutujecie, lecz za inne okoliczności, jak to: opieszałość w porzuceniu rzeczy zbyt pożądanej, uległość języka, zachęcanego do rozwiązania się przez wzięte na tortury ciało, brak pieniędzy na złagodzenie sędziów, fizjonomia nie budząca sympatii i tym podobne. Z okoliczności tych wynika, że nie wymierzono wam prawdziwej sprawiedliwości, lecz jedynie przemoc zatriumfowała nad wami, co z kolei mnie, jako błędnego rycerza, obliguje do wzięcia was w obronę. Panowie strażnicy! Proszę po dobroci: zdejmijcie z tych ludzi kajdany i pozwólcie im iść dokąd wola. Jak przed chwilą dowiodłem, sprawiedliwość, która ich w wasze ręce oddała, daleką jest od doskonałości. Dodam, że nie godzi się człowiekowi brać w niewolę innych ludzi, jak on wolnymi stworzonych przez Boga i naturę. Jeszcze dodam, że wam, jak tuszę, ci ludzie nic złego nie uczynili. Jeśli tacy są lub owacy, Bóg na niebie nagrodzi ich za dobre, a za złe niechybnie ukarze – i po cóż inni ludzie, nie lepsi, być może, szczęśliwsi jeno od tamtych, mają, nic w tym nie mając, być ich katami? Poniechajcie ich – proszę z wielką pokorą, i podziękuję wam, jeśli mą prośbę spełnicie. Jeślibyście jednak mieli nie wysłuchać mnie dobrowolnie, to, jakem Rycerz Posępnego Oblicza, uczynicie to przymuszeni!

– A to dobre! – wykrzyknął starszy strażnik. – Mamy wypuścić więźniów królewskich na rozkaz jakiegoś błazna w misce na głowie! Dosyć zmitrężyliśmy czasu, słuchając jego banialuk, a teraz w drogę, a wy w swoją drogę, panie zwący się Kawaler Kwaśnej Gęby czy jak tam!

I dał znak żelaznemu robakowi, że ma wić się dalej w szczęku swoim i poniżeniu, zanim jednak robak poruszył się znów na piasku, Don Kichot rzucił się gwałtownie na strażnika, zranił go wystawioną do przodu kopią i powalił na ziemię. Pozostali słudzy niedoskonałej sprawiedliwości królewskiej osłupieli na chwilę, szybko jednak opamiętali się i natarli na Don Kichota, co mimo jego przewagi duchowej źle się mogło skończyć ze względu na ich przewagę liczebną, ale tu równie szybko nowe jeszcze zaszły wypadki, galernicy mianowicie, widząc co się święci, rwać zaczęli swój długi łańcuch, na co strażnicy porzucili Don Kichota i pomknęli ku galernikom, by im przeszkodzić. Don Kichot – za strażnikami, atakując bez pardonu, Sanczo Pansa – na pomoc Ginesowi de Pasamonte, który dzięki niemu i własnej zręczności, choć przed chwilą najsrożej zakuty, teraz pierwszy zrzucił z siebie wszystkie łańcuchy, pręty żelazne i kłódki, i dopadłszy powalonego przez Don Kichota starszego strażnika, rozbroił go z muszkietu i szpady. Widząc, że szala bitwy tak wyraźnie przechyla się na niekorzyść pożałowania godnej królewskiej sprawiedliwości, jeden za drugim słudzy jej pierzchać w pole poczęli, nie gonieni zresztą przez galerników, już co do jednego uwolnionych od łańcucha, tak niedawno czyniącego z nich człony bezwolne żelaznego

robaka, obecnie zaś nieruchomo leżącego w pyle jak umarła powłoka czegoś, czym już nie jest ani nie będzie.

– Niech żyje nasz wyzwoliciel! – dźwięcznym głosem zawołał ten, który był śpiewał na sądzie.

– Niech żyje! – podchwycili inni, głosami rozmaitymi, lecz najczęściej zdartymi i chrapliwymi.

– Panowie – powiedział Don Kichot – miło mi słyszeć te wyrazy wdzięczności, ale tym, czego się po waszej wdzięczności spodziewam, jest dopełnienie wiadomego rycerskiego zwyczaju.

– To znaczy co ? – nieufnie zapytał ten, któremu zabrakło dziesięciu dukatów, by ucieszyć trybunał.

– Oto jaka jest moja wola – oznajmił Don Kichot, obrzucając całą hałastrę dumnym spojrzeniem. – Obciążeni łańcuchem, od którego was wyzwoliłem, udacie się natychmiast do sławnej miejscowości Toboso, gdzie staniecie przed słodkim obliczem damy mojego serca, najpiękniejszej, i najcnotliwszej pani Dulcynei z Toboso, i powiecie, że to ja was przysyłam. Powtórzycie jej, co zaszło na tej drodze, jak spotkałem was w opłakanym stanie, co następnie powiedziałem i co uczyniłem, by was skutecznie wyzwolić. Dopełniwszy tego obowiązku, pokłonicie się mojej pani i z czystym sumieniem udacie się, dokąd sobie życzycie.

W gromadzie wyzwolonych galerników szmer się zrobił, uciszony zaraz przez Ginesa de Pasamonte, który podniósł rękę i odpowiedział w imieniu wszystkich:

– Panie rycerzu, macie niewątpliwie słuszność, iż z wdzięczności za oswobodzenie powinniśmy dopełnić rycerskiego zwyczaju i obowiązku, udając się z tym oto łańcuchem jako symbolem minionego naszego opłakanego stanu do najpiękniejszej i najcnotliwszej pani Dulcynei z Toboso celem pokłonienia jej się i opowiedzenia wszystkiego, co tutaj zaszło. Cała bieda, że nijak nie możemy tego uczynić, ponieważ chodzenie kupą po królewskich drogach zagraża nam trafieniem z powrotem na królewskie galery, o co postara się poszukująca nas już, jak mniemam, Santa Hermandad. Pozwolicie tedy, wasza łagodność, iż nie udamy się tam, gdzie każecie, lecz rozejdziemy się, każdy z osobna, na wszystkie strony, w zamian zaś za niedopełniony zwyczaj i obowiązek rycerski każdy z nas odmówi na intencję waszej przygodności pewną liczbę zdrowasiek.

Tak prawił zuchwały przestępca Gines de Pasamonte, niby to serio, w rzeczywistości wszakże dworując sobie z Don Kichota, którego miał za niespełna rozumu, któż bowiem przy zdrowych zmysłach obdarzyłby ni stąd ni zowąd wolnością jego i jego godnych kamratów? Im dłużej aliści prawił, tym większy gniew ogarniał rycerza, aż pod koniec, gdy do zdrowasiek doszło, ogarnięty gniewem jak pożarem, Don Kichot zawołał:

– Ach ty, taki synu, Ginesillo Krzywe Oczko, ośmielasz mi się sprzeciwiać? A ja ci mówię, że masz iść gdzie ci mówię, z tym co ci mówię, i uczynić to co ci mówię, a kamraci twoi wraz z tobą!

Nie wdając się w dalsze dyskusje, choć z pewnością podrażniony użyciem przez Don Kichota przydomka, którego nie lubił, Gines mrugnął na towarzyszy, a ci, odsunąwszy się nieco, obrzucili rycerza kamieniami i najplugawszymi wyzwiskami w równej chyba ilości, z tym, że kamienie jak gdyby gęściej trafiały, bębniąc po tarczy, zbroi i złocistym hełmie Mambrina. Po chwili runął z konia, a wówczas poskoczył doń ów, który się zakochał, i zerwawszy miednicę z głowy, tak nią trzasnął o ziemię, że o mało się nie rozleciała w kawałki. Prześcigając się w gorliwości, galernicy zdarli z rycerza, a przy okazji i z Bogu ducha winnego Sancza, co lepsze sztuki odzienia i nie krępując się ich obecnością podzielili się łupem. Dopiero dokonawszy tego leżącego w ich zwyczaju łotrostwa, przypomnieli sobie znów o Świętym Bractwie i rozeszli się, gdzie który mniemał, że najlepiej się przed nim skryje, zostawiając obdartych swoich dobrodziejów – Sancza też drżącego ze strachu przed Santa Hermandad, której tak nieopatrznie się naraził wraz ze swym panem, Don Kichota zaś

zdumionego i zasmuconego niewypowiedzianie, że skrzywdzili go właśnie ci, którym tak się przysłużył – oraz w nieco mniejszym stopniu, że w decydującej chwili nie dopomógł mu leżący teraz w prochu, pogięty i zbezczeszczony hełm Mambrina.

Ginesillo Krzywe Oczko powrócił zresztą jeszcze po półgodzinie, ale tylko po to, żeby, nie bacząc na błagania Sancza, zabrać mu szarego osiołka z nową uprzężą, dosiąść go i skryć się w górskiej szczelinie.

Rozdział dwudziesty drugi, w którym Don Kichot głośno rozpacza, nie z tej wszakże przyczyny, którą, za przykładem Sancza Pansy, bylibyśmy podejrzewali

Zgnębieni tym, co ich spotkało, nie mieli przecież nasi bohaterowie nic lepszego do roboty, jak ruszyć dalej w głąb gór coraz dzikszych i posępniejszych. Don Kichot ściskał chudymi kolanami chude boki Rosynanta, wspaniałego rumaka, który, chwała Bogu, nie znęcił jednak rabusiów, Sanczo Pansa zaś człapał za nim, dźwigając na plecach juki, których Ginesillo w pośpiechu nie zabrał. Grubas jęczał przy tym i wzdychał, takimi oto czułymi słowy przemawiając do utraconego osiołka:

– O, ziomku mój i sąsiedzie spod jednego dachu, już cię nie ma, już nigdy do mnie nie wrócisz! O, zabawko moich dzieci, słuchaczu cierpliwy mojej żony, ojcze przyszłych nie narodzonych oślątek, pomocniku mych prac i żywicielu całej rodziny, już cię nie zobaczą moje oczy stęsknione, pięty nie pogładzą twojego brzucha, kij przyjazny nie dotknie grzbietu!

– Uspokój się, Sanczo! – powiedział Don Kichot. – Wielka jest twoja strata, ale wynagrodzę ci ją z całego serca. Pięć osłów zostawiłem był w domu i trzy z nich będą twoje. Dostaniesz ode mnie przekaz własnoręczny, by ci je wydano co do jednego.

Ta obietnica rzeczywiście uspokoiła i pocieszyła Sancza: otarł łzy, przestał wzdychać i wzywać nieobecnego, i podziękował Don Kichotowi za łaskę. Sapać tylko nie przestał, bo juki mu ciążyły, ale do porzucenia ich też nie był, oczywiście, skłonny, jako że tam się mieściły resztki żywności i wszystkiego co mieli.

Zatrzymali się na koniec w jakimś dzikim zakątku między skałami – i tu raptem Don Kichot jęczeć zaczął i wzdychać, przeraźliwiej niż przedtem giermek, a co więcej – drzeć jął na sobie podarte już co prawda odzienie i głową swoją szlachetną, też uszczkniętą przez wcześniejsze ciosy, walić o skałę.

– Uspokójcie się, wasza wytrzymałość! – zawołał zdumiony i przerażony Sanczo Pansa. – Wielka krzywda was spotkała i zaiste niezasłużona, choć można by mniemać, że kto złoczyńcom dobrodziejstwa świadczy, zasługuje na to i owo, ale was uwaga ta nie dotyczy, jedno tylko przypomnę na pocieszenie, że nie pierwszy raz tak poturbowano was i obdarto! Uspokójcie się tedy i nie rozpaczajcie, bo choć nie jestem w mocy was wynagrodzić, z pewnością zostaniecie wynagrodzeni, wierzę w to święcie, bo gdyby miało być inaczej, biada mi – któż prócz was bowiem, panie, mnie z kolei wynagrodzić zechce?

– Głupi jesteś, Sanczo! – niecierpliwie rzucił Don Kichot, na chwilę przerywając swoje miotanie się, jęki i walenie głową o skałę. – Głupi jesteś, jeżeli sądzisz, że o rozpacz przyprawiła mnie ta niefortunna pod pewnym względem przygoda.

– W takim razie co? – rozdziawił gębę jeszcze bardziej zdziwiony giermek.

– Od razu widać, że nie masz pojęcia o sprawach rycerskich i może nawet nie czytałeś ani jednej księgi rycerskiej!

– Pewnie, że nie czytałem, bo, jak wasza księgowość wiecie, nie umiem czytać. Ale czy to być może, iż rozpaczacie przez te księgi, które postradaliście już Bóg wie kiedy, przed początkiem naszej wyprawy?

– Gdybyś znał, jak należy, księgi rycerskie, wiedziałbyś, że słynny Amadis z Galii, najświetniejszy i najdoskonalszy z błędnych rycerzy, skoro wzgardzony został pewnego razu przez damę swego serca Orianę, miłość jego, wierność i stałość do pustelni na Nagiej Skale nieszczęsnego zaprowadziła, by tam cierpiał, rozpaczał i wzdychał nad swoją klęską. Roland znowu, też wielki rycerz, inaczej zwany Orlandem lub Rotolandem, kiedy dowiedział się, że piękna Angelika za jego plecami z Medorem się zadawała, wpadł w szaleństwo z żałości swojej i nuże mścić się na przyrodzie samej: mącić wodę w zdrojach, drzewa z korzeniami wyrywać, powodować w górach lawiny i innych czynów dokonywać, tyleż szalonych, co na nieśmiertelną sławę zasługujących. Nie zdecydowałem się jeszcze, którego z dwu wymienionych rycerzy dokładniej naśladować będę na tym odludziu, ale to pewne, że pokutna moja determinacja godnie uczci tę, której imię dźwięczne przyprawia o drżenie moje serce wiernie stęsknione.

– Ale cóż was skłania, panie, do takich szaleństw ? – zapytał nie bez ciekawości Sanczo Pansa. – Czy otrzymaliście w tych górach wiadomość, nie wiem tylko, jakim sposobem, bo nie zauważyłem tu żadnego posłańca, że wielmożna pani Dulcynea z Toboso wzgardziła wami ni stąd ni zowąd albo, co nie daj Boże, figlowała za waszymi plecami z tym jakimś Medorem?

– Cóż za zasługa – odparł Don Kichot – oszaleć z rozpaczy, mając rzeczywisty ku temu powód? Jeżeli uczynię to bez widoczniejszej przyczyny, wyłącznie przez długotrwałe rozstanie, sycące mój ból miłosny i trwogę, wtedy dopiero pokażę siłę rycerskiego, uczucia! Nie sprzeciwiaj się, Sanczo, lecz pozostaw mnie tutaj w moim stanie żałosnym, sam zaś ruszaj w drogę do pani mej Dulcynei, by doręczyć jej list, który napiszę, i co rychlej wracać z odpowiedzią. Od tego, jaką odpowiedź przyniesiesz, zależeć będzie mój powrót do zmysłów bądź pozostanie na zawsze w mrokach szaleństwa.

Poprzestając na takim wytłumaczeniu giermkowi swojego niezwykłego postępowania oraz zamiarów, Don Kichot znowu jął się swego, to znaczy rozdzierania szat i walenia głową o skały. Wzdychał przy tym i jęczał, przywoływał daleką okrutnicę, by wejrzała na jego męki, Sancza Pansę zaś napominał między jednym szlochem a drugim, by dobrze mu się przyglądał i zapamiętał, co widzi, a to dla zdania sprawy tej, która jest wszystkiego przyczyną.

– Co widzę, to widzę, panie rycerzu – zauważył Sanczo – ale czy nie moglibyście bardziej uważać tłukąc łbem o skały? Gotowa jeszcze zdarzyć się jakaś specjalnie twarda i za jednym zamachem koniec będzie całej pokuty. Jakbyście pozwolili, to, odwrotnie, wyszukam wam miększe miejsce do tłuczenia, a pani Dulcynei słówka o tym nie pisnę, tylko przysięgnę, że skała była twarda jak diament.

– Przepisy rycerskie zabraniają takich wybiegów, mój dobry Sanczo. Muszę walić prawdziwą głową o prawdziwą skałę, a wszystko, co możesz dla mnie zrobić, to zostawić trochę szarpi na opatrunek.

– Dalibóg, nie pojmuję, skoro zgryzota wasza nie jest prawdziwa i to podnosi jeszcze jej cenę, dlaczego skała ma być prawdziwsza od powodu walenia o nią. Ale jak sobie chcecie. Piszcie ten list, panie, i ruszam. Myślę tylko, że kiedy nie mam już mojego osiołka, nie

każecie mi wędrować Bóg wie jak długo piechotą, lecz użyczycie w tym celu Rosynanta, na czas pokuty wcale wam tu niepotrzebnego.

– Niech tak będzie – zgodził się Don Kichot. – Kłopot w tym tylko, że nie mam na czym pisać mojego listu.

– Czy to znaczy też, że nie macie na czym pisać zlecenia w sprawie wydania mi tych trzech osiołków, o których wspominaliście przedtem?

– Na to wygląda, że tym razem nie mylisz się, mój dobry Sanczo. Jedyna rada to ta, że nauczysz się mojego wzniosłego listu na pamięć, a w pierwszej miejscowości, gdzie spotkasz jakiego piśmiennego nauczyciela, on z twojej pamięci przeniesie list pięknymi literami na papier.

– A co z podpisem?

– Podpis ma być: „Dozgonnie Twój Rycerz Posępnego Oblicza". Jeżeli ten bakałarz, o którym mówię, potrafi list cały spisać, to i podpis nie przysporzy mu trudności.

– Wiecie co, panie, najpierw umieśćcie w mojej pamięci ten przekaz na trzy osiołki, a gdy już on się tam usadowi, reszta jakoś zmieści się obok niego.

– Dobrze – skinął głową Don Kichot – zapamiętaj więc: „Polecam łaskawej mej siostrzenicy, iżby za okazaniem niniejszego wydała zasłużonemu giermkowi mojemu Sanczowi Pansie trzy z pięciu ośląt, jakie zostawiłem w domu pod jej opieką". Podpis: „Hidalgo Don Kichot z La Manczy". Powtórz.

Sanczo Pansa powtórzył wszystko bez najmniejszego błędu lub opuszczenia.

– Teraz list – powiedział zadowolony Don Kichot. – Zrobiłeś miejsce w swojej pamięci?

– Zrobiłem.

– „Pani Mojego Serca, Najpiękniejsza, Najszlachetniejsza i Najsłodsza Dulcyneo z Toboso! Jeśli Twe uczucie mną gardzi, Twe współczucie mnie nie dostrzega, Twe przeczucie nie dba o me cierpienie sięgające kresu wytrzymałości – to ach! Nie Tobie biada, Luba Okrutnico i Niewdzięcznico, lecz mnie jedynie i tym dzikim zakątkom, które widzieć muszą moją udrękę, słyszeć głos mego bólu i wystawiać się na ciosy szaleństwa, którego jesteś przyczyną. W Twojej mocy i woli wybawić mnie z tego stanu – lub doszczętnie pogrążyć w jego przepaściach. Jeśli wybierzesz to drugie, żegnam cię na zawsze, aż po kres żywota miłując – Dozgonnie Twój Rycerz Posępnego Oblicza".

– Przepiękne – rzekł Sanczo Pansa. – Chyba nigdy nie słyszałem nic wznioślejszego. Skąd też pan umie tak gładko składać?

– W moim zawodzie i to jest potrzebne – oświadczył mile połechtany uznaniem giermka Don Kichot. – Czy wszystko dobrze zapamiętałeś?

– Wszyściuteńko, nie muszę powtarzać – zapewnił Sanczo Pansa. – A powiedzcież mi, jak odnajdę panią Dulcyneę, gdy przybędę już do Toboso? Bo choć tyle o niej od was słyszałem, tak się składa, żem nie widział nigdy tej wielkiej damy ani też jej domostwa.

– Prawdę rzekłszy – wyjaśnił Don Kichot – to i ja przez dwanaście lat mej miłości. nie widziałem najsłodszej Dulcynei nawet cztery razy. Znajdziesz ją jednak łacno, gdy ci zdradzę, że w Toboso znają ją, być może, pod imieniem Aldonzy córki Lorenza. Bo widzisz...

– Co ? – przerwał mu Sanczo. – Ta Aldonza, którą znam od maleńkości, co ma głos jak dzwonnica, a w rękach taką siłę, że błędnego rycerza w zbroi razem z koniem podniesie, to ma być najsłodsza księżniczka Dulcynea z Toboso? Nie powiem, miła z niej dziewucha, z każdym się pobawi bez ceregieli, ale to, coście wasza wymyślność kiedyś prawili o jej białych licach, to nie całkiem, bo w polu, wiecie, raz na wietrze, raz w słońcu...

– Sanczo – przerwał mu z kolei Don Kichot bardzo surowym tonem – powściągnij swój głupi język, bo jeszcze coś takiego powiesz, że w obronie czci mojej pani będę musiał okrutnie ciebie ukarać!

– Czy ja co mówię? Jestem dla pani Dulcynei z całym szacunkiem i zawiozę jej ten piękny list, choć widzi mi się, że tak samo jak ja nie potrafi czytać.

– To nie ma znaczenia – wzruszył ramionami Don Kichot.

Tak w rozmowie nie pozbawionej napięcia ustaliwszy tożsamość wzniosłej Dulcynei, rycerz z giermkiem rozstali się w dzikim górskim zakątku. Ten pierwszy, odpocząwszy krztynę, jął się znów jak przystało rycerskiej swojej rozpaczy oddawać, ten drugi zaś, ledwie dosiadł Rosynanta, ścisnął jego boki piętami i nie oglądając się, żeby łamańców swego pana nie widzieć, pomknął w kierunku królewskiego gościńca.

Rozdział dwudziesty trzeci, w którym zapowiada się, iż rzeczywistość otaczająca Don Kichota ulegnie nowym przeistoczeniom, tym razem wszakże nie za sprawą jego rycerskiej fantazji, lecz dzięki spiskowi ludzi rozsądnych

Opuszczając tedy na jakiś, niezbyt długi czas Don Kichota i pozostawiając go sam na sam z jego desperacją miłosną, towarzyszyć będziemy Sanczowi, z którym razem po dniu drogi przybędziemy do znanej nam już gospody, tej samej, w której nasz tłuścioch nie tak dawno wzbijał był się wbrew swej woli w powietrze. Tu spotkamy rozliczne znane nam już osoby, nie tylko gospodarza i gospodynię, wraz z córką urodziwą i dziewką służebną, szpetną, ale miłosiernego serca Maritornes, lecz i wcześniej jeszcze poznanych dwóch przyjaciół najserdeczniejszych Don Kichota – proboszcza i balwierza z jego wioski rodzinnej.

Zanim jeszcze Sanczo ich ujrzał – i zanim w ogóle zdecydował się na przestąpienie progu gospody – wahanie zaś jego, po tym, co tu przeżył, nie powinno nikogo dziwić – oni jego ujrzeli i jeden odezwał się do drugiego:

– Księże proboszczu, czy mnie oczy mylą, czy też ten tu na koniu to faktycznie Sanczo Pansa, o którym słychać, że z naszym szaleńcem jako jego podręczny wyruszył?

– Oczy cię nie mylą bynajmniej, a koń, na którym siedzi ten człowiek, to chabeta naszego przyjaciela. Hej, Sanczo Pansa, wszak prawda, że to ty na Donkichotowym wierzchowcu?

Sanczo przybliżył się do wołających i przyznał, że jest sobą, a Rosynant – Rosynantem, nie chciał jedynie wyjawić, w jakiej sprawie i dokąd podąża, jak również – gdzie pozostawił swojego pana.

Mówiąc to, trwożliwie nie przekraczał jeszcze progów gospody, mimo że proboszcz i balwierz zapraszali go gestem, by to uczynił, i że żołądek jego bardzo już był stęskniony za czymś mokrym i ciepłym, bo w rycerskim żywocie, jaki wraz z Don Kichotem prowadził, najczęściej musiał się zadowalać suchym i zimnym.

– Hm – powiedział znacząco balwierz – dziwne twe zachowanie, a zwłaszcza tajemnica, jaką okrywasz miejsce pobytu swego biednego pana, każe nam mniemać, żeś go zabił i obrabował z konia i innych rzeczy. Ale nie myśl, że umkniesz sprawiedliwości!

Słysząc to Sanczo Pansa, zadrżał ze strachu i gorąco zaprzeczył, jakoby kogokolwiek, a cóż dopiero swojego ukochanego pana, życia i mienia pozbawił, i by dowieść swej niewinności, jednym tchem opowiedział wszystkie przygody, jakie ich od opuszczenia wsi

rodzinnej spotkały, tylko podrzucanie na derce i parę innych wstydliwych pomijając, powtórzył też obietnice błędnego rycerza i swoje wielkie nadzieje, skończył zaś na opisie dziwnego stanu, w jakim Don Kichota musiał zostawić, i na misji, dla której spełnienia rycerz mu użyczył swego rumaka. Proboszcz z balwierzem dali wiarę zeznaniom giermka, zażądali jednakże, by wydobył z szuflad pamięci i przedłożył im do wglądu dokumenty, jakie wiezie, co też uczynił, przekaz dla siebie na trzy osiołki przytaczając znów co do joty, list zaś do Dulcynei wygłaszając w następującej postaci:

– „Pani mojego serca, słodziutka i bielutka Dulcyneo!" Tu mój pan pomylił się krztynę – wtrącił – bo ta Aldonza opalona jest i piegowata od słońca jak diabeł. Ale niech mu będzie. „Dulcyneo! Jeżeli masz mnie za nic i po prostu wypinasz się na to, że mnie łamie w kościach – to ach, ach, ach! Łamie mnie jeszcze niemiłosiernie i zmuszony jestem całkiem zwariować i walić łbem o skałę bez udawania. O czym cię zawiadamiam – Twój do grobowej deski Rycerz Posępnego Oblicza". To już wszystko. Jakby panowie zaraz zapisali, tobym nie musiał szukać piśmiennego bakałarza, jak mam przykazane.

– Zaraz po wieczerzy zapiszemy – obiecał proboszcz – a teraz chodźmy się posilić. W zamian za tyle starań będziesz naszym gościem, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

– Kto by tam miał coś przeciwko temu! Ale jeśli łaska, niech będę gościem panów tu na zewnątrz, razem z konikiem.

Wyniesiono więc Sanczowi jedzenie tam, gdzie się znajdował, tak samo Rosynantowi obroku, i każdy spożywał swoje donośnie poruszając żuchwami, podczas gdy proboszcz z balwierzem weszli do izby i tam przystąpili do wykwintniejszej nieco wieczerzy, naradzając się zarazem, co by też dobrego uczynić dla Don Kichota, którego szaleństwo, choć znali je nie od dzisiaj, nowym ich przejęło zdumieniem. O rozmiarach jego stąd dodatkowo wnosili, że tak łatwo zaraziło Sancza Pansę, nie hidalga przecież i nie czytelnika jakichś szpargałów, tylko chłopka zwykłego i do niedawna rozsądnego jak każdy w tym stanie. Na nowo przeto rozgorzały w przyjaciołach Don Kichota chęci, nigdy zresztą w nich nie wygasłe, by w Don Kichocie dla jego dobra Don Kichota zniszczyć i zabić, Don Kichota z Don Kichota wypędzić, i jakimkolwiek sposobem, po dobroci, siłą, sztuką, groźbą, leczeniem Don Kichota w Anty-Kichota triumfalnie zamienić!

Uwaga: wszystko to już dotąd tak lub inaczej było, ale w tym miejscu opowieści, tak, chyba w chwili, gdy powiedzieli sobie, że nie będą Sancza Pansy wyprowadzać z błędu, że przeciwnie – dla dobra sprawy jego wiarę w to, co Don Kichot bajał, wykorzystają, a w ślad za tym gdy proboszczowi myśl przyszła, bardzo, jak powiada dziejopis, dostosowana do smaku Don Kichota i do ich przyjaznych zamiarów, by mianowicie i rycerza od drugiej strony podejść, czyli nie tylko na wyprowadzenie go z błędu nie nastawać, ale wprowadzić go w błąd jeszcze większy niż ten, w którym tkwił z własnej woli, i tym sposobem władzę nad nim zdobywszy poprowadzić, gdzie za właściwe uznają, tak, z pewnością w owej chwili właśnie zaszła ta przemiana otaczającej Don Kichota rzeczywistości, której odtąd będziemy świadkami. Gdy bowiem dotychczas jego wyobraźnia wiatraki w olbrzymy, trzody owiec w armie, dziewki w damy, karczmy w zamczyska i wiele innych pospolitości w niepospolitości przeistaczała, teraz podstęp cudzy i kłamstwo rozmyślne miało wokół niego świat nieprawdziwy niczym dekorację w teatrze z niczego stawiać i wciągać go w to, i dla swoich celów pozorami lichymi mamić, a on, jak dziecko naiwny, jakże nie miał pójść na pasku tych cudowności!

Ale prawda – nie wiecie jeszcze, o czym tu mowa. Posłuchajcie więc narady proboszcza i balwierza nad dymiącą michą i dzbankiem chłodnym, przypatrzcie się błyskowi w jednego i drugiego przyjaciela oku: pomysł gracki zaiste mają – by za dziewicę potrzebującą pomocy się przebrać i o krzywdy naprawienie rycerza prosić; gdzież ten krzywdziciel? – wyprostuje się Don Kichot, na mieczu dłoń oprze mężnie; za górą, za lasem, niech nie pyta, tylko da się

zaprowadzić przez pannę; i niech z lic jej zasłony ściągnięcia się nie domaga; ani w ogóle niech nic nie żąda, póki się nie zemści na owym łotrze; i dosiądzie Don Kichot konia...

Rozdział dwudziesty czwarty, w którym nowe osoby, acz same przez los doświadczone i ze złamanymi sercami, przyłączają się do spisku ludzi rozsądnych

Umówili się najpierw tak: że proboszcz w roli owej dziewicy błagającej o pomoc wystąpi, balwierz zaś będzie jego giermkiem.

Wtajemniczyli w całą sprawę karczmarkę, która dorozumiała się natychmiast, o jakiego to rycerza chodzi, i chichocząc z uciechy dostarczyła proboszczowi stroju odpowiedniego czarnej aksamitnej spódnicy z pięknie wystrzępionymi plisami, zielonego gorsetu i czepca, a na dodatek woalki z czarnej tafty na lica wstydliwe. Tak wystrojony proboszcz-panna wsiadł na muła po kobiecemu, balwierz zaś – bez specjalnego przebrania, tylko z przyprawionym zamiast brody krowim ogonem – na swego, i pożegnawszy się z wszystkimi, nie wyłączając poczciwej Maritornes, która obiecała się modlić za pomyślny skutek podjętego przez nich chrześcijańskiego dzieła, poprzedzani przez Sancza Pansę, ruszyli w góry.

Sancza również w krótkich słowach powiadomili, że przybierają fałszywą postać, aby pana jego ze złej drogi na lepszą sprowadzić; przepytał się, czy na tej lepszej Don Kichot rychlej cesarzem zostanie, aby giermka swego królem uczynić; a gdy potwierdzili – zgodził się wypełniać ich polecenia, z których pierwszym było, iż ma zataić, kim są naprawdę, a drugim, iż na pytanie, czy oddał list Dulcynei, ma powiedzieć, że tak i że ta w odpowiedzi rozkazuje rycerzowi bez zwłoki stawić się przed jej oczyma.

Niektórzy czytelnicy dziwią się, być może, iż tak czcigodni ludzie, jak proboszcz i balwierz, nie tylko sami zamierzali okłamać bliźniego swego, ale jeszcze kusili do kłamstwa maluczkiego i nieuczonego, dla którego stali na takiej wyżynie, że nie mógł nie podziwiać ich i nie ufać ich słowom. Rozkładając bezradnie ręce, mogę tu jedynie przypomnieć, że czyniąc tak uważali, iż wszystko to pójdzie na dobre zarówno Don Kichotowi, jak Sanczowi Pansie, nie mówiąc już o rumianej gospodyni i bladej siostrzenicy rycerza, a wreszcie o tak zwanej racji ogólnej, która, byli pewni, stanowczo sprzeciwia się Donkichotowemu szaleństwu. Nie mieli więc wcale wyrzutów sumienia z powodu łgarstw, w które zamierzali się wplątać sami i wplątywali właśnie wierzącego im Sancza, zaniepokoiło ich natomiast w pewnej chwili – a ściślej, zaniepokoiło proboszcza – coś zupełnie innego: czy, choćby i dla zbożnego dzieła, przystoi osobie duchownej tak się przebierać? Rozważywszy to, zamienili się szatami: teraz balwierz był panną, a ksiądz – giermkiem z przyczepionym pod wargą krowim ogonem.

Ale i ta zmiana ról nie była ostateczna, a to dlatego, że wnet na scenie zjawili się nowi aktorzy. Prawdę mówiąc, w opowieści Cervantesowej pierwszy z nich, mężny młodzian Kardenio, zjawił się był już nieco wcześniej, swym miłosnym szaleństwem w górskim odludziu dając może przykład zaraźliwy Don Kichotowi, jeżeli rycerzowi naszemu przykład jaki, prócz wyczytanych w księgach, był jeszcze potrzebny; ale ja wolałem historię Kardenia na razie przemilczeć, by nie mącić biegu tej akcji, którą poczytuję za główną. Teraz, gdy Don Kichot i tak na czas jakiś przepadł nam z oczu (domyślamy się tylko, że, choć niewidoczny, nadał w samotności rozpacza i na powrót Sancza z wyrokiem Dulcynei w niepokoju bolesnym czeka), niechże wkroczy Kardenio; lecz na rozgadanie się o tym, co przeszedł i teraz mu nie pozwolę; raczej sam to w największym skrócie powtórzę.

Otóż Kardenio, młody i majętny szlachcic, mieszkający wraz z rodzicami w jednym ze wspaniałych miast Andaluzji, pokochał równą mu pochodzeniem i bogactwem mieszkankę tegoż miasta, piękną Lucyndę, ona zaś – zdająca mu się aniołem niebieskim – szczęśliwie darzyła go wzajemnością. Nie zdążył się jednak oświadczyć o rękę uwielbianej, gdy raptownie powołał go do swego boku książę Ryszard, jeden z grandów Hiszpanii, stojący dworem w przeciwnej stronie Andaluzji. Przed wyjazdem Kardenia kochankowie przysięgli sobie wierne oczekiwanie i rozstali się, jak się okazało, na długo. Na dworze Kardenio zaprzyjaźnił się z jednym z synów księcia, Don Fernandem. Młodzi ludzie zwierzali sobie wzajem różne tajne myśli, a w pierwszym rzędzie perypetie miłosne. Kardenio opowiedział Fernandowi o Lucyndzie, ten zaś przyjacielowi o Dorocie, urodziwej wieśniaczce, z którą przebywał w potajemnym związku już od wielu miesięcy. Pewnego dnia obaj młodzieńcy za zgodą księcia udali się, pod pozorem zakupu koni, do ojczystego miasta Kardenia. Tam Don Fernando ujrzał cudną Lucyndę i natychmiast zapomniał tak o Dorocie, jak o swej przyjaźni z Kardeniem. Podstępnie pozbył się przyjaciela z miasta, wysyłając go niby to po jakiś dług do swego brata, a sam tymczasem poprosił ojca Lucyndy o jej rękę i, książęcy syn, otrzymał ją bez trudności. Kiedy Kardenio, po spełnieniu swej misji, wrócił do miasta, trafił już na obrządek ślubny w kościele. Zdruzgotany nieszczęściem, bezradny, zawrócił w góry, by tam szaleć i cierpieć aż do chwili, gdy zapomni o zdradzie lub umrze z bólu...

Taką to historię opowiedział balwierzowi i księdzu napotkany w górskim odludziu młodzian, ci zaś próbowali go pocieszać, co gdy czynią, i ja pocieszę was, że nie na tym dziejów Kardenia koniec, a ten prawdziwy będzie, być może, weselszy. Tymczasem wchodzi jednak na scenę druga osoba, w poprzedniej historii wspomniana, mianowicie Dorota, piękna wieśniaczka, porzucona wiarołomnie przez Don Fernanda. Mimo wszystko, jeszcze go kocha, jeszcze walczyć chce o niego i z powrotem rozgrzać ostygłe serce – to dlatego uciekła z domu swoich rodziców i do miasta podążyła, gdzie jej zdrajca wziął ślub z Lucyndą. Przybyła za późno, aby przeszkodzić, ale od ulicy długojęzykiej zdołała dowiedzieć się tego, czego nie doczekał Kardenio: że Lucynda przy ołtarzu zemdlała, a gdy mąż świeżo poślubiony chciał rozpięciem sukien ulżyć jej oddechowi, znalazł list oznajmiający, iż nigdy nie będzie żoną Don Fernanda, należy bowiem do Kardenia, a skoro z nim nie pozwolono jej się połączyć – to do śmierci litościwej należy. Obok listu sztylet miała ukryty, którym zapewne chciała się pozbawić życia – i sztyletem tym teraz rozwścieczony Don Fernando zamierzył się na Lucyndę, przeszkodzono mu jednak, więc oddalił się zgrzytając zębami. Lucynda ocucona powróciła do domu rodziców, nazajutrz zaś znikła zeń i dotychczas nie została odnaleziona. Tyle z kolei opowiedziała księdzu, balwierzowi i Kardeniowi – nie wiedząc, że jest Kardeniem – napotkana przez nich, już bez Sancza, który bardziej do przodu się wysforował, piękna i skrzywdzona Dorota, w stroju chłopięcia po wąwozach błądząca i za kęs chleba najmująca się do pasania owieczek. W chwili, w której ją spotkali, nie pasała wszakże, uciec bowiem musiała od ostatniego chlebodawcy, który, poznawszy, iż nie jest chłopcem, żywił wobec niej niepoczciwe zamiary.

Powiedziawszy Dorocie, kim jest, Kardenio zaprzysiągł, że nie opuści jej, aż odda Don Fernandowi, którego ciągle tak kocha; sam zaś dzięki niej zyskał nadzieję, że Lucyndę swą utracił także nie bezpowrotnie: oboje nieszczęśliwi obdarzyli się zatem wzajemnie szczęściem nadziei, może większym niż wszelkie inne szczęście na świecie.

Tyle – na razie – dziejów obecnych już na scenie Kardenia i Doroty oraz nieobecnych jeszcze Lucyndy i Don Fernanda; ani więcej, ani mniej, niż musiałem powtórzyć, żeby ich wprowadzić; a gdy już są wprowadzeni, zaczyna się ponownie to, o co chodzi; rzeczywistość wokół Don Kichota przemieniona podstępnie, by przez mniemane folgowanie jego nierozsądkowi rozsądek mu przywrócić i uciekiniera od życia zwykłego temu życiu zwykłemu oddać.

Ksiądz proboszcz uśmiecha się więc w tym miejscu szeroko, aż mu krowi ogon przyczepiony do brody skacze, balwierz zasłony z tafty uchyla i do zdumionej Doroty mruga – po czym opowiadają, w czym rzecz, i do spisku nowych towarzyszy drogi wciągają...

– Ależ, zacni panowie! – Dorota na to. – Cel wasz, by chorego uleczyć, pięknym jest, pozwólcie jednak sobie powiedzieć, że wątpię, czy któryś z was rolę uciśnionej dziewicy, basem głębokim przemawiając, odpowiednio zagra.

– Cóż tedy czynić ? – zafrasował się proboszcz, choć sądzę, że nie całkiem szczerze się zafrasował, mając już zapewne na myśli, co czynić, lecz czekając, by Dorota na to odpowiedziała.

– Cóż tedy czynić? – jak echo proboszcza i jak on niezupełnie szczerze zafrasował się balwierz.

– To proste – rzekła Dorota – ja ową dziewicą, jakiej wam trzeba, będę bez najmniejszego trudu. Szatki odpowiednie mam ze sobą w tym mieszku, a ksiąg rycerskich tyle w życiu czytałam, że wiem dobrze, jak dziewice uciśnione do rycerzy się zwracają, prosząc o pomoc.

Obaj przyjaciele, ukontentowani, klasnęli w ręce, i zaraz nowa zmiana strojów, jak w teatrze, odbyła się między skałkami. Pastuszek damą został wspaniałą w zielonej mantyli i z bezlikiem lśniących klejnotów – chociaż trzeba tu dodać, że ni atłasy ni naszyjniki nie zdziałałyby tak wiele, gdyby sama przez się nie była wdzięku i urody czystym wcieleniem. Balwierz nie bez ulgi pozbył się strojów, które, wysilając się wielce, pannie miały go upodobnić, by jednakże do balwierskiej swej istoty, Don Kichotowi znanej, nie wracać, przyprawił sobie ponownie ów krowi ogon. Ksiądz tylko księdzem teraz po prostu został, w księżowskiej sutannie i kapeluszu, i z księżowską okrągłą twarzą. Będzie musiał coś na to poradzić, ale co – nie wiadomo.

Tu rozległo się Sancza Pansy głośne wołanie. Wracał do porzuconych, z daleka już krzycząc, że całkiem mu się nie powiodło, bo znalazł wprawdzie swego pana w miejscu, gdzie się spodziewał – ach, jakże zmarnowanego, pożółkłego i wychudłego – i powtórzył mu rzekome polecenie pani Dulcynei, że ma paść do jej stóp w Toboso, Don Kichot jednak odparł, iż postanowił nie pokazywać się damie swego serca, póki nie dokona godnych jej czynów. Uwierzywszy już mocno, że do czynów takich, które cesarstwo rycerzowi, królestwo zaś jego giermkowi dadzą, nie własne natchnienie, lecz posłuszeństwo planom proboszcza i balwierza poprowadzić Don Kichota jedynie może, martwił się Sanczo Pansa z całego serca, o krnąbrności swojego pana opowiadając.

– Nie martw się, Sanczo – uspokoił go proboszcz – zaraz zobaczysz, jak nasz szczupak wypłynie z toni.

Sanczo nie wiedział, co by miała znaczyć ta wypowiedź, i nie bardzo też podobało mu się porównanie rycerza do szczupaka, ale nie zdążył zapytać, zwrócił bowiem wzrok na piękną Dorotę w jej wspaniałych szatach – i oczy mu na wierzch wyszły.

– Któż to jest – wyjąkał w osłupieniu – ta śliczności niewiasta?

– To – powiedział uroczyście balwierz – wyobraź sobie, jeśli potrafisz, dziedziczka wielkiego królestwa Mikomikonu, skrzywdzona okrutnie przez złośliwego olbrzyma. Przybyła tutaj, ni mniej, ni więcej, tylko żeby błagać twojego pana o pomoc.

– A to dobrze trafiła! –wykrzyknął Sanczo. – Mój pan poradzi sobie z każdym olbrzymem, chyba że byłby marą piekielną, bo na mary mojemu panu nie starczy siły. A w razie czego, jak już drania ukatrupi, mógłby się z tymi ślicznościami ożenić i w ten sposób rychlej dojść do cesarstwa! Wolno zapytać, jak też się królewna nazywa?

– Co do ożenku – powiedział proboszcz – to może za wcześnie o tym mówić, chociaż warto i to mieć na uwadze w przyszłości, imię zaś władczyni Mikomikonu brzmi, hm, oczywiście, księżniczka Mikomikona.

– Faktycznie – zgodził się Sanczo – dużo ludzi bierze nazwisko od swojej wioski. No, ale skoro pani królewna ma taki interes do mojego pana, to ja poprowadzę.

I pojechał przodem, za nim Dorota na proboszczowym mule i cyrulik z krowim ogonem pod brodą jako jej giermek.

Proboszcz i Kardenio pozostali w tyle, nie zamierzali bowiem na razie pokazywać się Don Kichotowi.

Kiedy kawalkada księżniczki Mikomikony zbliżyła się do kotliny, w której ciągle szalał ż rozpaczy, nie waląc już co prawda głową o skały, bo pewnie zbrakło mu siły, Don Kichot, giermek zeskoczył z muła i pochylił plecy, aby pomóc zejść swojej pani, co też ta uczyniła z prawdziwym wdziękiem, po czym zaraz padła na kolana przed Don Kichotem. Rycerz zdumiony usiłował ją podnieść, oparła się jednak i nie wstając, przemówiła w te słowa:

– Nie podniosę się z klęczek, waleczny i niezwyciężony rycerzu, ucieczko cierpiących, wybawco potrzebujących, mścicielu skrzywdzonych, jeżeli wasza wyjątkowość mi nie przyrzecze, że wysłucha łaskawie mego błagania!

Rozdział dwudziesty piąty, w którym Don Kichot ulega, bo jakże miałby nie ulec, błaganiom księżniczki Mikomikony

– O, piękna pani – dwornie odrzekł Don Kichot – nie wysłucham was, choć rad bym z całego serca, i słowem się nie odezwę, póki nie uczynicie mi tej łaski i nie podniesiecie się z klęczek.

– Pozostanę na klęczkach – upierała się uciśniona księżniczka – póki nie otrzymam przyrzeczenia, że wasza nieustępliwość uczyni, o co błagam.

– A więc zgadzam się – rzekł Don Kichot – pod warunkiem, że to, czego mam dokonać, nie będzie się sprzeciwiało powinnościom moim wobec Króla i Ojczyzny, jak również słodkiemu poddaństwu mojego serca rozkazom suwerennej pani Dulcynei z Toboso.

– Nie tylko nie będzie się sprzeciwiało – odparła klęcząca dziewica – ale będzie w najzupełniejszej zgodzie z powinnościami i poddaństwem, o którym mówicie, panie.

Tu Sanczo Pansa wspiął się do ucha Don Kichota i szepnął:

– Zgódźcie się, panie, chodzi o ścięcie łba olbrzymowi, jak to lubicie, a ta dama to księżniczka Mikomikona, władczyni afrykańskiego królestwa Mikomikonu, nie byle co.

– Choćby nawet nią nie była – oświadczył Don Kichot, wcale nie dlatego, że postało mu w głowie, iżby księżniczka mogła nie być tą, za którą się podaje, lecz po prostu tak mu się powiedziało – choćby nawet nią nie była, dopełnię swego powołania zgodnie z sumieniem. Niechże już wasza piękność powstanie – zwrócił się do dziewicy – przecież się zgodziłem.

Rycerz nachylił się ku pannie, żeby pomóc jej powstać, a ta próbowała ucałować mu ręce, na co jednak nie pozwolił.

– Błagam – rzekła, wstając – żebyś, wasza niezłomność, udał się ze mną do mojej krainy i dokonał zemsty na jej obrzydliwym przywłaszczycielu.

– Bóg mi świadkiem, że to uczynię! Wygnaj, pani, smutek z serca, bowiem ramię moje przywróci ci utracone królestwo. Do dzieła, przyjaciele! Sanczo, zbroja!

Wraz ze śmiejącym się w kułak brodatym giermkiem Mikomikony (który śmiał się w kułak, trzeba dodać, bardzo ostrożnie, żeby broda z krowiego ogona nie odpadła mu czasem) Don Kichot pomógł księżniczce dosiąść muła, na którym przed chwilą przybyła, następnie przywdział zbroję i wdrapał się na Rosynanta. Giermek balwierz ulokował się na swoim mule, i tylko Sanczo pozostał bez wierzchowca, co odnowiło w nim żal po stracie siwego kłapoucha. Pocieszał się jedynie, że jego pan jest już na dobrej drodze do zostania cesarzem, a przynajmniej – po ożenku z księżniczką – królem Mikomikonu. Co prawda, markotnie mu

było, że w tym afrykańskim królestwie wszyscy poddani będą niechybnie czarni, ale i na to znalazł po chwili lekarstwo: załaduje ich na okręt, ile się zmieści, zawiezie do Hiszpanii, sprzeda za gotówkę i tak wyjdzie przecież na swoje! Zagłębiony w tego rodzaju rozmyślaniach, zapomniał wreszcie o przykrości, że drepce piechotą, kiedy inni kołyszą się w siodle.

Tu wyszli z zarośli proboszcz z Kardeniem – i proboszcz, wpatrzywszy się w Don Kichota, ruszył ku niemu z otwartymi ramionami:

– To ty, ozdobo rycerstwa, mój ziomku i przyjacielu, dawno nie widziany Don Kichocie z La Manczy!

– To ksiądz proboszcz? – ze zdumieniem i odrobiną nieufności odparł Don Kichot. – Cóż porabia wasza wielebność na tych krętych ścieżkach?

– Opowiem, wszystko opowiem – obiecał proboszcz – a tuszę, że i wasza wylewność niejedno nam opowiesz o swych przygodach. Skoro spotkaliśmy się tak szczęśliwym trafem, nie zechcemy się przecież tak rychło rozstać.

– To nie zależy ode mnie – wyjaśnił Don Kichot. – Zgodnie z powołaniem rycerskim, służę teraz tej tu księżniczce i droga moja jest drogą zemsty za jej krzywdy od olbrzyma doznane. Pójdę tam, dokąd mnie zawiedzie.

– O ile znam się na księżniczkach, olbrzymach i krzywdach – powiedział proboszcz – to jaśnie księżniczka wzywa waszmości ze sobą do królestwa Mikomikonu. Czy może się mylę?

Dorota zrozumiała, że ma potwierdzić, i skwapliwie to uczyniła.

– W takim razie – ciągnął proboszcz – droga tam prowadzi prościuteńko przez naszą wioskę i cieszę się, że przynajmniej do tego miejsca odbędziemy ją razem,

– I ja się cieszę – rzekł Don Kichot – trapi mnie tylko, że siedzę w siodle, podczas kiedy wasza bogobojność idzie piechotą. Siadajcie raczej wy na moim rumaku.

– O nie, nigdy! Koń przystoi rycerzowi, który nie zsiadając zeń, dokonał i jeszcze dokona tylu czynów nieopisanych, a ja, skromny kapłan, poprzestałbym i na mule.

– Mój giermek z pewnością ustąpi go księdzu – powiedziała księżniczka – a zresztą i sam się pomieści z tyłu, skoro ksiądz zajmie siodło.

– W samej rzeczy – przyznał balwierz i ustąpił proboszczowi siodła, z czego ten nie certując się skorzystał. Kiedy jednak balwierz chciał usadowić się z tyłu, muł wierzgnął i zrzucił go z takim impetem, że padającemu na ziemię broda odleciała o cztery kroki.

– Tegom jeszcze nie widział – wykrzyknął zdumiony Don Kichot – żeby muł wierzgnięciem ucinał brodę jak balwierz!

Poszkodowany zakrywał twarz obiema rękoma, by nie zostać poznanym, proboszcz zaś pośpiesznie podniósł krowi ogon i podszedł do leżącego. Zasłoniwszy go i przytuliwszy do siebie, coś wymamrotał – i broda przyrosła balwierzowi do podbródka, jak przedtem.

– Czy to zamawianie pomaga tylko na oderwane brody, czy na coś więcej ? – zapytał ciekawie Don Kichot. – Bo jeżeli goi i inne rany, to wydaje mi się nie gorsze od balsamu Fierabrasa, którym ja zwykłem się posługiwać.

– Wcale nie gorsze – przyznał proboszcz.

I ruszyli dalej: Don Kichot, księżniczka i proboszcz – wierzchem, Sanczo Pansa zaś, Kardenio i balwierz – pieszo.

– A więc – podjął po chwili rycerz – opowiedzcie nam, najjaśniejsza księżniczko, dokładniej o swej krzywdzie i mojej misji.

– Jestem wam to winna – odparła Dorota. – A więc słuchajcie, panowie.

Wszyscy nastawili uszu: Don Kichot i Sanczo Pansa – z góry wierząc w to, co usłyszą, proboszcz zaś, balwierz i Kardenio – ciekawi, jak też uda jej się zmyślenie.

– Nazywam się...–zaczęła fałszywa księżniczka i natychmiast urwała, umknęło jej bowiem z pamięci dziwne imię, nadane z godzinę temu przez proboszcza.

Ale proboszcz czuwał.

– Nazywacie się – przypomniał – księżniczka Mikomikona, prawowita władczyni wielkiego królestwa Mikomikonu. Zdarza się, że przebyte nieszczęścia zaćmiewają pamięć dotkniętym nimi osobom, tak że nawet własnego imienia zapominają. Ale po tym przypomnieniu nietrudno będzie waszej prawowitości wydobyć z mroku dalszy ciąg swojej niezwykłej historii.

– To prawda – zgodziła się dziewica. – Kiedy przypomnieliście mi łaskawie, że nazywam się księżniczka Mikomikona i jestem prawowitą władczynią królestwa Mikomikonu, pamiętam już dokładnie, że mój królewski rodzic zwał się Tinakrio Mędrzec i oprócz tego, że był królem, był również jasnowidzem. Dzięki temu przewidział, że kiedy wraz z królową-matką mnie osieroci, Mikomikon zostanie napadnięty przez władcę sąsiedniej wyspy, okrutnego olbrzyma imieniem Pandafilando Okrutnego Wejrzenia. Ten odbierze mi całe dziedzictwo, do ostatniej wioski – chyba że zgodziłabym się go poślubić – ale i to przewidział mój królewski rodzic, że się nigdy na takie okropieństwo nie zgodzę. Nakazywał przeto dalej mój ojciec, bym, kiedy już się jego niedobre przeczucie ziści, nie stawiała najeźdźcy daremnego oporu, narażającego na zgubę mnie i moich poddanych, lecz zbiegła do Hiszpanii, gdzie odnajdę zbawcę w osobie sławnego rycerza imieniem Don Gruchot czy Don Chichot, znów niedobrze zapamiętałam...

– Don Kichot z La Manczy! – wykrzyknął Sanczo Pansa. – To mój pan! Nie mogło o nikogo innego chodzić!

– Tak, to jest to imię – potwierdziła Dorota. – Ojciec opisał mi też wygląd tego rycerza: wysoki, chudy, a pod lewą łopatką ma brunatne znamię.

– Pomóż mi się rozebrać, Sanczo – powiedział Don Kichot.

– Po cóż mielibyście się rozbierać, wasza waleczność? – zapytała księżniczka.

– Muszę przecież sprawdzić, czy jestem tym rycerzem, którego przepowiedział był król-jasnowidz.

– Wiem doskonale – powiedział Sanczo – że macie takie znamię, jakie jest potrzebne, chociaż nie pod łopatką, a bardziej ku środkowi waszego grzbietu, ale chyba o to księżniczka nie pójdzie z wami do wójta.

– Naturalnie – powiedziała Dorota – wystarczy, że jest znamię, a czy bliżej, czy trochę dalej łopatki, to mniejsza, wszystko to jedno ciało. Nie wątpię, wasza tożsamość, że to was miał na myśli mój mądry ojciec.

– Mówcie dalej, najjaśniejsza pani – zachęcił proboszcz.

– Dalej stało się wszystko, jak się stać miało. Ledwie rodzice umarli, Pandafilando Okrutnego Wejrzenia najechał mój kraj. Ja odmówiłam poślubienia go i zbiegłam do Hiszpanii. Tu, skoro tylko wylądowałam w Osunie, dobiegła mnie sława zwycięskich bojów Don Kichota. To on! – powiedziałam sobie w duszy.

– Przecież Osuna nie jest portem morskim – zdziwił się Don Kichot.

– Jej niewysłowioność chciała powiedzieć – ubiegając księżniczkę, wyjaśnił proboszcz – że skoro tylko wylądowała w Maladze, która jest portem morskim, już w drodze do Osuny dobiegła jej sława zwycięskich bojów waszmości.

– To właśnie chciałam powiedzieć – potwierdziła Dorota. – I rzeczywiście los był mi tak przychylny, że trafiwszy tu do was w góry, panowie, znalazłam między wami tego, kogo szukałam, a on wspaniałomyślnie nie odmówił wysłuchania mej prośby. W ten sposób widzę się już na powrót władczynią mojego państwa, gdyż Don Kichot utnie łeb Pandafilandowi Okrutnego Wejrzenia i odda mi wydarte dziedzictwo. Zapomniałam nadmienić, że wedle rozkazu mojego ojca jasnowidza, gdyby ów rycerz, który mnie zbawi, odpocząwszy nieco po ścięciu łba olbrzymowi chciał mnie poślubić, mam nie odmawiać, lecz w blaskach religii i prawa oddać mu swoją rękę i państwo.

– I co ty na to, Sanczo – zapytał Don Kichot. – Widzisz, jak rychło w błędnym naszym rycerstwie nadarzyło się nam królestwo do rządzenia razem z królową?

– Co ja na to? Dalibóg, nad czym się tu zastanawiać? Żeń się pan i bierz to królestwo, skoro ci dają!

– Przysięgam, pani – uroczyście oznajmił Don Kichot – że nie zaprzeczę nigdy mej obietnicy i pójdę choćby na koniec świata, żeby spotkać się w boju z wrogiem waszym i wymierzyć mu zasłużoną karę. Jednakże, gdy to uczynię, nie sięgnę po nagrodę, ach, jakże słodką, i pozostawię wam, pani, wolność szukania męża gdzie indziej, ponieważ ja, niestety, nie jestem wolny, od pierwszego kroku na rycerskich drogach należąc do pani mego serca, Dulcynei z Toboso...

– Czy pan zwariował? – wykrzyknął Sanczo. – Szczęście lezie panu w ręce, a pan... Co pan myśli, często zdarzy się panu przebierać w tak wspaniałych księżniczkach? A może zdaje się panu, że nasza pani Dulcynea jest urodziwsza? Daję słowo, że równać się nawet nie może z tą tutaj! Tam, do licha, a co ze mną będzie, jeżeli wasza wybredność tak będziecie kaprysić! Żeńcie się, mówię, ale to już, bo stracę cierpliwość!

Pierwszy jednak na te zuchwale słowa swojego giermka stracił cierpliwość Don Kichot; w szczególności zdenerwowało go zdanie o Dulcynei; i porywczość jego nie słowami przemówiła, lecz dwoma ciosami kopii, po których Sanczo upadł na ziemię; w tym zaś momencie prośba księżniczki Mikomikony wstrzymała rozsierdzone ramię rycerza, i całe szczęście, bo niewiele brakowało, a byłby Sanczo Pansa życie postradał.

– Głupcze i gburze – powiedział, przychodząc do siebie po ataku furii, Don Kichot – przeciw niezrównanej Dulcynei język rozpuszczasz? Czy nie rozumiesz, gburze i głupcze, że to ona jest źródłem, władczynią i celem mojego męstwa? Że bez niej nie zdołałbym, głupcze i gburze, nawet wszy na paznokciu zdusić? A kto, gburze i głupcze, sprawił, że zdobyłem królestwo Mikomikonu, olbrzymowi paskudnemu łeb uciąłem, księżniczkę na tron wprowadziłem, a ciebie, głupcze i gburze, obsypałem tytułami i wszelkimi dobrodziejstwami? Mówię w czasie przeszłym, bo uważam to za przesądzone i dokonane.

– Ale, panie – wyjąkał Sanczo Pansa – jeżeli nie ożenicie się z księżniczką, to nie będziecie panowali w królestwie, i jakże mnie wtedy obsypiecie tym wszystkim? Stąd mój żal, który może wyraziłem nie całkiem właściwymi słowami. Radzę wam jednak szczerze, bierzcie tę księżniczkę na ślubną małżonkę, a Dulcyneę możecie przecież kochać na boku. Co się tyczy urody, nic nie mówię, obie są prześliczne, kochać można i tę, i tamtą.

– Dobrze już, dobrze, wybaczam ci tym razem, chociaż dalej głupstwa gadasz, ale widać inaczej nie potrafisz. Chodź teraz, wysuńmy się nieco do przodu, żebyś mi w spokoju podał wszelkie szczegóły poselstwa do pani mego serca, z którego ledwie wróciłeś, znaleźliśmy się w wirze spraw innych.

– Zgoda – skinął głową Sanczo, ale w tej chwili ów wir spraw innych znów zawirował, i Don Kichot nie zdążył zadać nawet pierwszego pytania. Oto bowiem z przeciwka nadjechał i chciał ich minąć jakiś Cygan na ośle, nie był to jednak prawdziwy Cygan, tylko przebrany za Cygana łotr wierutny Gines de Pasamonte, osioł natomiast był najprawdziwszym osłem Sancza Pansy, zrabowanym przez tego łotra, i miał nawet na sobie nie tak dawno odziedziczoną po cyruliku uprząż. Trudno poznać przebierańca, przynajmniej w tej historii przekonaliśmy się już o tym dowodnie, jakże jednak własnego kłapoucha nie poznać? Po nitce do kłębka, po ośle do Cygana – pojął Sanczo Pansa, co to za ptaszek, i jak nie skoczy do niego z wrzaskiem:

– Ach ty, Ginesillo Krzywe Oczko, złodzieju bez sumienia, oddaj moje bydlątko, żywiciela, przyjaciela, pocieszyciela, oddaj, łajdaku!

Przekonywający musiał być wrzask ten, bo Gines de Pasamonte nie obraził się nawet o przezwisko, którego tak nie lubił, a w każdym razie nie powiedział, że wepchnie je z powrotem do gardła przezywającemu, lecz bez słowa zeskoczył z osła i na własnych nogach szybciej pobiegł, niż przedtem jechał. Po chwili już go nie było, rozczulony zaś Sanczo ściskał i całował swojego kłapoucha, i przemawiał doń najczulszymi słowy, na co osioł wcale

nie odpowiadał, ale możliwe, że też był wzruszony. Don Kichot pogratulował giermkowi tak pomyślnego zakończenia niemiłej sprawy i dorzucił, że mimo to jego przekaz na trzy osiołki dla Sancza pozostaje w mocy. W dalszą drogę ruszyli już obaj wierzchem.

– No więc mów – podjął Don Kichot uprzedni wątek – jak zastałeś panią mojego serca? Czym była zajęta, kiedyś ją ujrzał? Nawlekała perły? Złotą nicią haftowała chusteczkę dla swojego rycerza?

– Prawdę mówiąc – rzekł Sanczo – przesiewała zboże w stodole.

– Z pewnością – rzekł Don Kichot – ziarna jej białą dłonią dotknięte zamieniały się w perły. A jak przyjęła list, któryś jej podał? Ucałowała? Położyła na sercu?

– Powiedziała, żebym sam go położył na jakimś worku, bo jest zajęta przesiewaniem.

– To po to – wyjaśnił Don Kichot – żeby go odczytać na osobności i napieścić nim swoje spragnione oczy bez osób postronnych. A co mówiła pani mojego serca, jakimi słowy, pokonując wstyd, wypytywała cię o mnie, i ty cóżeś jej odpowiedział?

– Pytać nie pytała, ale sam powiedziałem, co wiedziałem, że jegomość pokutuje w tych górach z powodu jej figlów i łbem tłucze o skały, jęcząc i przeklinając swój los.

– O tym przeklinaniu głupio ci się powiedziało, bo ja mój los błogosławię za to, że uczynił mnie sługą najpiękniejszej, najszlachetniejszej, najsłodszej, najdostojniejszej pani Dulcynei z Toboso.

– To widać znowu się panu odmieniło, że już nie nadążę. Tak czy siak, jak już wspominałem, pani Dulcynea bardzo była kontenta z wiernego pańskiego kochania i przykazała niezwłocznie zjawić się w Toboso przed jej obliczem. Ja tam myślę, że nie ma się co wymawiać, skoro, jak powiadał ksiądz proboszcz, do tego olbrzyma, co go masz pan załatwić dla księżniczki, i tak droga prowadzi przez nasze strony.

– Jedno mnie zdumiewa, Sanczo – zamyślił się rycerz, nie reagując na rady giermka. – Byłeś tam i z powrotem, można powiedzieć, jak na skrzydłach, a przecie to kawał drogi. Skłania mnie to do przypuszczeń, że oprócz złego czarodzieja, który nas zwalcza, musi być jeszcze jakiś dobry czarodziej, który nas ma w swej opiece. I on właśnie, choć tego nie spostrzegłeś, musiał ci pomóc w podróży.

– Nawet spostrzegłem – skromnie oświadczył Sanczo.

– Choć raz spostrzegłeś, co spostrzec należy, mimo że ukryte, a nie tylko to, co spostrzega każdy przechodzień! – z zadowoleniem pochwalił go Don Kichot. – Wracając zaś do tego, co mi czynić należy, nie sądzę, żebym miał prawo zatrzymywać się choćby i w Toboso przed spełnieniem swojej powinności rycerskiej. Nie, niech tęsknota do pani Dulcynei przypieszy raczej mój pęd na spotkanie olbrzyma i siłę mego ramienia wzmoże, gdy mu będę ucinał głowę! Dopiero gdy księżniczkę na należny jej tron wyniosę, z czystym sumieniem zawrócę, by do stóp rozkoszy mego serca przypaść w pokorze.

– I tak za nic męczyć się, jechać, w te, wefte, ścinać głowę, zawracać! – na nowo zdenerwował się Sanczo Pansa. – Dalibóg, panie, moglibyście się trzymać czegoś jednego, toć lepszy wróbel w garści niż kura w cudzym kurniku. Jak chcecie tego plugawca zabijać, to żeńcie się i bierzcie z żoną królestwo, a jak nie chcecie się żenić, to...

– Słuchaj, Sanczo – tym razem spokojnie powiedział Don Kichot – tobie chodzi o nagrodę i dlatego radzisz mi się żenić z księżniczką Mikomikoną, ale powiem ci, że i bez ożenku mogę sobie zawarować przed walką, że jako zwycięzca mam otrzymać część królestwa, którą oddam, komu będę uważał.

– A to co innego – zgodził się Sanczo. – Tylko niech ta część królestwa leży nad morzem, żebym mógł w razie czego załadować moich czarnuchów na statki i jazda do Hiszpanii! I w takim razie nie troszczcie się teraz, panie, o odwiedzanie tej damy, com jej list wasz oddał, tylko śpieszcie zabić olbrzyma.

– No widzisz, wreszcie cię przekonałem do słuszności prawa rycerskiego.

Rycerz i giermek kończyli właśnie przytoczoną tutaj rozmowę, kiedy dogoniła ich reszta towarzystwa i wszyscy razem urządzili sobie niedługi popas przy źródle. Następnie ruszyli dalej, bo Don Kichotowi pilno było do spotkania z Pandafilandem Okrutnego Wejrzenia, a każdemu z pozostałych także było do czegoś pilno, choć nie wszystkim do tego samego, co Don Kichotowi.

Rozdział dwudziesty szósty, w którym Don Kichot, nie budząc się ze snu, stacza bitwę z olbrzymem Pandafilandem Okrutnego Wejrzenia.

Nazajutrz podróżni nasi dotarli do znanej gospody, w której różne doniosłe rzeczy już się były wydarzyły, jak to: nocleg Don Kichota na poddaszu w towarzystwie brutalnego mulnika, nieporozumienie z Maritornes, scysja z łucznikiem ze Świętego Bractwa, ogólne wnyki i leczenie się rycerza z giermkiem balsamem Fierabrasa świeżo przyrządzonym, a wreszcie podrzucanie Sancza Pansy na derce przez rozochocone towarzystwo i niemożność udzielenia mu pomocy przez Don Kichota. Ostatnio, jak pamiętamy, w tejże gospodzie zawiązany został nowy spisek przeciw Donkichotowym fantazjom, którego wcielania w życie jesteśmy teraz świadkami.

Łatwo się domyślić, że i tym razem coś się tu stanie, ale nie od razu; trzeba, żeby wszyscy wjechali i wkroczyli do środka, żeby się rozgościli; Sanczo Pansa się wzdraga, ale co ma, biedny, począć – jako giermek nie jest panem swej woli, tedy wjeżdża również; a gospodarz i gospodyni, i ich córka dość urodziwa, i służąca Maritornes szpetna, ale dobrego serca, wszyscy gości nowych, choć niezupełnie nowych, czołobitnie witają.

Don Kichot, najbardziej trudami wielu dni zmorzony, ledwie próg przekroczył, poprosił o posłanie – tylko lepsze, zaznaczył, niż poprzednim razem. Gospodyni na to, że za lepszy pieniądz może być lepsze posłanie; a gdy przyrzekł, że pieniądz będzie godziwy, na tym samym poddaszu wyrychtowano mu łoże i udał się na spoczynek, Sanczo zaś, nie tyle zmęczony, co spłoszony złym miejscem, w którym musiał przebywać, wolał trzymać się swego pana i też poszedł na górę.

Pozostali rozgościli się na dole, proboszcz zarządził wieczerzę i wnet podano do stołu; ale Don Kichota postanowiono nie budzić, bo wyglądało na to, że sen strawniejszy dlań będzie niż gorące placki i wino; a o złaknionym mokrego Sanczu po prostu zapomniano, więc też został na górze z pustym żołądkiem.

Przy jedzeniu rozprawiano swobodnie i wesoło o różnych rzeczach, a najchętniej o szaleństwie Don Kichota, z ksiąg rycerskich płynącym; chociaż gospodarz skądinąd lubił takie księgi i sprzeciwił się pomysłowi, by dokonać nad tymi, które posiadał, dzieła inkwizycji.

– Szkoda, że nie ma tu rumianej gospodyni i bladej siostrzenicy naszego przyjaciela – mruknął proboszcz do balwierza, który po odczepieniu krowiego ogona drapał właśnie swędzący podbródek.

– Po co nam one? –odparł balwierz. –Alboż sam nie potrafię złożyć książek na stos i wszystkich razem podpalić głownią z komina?

– Co takiego? – oburzył się karczmarz. – Chcecie spalić moje książki? A to jakim prawem?

– Takim, że zawierają gorszące wymysły i łgarstwa.

– Jakże to być może? Na każdej widnieje napis, że wydrukowana została za pozwoleniem rady królewskiej – więc panowie z rady pozwoliliby wydrukować gorszące wymysły i łgarstwa? O nie, czcigodni panowie, nic z tego, prawo broni tych książek, które nie są ani świętokradcze, ani kacerskie i na stos nie pójdą dziś ani jutro rano!

Gospodarz miał, oczywiście, rację, broniąc swoich książek argumentem prawnym, ale wyznam wam cichcem, że nie tyle znajomość prawa dodawała mu odwagi w sporze z proboszczem i balwierzem, co tajna przynależność, nierzadko zdarzająca się wszak karczmarzom, do Santa Hermandad – Świętego Bractwa – czyli, po prostu mówiąc, policji. Nie wiem, czy jego przeciwnicy w dyskusji domyślili się, skąd ta pewność siebie, ale tym razem machnęli ręką na swój nęcący pomysł, i księgozbiór karczmarza – nie tak bogaty z pewnością, jak unicestwiona przez nich niedawno biblioteka Don Kichota – uszedł cało.

Raptem rozmowy przy wieczerzy przerwane zostały przez pojawienie się Sancza Pansy, który w wielkim wzburzeniu wybiegł z poddasza, gdzie spoczywał Don Kichot, wołając:

– Dopadł go, dopadł! Ale jest ich tam więcej, śpieszcie więc na pomoc mojemu panu!

Wszyscy podnieśli na Sancza oczy, a balwierz zapytał:

– Kogo dopadł twój pan? I kogo tam jest więcej, że nas wołasz na pomoc?

– Tego olbrzyma dopadł, wroga jaśnie księżniczki Mikomikony! I po najstraszniejszej walce, jaką w życiu widziałem, ściął mu łeb obrzydliwy – ciach! – jak makówkę!

– Jakże to być może – zapytał proboszcz – kiedy olbrzym znajduje się w królestwie Mikomikonu, o rok drogi stąd, ani dnia bliżej ? Skąd by się nagle wziął na poddaszu tego zajazdu ?

Jakby w odpowiedzi na to teoretyczne pytanie, rozległ się u góry wielki łomot i wrzask Don Kichota:

– Mam cię, łajdaku! I ciebie też mam, nie kryj się tchórzliwie za swoim władcą!

Po czym znowu łomot, jak przedtem.

– Pozabija ich co do jednego, nawet bez pomocy! – wykrzyknął podniecony i dumny ze swego pana giermek. – Miał rację, że zaczął od olbrzyma, z olbrzymiętami łatwiej mu pójdzie! Matko Święta, jak ta krew chlusnęła, kiedy go rąbnął! A ścięty łeb w kąt się potoczył, a krew dalej płynęła z niego, jak, nie przymierzając, wino z bukłaka...

– Moje bukłaki! –rozpaczliwie zawołał karczmarz. –Moje bukłaki z czerwonym winem!

I potrącając Sancza pobiegł na poddasze, a wszyscy za nim i Sanczo za wszystkimi.

Don Kichot stał w kusej koszuli z derką przerzuconą przez lewe ramię (była to ta sama derka, którą Sanczo zapamiętał na całe życie) i z mieczem obnażonym w prawicy. Oczy miał zamknięte, nie obudził się bowiem ze snu, w którym dotarł już, niecierpliwiec, do królestwa Mikomikonu i staczał swoją straszną bitwę z olbrzymem, ale zamknięte oczy wcale mu nie przeszkadzały w wymachiwaniu mieczem zgodnie z wszelkimi arkanami sztuki szermierczej i w trafianiu raz po raz któregoś z otaczających go, jak sobie uroił, wrogów.

– Jeszcze jeden! – wołał przy tym. – Zbliż się, zdrajco! I ty, z tej strony, myślisz, że uda ci się mnie podejść? A masz!

Po czym wymierzał kolejny cios – znowu celny – w bukłaki z czerwonym winem, rozwieszone na poddaszu przez gospodarza.

Cała izba była już tym winem zalana niczym krwią po prawdziwej bitwie.

Karczmarz, ujrzawszy swoje straty, tak się rozzłościł, że rzucił się na Don Kichota, ciągle śpiącego, i zaczął go okładać pięściami. Gdyby Kardenio go nie odciągnął, nie wiadomo, jak by się to było skończyło. Tymczasem balwierz przyniósł kubeł wody ze studni i zlał nią rycerza, cucąc go w ten sposób, ale wciąż nie do końca. Choć otworzył już oczy, nadal tkwił w świecie swego marzenia; padłszy na kolana przed proboszczem, którego brał w tej chwili za księżniczkę Mikomikonę (bo Dorota, zawstydzona widokiem gołych łydek Don Kichota, wycofała się czym prędzej z poddasza, a nie mogąc sobie wyobrazić całkowitej nieobecności księżniczki, rycerz musiał zaakceptować czyjeś zastępstwo), padłszy tedy na kolana przed proboszczem, mówił:

– Wasza nieskazitelność, jasna księżniczko, pod której sztandary zaciągnąłem się, zgodnie z posłannictwem rycerskim, dla dokonania mającego ją wybawić i pomścić czynu, zawiadamiam, żem dokonał, co zamierzałem, przeto królestwo wolne jest od ucisku Pandafilanda, a jam wolny od słowa danego, gdy zostało spełnione.

– Widzicie? – ucieszył się Sanczo. –Mówiłem, że mój pan uciął łeb olbrzymowi! Sam widziałem, jak krew buchnęła, kiedy go uciął! Teraz, co prawda, nie wiem, gdzie się ten łeb podział, ale krwi jeszcze pełno, popatrzcie! Niech żyje mój pan! Królestwo nasze!

– Co ty pleciesz, wariacie! –ryknął rozwścieczony karczmarz. –Jaka krew? Jaki łeb? Jakie królestwo? Toć to moje wino z pociętych mieczem bukłaków! A bodajby piekło pochłonęło tego, co mi to zrobił!

– Nic nie rozumiem – powiedział zgnębiony Sanczo. – Był olbrzym obrzydliwy, był jego łeb sikający krwią, sam to wszystko widziałem, a zrobiły się jakieś bukłaki i czerwone wino. Znowu czary w tym domu, jak za tamtym razem.

Sanczo martwił się czarami, Don Kichot klęczał przed proboszczem, którego brał za księżniczkę, gospodarz z gospodynią przeklinali i zaklinali się, że tym razem szkodnik zapłacić musi za wszystko, a reszta towarzystwa bardzo dobrze się bawiła i pękała ze śmiechu.

Wreszcie balwierz z Kardeniem wciągnęli opierającego się Don Kichota na łoże, gdzie natychmiast usnął z wyczerpania po bitwie, a może także z winnych oparów, unoszących się nad pobojowiskiem.

Karczmarz z karczmarką nadal się pieklili, a proboszcz ich uspokajał, obiecując zapłacić ile się należy za szkodę.

Dorota ze swej strony pocieszała strapionego Sancza Pansę, że jeżeli rycerz, tak jak giermek to widział, w samej rzeczy ściął głowę olbrzymowi, to niezależnie od późniejszych czarodziejskich przeistoczeń sprawa jest załatwiona i gdy tylko dotrą do królestwa Mikomikonu, Sanczo otrzyma tam najlepsze województwo, jakie się nadarzy. Te zapewnienia trochę biedaka uspokoiły, chociaż póki przebywał w gospodzie, nie czuł się do końca bezpieczny.

Wszystkie te rozmowy, dysputy i pocieszenia jęły cichnąć po trosze, aż uczestników przygody, jednego za drugim, dam i osób duchownych nie wyłączając, zaczął morzyć sen, w czym nie było nic dziwnego, bo zaczynało już świtać.

W bladym świetle poranka rozlane na poddaszu kałuże czerwonego wina wyglądały jak prawdziwa krew wytoczona z ohydnego cielska olbrzyma.

Rozdział dwudziesty siódmy, w którym kolejne osoby wkraczają do opowieści, jedne wątki jej rozplątując szczęśliwie, inne zaś skutecznie wikłając

Obiecywałem wam, urywając dzieje Kardenia w miejscu, w którym faktycznie się urywały, że nie na tym ich koniec, a ten właściwy będzie, da Bóg, weselszy. Co się tyczy Doroty dziejów, nic wprawdzie nie obiecywałem, mieliście jednak prawo się spodziewać, że i ona nie zostanie przez bieg opowieści skrzywdzona i porzucona w nieszczęściu, a ja podzielałem waszą nadzieję, co dawałem do zrozumienia. W tym rozdziale oba pomyślne finały nastąpią za jednym zamachem; i żeby dłużej nie przeciągać sprawy, wraz z karczmarzem stańmy we wrotach zajazdu i przypatrzmy się wstającemu nad drogą kurzowi: jako żywo, zbliżają się nowi goście!

Było tak: kiedy Lucynda, po omdleniu przed ołtarzem zabrana do domu rodziców, stamtąd znikła wnet i przepadła bez wieści, Don Fernando gniewny poprzysiągł, że ją odnajdzie, i po pewnym czasie w rzeczy samej odnalazł w cichym klasztorze, skąd ją porwał i do swej posiadłości wiózł, coraz mniej wierząc, że milczący opór jej złamie, ale też w upartej chęci złamania coraz bardziej się zacinając.

To właśnie byli ci nowi goście, których karczmarz ujrzał na drodze: Don Fernando z trzema swoimi towarzyszami, którzy pomogli mu w porwaniu panny z klasztoru – i w środek wzięta, na kobiecym siodle z oparciem, nieszczęśliwa porwana.

Gdyby Fernando wiedział, kto popasa w gospodzie, ominąłby ją może, lecz nie wiedział i stało się – nie ominął.

Skoro początek tej historii opowiedziałem w skrócie największym, nie będę się i na zakończenie wdawał w szczegóły: dość, że w zajeździe doszło, bo i jak miało nie dojść, do rozpoznania się wzajemnego całej czwórki rozłączonych kochanków; i nie zbrakło znów łez i mów gorących, i błagań; i powtórzyła Lucynda, że do Kardenia lub do śmierci należy, a Don Fernando nigdy jej nie posiędzie; i powtórzyła Dorota, że oblubienicą Don Fernanda nadal się czuje; i na klęczkach przed nim stojąc, i płacząc, przemówiła doń, że łatwiej wszak mu będzie tę pokochać, która nieodmiennie go kocha, niż do kochania zmusić kochającą innego; i wzruszyło się serce Don Fernanda, a może przemówiła doń słów jej prawda niezbita, i zwracając wolność Lucyndzie, wziął Dorotę w ramiona; i Lucynda na pierś szczęśliwego Kardenia padła; przyjaciele zaś niegdysiejsi, choć dłoń na rękojeści kładli i niechętnym

mierzyli się wzrokiem, przez wybranki swe ubłagani zaniechali zwady, dłonie z rękojeści zdjęli; czy przyjaciółmi na nowo kiedykolwiek będą, w to wątpię; ale to nieważne, skoro będą żyli szczęśliwie ze swoimi pięknymi i kochającymi żonami, i ich szczęścia rodzinnego, miejmy nadzieję, nic już nie zakłóci.

Budujący był widok triumfu wiernej miłości, skruchy Don Fernanda i ogólnej szczęśliwości czworga młodych i pięknych; wszyscy, świadczy Cervantes, łzy rzęsiste lali, jedni z własnego szczęścia, inni, jak proboszcz, balwierz, karczmarz, karczmarka, urodziwa karczmarzówna, szpetna, lecz dobrego serca służąca Maritornes – ze szczęścia bliźnich; nie uczestniczył w tym jedynie Don Kichot, który spał na górze; a Sanczo Pansa, i owszem, płakał, ale może nie tyle ze szczęścia, co z żałości, że rozwiała się raptem księżniczka Mikomikona, po której takich się był spodziewał dobrodziejstw, a na miejscu jej stała, rozkochanym wzrokiem wpatrując się w Don Fernanda, najzwyczajniejsza, choć bardzo piękna Dorota.

W końcu, nie mogąc już sobie sam poradzić z takim strapieniem, poszedł Sanczo, z otartymi łzami, bo jak długo można płakać, ale z bardzo markotną miną, na górę do swego pana i obudził go ze słowami:

– Śpijcie sobie, panie, śpijcie, wcale was nie budzę, bo nie ma do czego, koniec z królewną, koniec z olbrzymem, śpijcie ile wlezie, mój panie.

– Nie mówisz mi nic nowego – odparł Don Kichot – pamiętam przecież, że zanim się położyłem, stoczyłem z Pandafilandem Okrutnego Wejrzenia i jego zgrają krwawą bitwę, w której najpierw uciąłem łeb olbrzymowi, a następnie po kolei wszystkim olbrzymiętom, ile ich było. Krew tryskała strumieniami i lała się po podłodze jak woda.

– Powiedzcie lepiej, panie, jak czerwone wino, bo też nie było to nic innego, a ucięte łby to bukłaki, za które zapłacicie teraz karczmarzowi, jeśli starczy wam grosza w kabzie. Wstańcie, a zobaczycie – ciągnął rozżalony giermek – te kałuże wina i bukłaki pomordowane, a także jaśnie królewnę zamienioną w zwykłą Dorotę i inne rzeczy, które was zdziwią.

– Nic mnie tutaj nie, zdziwi – zaprzeczył Don Kichot. – Czy zapomniałeś nasz poprzedni pobyt w tym piekielnym zajeździe? Wtedy nękały nas czarodziejskie przeistoczenia wszystkiego wokół, i teraz jest nie inaczej.

– Uwierzyłbym może – powiedział Sanczo – gdyby nie to podrzucanie na derce, które zapamiętałem najlepiej. I zapamiętałem też imć karczmarza, który za jeden róg derki mocno trzymał i podrzucał z innymi. Tak mi się coś zdaje, że tam, gdzie przeżywając złą przygodę można zapamiętać czyjąś znajomą gębę, nie ma żadnych czarów, tylko zwykłe życiowe draństwo.

– Nie mędrkuj tyle – powiedział Don Kichot – raczej pomóż mi się ubrać, a sam popatrzę, co tu się odmieniło.

Tymczasem na dole opowiadano nowym członkom towarzystwa o szaleństwach Don Kichota i podstępach przedsięwziętych dla doprowadzenia go w domowe pielesze. Proboszcz ubolewał, że pani Dorota, szczęśliwie zakończywszy własną przygodę, za co Bogu niech będą dzięki, nie będzie już mogła, niestety, uczestniczyć w przedstawieniu rycerskim, ale trudno, wymyśli się coś innego. Kardenio zaproponował, by Lucynda zastąpiła Dorotę w roli księżniczki, tu jednak odezwał się Don Fernando, że nie ma powodu, by Dorota nie doprowadziła do końca zbożnego dzieła uzdrowienia tego hidalga. On sam, jako mąż Doroty, nie tylko nie sprzeciwia się temu, ale chętnie pomoże wszystkimi środkami, jakimi włada.

Tu wkroczył ten, o którego zdrowie tak się troszczyli. Był w pełnej zbroi, z okropnie pogiętym hełmem Mambrina na głowie. Za nim toczył się wciąż markotny Sanczo. Don Kichot, skłoniwszy się pięknej Dorocie, rzekł:

– Słyszę, wasza królewska wysokość, że podczas mego snu po zabiciu Pandafilanda zamieniłaś się w zwykłą panienkę Dorotę. Jeżeli stało się to za sprawą złych czarowników, wiedz, że trwam przy twoim boku i obronię cię przed ich zakusami, na jakiekolwiek

puszczaliby się chytrości. Jeżeli jednak stało się to na rozkaz nieżyjącego rodzica twego, króla-czarodzieja, mniemającego, być może, iż nie zyskałaś we mnie należytej osłony i dla zmylenia wrogów niezbędne jest przybranie przez ciebie takich pozorów, pozwolę sobie wskazać, że ta oto ręka bez wahania ucięła łeb potworowi i ona też królewską twoją koronę na przepiękne twe skronie włoży.

– Nie odmienił mnie żaden czarodziej, zły ani dobry – uśmiechając się do rycerza, odparła Dorota – i jestem dzisiaj dokładnie tą, jaką byłam wczoraj. Zmieniło się jedynie to, że byłam nieszczęśliwa, a jestem szczęśliwa, szczęście zaś moje, wierzę w to niezawodnie, aniby mię spotkało, gdybym pierwej was nie spotkała, wasza niezwykłość. Nie opuszczajcie mnie tedy, jak przyrzekliście wspaniałomyślnie, i nadal. Dziś już za późno, ale jutro skoro świt ruszajmy w drogę do królestwa Mikomikonu.

– Sanczo, gdzie jesteś, hultaju? – zagrzmiał Don Kichot. – I któż to bezczelnie twierdził, że księżniczka już nie jest księżniczką, ale zwykłą Dorotą, a łeb, który uciąłem olbrzymowi, zamienił się w bukłak? Podejdź no tu, a zobaczymy, czy sam się nie zamienisz w swojego osła!

– Może omyliłem się trochę co do księżniczki – odparł Sanczo, raczej oddalając się ostrożnie od swojego pana, niż się doń przybliżając – ale co do łba i bukłaka przekona się pan, kiedy dojdzie do robienia rachunku. Zresztą nie moja sprawa, skoro królowa jest, jak była, to i dla mnie lepiej.

– Wybacz, wasza wyrozumiałość, giermkowi – wtrącił się Don Fernando – i zechciej przyłączyć się do towarzystwa, bo do jutrzejszego świtu, kiedy jaśnie księżniczka zarządziła odjazd, sporo czasu jeszcze, który mile możemy spędzić, nim staniemy się świadkami nowych czynów i zwycięstw Rycerza Posępnego Oblicza.

Don Kichot przychylnie przyjął te uprzejme słowa i odpowiedział na nie równie uprzejmie, zanim jednak zdążył, zgodnie z zaproszeniem, przyłączyć się do towarzystwa za stołem, w progi zajazdu wkroczył nowy podróżny: mężczyzna o dumnej postawie i szlachetnej twarzy, z czego można by go wziąć za kogoś znacznego, gdyby nie strój bardzo kiepski i krojem swym wskazujący, że to biedny chrześcijanin dopiero co wyzwolony z mauretańskiej niewoli. Wraz z mężczyzną wjechała na ośle niewiasta z zasłoniętą twarzą, której z wielką czułością pomógł zejść z siodła. Zwróciwszy się do gospodarza, przybysz poprosił o osobną izbę, a gdy usłyszał, że to niemożliwe, zmartwił się wyraźnie i powiedział kilka słów do swojej towarzyszki, która też się widać zmartwiła, choć nie powiedziała ni słowa.

Obecne w zajeździe kobiety otoczyły podróżniczkę i Dorota zwróciła się do niej z wyrazami pociechy. Ta nic nie powiedziała, tylko pochyliła się całym ciałem na znak podzięki. Wszyscy domyślili się, że jako Mauretanka nie włada językiem kastylijskim, którym mówili, a może ponadto lęka się chrześcijan i wstydzi tak wielu nieznajomych. Zamiast niej odezwał się mężczyzna, wyjaśniając, że jest tak właśnie, jak sądzą: to dziewica z Algieru, pierwsze kroki zaledwie stawiająca na ziemi hiszpańskiej.

– Nie jest więc chrześcijanką? – upewniła się Lucynda.

– Jest nią w duszy, wnet zaś ochrzczona zostanie z wszelkimi ceremoniami, jakie przystoją jej pochodzeniu.

Te słowa bardzo wszystkich zainteresowały, ale nikt nie śmiał pytać tak prosto z mostu, co ma na myśli mężczyzna, napomykając o wysokim pochodzeniu swej towarzyszki, i kim on sam jest właściwie. Dopiero później, po wieczerzy, powrócono do tego, tymczasem zaś wszyscy rozsiedli się przy długim stole: Don Kichot, choć się wzbraniał, na pierwszym miejscu, obok niego – księżniczka Mikomikona, dalej Mauretanka ze swym towarzyszem i wszyscy inni. Kiedy siedli, księżniczka Mikomikona, czyli Dorota, ująwszy Mauretankę za rękę, poprosiła ją o odsłonięcie twarzy. Ta, nie rozumiejąc, spojrzała pytająco na mężczyznę, z którym przybyła, on zaś wyjaśnił jej po arabsku, o co chodzi. Wówczas odsłoniła twarz i Dorota spojrzawszy na nią uznała ją w myślach za piękniejszą od Lucyndy, Lucynda zaś – za

piękniejszą od Doroty. Mężczyźni, którzy mieliby wybierać między tymi trzema, byliby w większym kłopocie.

Don Fernando zapytał, jak ma piękna pani na imię, na co przybysz odrzekł, że Zoraida. Usłyszawszy, pojęła, o co chodzi, i zaprzeczyła kręcąc główką:

– Nie Zoraida! Maria!

Oznaczało to, że tak się będzie nazywać, zmieniając wiarę.

Wszystkim, a zwłaszcza paniom, bardzo się to spodobało.

Po wieczerzy, kiedy już sprzątnięto ze stołu i szykowano na poddaszu nocleg dla niewiast, eksmitując stamtąd, zresztą za jego zgodą, Don Kichota, proboszcz i inni zaczęli prosić przybysza, by opowiedział im koleje swego życia, które, jak wnoszą, musiały być nader niezwykłe i barwne. Zgodził się chętnie i skoro zapadła cisza pełna wyczekiwania, zaczął opowiadać.

Co opowiedział, dowiemy się z następnego rozdziału.

Rozdział dwudziesty ósmy, w którym i my, wraz ze zgromadzonym w gospodzie towarzystwem, poznajemy historię wyzwolonego z mauretańskiej niewoli chrześcijanina

Ów chrześcijanin powracający z mauretańskiej niewoli nazywał się Ruy Perez de Viedma, co w Cerwantesowej opowieści wychodzi wprawdzie na jaw troszeczkę później, ale nie widzę powodu, dla którego nie miałbym przytoczyć imienia przybysza już teraz, zwłaszcza że wygodniej będzie mi mówić o nim w ten sposób, niż nazywając ciągle byłym niewolnikiem, towarzyszem pięknej Zoraidy, wyzwolonym z mauretańskiej niewoli chrześcijaninem czy jeszcze jakoś.

Historia Ruya, przynajmniej w moich oczach, nie jest jedną z wielu, wtrąconych między przypadki Don Kichota dla urozmaicenia i zabawy; takie – starałem się dotąd przebiegać jak najpośpieszniej albo i wręcz pomijałem, gdy zbyt daleko zdawały się nas odciągać od spraw i przygód szalonego rycerza; z historią Ruya co innego – nie tylko dlatego, że jak wskazują badacze dawnych czasów i ksiąg, Cervantes nie wymyślił jej całkowicie, lecz najpewniej usłyszał od kogoś, z kim się zetknął w swym barwnym i trudnym życiu; jeszcze istotniejsze, że w głosie Cervantesa, gdy historię tę opowiada, słychać szczere przejęcie, i łatwo się domyślić, skąd ono płynie; był przecież Cervantes, jak Ruy, żołnierzem, uczestniczył w sławnych i krwawych bitwach, jak on dostał się do niewoli i przecierpiał w niej lata, skuty łańcuchem, nim wydostał się i powrócił, wynędzniały i chory, do ojczystej Hiszpanii; opowiadając więc o Ruyu, zarazem jakby opowiadał o sobie i przejściami się wzruszał, które znał z doświadczenia; któż się zdziwi, że głos mu przy tym drgnął nieraz.

Ja, który po wiekach, jak umiem, rzecz powtarzam za Cervantesem, nie paliłem z muszkietu pod Lepanto i Navarino, nie skakałem z pokładu na pokład chwiejny w czarną noc rozświetloną pożogą, nie padałem nieprzytomny i krwią zbroczony, nie wiosłowałem, z biczem nad głową, na tureckich galerach, nie trzymano mnie na łańcuchu w algierskiej łaźni, skąd nie uciekłem ani nie zostałem też wykupiony. Jestem człowiekiem innych czasów, innej ziemi, innego życia podobnie jak i wy, dzisiejsi czytelnicy tej książki. A przecież wzruszają mnie też dzieje Ruya Pereza, ponieważ jak każda istota ludzka rozumiem i przeżywam znaczenie słowa: wolność, słowa: niewola, słowa: wyzwolenie z niewoli. I wy to rozumiecie, i was to – nieprawdaż? – wzrusza, ponieważ doświadczenie wszystkich ludzi jest wspólne i

wcale nie trzeba przeżywać wszystkiego na własnej skórze, by pojmować, co boli straszliwie, co zaś koi boleści.

Ruy Perez de Viedma był jednym z trzech synów właściciela ziemskiego, niegdyś bogatego, z biegiem lat jednak coraz uboższego, z winy szczodrobliwości i rozrzutności swojej, której nie potrafił powściągnąć. Trapiąc się, iż niewiele synom zostawi, a może i nic zgoła, gdy ruina będzie nadal jak dotychczas postępowała, ojciec pewnego dnia podzielił całą posiadłość na cztery części, sobie jedną zachował, a pozostałe oddał synom, by po spieniężeniu każdy powierzonym sobie dobytkiem (i swym losem zarazem) pokierował na własną rękę. Jedno przy tym wyraził życzenie – by każdy z synów obrał inną z trzech możliwych dróg, jakie w Hiszpanii uważa się za godne mężczyzny: handel morski, naukę lub wojaczkę pod królewskim sztandarem. Tak też się stało: najmłodszy z braci ruszył do Salamanki, by na tamtejszym uniwersytecie umysł w scholastyce i innych naukach ćwiczyć, średni za swój kapitał nabył towarów i do Indii się udał, najstarszy zaś, Ruy, zaciągnął się do wojska, walczył we Włoszech, Flandrii i znów we Włoszech, awansował na kapitana, aż w jednej z bitew morskich (tej pod Lepanto, gdzie samego Cervantesa rzecz podobna spotkała), skoczywszy na wrogi pokład, odcięty został znienacka od swoich żołnierzy i ranny dostał się do niewoli Uczalego, króla Algieru.

Uczali, niegdyś chrześcijanin, co dla dobra własnej skóry i kiesy na mahometanizm był przeszedł, stanął następnie na czele sił morskich Turcji i dowodził w roku 1572 w wielkiej bitwie pod Navarino. Ruy Perez de Viedma, wraz z innymi niewolnikami, wiosłował na admiralskiej galerze i modlił się o klęskę swoich ciemiężycieli: może poszedłby wówczas na dno z ich flotą, a może odzyskał wolność. Nic takiego się jednak nie stało i na wiele jeszcze lat miał pozostać przykuty do wioseł. Gdy Uczali zmarł w Konstantynopolu, Ruya odziedziczył, niczym przedmiot bezwolny, nowy król Algieru, też renegat, Hassan-Aga, w przeciwieństwie do Uczalego wielki okrutnik. Mało, że niewolnicy jego ciężko pracowali, dźwigali łańcuchy i mieszkali ze szczurami i pająkami w więzieniu zwanym przez Maurów łaźnią, Hassan-Aga jeszcze pastwił się nad nimi, sam i rękoma swoich popleczników, co dzień któregoś nieszczęśnika na pal wbijał, wieszał, chłostał, obcinał uszy. Cztery były sposoby wyzwolenia się z tej straszliwej doli jenieckiej: pierwszy – śmierć; marli też biedni chrześcijanie jak muchy, z nędzy, chorób i udręczenia, ale także i z własnej woli. Drugi – wiary się wyrzec, poturczeńcem zostać; to nie tylko wyzwolenie, ale i często wywyższenie – od żelaznego łańcucha u nogi do złotego łańcucha na piersi; nie ma się co dziwić, że wielu jeńców prędzej czy później obierało tę drogę; i potępiać ich nie ma prawa, kto nie przeżył tego, co oni; gorzej, że wielu spośród tak ocalonych całą swoją mściwość przeciw dawnym towarzyszom niedoli zwracało i gorliwiej niż Maurowie z dziada pradziada zalewało im sadła za skórę; nie był taki Uczali, ale był, jak wiemy już, Hassan-Aga. Wreszcie trzeci sposób – to wykup; zdarzało się, że rodzina niewolnika, dowiedziawszy się o miejscu jego pobytu (zwłaszcza gdy było to stosunkowo blisko Hiszpanii, jak w Algierze, gdzie teraz, przewieziony z Konstantynopola, znajdował się Ruy Perez de Viedma), przysyłała jakąś kwotę za swego brata czy syna, a Maurowie, policzywszy monety, uznawali, że dość, albo targowali się o więcej, i w końcu oddawali wykupionego. Tych szczęśliwców było niewielu, bo opuszczonej nieraz przed wieloma laty rodzinie trudno było i o wiarygodną wiadomość, co się dzieje z jej bliskim, i o zgromadzenie pieniędzy, i o ich przesłanie przez pewnego człowieka. Najdzielniejszym, najzuchwalszym, najbardziej zdesperowanym pozostawał więc sposób czwarty: ucieczka, ale ta dla skutych, dzień i noc pilnowanych, wycieńczonych niewolą była całkiem już beznadziejna...

Kiedy Maurowie dowiedzieli się, że Ruy był kapitanem, uznali, że dostaną za niego okup; on sam najlepiej wiedział, że nic z tego – co niegdyś miał, po podziale mizernego już ojcowskiego majątku, wydał na ekwipunek; czy jego najbliższym coś pozostało, wątpił; a choćby i tak, jak miał ich szukać. Szczerze tłumaczył Maurom, że i złamanego grosza zań nie

uświadczą, ale nie wierzyli mu i trzymali skutego w więzieniu, nie prowadząc do pracy i czekając na gońca z worem dukatów.

Owo algierskie więzienie miało zewnętrzny dziedziniec wspólny z innym gmachem okazałym, pod jednym względem też do więzienia podobnym, pod tym mianowicie, że wszystkie okna jego były zakratowane; ale nie więzienie tam się mieściło, tylko rezydencja pewnego mauretańskiego bogacza i dygnitarza, imieniem Hadżi Murad. Raz, gdy Ruy znajdował się na dziedzińcu w towarzystwie trzech współwięźniów, podobnie jak on uznanych za wartościowy towar wymienny – pozostałych zaś chrześcijan, mniej cenionych, wyprowadzono jak co dzień na roboty – a tej czwórki, dodać trzeba, nie chciało się nikomu pilnować, uważano bowiem, nie bez racji, że wlokący się łańcuch jest wystarczającym strażnikiem – otóż raz, gdy Ruy i jego towarzysze dla zabicia czasu bawili się skakaniem w łańcuchach, i Ruyowi udawało się to najlepiej, z jednego z okienek rezydencji Hadżi Murada wysunęła się raptem trzcina z uwiązaną na końcu chustką. Trzcina poruszała się zachęcająco, jak gdyby wzywając, by ktoś sięgnął po chustkę; kiedy jednak któryś z więźniów usiłował to uczynić, wymknęła mu się i poderwała do góry, po czym poruszyła się ruchem przeczącym, jakby mówiąc: nie, nie o ciebie chodzi. Z kolei drugi spróbował szczęścia, z tym samym skutkiem; za nim trzeci, również bez powodzenia. Pozostawał tylko Ruy; niepewny, czy ktoś złośliwy nie naigrawa się z nich wszystkich razem, podszedł od niechcenia do okienka z tańczącą trzciną, a ta zatrzymała się i schyliła ku niemu łagodnym ruchem. Odwiązał chustkę i znalazł w niej dziewięć złotych monet mauretańskich. Zachowanie trzciny wyraźnie świadczyło, że pieniądze te były przeznaczone dla Ruya i nikogo innego; kiedy je wziął, trzcina cofnęła się szybko; zdążył jeszcze spojrzeć w górę, gdzie biała rączka panieńska, cała w bransoletach, pośpiesznie zamykała okienko. Ukłonił się, tutejszym obyczajem pochylając głowę i krzyżując ręce na piersiach, na co okienko odpowiedziało mu wysuniętym na chwilę i cofniętym zaraz małym krzyżykiem z trzciny.

Ani Ruy, ani jego towarzysze nie wiedzieli, co by to wszystko miało znaczyć. Parę tygodni minęło bez jakiegokolwiek poruszenia zakratowanego okienka. Aż raz, kiedy przestali już oczekiwać, z tajemniczego okienka wychynęła znów trzcina z kołyszącym się na jej końcu okazalszym niż poprzednio węzełkiem. Powtórzyli tę samą próbę, co za pierwszym razem: najpierw jeden sięgał po chusteczkę, potem drugi i trzeci, ale trzcina za każdym razem uciekała do góry i łagodnie przeczącymi ruchami perswadowała: to nie ty, nie ty, ani ty także, przecież wiecie już kto, więc po co te próby? Podszedł Ruy i chusteczka na końcu trzciny sama weszła mu w ręce; tym razem znalazł w niej czterdzieści złotych monet oraz list pisany, niestety, po arabsku, ten język zaś zaczynał już trochę rozumieć w mowie, ale nie w piśmie, tylko podpis Ruya ucieszył, bo podpisany był ten list znakiem krzyża.

Sporo czasu upłynęło, zanim całą treść listu zgłębił; ze znających język arabski nie miał komu zaufać, albo ściślej – nie wiedział, komu ufać może; ryzyko było wielkie; w końcu uznał za bardziej od innych zasługującego na wiarę poturczeńca z Murcji, który nieraz już dobro świadczył chrześcijanom, pobierając od nich zaświadczenia o swej ludzkości, a to na wypadek powrotu do ojczyzny i na łono Kościoła. Człowiek ten przetłumaczył list nieznajomej Mauretanki – domyślacie się już, że była nią Zoraida – słowo w słowo, a potem napisał też po arabsku odpowiedź. W liście swym Zoraida zwierzała się, że kiedy była dzieckiem, niewolnica chrześcijanka nauczyła ją wiary w Najświętszą Marię Pannę; niewolnica ta nie żyje, ale odwiedza ją we śnie i wzywa, by udała się do ziemi chrześcijańskiej. Zoraida chce to uczynić, i nie sama, lecz ze szlachetnym chrześcijaninem, którego od dawna widuje ze swego okienka i miłuje go, i pragnie pojąć za męża. Niechże on poszuka sposobu, by oboje mogli się stąd wydostać i dotrzeć do jego kraju, ona zaś pójdzie z nim posłusznie, zabierając w drogę tkwiące w niej pragnienie prawdziwej wiary, a także swą urodę, młodość i dużo pieniędzy.

W odpowiedzi, napisanej przez przyjaznego poturczeńca, Ruy pochwalał postanowienie Zoraidy udania się do ziemi chrześcijańskiej i przyrzekał, że poślubi ją, kiedy znajdą się tam oboje. Przyrzekał szczerze, bo choć tylko białą rączkę Mauretanki dotychczas widział, już i on się w niej rozmiłował. Dalej pisał, że nie wie jeszcze, jak by się stąd wydostać mieli – ona, on i jego trzej towarzysze, bo ich też nie zostawi w niedoli – ale ufa, że Najświętsza Panienka ześle im wnet dobry pomysł i pomoc.

Tak rozpoczęła się wymiana listów,.która trwała czas jakiś, a do każdego ze swoich listów Zoraida dołączała coraz więcej pieniędzy, aż zebrało się tyle, że Ruy mógł, za pośrednictwem pewnego kupca miejscowego, złożyć okup za siebie i towarzyszy, i starczyło jeszcze na zakupienie doskonałej barki przez poturczeńca. Żeby nie wzbudzać podejrzeń, barką tą, z mauretańską załogą, poturczeniec odbył kilka niedalekich podróży handlowych i z ładunkiem fig suszonych to tu, to tam zarzucał kotwicę; a między innymi zatrzymywał się parokrotnie w zatoczce położonej naprzeciw ogrodu i letniego domu Zoraidy; mało tego, zuchwale wkraczał do ogrodu, kłaniał się Hadżi Muradowi i prosił o owoce, których Hadżi Murad mu nie żałował, choć go nie znał wcale. Z Zoraidą jednak nie udało się poturczeńcowi porozumieć. Ruy postanowił przeto sam udać się do niej i ostrzec, by nie przeraziła się, kiedy wnet zostanie porwana, pod postacią porwania bowiem musiała nastąpić ucieczka Mauretanki z Algieru. Przedtem jeszcze kapitan umówił się z tuzinem dzielnych wioślarzy hiszpańskich, spośród takich, którym wolno było wychodzić z miasta – nie wyjaśniając im dokładniej, o co chodzi, każdemu z osobna polecił w tajemnicy przed innymi czekać w najbliższy piątek wieczorem w pobliżu ogrodu Hadżi Murada. Dopiero załatwiwszy to, poszedł sam do owego ogrodu, gdzie udawał, że zbiera zioła na sałatę. I jemu także właściciel nie czynił wstrętów, wypytał jedynie, do kogo należy i czy przeznaczony jest do wykupu. W tej chwili zbliżyła się Zoraida, która, zgodnie z tutejszym obyczajem, nigdy nie pokazywała się mężczyznom wyznawcom Mahometa, poza swoim ojcem, ma się rozumieć, wolno jej było natomiast swobodnie pokazywać się rozmawiającym z ojcem chrześcijanom. Teraz podeszła, przywołana przez ojca, i włączając się do rozmowy, zapytała, czy ten, którego widzi, jest szlachcicem, i dlaczego dotąd się nie wykupił.

– Już się wykupiłem, pani – odparł Ruy – i to za wysoką cenę.

– Kiedy więc odjeżdżasz? – zapytała Zoraida.

– Jutro, jeśli Opatrzność będzie sprzyjała mnie i mym towarzyszom. Przybił tu pewien statek, który jutro rozwinie żagle.

– Więc naprawdę jutro? Czy to dobra sposobność?

– Brak mi już cierpliwości, pani, by na lepszą czekać.

– Czy tak tęsknisz za pozostawioną w domu małżonką?

– Nie zostawiłem w domu małżonki, pani, ale dałem słowo, że się ożenię po powrocie.

– Pięknaż jest ta, którą chcesz poślubić?

– Jedyny sposób, by urodę jej prawdziwie wysłowić, to rzec, iż podobna do ciebie.

– Zaiste – zaśmiał się dobrotliwie Hadżi Murad – bardzo musi być piękna twoja wybranka, skoro do córki mej zdaje ci się podobną.

Pożegnawszy się z ojcem i córką, Ruy długo jeszcze pod pozorem zbierania ziół wałęsał się po całym ogrodzie, dokładnie badając wszystkie wejścia, wyjścia i przejścia, żeby nie natknąć się na jakąś niemiłą niespodziankę w trakcie jutrzejszej wyprawy.

Kiedy nastąpił upatrzony wieczór, poturczeniec nie po raz pierwszy zarzucił kotwicę naprzeciw ogrodu Zoraidy. Ukryci w pobliżu chrześcijańscy wioślarze pod jego przewodem opanowali statek, wiążąc sznurami i mocniejszymi od sznurów pogróżkami dotychczasową mauretańską załogę. Następnie część została na straży, reszta zaś, z Ruyem i poturczeńcem na czele, wyważywszy furtkę, wtargnęła do ogrodu i znalazła się pod domem, gdzie piękna Zoraida czekała przy oknie. Ta przepytała się szeptem, czy ma do czynienia z tymi, na których czeka, upewniwszy się zaś, zeszła na dół, pięknie odziana, ze szkatułą pełną złotych

monet, którą ledwie dźwigała i natychmiast oddała w silniejsze ręce. Ruy był zadowolony, że Hadżi Murad śpi, nie chciał bowiem wyrządzać mu krzywdy, ale niestety! Maur się właśnie zbudził i wyjrzawszy przez okno narobił krzyku:

– Rozbójnicy! Chrześcijanie! Ratunku!

Poturczeniec z paru innymi jeszcze wpadł, dudniąc po schodach, do komnaty Hadżi Murada; rzucili się nań, skrępowali, knebel wepchnęli w usta, goły nóż przytknęli do piersi – i tak sprowadzili na dół. Zoraida, na wpół mdlejąc, padła w ramiona Ruya; ale opanowała się po chwili i ze spuszczonym wzrokiem poszła ze wszystkimi w stronę barki; było już po północy, czas najwyższy, by odbić.

Na pokładzie wyjęto Hadżi Muradowi knebel i zdjęto więzy, grożąc zarazem, że jeśli wyda jakikolwiek dźwięk, życie postrada. Maur był posłuszny, wzdychał jedynie żałośnie popatrując na córkę w objęciach chrześcijanina. Ta ze swej strony błagała Ruya, by zwrócił wolność jej ojcu i reszcie Maurów, bo nie może patrzeć na nieszczęście ojca zniewolonego za jej przyczyną. Ruy przyrzekł, że wypuści i ojca swej przyszłej żony, i pozostałych, wytłumaczył jednak, że nie może tego uczynić w tej chwili, bo Maurowie podniosą alarm i ucieczka, tak pomyślnie rozpoczęta, zostanie udaremniona. Skoro jednak przybiją do jakiegokolwiek bezpiecznego lądu, zaraz zwolnią Hadżi Murada i całą resztę. Zoraida zgodziła się na te argumenty. Kapitan dał znak, wioślarze jęli robić wiosłami, i barka pomknęła po falach; kiedy zaczęło dnieć, była już na pełnym morzu; wtedy zerwał się dobry wiatr, rozwinięto więc żagle i porzucono wiosła, barka zaś płynęła dalej z szybkością ponad ośmiu mil na godzinę.

Wtedy to, na pełnym morzu, stary Maur rozpłakał się gorzko i nie wierząc zapewnieniom, że zostanie zwolniony, błagał, by wyznaczono okup za niego i córkę, a jeśli nie, to przynajmniej za córkę, która jest dla niego wszystkim i gotów sam zginąć, byleby wiedział, że jej się nie stanie nic złego. Zoraida rzuciła się do ojca, przytuliła, płaczowi jego rzewnie zawtórowała. Ale raptem on odepchnął córkę najukochańszą i z błyskiem podejrzliwości w oku zapytał, co by jej strój odświętny miał znaczyć i klejnoty, którymi się ozdobiła. Piękna panna nie odpowiadała mu ani słowem, a na twarzy Hadżi Murada widać było coraz większą boleść i pomieszanie. Wreszcie poturczeniec odpowiedział Maurowi, że córka znajduje się tu z własnej woli i że ona to – tak się wyraził – była ostrzem, które przecięło pęta obecnych na statku chrześcijan.

– Czy to prawda, córko? – zapytał Maur.

Potwierdziła z opuszczoną głową.

– Więc zmieniłaś wiarę i pierwszym twym czynem było wydanie ojca w ręce nieprzyjaciół?

– Chcę być chrześcijanką – odrzekła – ale to nie ja wydałam cię w niewolę, jeno nieszczęśliwy przypadek; a niewola twa wnet się skończy.

Nie wysłuchał nawet do końca zdania i rozpaczą gnany rzucił się z niezwykłą szybkością głową w dół do morza. Przed utonięciem, którego pragnął w tej chwili całym zrozpaczonym sercem, uchroniła go jednak obszerna szata, którą nosił, rozłożyła się bowiem na wodzie i marynarze chwycili za poły, wyciągając nieprzytomnego i wpółutopionego z odmętu. Po jakichś dwóch godzinach przyszedł do siebie, a było to w chwili, gdy wiatr się odwrócił i pchnął statek ku pewnemu przylądkowi, ciągle jeszcze afrykańskiemu, choć już dość odległemu od Algieru, skąd wypłynęli. Zatrzymawszy się tu w małej zatoczce, zbiegowie wysadzili na brzeg wszystkich Maurów, a pomiędzy nimi ojca Zoraidy, który, im przytomniejszy, tym bardziej napełniał się jakimś gorzkim szaleństwem, wołając:

– I czemuż to mniemacie, chrześcijanie, że ta zła niewiasta chce, byście mi przywrócili wolność? Nie zna ona miłości ni litości dla ojca, wrogiem mym jest okrutnym, a z wami ucieka nie dla religii, w którą mocniej by uwierzyła niźli w tę, w jakiej wzrosła, lecz dla swobody pohańbienia duszy i ciała!

Dalej, zaś wprost złorzeczył Zoraidzie, przeklinał godzinę, w której ją spłodził, oraz wszelkie starania i pieszczoty ojcowskie; tarzał się przy tym po ziemi, rwał włosy i targał brodę; statek zaś na nowo oddalał się już od lądu; wtedy Hadżi Murad zaczął raptem wołać, że wszystko córce wybaczy, jeżeli jeszcze wróci do niego; a ona, stojąc na pokładzie, płakała cicho, powtarzając, że nie może inaczej postąpić, bowiem Najświętsza Maria Panna, od dziecka uwielbiana, ją wzywa; ale tego już Hadżi Murad nie słyszał.

Wiatr był pomyślny i wszyscy, z Ruyem na czele, pewni już byli, że o świcie przybiją do brzegów Hiszpanii, ale widać przekleństwa nieszczęsnego ojca, chociaż Maurem był, skutecznie ścigały statek, bo o trzeciej nad ranem doszło do niedobrego spotkania z francuskimi korsarzami, którzy dwukrotnie wystrzelili z armat i nie zranili wprawdzie nikogo, ale statek puścili na dno. Tonących i wzywających ratunku wzięli do szalupy, gdzie obdarli ich z wszystkiego, co mieli, po czym, tknięci nieoczekiwaną litością, co prawda nie wszyscy, bo byli i tacy, co chcieli rozbitków do morza wrzucić zawiniętych w żaglowe płótno, ale litościwsi, z wodzem piratów, być może wzruszonym urodą Zoraidy, na czele, ci litościwsi zatem wzięli górę, wbrew sprzeciwom innych wpakowali uciekinierów na łódź, dali im na pożegnanie beczułkę wody i trochę sucharów, i odpłynęli na pełne morze.

Do ziemi hiszpańskiej łódź przybiła w mrokach bezksiężycowej nocy. Jeden za drugim wyskakiwali na ląd, klękali, całowali tę ziemię twardą i wypaloną, oblewali ją łzami radości, jaka znana jest tylko powracającym z długiej i beznadziejnej niewoli. Potem ruszyli przed siebie, w górę, kamienistymi zboczami, nie napotykając ani ścieżki, ani dymu, ani śladu ludzkiej istoty. Gdy się rozwidniło, szli dalej, chociaż bardzo już byli zmęczeni, zwłaszcza Mauretanka, nienawykła do takich marszów. I wreszcie dobiegł ich uszu dźwięk owczego dzwoneczka, oznaczający, że gdzieś w pobliżu pasie się trzoda. Skręcili w tę stronę i dostrzegli pastuszka, strugającego coś u stóp dębu. Zagadnęli go, podniósł głowę i z wyrazem przerażenia na twarzy rzucił się do ucieczki, wołając:

– Ratunku, Maurowie! Do broni, ludzie, do broni!

To stroje poturczeńca i Zoraidy wprawiły go w taki popłoch.

Alarm podniesiony przez pastuszka sprawił, że po paru godzinach z przeciwka wyłoniła się kawalkada około pięćdziesięciu jeźdźców, którzy w jednym mgnieniu otoczyli wędrowców. Ci zatrzymali się posłusznie, a wówczas konni, zdziwieni brakiem oporu, co niepodobne wydawało się do mauretańskich napastników, przyjrzeli im się bliżej i dostrzegli gromadę biednych chrześcijan, nie zaś zuchwałych żołnierzy Mahometa. Zaraz wszystko się wyjaśniło, a jeszcze po chwili jeden z wyzwolonych niewolników poznał w którymś jeźdźcu swojego wuja, a ten w zamian w nim swojego dawno opłakanego siostrzeńca. Zaczęła się ogólna radość, konni ustąpili przybyszom siodeł, Zoraida i Ruy dosiedli najlepszych wierzchowców, i tak wszyscy razem dotarli do miasta Velez Malaga, gdzie przez cały tydzień wyzwoleni niewolnicy świętowali i goszczeni byli serdecznie w najlepszych domach. Potem rozeszli się: poturczeniec do świetnego miasta Grenady ruszył, by stawić się przed Świętą Inkwizycją i za jej surowym pośrednictwem powrócić na łono Kościoła Katolickiego; wszyscy inni w różne strony, gdzie spodziewali się odnaleźć swoje dawno utracone rodziny; Ruy zaś z Zoraidą, zakupiwszy osiołka za cudem utajoną przed korsarzami monetę, udali się tam, gdzie przed ponad dwudziestu laty młody hidalgo spośród trzech wskazanych przez ojca powołań obrał był wojaczkę, ani podejrzewając, jaki tym samym los na mapie przeznaczenia sobie wytycza. W tej to drodze żmudnej do ojczystych okolic znaleźli się też w owym zajeździe, w którym Ruy Perez de Viedma opowiedział zgromadzonemu towarzystwu swoją historię.

Rozdział dwudziesty dziewiąty, w którym dzieją się, ciągle w tym samym zajeździe, różne, bardziej lub mniej, dziwne rzeczy

W tym miejscu spotkała mnie dziwna i niemiła przygoda.

Nie przesłyszeliście się: przygoda ta spotkała nie Don Kichota (choć i jego czekało, jak zwykle, co niemiara przygód – przecież sam wychodził im na spotkanie), ale mnie, to znaczy tego, który o wszystkim wam opowiada. Spotkała mnie w tym miejscu, choć zdążyłem się już od niego znacznie oddalić i do końca doprowadzić całą historię; ale oto, gdy pozostawało już tylko przepisanie jej pięćdziesięciu ośmiu rozdziałów na czysto, dwa spośród nich – dwudziesty dziewiąty i trzydziesty – tajemniczo zginęły i w żaden sposób nie dało się ich odnaleźć.

Byłażby to sprawka złego czarodzieja Frestona?

Jeśli nie jego, to widać innych potężnych wrogów Don Kichota i moich; lub, co gorsza, przyjaciół; dość, że książka (bo księgą rycerską nie śmiem jej nazwać), która szczęśliwie została już napisana, raptem, z ziejącą dziurą, jak z raną okropną, w samej połowie, stała się z powrotem nie napisana, nie gotowa, nie istniejąca, jakże bowiem mówić o istnieniu książki z wydartym środkiem?

Trudno mi się podnieść z tej złej przygody. Nie wiem, czy próbowałbym nawet, gdyby nie przyświecał mi Don Kichota wspaniały przykład.

Ale rycerz nigdy nie dawał za wygraną, i ja, który podjąłem się powtórzenia na nowo jego historii, jeżeli pragnę choć w jakimś stopniu godnym być tego, o którym opowiadam, też nie mogę uznać się za pokonanego i muszę próbować raz jeszcze.

Z odległości, gdzie się znajdowałem, muszę powrócić do miejsca, w którym tak niespodziewanie rozwarła się szczelina między wcześniejszymi a późniejszymi nieco dziejami bohatera, by wypełnić ją ponownie ciągłością zdarzeń, miąższem uczuć, mów, nieporozumień życiowych, tęsknot, sporów, pogodzeń i odkryć.

Muszę powrócić do sławetnej gospody, przez którą tyle różnych przewijało się ludzi i w której tyle po sobie następowało wydarzeń, że nie gospodą zdawała się już, lecz ś w i a t e m , a może za ostrożny jestem twierdząc, że się zdawała, bowiem była nim rzeczywiście.

Korzystając, że właśnie nowi goście zajechali w pysznej karocy, wśliznę się tedy za nimi i, niewidzialny, pozostanę, gdzie już byłem, i powtórnie wszystkiemu po kolei się przyjrzę.

– Nie ma miejsca – rozkładał ręce gospodarz – taki tłok dzisiaj, wszystko pozajmowane, miejcie litość, łaskawi państwo, i gdzie indziej poszukajcie noclegu.

– Choćby i nie było – usłyszał w odpowiedzi – nie może zbraknąć miejsca dla samego pana audytora, bo już raczej dla was zbraknie miejsca pod słońcem.

Mówił to, oczywiście, nie sam audytor, lecz jego sługa, jeden z tych, którzy konno towarzyszyli karocy. Audytor – czyli bardzo ważny sędzia – w szacie z rozciętymi rękawami, jaką nosił na znak piastowanego urzędu – czekał w karocy na załatwienie sprawy, a wraz z nim czekała jego szesnastoletnia córka, panna Klara, tak olśniewającej urody, że wyczerpawszy już wyrazy podziwu dla piękności Lucyndy, Doroty i Zoraidy, nie jestem w stanie opisać tej ich nowej współzawodniczki i mogę tylko wpatrywać się w nią zachwyconym wzrokiem imaginacji.

Sługa pana audytora miał słuszność: miejsca w zajeździe nie było, ale znalazło się dla tak znacznych gości, można zaś mniemać, że gdyby po nich zjawili się jeszcze znaczniejsi, ściany zajazdu jeszcze bardziej by się rozstąpiły i ich także przyjęły, taką już bowiem ściany zajazdu zwykły miewać właściwość.

Ledwie ów dostojnik wysiadł z karocy, algierskiemu wyzwoleńcowi mocniej serce zabiło, poznał bowiem swojego młodszego brata, tego, który po podziale ojcowego majątku udał się był na studia do Salamanki. Uradował się Ruy Perez de Viedma, ale i zaniepokoił trochę, czy brat, który osiągnął takie wyżyny, znać i poznać zechce brata poniżonego i przyznać się do niego przed całym światem. Nie od razu przeto wyznał, kim jest, lecz z proboszczowego skorzystał pośrednictwa, który drogą okrężną pana audytora z żołnierskimi perypetiami zapoznał, a dopiero gdy tamten wzruszenie najwyższe na tę opowieść okazał, proboszcz rękę wyciągnął, mówiąc:

– To jest właśnie ów nieszczęśliwy wojak i dzielny uciekinier z niewoli – po czym obaj bracia odnalezieni padli sobie w objęcia.

Radość ich dzieliła piękna oblubienica jednego i prześliczna córa drugiego, a także wszyscy inni obecni przy tej scenie, Don Kichota nie wyłączając, który nie bez racji mówił sam sobie, że bez wyprawy po rycerskie przygody z pewnością nie zetknąłby się z takim zaplątaniem i rozplataniem losów człowieczych.

Po wzruszeniach postanowiono przespać resztę nocy, której znaczna część już minęła; damy, zabierając ze sobą najmłodszą Klarę, udały się na poddasze, mężowie rozłożyli się w dolnej izbie, na czym kto mógł, Sanczo Pansa na przykład w jakimś kącie podłożył sobie oślą uprząż pod głowę; i tylko Don Kichot, rycerskim zwyczajem, wyrzekł się spoczynku, deklarując, iż na straży snu innych stanowisko zajmie pod zamkiem. Jaka go tam spotkała przygoda, zaraz opowiem, najpierw jednak posłuchajmy razem nocnej ciszy, która oto zapadła, porozkoszujmy się nią, piękna bowiem jest muzyka nocnej ciszy... ale cóż to? Już nie cisza śpiewa, lecz w niej, wypełniając ją całą, głos młodzieńczy, wibrujący miłośnie – to najmłodszy z mulników leżących w stajni pieśnią ze swej miłości się zwierza:

Miłości (tak śpiewa) jestem żeglarzem,
Przez morskie płynę odmęty
Za moją gwiazdą daleką,
Do której jakże dopłynąć?

Usłyszawszy ten śpiew, Dorota obudziła pannę Klarę, aby i ta posłuchała, ale dzieweczka, miast, jak ona, wpaść w zachwyt tylko, drżeć zaczęła na całym ciele i płakać, po czym wyjaśniła szeptem, przerywanym łkaniami, iż dobrze zna ów głos śpiewający, nie należy on bowiem do żadnego mulnika, lecz do młodzieńca z najlepszej rodziny, co za mulnika jeno się przebrał. Od dawna już Klara i Don Luis (tak się bowiem chłopiec nazywał) miłują się prawdziwie, choć niemo, gdyż słowa nawet nie ośmielili się ze sobą zamienić. Tak są młodzi oboje, że nie odważyli się też prosić ojców o zgodę na zawarcie małżeństwa; pozostało im jedynie wpatrywanie się w siebie wzajem w kościele lub na ulicy; ale nie, i to również stało

się niemożliwe, gdy wraz z rodzicem swym panna Klara udać się musiała w podróż daleką, aż na drugą półkulę, gdzie w hiszpańskich posiadłościach zamorskich pan audytor jeszcze wyższe objąć miał stanowisko. Wówczas to Don Luis strój mulnika przywdział i podążył za nimi, nie wiadomo jaką nadzieją czy też raczej desperacją wiedziony... Taki to romans opowiedziała, szlochając panna Klara Dorocie, ta zaś starała się uspokoić dzieweczkę i namówić ją, by z powrotem zasnęła, a z blaskiem dnia – obiecywała – postara się jakoś zaradzić jej biedzie. Nie wiadomo, czy panienka rzeczywiście nabrała otuchy i czy zdrowy sen młodzieńczy ją zmorzył, ale że śpiew mulnika tymczasem umilkł, damy także szept swój urwały i po chwili w całej gospodzie, od progu po strzechę, zapanowała na nowo cisza.

Czas teraz udać się za strzegącym spokoju współmieszkańców gospody (a jak sądził – zamku) Don Kichotem, którego, jak uprzedzałem, także miało coś przy tej okazji spotkać.

To, co się stało, zawdzięczał nadobnej karczmarzównie i służącej Maritornes, o której dotąd stale nadmieniałem, że choć szpetna, była przecież poczciwego serca – i naprawdę była, tylko że najpoczciwszym nawet osobom zdarza się pod wpływem trochę mniej poczciwych lub zgoła niepoczciwych czyny przedsiębrać, również z poczciwością nic nie mające wspólnego. Maritornes tyle już razy była świadkiem natrząsań i naigrawań się z Don Kichota, których autorami bywali ludzie rozmaitego stanu, wieku, rozumu, płci i urody, że mimo woli ukształtowała w sobie pojęcie, jakoby figle te były czymś i właściwym, i dobrym, i do tego bardzo dowcipnym. Cóż dziwnego, że czekała tylko na okazję, by i samej się popisać pomysłowością. Karczmarzówna czekała z nią razem, także pragnąc się zabawić i nie odczuwając żadnych skrupułów.

W całej gospodzie na pole wychodził tylko dość wysoko umieszczony otwór od gumna, służący do wyrzucania słomy. Pod nim właśnie stróżował konno i w zbroi Don Kichot, żałośliwie wzdychając do damy swego serca, dalekiej pani Dulcynei z Toboso, zdając jej sprawę z czynów już dokonanych i zapowiadając te, jakich miał dokonać niebawem. Przerwało mu ciche wołanie z otworu w gumnie, który w księżycowej poświacie zdał się rycerzowi okienkiem ze złotą kratą. Zbliżywszy się, ujrzał w okienku dwie twarzyczki niewieście i uroił sobie natychmiast, że to znów, jak niegdyś, zaleca się doń zakochana latorośl panów zamczyska. Westchnął na to – ale innym westchnieniem niż do Dulcynei z Toboso, bo nie sobie samemu współczującym, lecz pannie – i wyjaśnił, że od dawna już nie będąc panem swojego serca, nie może odwzajemnić jej namiętności, jeżeli jednak zażąda odeń czegoś innego, choćby najtrudniejszego, jak stanowiące poniekąd jego specjalność ucinanie łbów obrzydliwym olbrzymom, usłuży jej ze szczerą chęcią i nie słabnącym zapałem.

– Ależ nic tak trudnego nie żąda od waszej ochoczości moja pani – odezwała się Maritornes, uprzedzając mniej szybką karczmarzównę.

– Jakże więc mogę jej służyć? – zaciekawił się Don Kichot.

– Jedyne, o czym marzy, to krótkie dotknięcie waszej mężnej ręki – wyjaśniła Maritornes, wprawiając tym Don Kichota w pewne zmieszanie i rozterkę, czy aby, folgując takiej chęci jasnej panienki, nie sprzeniewierzy się rycerskiej miłości swojej do Dulcynei, po krótkim jednak namyśle doszedł do wniosku, że nie, i odrzekł z prostotą:

– Oto ona.

To mówiąc, wspiął się w strzemionach, a gdy tego nie wystarczyło, by dosięgnąć otworu w gumnie, wysunął stopy ze strzemion i stanął na siodle. Teraz bez trudu już włożył dłoń do otworu, na co Maritornes tylko czekała. Chwilę przedtem przygotowała postronek, którego jeden koniec przywiązała do rygla przy drzwiach budynku, na drugim zaś zrobiła pętlę, obecnie zarzucając ją na przegub ręki Don Kichota i mocno ściągając.

– Drapiecie raczej, nie zaś pieścicie rękę moją – ze zdziwieniem stwierdził Don Kichot, nikt go już jednak nie słuchał, bowiem obie złośliwe pannice uciekły, parskając śmiechem i zostawiając rycerza z ramieniem wzniesionym do góry i uwiązanym, tak że się nie mógł

uwolnić. Nie bardzo rozumiał, co się właściwie stało, i jedyne tłumaczenie, jakie, w oparciu o wszystkie dotychczasowe przygody i doświadczenia, przyszło mu w tej sytuacji do głowy, było to, że znowu prześladują go źli czarownicy. Pamiętając wszakże, iż z odwróceniem się gwiazd o świcie zdarza się, że czar niewolący pryska, nie tracił otuchy i trwał cierpliwie, nie wołając pomocy, w swojej jakże niewygodnej pozycji.

Jeszcze nie całkiem świtało, kiedy do bram zajazdu zaczęło się niecierpliwie dobijać czterech jeźdźców na spienionych koniach.

– Panowie – tonem perswazji odezwał się do nich ze swej wysokości Don Kichot – alboż nie wiecie, że noc jeszcze i nie wypada o tej porze budzić hałasami jaśnie oświeconych mieszkańców zamku?

– A cóż to za ceregiele? – obruszył się pierwszy jeździec. – Otwierajcie żwawo, jeśli jesteście gospodarzem tej karczmy, bo śpieszy nam się bardzo i nie mamy czasu ani ochoty na czcze rozmowy!

– Bierzecie mnie za karczmarza? – poczuł się z kolei urażony Don Kichot. – Czyżbym na to wyglądał ?

– Wyglądacie na takiego, co bredzi w gorączce – brutalnie powiedział jeździec i na nowo zaczął kołatać do wrót zajazdu, w czym z zapałem towarzyszyli mu trzej pozostali. Od tego rumoru wszyscy w środku wnet się zbudzili. Karczmarz pobiegł otwierać, a gdy wrota rozchyliły się skrzypiąc i nowo przybyli wjechali na dziedziniec, Rosynant szarpnął się ku nim, biorąc w chrapy zapach zgrzanych wierzchowców. Biedny Don Kichot pośliznął się na siodle i opadł całym ciężarem w dół, nie mogąc jednak dotknąć stopami ziemi i zwisając obolałym ramieniem na wysuniętym z otworu gumna sznurze. Przypominało to stosowaną w Hiszpanii torturę zwaną **garrucza**; niejeden więzień tak potraktowany wyznawał winy popełnione i nie popełnione; ale Don Kichot nie miał przecież w owej chwili nic do wyznania, tym więc beznadziejniejsze było jego cierpienie; i wydobyło zeń krzyki tak przeraźliwe, że usłyszawszy je wystraszona i trochę może tknięta wyrzutami sumienia Maritornes pobiegła czym prędzej do gumna, by odwiązać postronek. Skoro to uczyniła, rycerz runął na ziemię i w porównaniu z wiszeniem na sznurze naciągającym ramię odczuł to runięcie jako prawdziwą ulgę.

Poza Maritornes mało kto zwracał na niego uwagę, zarówno wówczas, gdy krzyczał z bólu, jak i gdy krzyczeć przestał. Karczmarz zajęty był przybyszami, ci zaś mieli swoją sprawę do załatwienia. Jak się okazało, byli to słudzy pewnego możnego pana, szukający jego zbiegłego syna. Znaleźli go też niebawem w stajni, w przebraniu mulnika, śpiącego między innymi mulnikami, prawdziwszymi od niego. Starszy sługa, ten, który tak nieprzyjemnie rozmawiał był z Don Kichotem, potrząsnął za ramię śpiącego i powiedział:

– Czas zrzucić, Don Luis, tę odzież, jaka za Boga nie przystoi waszemu stanowi, i do domu wracać, by przebłagać czcigodnego ojca, wielce rozgniewanego za tę ucieczkę.

Młodzieniec zerwał się na równe nogi i zawołał:

– Ani mi w głowie wracać z wami i raczej dam się zabić niż zaciągnąć do domu!

Czterej słudzy otoczyli go i nie wyglądało na to, że zrezygnują z wypełnienia swej misji.

To, co się działo, wzbudziło zainteresowanie pozostałych pensjonariuszy zajazdu; niewiele trzeba było czasu, by sens zajścia, znany Dorocie, przestał być tajemnicą i dla Kardenia, a w ślad za nim dla innych; ostatnim bodaj, który się o całej sprawie dowiedział, był imć audytor, któremu sam Don Luis, zebrawszy się wreszcie na odwagę, wyznał, iż kocha jego anielską córę i, choć w okolicznościach dość kłopotliwych, błaga o jej rękę. Zdumiał się audytor, ale nie można rzec, iżby nieprzychylnie przyjął oświadczyny gładkiego i grzecznego dziedzica możnego rodu. Nie wiedząc atoli, jak zapatrywałby się na ten związek srogi ojciec młodzieńca, zwlekał z odpowiedzią i tymczasem starał się tylko powściągnąć gorliwość sług przybyłych po Don Luisa. Tyle też od nich uzyskał, że zgodzili się nie zabierać go gwałtem natychmiast i poczekać przynajmniej do dnia następnego.

Ledwie jedno się skończyło, zaczęło się coś nowego. Wśród nocujących w gospodzie było dwóch takich, o których nie wspomniałem dotychczas, nie dostarczyli bowiem powodu, żeby o nich wspominać. Przez cały czas cicho siedzieli – i cichcem też, korzystając z zamieszania wokół Don Luisa i czterech sług jego ojca, usiłowali teraz bez płacenia wymknąć się z zajazdu. Ale takiego manewru nie udało im się już utrzymać w cichości: gospodarz przyłapał ich w bramie i narobił hałasu, łajać za nieuczciwość i domagając się zapłacenia za nocleg. W odpowiedzi potraktowali go pięściami, a on zaczął wrzeszczeć już nie z oburzenia, lecz z bólu. I do kogo zwróciły się wtedy w poszukiwaniu pomocy karczmarzowa, karczmarzówna i dziewka Maritornes? Ależ tak – nie pamiętając już o prześmiewkach i złośliwościach, którymi były go tak sowicie darzyły – do nikogo innego, tylko do Don Kichota odwołały się w tej opresji:

– Ratujcie, wasza własnoręczność! – wołały. – Toć wszystkie kości połamią naszemu mężowi, ojcu i panu, jeżeli go nie poratujecie, wasza odręczność!

– Niestety – rozłożył ręce błędny rycerz – nie wolno mi w nic nowego się wdawać, póki nie załatwię tego, com obiecał prześwietnej księżniczce Mikomikonie, chyba że otrzymam od niej nagłą dyspensę. I owszem, podejmę starania, by takową otrzymać, a wy tymczasem pokrzepiajcie męża, ojca i pana słowem otuchy, by przedwcześnie nie uległ.

Karczmarzowa, karczmarzówna i karczemna dziewka Maritornes jęły lamentować, że zanim Don Kichot załatwi formalności, które wydają mu się potrzebne, dwóch niecnotów wyprawi na tamten świat nieszczęsnego karczmarza; rycerz nie dawał się jednak przekonać i postępując, jak zwykle, zgodnie z zasadami, odnalazł Dorotę, by padłszy na kolana prosić ją o zezwolenie na dobycie miecza w obronie gnębionego.

Dorota nie sprzeciwiała się, Don Kichot udał się przeto w stronę wrót, gdzie tamci dwaj, trochę już zmęczeni, nadal młócili postękującego głucho gospodarza. Dobywszy już jednak miecza, rycerz nagle znieruchomiał i znów powiedział:

– Niestety!

– Co niestety ? – wykrzyknęła karczmarka. – Przecież macie już pozwolenie, wasza opieszałość, cóż zatem wstrzymuje wasz miecz wzniesiony?

– Prawo rycerskie – wyjaśnił Don Kichot. – To nie są rycerze, ci bijący, zhańbiłbym się zatem, gdybym ich dotknął. Tobie, Sanczo, przystoi dać im nauczkę – zwrócił się do giermka, który właśnie nadszedł z oślą uprzężą w rękach – a ja będę ciebie zagrzewał odpowiednimi zawołaniami.

– Jeszcze oczu nie przetarłem ze snu – powiedział Sanczo – i nie dam rady przed śniadaniem brać się do bitki.

Hultaje, choć z coraz widoczniejszą ociężałością, bez ustanku maglowali karczmarza, ten jęczał, Don Kichot stał bez ruchu z dobytym mieczem, Sanczo Pansa obok z oślą uprzężą, a trzy kobiety miotały się dookoła, rozpaczając i pomstując na niewiarygodne tchórzostwo rycerza i giermka.

– Hej, ludzie! – odezwał się wreszcie stanowczym głosem Don Kichot, wbijając surowy wzrok w maltretujących karczmarza łotrów. – Rozkazuję wam natychmiast zaprzestać tego, co tak niegodziwie czynicie, w przeciwnym razie powezmę o was jak najgorsze mniemanie.

Trudno w to może uwierzyć, drodzy czytelnicy, ledwie jednak błędny rycerz wypowiedział te słowa, obydwaj urwipołcie odskoczyli od karczmarza i rzucając przerażone spojrzenia zaczęli się wycofywać. Przeraziła ich prawdopodobnie pogróżka, jakiej nigdy przedtem nie słyszeli i nie byli w stanie zrozumieć – że mianowicie przemawiający poweźmie o nich jak najgorsze mniemanie. Nie śmiejąc nawet zapytać, co by miała znaczyć ta kara, woleli zaprzestać bezeceństw i nie tylko poniechali bicia swojej ofiary, lecz pośpiesznie wypłacili całą należność. Potłuczony, ale żywy karczmarz nie mógł wyjść ze zdumienia, jak Don Kichot tego dokonał, co się zaś kobiet tyczy, te wybałuszyły ślepia i wszystkie trzy na pół

godziny zamilkły, co było może nie mniejszym cudem od skruchy skarconych łotrów. Tylko Sanczo Pansa uznał rzecz za normalną i przypieczętował ją jedynie morałem:

– Tak, tak, z moim panem nie ma żartów, trzeba być uczciwym i przyzwoitym!

Nie zdążył wszakże do sentencji tej dorzucić następnej w podobnym stylu, gdy od bramy rozległ się głos:

– Mam cię, złodzieju!

Jakiś człowiek, wołając tak, rzucił się do Sancza Pansy i zaczął mu wyrywać z rąk oślą uprząż.

Rozdział trzydziesty, w którym, wciąż w tej samej gospodzie, rozgrywają się wielce gwałtowne sceny, ale w końcu następuje spokój i zgoda

Ten, który wkroczył do gospody z okrzykiem: „Mam cię, złodzieju!", był to spotkany swego czasu przez Don Kichota i Sancza Pansę na królewskim gościńcu i pozbawiony w tej przygodzie złocistego hełmu Mambrina oraz oślej uprzęży – pamiętacie może? – pewien cyrulik z wsi okolicznej.

W ten sposób w gospodzie znalazło się teraz dwóch ludzi tego samego fachu, bo cyrulik i balwierz – to jedno; ale żeby nam się nie pomylili, miano balwierza zachowajmy dla przyjaciela Don Kichota i nieodłącznego towarzysza księdza proboszcza, uczestniczącego we wszystkich jego pomysłach, mających na celu sprowadzenie błędnego rycerza na drogę ani trochę nie błędną, cyrulikiem zaś nazywajmy nadal byłego właściciela hełmu Mambrina.

Z tym, że jest już tylko byłym, nie zaś aktualnym właścicielem swojej własności, nie potrafił się najwidoczniej pogodzić i dlatego teraz, ujrzawszy ją w obcych rękach (mianowicie oślą uprząż) i na obcej głowie (miednicę), zapałał nieprzepartą chęcią odzyskania utraconego majątku. W tej to intencji, wyrywając Sanczowi uprząż, podniecony cyrulik wołał:

– Oddaj, złodzieju, coś mi zrabował! Oddaj, rozbójniku!

Nie wypuszczając uprzęży z rąk i ciągnąc ją w swoją stronę tak mocno, żeby, odwrotnie, cyrulik musiał wypuścić, Sanczo odpowiadał:

– Ani to twoje, ani ci zrabowałem! To łup wojenny, należny mi, ponieważ pokonany zostałeś przez mojego pana w pojedynku rycerskim!

Nie dając za wygraną, cyrulik ciągnął uprząż i apelował przy tym do wszystkich obecnych:

– Rozbój na równej drodze! Moja ośla uprząż! Moja miednica do golenia!

– Jeżeli miednicą do golenia nazywasz złoty hełm Mambrina, który na tobie zdobyłem – wtrącił się Don Kichot – dajesz najlepszy dowód, że nie zasługujesz na posiadanie go w swojej pieczy. Nie dziwota, że z tak mierną gorliwością broniłeś go w pojedynku. Nie licz przeto na odzyskanie hełmu ani nawet tego rzędu końskiego, który ofiarowałem swemu giermkowi.

– Widzicie, szanowni państwo – zwracał się do obecnych cyrulik, nadal rozpaczliwie mocując się z Sanczem Pansą – że zabrawszy mi te przedmioty, chcą je nawet pozbawić ich

nazw właściwych! Oślą uprząż nazywają końskim rzędem, a miednicę do golenia hełmem Mambrina! Toć to zgorszenie i obraza uszu!

Znany nam balwierz, rozpatrzywszy się w sytuacji, postanowił się zabawić kosztem swego kolegi po fachu.

– Wybaczcie – odezwał się – ale jako człowiek, który nie od dziś para się tym samym co i wy procederem, w młodości zaś był ponadto żołnierzem, zawsze odróżnię pędzel od buńczuka, brzytew od halabardy i miednicę od hełmu. Pozwólcie sobie powiedzieć, że to, co znakomity rycerz Don Kichot z La Manczy ma na swojej czcigodnej głowie, niewątpliwie jest nie miednicą, lecz hełmem, choćby nawet nieco uszczkniętym.

Proboszcz pojął żart i przytaknął przyjacielowi, Kardenio zaś, Don Fernando i inni poszli w jego ślady.

Osłupiały cyrulik nie wiedział, co by miały znaczyć takie świadectwa, figlarze zaś nie poprzestali na nich i urządzili formalne głosowanie, polegające na tym, że Don Fernando z każdym obecnym w gospodzie po kolei poszeptał z cicha (prawie każdym, bo osoby niższego stanu, jak służących ojca Don Luisa, pominął), po czym ogłosił werdykt: że mianowicie to, co Don Kichot ma na głowie, jest niechybnie złotym hełmem Mambrina, to zaś, co cyrulik usiłuje wydrzeć z rąk Sanczowi – końskim rzędem, i to nie byle jakim, bo na konia pełnej krwi, nie inaczej.

Nieborak uległ werdyktowi i wypuścił uprząż, pozostawiając ją w rękach Sancza, mruczał tylko pod nosem, że albo jest pijany, choć kropli wina od trzech dni nie miał w ustach, albo wszyscy są pijani; albo sam zwariował i zgłupiał, albo wszystkim przytrafiło się to nieszczęście; albo sam jest oszustem bez czci i wiary, albo innych wolno podejrzewać, że są takimi; i z mruczenia tego dałoby się wnieść, że faktycznie raczej innych niż siebie ma za pijanych, pomylonych bądź odbiegających od prawdy; obstawać przy swoim nie był już jednak w stanie.

Sanczo Pansa triumfował – trochę jednak przedwcześnie, oto bowiem dość gwałtownym tonem odezwał się sługa ojca Don Luisa, ten sam, który miał już za sobą nocną scysję z Don Kichotem u wrót zajazdu:

– Do licha! – rzekł podniesionym głosem – sprzysięgliście się czy co, moi państwo? Otóż ja wam przysięgam, że nikt nie zmusi mnie do przyświadczenia takiej wierutnej bzdurze, jakoby to nie była ośla uprząż, tamto zaś balwierska miednica!

Ta wypowiedź, niezależnie od swego tonu, pozostałaby może bez konsekwencji, gdyby do gospody nie weszło właśnie kilka nowych osób, w których po dość ponurych obliczach i skrojonych u jednego krawca kubrakach nietrudno było rozpoznać łuczników z Santa Hermandad czyli Świętego Bractwa, czyli, jak już wiemy, jednej z działających podówczas w Hiszpanii, groźnej dla winnych i niewinnych policji. Usłyszawszy deklarację sługi ojca Don Luisa, jeden z łuczników nieomal od progu rzucił w wielkim wzburzeniu:

– No pewnie, że wszystko jest tym, czym jest, nie zaś czym innym! To miednica, to ośla uprząż, a kto twierdzi inaczej, tego mam za wariata i łgarza!

– A ja cię mam za podłego chama! – unosząc się gniewem odparł Don Kichot i wymierzył łucznikowi cios kopią, która przy tej okazji rozleciała się na kawałki.

Łucznicy w krzyk:

– Pomocy dla Świętego Bractwa, wierni poddani króla!

Karczmarz, który, o czym już napomknąłem, był tajnym członkiem tej instytucji, z kijem w dłoni stanął u boku jawnych swoich kamratów; na to Kardenio i Don Fernando sprzymierzyli się z Don Kichotem; czterej słudzy ojca Don Luisa otoczyli młodzieńca, by nie wywinął im się, korzystając z zamieszania; ten faktycznie wywijał się i wyrywał do bitki po stronie rycerza; rycerz bohatersko wywijał mieczem; Sanczo Pansa i cyrulik wyrywali sobie wzajemnie oślą uprząż; karczmarka wyrywała sobie włosy z głowy; łucznicy nie strzelali z łuków, bo wcale nie mieli łuków i łucznikami nazywali się najpewniej na jakąś pamiątkę albo

żeby trudniej było odgadnąć, wywijali jednak jak w tańcu i młócili kogo popadło twardymi pięściami, i kopali, i gryźli; karczmarzówna piszczała, szpetna Maritornes robiła miny, które czyniły ją nieco urodziwszą, panna Klara szlochała, Lucynda mdlała, Dorota nie mogła odnaleźć swej królewskości, podeptanej i zagubionej w ścisku; ksiądz proboszcz kazał, balwierz się kulił, pan audytor usiłował wkroczyć rozsądnym słowem w to, co się działo, ale słowo jego nie wkraczało w niczyje uszy; obawiam się, że nie zdołałem wymienić wszystkich uczestników zbiorowej sceny ani też wyliczyć, co kto z nich robił; niech wystarczy, że wszystko się kotłowało, tłamsiło, tłukło, szarpało, uciekało, napastowało, wyrywało i wywijało, a także wrzeszczało, ryczało, kwiczało, piało, rzęziło, sapało, wyło, i niewyobrażalne wydawało się jakiekolwiek wyjście z tego piekiełka, jakiekolwiek zakończenie ogólnych zmagań.

Jeden łucznik wszelako zdołał wyśliznąć się z gorących wieloramiennych objęć karczemnej zwady i stanąwszy z boku wyjął z zanadrza pergaminowy rulon, rozwinął go, po czym w skupieniu zaczął wędrować oczyma to z rulonu na oblicze Don Kichota, które również można by nazwać pergaminowym, to z oblicza Don Kichota znowu na rulon. Wyglądało na to, że odczytuje i porównuje ze sobą obydwa te pergaminy, jakby jeden zawierał oryginał, drugi zaś tłumaczenie jakiegoś bardzo ważnego tekstu. Czynił to z mozołem, bo w czytaniu nie był widać najmocniejszy, ale co miał wyczytać – w końcu wyczytał, co porównać – porównał, i zgadzało mu się, po krótkim wahaniu przełożył tedy zwinięty z powrotem pergamin do lewej ręki, postąpił parę kroków w kierunku kotłowiska, z którego był się przed niedługim czasem wydobył, prawą ręką mocno złapał Don Kichota za kołnierz i donośnie zawołał:

– W imieniu Santa Hermandad aresztuję złoczyńcę, poszukiwanego listem gończym za uwolnienie galerników z rąk sprawiedliwości królewskiej! A kto chce sprawdzić, że postępuję zgodnie z prawem, niech czyta!

I owszem, znaleźli się tacy, co chcieli sprawdzić, a proboszcz pierwszy, i niestety! Podany w liście gończym rysopis co do joty odpowiadał postaci i twarzy szalonego rycerza, która to odpowiedniość nie wróżyła temu ostatniemu łatwego pozbycia się prześladowców; on sam jednakże najmniej dbał o podstawy prawne spotykających go zniewag; i chwycony za kołnierz, w odwet chwytającego chwycił za gardło; rozpoczęło się mocowanie, jednemu i drugiemu tchu szybko zbrakło, ale żaden nie chciał popuścić; na to inni łucznicy, tajnego łucznika, czyli karczmarza, nie wyłączając, pośpieszyli swojemu z pomocą; niełucznicy, a nawet wolno ich tak nazwać: antyłucznicy, pośpieszyli z pomocą Don Kichotowi; i ogólna szamotanina, która ustała już na chwilę, kiedy pierwszy łucznik odczytywał list gończy, teraz wznowiła się z jeszcze większym impetem i bezwzględnością; a wraz z nią złorzeczenia karczmarki, piski karczmarzówny, szlochy panny Klary, ryczenie osłów, pianie kogutów i wszelkie inne odgłosy, których nie wyliczę.

Wreszcie Don Kichot zdołał wydrzeć się łucznikowi, pozostawiając w jego palcach strzępek kołnierza, i prawie jednocześnie łucznik zdołał wywinąć się Don Kichotowi, nie pozostawiając w jego palcach obolałej grdyki, co i w porządku, bo cóż Don Kichotowi po czyjejś grdyce, i ciągle jeszcze sapiąc odskoczyli od siebie o kilka kroków. Jak na sygnał, wszyscy inni zaprzestali wtedy swych zmagań i sapiąc poodskakiwali od siebie, a Don Kichot, kładąc rękę na mieczu, zwrócił się do łuczników i pozostałych obecnych ze słynnymi zdaniami, przytaczanymi później przez wielu poważnych badaczy błędnego rycerstwa.

– Bierzcie mnie, jeśli potraficie – rzekł Don Kichot – wy, którzy mniemacie, że prawo z wami! Ale wiedzcie, że nie ulegnę wam, nie dlatego, bym nie szanował prawa, lecz dlatego, iż je widzę zgoła inaczej. Dla mnie prawem jest pomoc potrzebującym, nie zaś karanie za nią; wyzwalanie zakutych w dyby, nie zaś ściganie wolnych, iżby ich zakuć; podnoszenie upadłych, nie zaś poniżanie stojących prosto; a wreszcie, to błędny rycerz, z rycerskim swoim sumieniem, ustanawia prawa, które szanuje, nie pozwala zaś dyktować ich sobie przez byle

świstek z nakazem źle pomyślanym, gorzej napisanym i nie lepiej też odczytanym przez zaledwie go pojmujących.

Póki tak Don Kichot wielkim głosem prawił o prawie, proboszcz głosem mniejszym, ale jakby lepiej trafiającym do uszu łuczników, tłumaczył im na boku, że choćby i udało im się wziąć błędnego rycerza, każdy sąd i tak uwolni obłąkanego od winy i kary, niech więc lepiej poniechają go sami i puszczą w spokoju. Sąd sądem, kręcili głowami łucznicy, a ich rzeczą jest zrobić to, z czym zostali posłani; skoro pojmają złoczyńcę i odstawią, gdzie przykazano, niech ważniejsi od nich wypuszczają go nawet sto razy. Przecież on się i tak nie da, po cóż więc zbędna szamotanina i psucie nerwów – dalej małym głosem tłumaczył proboszcz, wspierając swą argumentację szmerem monet wślizgujących się do kieszeni łuczników, i zdaje się, że choć szmer ów był głosem najmniejszym ze wszystkich, jakie się rozlegały w trakcie tej sceny, on ostatecznie najwyraźniej przemówił do ponurych drabów w jednakowych kubrakach, i ci machnęli w końcu ręką na Don Kichota.

O, pieniądze! Nie masz w nich czystości i szlachetności, nie masz piękna, bitności i żadnej cnoty, a przecież to one, choć podłe, zakończyły sprawę, i nie tę jedną, bo i cyrulik, obdarzony przez Don Fernanda, dostrzegł raptem w niegdysiejszej swojej oślej uprzęży – koński rząd, w miednicy do golenia – złoty hełm Mambrina, i do obu tych przedmiotów już nie rościł wcale pretensji; i słudzy ojca Don Luisa, szczodrze wynagrodzeni przez audytora, dali się udobruchać i pozwolili młodzieńcowi podążyć z resztą towarzystwa w obraną stronę; i karczmarz, nie wiem już przez kogo, ale niechybnie przez tego, komu kieszeń na to pozwalała, opłacony za wszystkie ubytki, z porąbanymi bukłakami i puszczonym z nich winem na czele, nie napastował więcej Don Kichota żądaniami nie do przyjęcia.

W tej sytuacji rozwiązanych nagle zatargów błędnemu rycerzowi nie pozostawało nic innego, jak dwornie ugiąć kolana przed księżniczką Mikomikoną i rzec:

– Jeśli prawdą jest, wasza kosztowność, że zwycięstwo, jakiego skosztowaliśmy nad wrogiem waszym, Pandafilandem Okrutnego Wejrzenia, nie stało się zwycięstwem kompletnym, ponieważ ucięte mu głowy mocą nierzadkich w tym zamku czarów przestały być uciętymi głowami, potwór ten dźwiga zatem na karku przynajmniej jedną żywą i całą głowę, jeśli taka jest prawda, tym rychlej trzeba nam znów ruszać przeciwko niemu i znalazłszy cios śmiertelny mu zadać! Nic nie wskóramy, bawiąc dłużej pod tym dachem, rozkażcie więc, pani, siodłać konie i dmuchać w trąby wymarszu!

– W ręce waszej niemożebności – odrzekła księżniczka – los swój złożyłam, tak tedy będziemy ruszali, siodłali i trąbili, jak się wam żywnie podoba.

– Skoro tak – powiedział Don Kichot – żywo, Sanczo, siodłaj Rosynanta, zajmij się też wierzchowcem jej królewskiej wdzięczności i swoim osłem, a pożegnawszy kasztelana i cały dwór wnet znajdziemy się na szlaku kolejnych zwycięstw.

– Mogę osiodłać choćby i koguta – odparł Sanczo Pansa – ale sęk w tym, że serce mi się kraje, kiedy patrzę, jak to was osiodłali, wasza dobroczynność, oszukując aż się kurzy na każdym kroku.

– Wytłumacz się – zmarszczył brwi Don Kichot – bo słowa twoje brzmią zuchwale i nierozumnie, co zaś kryje się za nimi, trudno odgadnąć.

– Kryje się za nimi pytanie – wyjaśnił Sanczo Pansa – jak też może być królową czy księżniczką taka niewiasta, co o każdej dogodnej albo i nie całkiem dogodnej porze ściska się po kątach z tym tutaj panem – co mówiąc wskazał Don Fernanda, który zbladł z wściekłości, Dorota zaś poczerwieniała jak burak, chyba ze zmieszania, a Don Kichot, słysząc to wyjaśnienie, aż zzieleniał i sczerniał, i przez chwilę nie potrafił słowa wykrztusić, aż dopiero z wielkim wysiłkiem opanowawszy plączący się z oburzenia język, zawołał:

– Zgiń, przepadnij z mych oczu, ty oszczerco, bluźnierco, potwarco i przeniewierco! Niech cię nie znam, ty bezwstydny nędzniku i nędzny bezwstydniku! Precz, niech cię już nigdy nie ujrzę, ty zuchwalcze, padalcze, ty, ty, ty... – i czy to zachłysnął się wymysłami, czy nic już nie

potrafił wymyślić, ale nie powiedział ani słowa więcej, tylko zgrzytał zebami, oczy zaś jego ciskały pioruny na biednego Sancza, który stał przed nim struchlały i drżący, i żałujący swej niewczesnej szczerości.

Nie wiadomo, jak fatalny obrót przybrałaby sprawa między troskliwym o cześć panieńską rycerzem a zbyt spostrzegawczym giermkiem, gdyby nie zabrała głosu, pokonawszy zmieszanie, sama Dorota.

– Wybaczcie temu poczciwcowi, wasza sprawiedliwość – poprosiła słodkim głosikiem. – Wszak nie ze złej woli i chęci obmowy powiedział wam to, co ubliżałoby mej czci, gdyby mogło być poczytane za prawdę, nie ubliża zaś jej zgoła, skoro za prawdę nie może być poczytane. Powtórzył, co niechybnie wydało mu się, że widział, a wydało mu się tak za sprawą prześladujących was czarów, nie inaczej.

– I ja tak mniemam – przyłączył się do swej ukochanej Don Fernando.

– Że też od razu nie przyszło mi to do głowy! – z radosną ulgą wykrzyknął Don Kichot. – Macie rację, niechybnie macie rację, pani moich najbliższych czynów i wy, rycerzu, którzy to potwierdzacie. Wybaczam ci, Sanczo, ale na przyszłość bądź ostrożniejszy w podawaniu za rzeczywistość tego, co jest tylko omamem, podsuniętym ci przez wrogich nam czarowników.

– Będę ostrożny – skwapliwie przyrzekł Sanczo i ucałował wspaniałomyślną dłoń swego pana.

– Po tych wzruszeniach – orzekł Don Kichot – nie możemy od razu ruszać w dalszą drogę. Do jutra odpoczniemy jeszcze pod tym dachem, a jutro – śmiało naprzód i niech sczeźnie Pandafilando!

– Jak wasza obecność sobie życzy – pokornie powiedziała księżniczka, którą, jakże nieskutecznie, zdemaskował przed chwilą roztropny Sanczo.

I wszyscy przystali, że ma być tak, jak sobie życzy Don Kichot.

Ja zaś w tej pomyślnej chwili nie bez zdziwienia dostrzegam, że oto odtworzyłem już, jak umiałem, oba zaginione rozdziały i spokojnie mogę czytelników prowadzić dalej po znanych już sobie ścieżkach i gościńcach tej opowieści.

Rozdział trzydziesty pierwszy, w którym Don Kichot zostaje zdradziecko uwięziony, a chwilowe uwolnienie także kończy się dla niego niezbyt wesoło

Jak już było przyjemnie!

Jacy dobrzy byli już wszyscy dla błędnego rycerza!

Owszem, oszukiwali go, udawali, że traktują serio to, z czego śmiali się w głębi duszy – ale jawnych przykrości nie robili Don Kichotowi, przeciwnie, starali się usuwać mu spod nóg co bardziej sękate kłody, nawet grosza na to nie żałowali – jakich jeszcze dowodów przychylności żądać od ludzi?

Ale we wszystkim tym tkwił fałsz wierutny i zdrada.

I tego, co zaraz nastąpi, nawet autor nie odwróci od Don Kichota.

Będzie to jeden z najsmutniejszych rozdziałów w całej książce – cóż bowiem może być smutniejszego nad zawiedzione zaufanie, oszukane nadzieje, zranioną godność i zniewolenie szydercze wolnej istoty?

Niestety, nie da się tego rozdziału pominąć.

Jedyna pociecha, że na opisanych w nim wydarzeniach nie koniec jeszcze opowieści o Don Kichocie.

Choć z głębokim westchnieniem, przystąpmy tedy do rzeczy.

Don Kichot spał spokojnie w gospodzie, ani się spodziewając jakiejkolwiek nowej afery, kiedy opadła go chmara cudacznych monstrów, powiązała ręce i nogi, tak iż gdy obudził się zmorę czując dławiącą, nie mógł się obronić ani poruszyć. Przebierańcy owi byli to: Don Fernando z towarzyszami, łucznicy ze Świętego Bractwa, słudzy ojca Don Luisa, a wreszcie sam karczmarz, czyli ludzie bądź niechętni Don Kichotowi, bądź obojętni, dyrygowali zaś nimi – któż by inny? – przyjaciele naszego bohatera, proboszcz i balwierz. Don Kichot nikogo jednak nie poznał, lecz uwierzył, że to znowu, jak niegdyś, widma zaklętego zamczyska i że sam jest zaklęty przez czarodzieja, i to zaklęcie obezwładniło mu członki.

Sanczo Pansa, też obudzony ze snu, ale nie spętany sznurem ani złudzeniem, poznał, kto kryje się pod straszliwymi maskami, nie dał jednak po sobie poznać, że poznaje, i czekał, co będzie dalej.

Dalej przyniesiono klatkę z żerdzi, zamknięto w niej rycerza, wyniesiono z izby i ustawiono na wielkim wozie zaprzężonym w woły. Te woły najbardziej zdziwiły Don

Kichota, nigdzie bowiem nie czytał, żeby czarodzieje uprowadzali błędnych rycerzy przy pomocy tak gnuśnych bydląt. Unosili ich raczej w powietrze na ognistym wozie bądź gryfie skrzydlatym, by po chwili opaść o tysiące mil odległości, w zamku pośród pustyni lub na zjeżonej skałami wyspie. Widocznie nowe czasy, pomyślał Don Kichot, wymagają nowych środków lokomocji, i stąd w arsenale czarowników ten zdający się uchybiać godności rycerskiej wóz zaprzężony w woły.

W rzeczywistości rzecz się miała tak, jak na pewno jużeście się domyślili, że autorom intrygi, zmierzającej do zwabienia Don Kichota w rodzinne pielesze i uleczenia go z manii rycerskiej, znudziły się dotychczasowe komplikacje, te wszystkie misternie obmyślone zabawy z królewną Mikomikoną i Pandafilandem Okrutnego Wejrzenia, i korzystając z przejazdu tamtędy ochoczego wolarza postanowili osiągnąć swe cele prościej, choć także nie bez komedii.

I oto nowa kawalkada ruszyła drogą: Don Kichot w klatce na wozie zaprzężonym w woły i powożonym przez właściciela, po obu stronach wozu wynajęci przez proboszcza za umówioną dniówkę ponurzy łucznicy z Santa Hermandad, z tyłu Sanczo Pansa na ośle, prowadzący za uzdę Rosynanta, jeszcze dalej proboszcz i balwierz na mułach, z zamaskowanymi twarzami, by Don Kichot przedwcześnie ich nie rozpoznał. Reszta bawiącego w gospodzie towarzystwa w niej też została, ze swoimi sprawami, historiami i romansami, częściowo już doprowadzonymi przecież do pomyślnego finału, a w wypadkach, gdy nie były doprowadzone, Don Fernando obiecał powiadomić o wszystkim proboszcza później. Proboszcz ze swej strony obiecał powiadomić Don Fernanda, jak przebiegać będzie kuracja i jak dopełni się los Don Kichota. Co obiecawszy sobie wzajemnie, wszyscy się pożegnali, na stronie, ma się rozumieć, by Don Kichot nie dojrzał już swojej Mikomikony i nie zwątpił w naturalny bieg tego, co go spotyka. Jedynie karczmarka, karczmarzówna i szpetna, lecz dobrego, ale nie zawsze, serca dziewka Maritornes wyszły na próg, by i Don Kichotowi na pożegnanie pomachać ręką. Do nich też odezwał się z głębi swej odjeżdżającej na wozie klatki:

– Nie rońcie łez nade mną, szlachetne damy. Błędnych rycerzy zawsze zemsta czarowników, którym krzyżują szyki, w którejś chwili dosięga. Miałem już znak poprzedniej nocy, gdy obezwładnili me ramię, a oto i cały jestem obezwładniony. Jak odzyskałem był wówczas władzę w ramieniu, tak odzyskam ją we wszystkich członkach i powrócę niebawem, by pełnić swe posłannictwo.

– Oj, panie mój kochany – westchnął jadący za wozem Sanczo – tacy to czarownicy i tacyście wy zaczarowani, jak... ale dajmy spokój porównaniom, bo niechcący jeszcze kogoś obrażę.

Don Kichot nie odpowiedział, a Sanczo Pansa, zwracając wzrok w tył ku proboszczowi i balwierzowi, rzekł z nie ukrywaną goryczą:

– Naprawdę mniemacie, dobrodzieje, żem was nie poznał? Otóż poznaję was i na wskroś przenikam, mimo zasłoniętych twarzy i chytrze zatajonych zamiarów. Cóż, wasze teraz na wierzchu, ale przyjdzie jeszcze czas, kiedy Bóg zażąda od was rachunku za krzywdę mojego pana i moją, i tych wszystkich osób, którym z waszej winy Don Kichot nie udzieli pomocy.

– Zdaje się – mruknął balwierz – że i twoje miejsce, człecze, w tej samej klatce. Trzeba będzie o tym pomyśleć.

W chwili, gdy to mówił, dbając, by wyrażać się powściągliwie i nie wtajemniczać giermka w sprawy, których jego prostacki umysł nie zdoła pojąć, całą procesję dogoniło kilku dobrze odzianych i zaopatrzonych ludzi na koniach. Był to ksiądz kanonik z Toledo wraz ze swą świtą, wielce zainteresowany, co znaczy widok spętanego rycerza w klatce. Proboszcz i balwierz zaproponowali kanonikowi, by wraz z nimi pojechał nieco do przodu, a wszystko mu wytłumaczą; tak się też stało, Sanczo zaś, zauważywszy, że teraz będzie mógł porozumieć się ze swym panem bez uciążliwej asysty, zbliżył się do klatki i podjął urwany wątek:

– Kiedy rzekłem, iż do tej klatki nie wsadzili was żadni czarownicy, chodziło mi o to, że ci dwaj z zasłoniętymi twarzami, to nikt inny, jak wasi sąsiedzi i przyjaciele – proboszcz i balwierz. Dobrze ich poznałem i wynika z tego, że wcale nie jesteście, panie, zaczarowani, tylko wystrychnięci na dudka i zniewoleni.

– Nie pierwszy raz – powiedział spokojnie Don Kichot – bierzesz, mój Sanczo, pozór za rzeczywistość. Nic ci nie wymawiam ani nie zaprzeczam twej dobrej woli, ale chciałbym, żebyś pojął, iż jeśli ci, których wskazujesz, zdają ci się proboszczem i balwierzem z naszej wsi rodzinnej, dzieje się tak dlatego właśnie, że mocą swych czarów przybrali na siebie tę znajomą ci postać. Ale skoro tak – jest to jeszcze jeden dowód więcej, że nie mogą być tymi, za których chcą, byś ich wziął w naiwności swojej.

– Niech i tak będzie – pokornie zgodził się Sanczo. – Ale mam dla pana inny dowód, że nie jesteś zaczarowany.

– Jakiż to dowód?

– Prawdę rzekłszy, boję się powiedzieć, bo pomyśli pan jeszcze, że go nie dość szanuję.

– Rozkazuję ci, żebyś mówił!

– No więc dobrze. Chciałem zapytać, z całym należnym uszanowaniem, czy nie chce się panu, odkąd jesteś w tej klatce, jakby to powiedzieć, czy nie odczuwasz pan potrzeby, tam do licha, no po prostu, czy nie chce się panu, za przeproszeniem, zrobić siusiu i kupki!

– Ależ chce mi się, i jeszcze jak, i cały czas głowię się, mój dobry Sanczo, jak sobie z tym poradzić!

– A widzi pan!

– Co widzę?

– Że nie jest pan zaczarowany! – triumfalnie wykrzyknął Sanczo. – Wiadomo przecież, że zaczarowany nie odpowiada do rzeczy, nie je, nie pije, no i, ma się rozumieć, nie robi tego, na co pan masz ochotę!

– Być może – zgodził się Don Kichot – ale czasy się zmieniają i trudno wykluczyć, że obecnie zdarzają się czary cząstkowe, dotyczące nie wszystkich zachowań dotkniętego nimi człowieka, tylko niektórych. Ja w każdym razie nie znalazłbym dla siebie wytłumaczenia, czemuż to, miast walczyć w obronie skrzywdzonych i uciśnionych, siedzę nieruchomo w tej klatce, jeśli nie jestem okrutnie zaczarowany.

– Siedzicie, bo was w niej trzymają – powiedział Sanczo. – A pewnie, że warto spróbować się z niej wydostać!

W tym miejscu rozmowy dogonili proboszcza, balwierza i kanonika, którzy, wysforowawszy się uprzednio do przodu, czekali teraz w zielonej dolinie, wydającej im się zdatną do południowego popasu. Kanonik posłał sługi po żywność do pobliskiej gospody, a wolarz wyprzągł woły i pozwolił im się paść na murawie.

Sanczo Pansa zbliżył się do proboszcza i nie podnosząc już sprawy swojej wiedzy albo niewiedzy, z kim ma do czynienia i co się tu dzieje, poprosił, by panu jego wolno było na chwilę opuścić klatkę; w przeciwnym razie klatka owa nie pozostanie tak schludna, jak nakazuje przyzwoitość, co niechybnie będzie przykre nie tylko dla uwięzionego, lecz dla wszystkich dokoła.

– A co – zapytał proboszcz – jeżeli twój pan, raz wypuszczony z klatki, ucieknie gdzie pieprz rośnie, po drodze rozwalając łeb komuś z obecnych?

Sanczo jął się zaklinać, że Don Kichot nie ucieknie; i kanonik, który zdążył już był usłyszeć o Don Kichocie wszystko, co uważali za właściwe opowiedzieć mu proboszcz i balwierz, przyłączył się do tych poręczeń, podkreślając, że zwłaszcza będą mogli być pewni Don Kichota, jeśli da im słowo rycerskie, że nie umknie, korzystając z okazji.

Don Kichot, który słyszał to wszystko, dał natychmiast słowo, dorzucając, że ktoś zaklęty jak on i tak nie jest swoim panem; choćby i chciał uciec, ten, kto go zaczarował, może go też zatrzymać, zawrócić i unieruchomić na jak długo zechce.

Po krótkim namyśle mniemani czarownicy wypuścili rycerza z klatki. Don Kichot najpierw przeciągnął się, aż chrzęst kości słychać było w całej dolinie, następnie podszedł do Rosynanta i poklepał go z czułością po chudym grzbiecie, a wreszcie oddalił się z giermkiem na stronę dla dokonania tego, co stało się argumentem za wypuszczeniem go z klatki. Kiedy lżejszy i żwawszy pojawił się znów między ludźmi, kanonik odezwał się doń współczująco:

– I wartoż wam, wasza niezmierność, wracać do tego więzienia? Nie lepiej to zlitować się nad sobą samym i powrócić na łono rozsądku, danego człowiekowi od Boga?

– Prawicie tedy, panie, że to mój nierozsądek trzyma mnie w klatce? – przepytał się Don Kichot.

– Nierozsądek ksiąg, którym uwierzyliście ponad miarę. Kłamią owe księgi rycerskie i w głowach mącą, a was, wasza łatwowierność, uwięziły dużo wcześniej, zanim dla waszego dobra uczynili to ci szlachetni panowie.

Proboszcz i balwierz jęli kręcić głowami i psykać na kanonika, który zdradzał ich niechcący przed Don Kichotem, ale szacunek nie pozwalał im na energiczniejsze przywołanie go do porządku. Don Kichot nie zwracał jednak na to uwagi.

– A ja – nadmienił z gniewnym naciskiem – uważam, że to wy, wasza mierność, upadliście na głowę i daliście się uwięzić i zaczarować, skoro takie głupstwa powtarzacie na temat najświetniejszych i najpożyteczniejszych ksiąg, jakie mogą istnieć na świecie!

Kanonik nie zdążył się jeszcze obrazić na tę impertynencję, ani proboszcz i balwierz – podjąć kroki, by Don Kichot z powrotem znalazł się w klatce, kiedy smutny dźwięk trąby kazał zmartwieć wszystkim i nastawić ucha w stronę, skąd tak niespodziewanie przypłynął.

Wnet powtórzył się ten dźwięk, jeszcze smutniejszy, nieomalże rozpaczliwy, a w ślad za nim ukazali się na spadzistym zboczu zstępujący z góry liczni biało ubrani pokutnicy.

Może naprawdę lepiej by było w tym momencie dla Don Kichota pozostawać w niewoli klatki niż w niewoli swych zaczerpniętych z ksiąg wyobrażeń.

Nieraz przecież widywał już białe stroje pokutników – nie tak rzadko bowiem zdarza się je przywdziewać hiszpańskim chłopom, by przebłagać gniewnego Boga – nie inaczej i tym razem przeto, kiedy klęska suszy spadła na okolicę, założyli białe kaptury, obraz Matki Boskiej, kirem spowity, na ramiona dźwignęli, i pod wodzą swojego księdza z procesją do cudownej pustelni szli przez dolinę. Ale Don Kichotowi, choć wszystko to mógłby pojąć od pierwszego wejrzenia, czy że specjalnie był rozjątrzony pobytem w klatce, czy stęskniony za czynem, dość że zapomniał, co tyle razy widywał, i obraz na feretronie zdał mu się znakomitą damą, przez jakowychś zbrodniarzy w niecnym celu uprowadzoną. Z takiego pomysłu wyniknąć musiały dalsze jego żwawe poczynania: podbiegł do pasącego się Rosynanta, podniósł odłożony swój miecz i tarczę, wskoczył na konia, ścisnął go kolanami i galopem (w całej tej historii, zauważa Cervantes, nie słychać, żeby Don Kichot na Rosynancie szedł do ataku inaczej niż galopem) ruszył na pokutników.

– Teraz zobaczycie – wołał przy tym – potrzebni czy niepotrzebni są na świecie błędni rycerze!

– Panie, co chcecie uczynić? – jęczał za nim Sanczo Pansa. – Toć to dobrzy katolicy z Niepokalaną Panienką na feretronie! Zaraz dopuścicie się świętokradztwa!

– A gdzie słowo rycerskie? – krzyczał kanonik.

– Czy po to wypuszczono cię z klatki? – upominali proboszcz i balwierz.

Ale on nikogo nie słyszał, gdyż wzywało go powołanie.

Wstrzymawszy Rosynanta, który zarył się kopytami w piach o krok przed procesją, Don Kichot ostrym głosem zażądał:

– Uwolnijcie natychmiast tę szlachetną damę, której smutek dowodzi, że jesteście jej porywaczami i krzywdzicielami! Ja, Rycerz Posępnego Oblicza, po to żyję na świecie, by krzywdy naprawiać, zniewolonych wyzwalać, a na zatwardziałych łotrach mścić się bez litości!

Pokutnicy zatrzymali się, ledwie ich najechał; teraz jednak, usłyszawszy te szalone słowa, roześmiali się i chcieli ruszać dalej; rozgniewany taką krnąbrnością z podniesionym mieczem rzucił się na dźwigających feretron. Jeden z pokutników zastawił mu drogę potężnym drągiem, który przyjął na siebie cios Donkichotowego miecza rozłupując się na dwoje. Tej części wszakże, która została w rękach pokutnika, starczyło, by zadać rycerzowi wzajemny cios, i to taki, że nieszczęśnik zwalił się z Rosynanta na ziemię i leżał bez ducha. Jego zwycięzca, przerażony, że zabił człowieka, odrzucił drąg i czmychnął w pole, ani się oglądając. Procesja ruszyła dalej, śląc przed sobą ryczenie trąb, żałośniejsze niż przedtem. Ale jeszcze żałośniejszy był płacz Sancza Pansy nad ciałem pana, którego uznał za nieżywego.

– O, najlepszy z błędnych rycerzy, jakim kiedykolwiek służyłem, chociaż, prawdę powiedziawszy, żadnemu innemu nigdy nie służyłem – zawodził Sanczo. – O, dumo całej La Manczy, całej Kastylii, co ja mówię, całego świata, który zaroi się, gdy ciebie zabraknie, od zuchwałych i nie lękających się kary łotrów. O, najhojniejszy królu, który za moją służbę prawie że podarowałeś mi już cudowną wyspę. Biada ci, zabitemu, biada mnie, sierocie, biada całej ludzkości, bo jakże może ona istnieć bez ciebie?

Tak lamentował Sanczo Pansa nad ciałem Don Kichota, aż urwał, bo Don Kichot nagle otworzył oczy.

Rozdział trzydziesty drugi, w którym Don Kichot, zmęczony i ranny, ani po raz pierwszy, ani po raz ostatni, wraca z wypraw rycerskich w domowe progi

– Nie płacz, mój wierny Sanczo – takie były pierwsze słowa Don Kichota, kiedy się ocknął – nie płacz, Sanczo, bo jeszcze żyję, chociaż nie powiem, żeby rodzaj życia, jaki wiodę w tej chwili, sprawiał mi osobliwą przyjemność.

– Ale jednak żyjecie, wasza wytrwałość – powiedział rozradowany Sanczo – a to najważniejsze.

– Obawiam się, że nie zdołam w tym stanie dosiąść Rosynanta – ciągnął Don Kichot – pomóż mi zatem wgramolić się na ten wóz zaczarowany.

– I ja się obawiam, że nic nam innego nie pozostaje, jak wracać do naszej wioski w towarzystwie tych panów, którzy tyle robią dla waszego dobra, że aż podziw bierze – głośno powiedział Sanczo, znacznie ciszej dodając: – A jak się wykurujecie, przygotujemy nową wyprawę, jeszcze obfitszą w sławne czyny i łupy.

– Tak – potwierdził Don Kichot – poczekamy tylko, aż gwiazdy ułożą się dogodniej w ascendencie i descendencie – co mówiąc, wgramolił się przy pomocy Sancza na wóz, nie do klatki już jednak, lecz na wiązkę siana.

Proboszcz i balwierz bardzo się ucieszyli, że i rycerz, i giermek wykazują tyle rozsądku.

Pożegnano kanonika, który wraz ze świtą pojechał w swoją stronę, umówiwszy się uprzednio z proboszczem, jak wcześniej Don Fernando, że zostanie powiadomiony, czy udało się Don Kichota wyleczyć z jego szaleństwa; wszystkim, którzy się z nim zetknęli, jak widać, niezwykle na wyleczeniu tym zależało, jakby choroba Don Kichota wyrzut i cierń stanowiła w ich własnym zdrowiu.

Łucznicy pobrali należność i też zawrócili; pilno im było do przestępców, mrowiących się, jak wiedzieli, na drogach i w zajazdach Hiszpanii; nie sądzili, że dzięki ich interwencji przestaną się mrowić, wcale nie o to zresztą chodziło, ale o to, że bez ich ponurego wkraczania, grożenia, wołania o posłuch, wyciągania pergaminu z zanadrza odwieczny porządek owego mrowienia się byłby jakiś niepełny i zakłócony; śpieszyli więc, by się znaleźć na swoim miejscu.

Wolarz zaprzągł woły do wozu, proboszcz i balwierz dosiedli swych mułów, Sanczo – osiołka, a Rosynantowi znowu wypadło odbyć drogę bez jeźdźca, na co specjalnie się nie uskarżał.

I tak oto wszyscy razem w samo niedzielne południe dotarli do wsi Don Kichota. Jak to w święto, mieszkańcy wsi, a zwłaszcza mężczyźni, mimo lejącego się z nieba skwaru, tłoczyli się na placu przed kościołem; rozstępując się przed wozem, przypatrywali się leżącemu na sianie Don Kichotowi i kiwali głowami nad jego nadzwyczajną mizerią.

Jakiś malec bosonogi pobiegł z nowiną do gospodyni rumianej i siostrzenicy bladej Don Kichota; a te, zamiast się po prostu ucieszyć z powrotu zaginionego wuja i pana, swoim zwyczajem jęły wzdychać i ręce załamywać, i żalić się do znudzenia na wszystkiemu winne księgi rycerskie. Kiedy zaś ujrzały rycerza, wprowadzanego przez przyjaciół i giermka we wrota domostwa, nie wiadomo dlaczego jeszcze większy podniosły lament.

W tejże chwili przytoczyła się żona Sancza Pansy, okrągła jak on, tylko dużo niższa, tak że przy niej wydawał się mężczyzną słusznego wzrostu.

– Hej, Sanczo! –zawołała na powitanie. –A jakże się miewa nasz osioł?

– Można powiedzieć – odparł Sanczo – że osioł miewa się lepiej od swego pana.

– Dzięki Bogu – powiedziała z ulgą Sanczyna. – A co też przywiozłeś za suknie i trzewiki dla mnie i dzieci?

– Nie przywiozłem żadnych sukni ani trzewików, tylko rzeczy dużo większej wartości i znaczenia.

– A to pięknie, a to zacnie – powiedziała Sanczyna. – Pokażże prędzej te rzeczy większej wartości, bom się już za czymś takim bardzo stęskniła.

– One nie są do pokazania – wyjaśnił Sanczo – bo polegają na wiadomości, że już. niedługo zostanę hrabią albo królem jakiej wyspy, i to nie pierwszej lepszej, ale najbardziej dochodowej, jaka się trafi.

– Nie rozumiem, o jakiej wyspie mówisz – powiedziała bezradnie Sanczyna.

– Wszystko ci w domu wytłumaczę, a na razie niech ci starczy, że będziesz panią hrabiną albo królową i wszyscy poddani będą do ciebie mówić: wasza obfitość.

Co dalej prawił Sanczo Sanczynie na temat świetlanej przyszłości rodziny Pansów, nie wiadomo, bo nie odbywało się to już publicznie, lecz w domowym zaciszu.

Tymczasem gospodyni rumiana i siostrzenica blada, wzdychając, rozbierały Don Kichota, opatrywały mu rany i układały bezsilnego na poduszkach w starożytnym łożu. Proboszcz i balwierz opowiedzieli niewiastom, ilu wysiłków i podstępów trzeba było, by sprowadzić błędnego rycerza do domu, i radzili bardzo uważać, żeby się znowu nie wymknął, kiedy przyjdzie do siebie. Usłyszawszy to, zmartwiły się obie i zatrwożyły, że nie potrafią go upilnować, bo przecież, powołaniem swym opętany, wymknie się im znów i podąży szukać przygód i nowych cięgów.

Nie oczekujecie chyba z mojej strony zapewnień, iż miało się stać inaczej.

Rozdział trzydziesty trzeci, dziejący się w przerwie pomiędzy drugą a trzecią wyprawą Don Kichota

Było tak, jak być miało: najpierw Don Kichot chorował i powoli zdrowiał, i do sił wracał po wszystkim, co spotkało go w trakcie drugiej wyprawy rycerskiej; i póki zwyczajna słabość niepodzielnie rządziła jego członkami, nie miała z nim kłopotu ani gospodyni rumiana, ani siostrzenica blada, ani żadna inna osoba, czuwająca nad jego dobrem – oczywiście, dobrem nie przez niego za dobro mianym, ale przez innych; ledwie jednak trochę wydobrzał, już dobrzenie jego dobru owemu zagrażać jęło, i pojęły obie pełne poświęcenia niewiasty, że niedobrze z ich panem i wujem; bo choć nic nie mówił, w zmarszczce na jego czole odczytały myśl o trzeciej wyprawie.

Proboszcz i balwierz przez cały miesiąc nie odwiedzali przyjaciela, żeby nie przypominać mu i nie tłumaczyć, gdyby o nie zapytał, minionych wydarzeń; w końcu jednak uznali, że już dosyć dni upłynęło, i wkroczyli do sypialni, gdzie przyjął ich wsparty na poduszkach, w zielonej kamizeli i czerwonej mycce toledańskiej, bardziej jeszcze niż dawniej wysuszony i chudy. Rozmawiali najpierw o jego zdrowiu, potem o polityce wewnętrznej i zagranicznej, i wszystko, co mówił Don Kichot, tak rozsądne było i umiarkowane, że goście wyjść nie mogli z podziwu. Wyszliby też z wrażeniem, iż przyjaciel całkiem już wyleczony, gdyby proboszcza nie podkusiło w pewnej chwili i nie napomknął o szykującej się nowej wojnie z Turkami. I tu Don Kichot, tym samym naturalnym tonem, co przedtem, oznajmił, że miałby dla Jego Królewskiej Mości prostą radę na wygranie tej wojny: wystarczyłoby zebrać w stolicy wszystkich wędrujących po Hiszpanii błędnych rycerzy, a choćby tylko pół tuzina ich się znalazło, całej potędze tureckiej kryska. Jak się przedtem ucieszyli, tak teraz zmartwili się i proboszcz, i balwierz, a ten ostatni opowiedział, niby mimochodem, jedną z licznych anegdot o rzekomo uleczonych wariatach, którzy w ostatniej chwili przed opuszczeniem szpitala demaskują się jakimś jednym, świadczącym o ich trwającym obłędzie, zdaniem. Ten, o którym mówił balwierz, uznany za zdrowego, żegnał się już z towarzyszami niedoli, kiedy któryś z nich w ataku szału zagroził, że jako Jupiter gromowładny ukarze miasto Sewillę, w którym cała rzecz się toczyła, i przez trzy lata kropli deszczu na nią nie spuści. Nie bój się, mości doktorze – uspokoił ozdrowieniec obecnego przy tym lekarza – jeżeli on, jako Jupiter, nie spuści deszczu, to ja, ojciec i bóg wszelkich wód Neptun, spuszczę deszcz, ilekroć będzie potrzeba...

– Więc tę to powiastkę – z niewesołą powagą stwierdził Don Kichot – uznaliście za właściwe, panie balwierzu, opowiedzieć nam tutaj i sądziliście może, iż nie pojmę, do czego i do kogo pijecie. Cóż wam na to odrzec? Nie jestem Neptunem i deszczu na was nie spuszczę. Nie staram się też uchodzić za zdrowego na umyśle przed nikim, kto pewny jest, iż zdrowie to postradałem. Tęsknię jedynie w naszym podłym wieku za czasem, gdy, jak prawią księgi, którym wierzę, chcę wierzyć i wierzyć będę, istniało odwołanie od przemocy, krzywdy i zdrady, istniał trybunał wysoki w postaci sumienia i ramienia błędnych rycerzy. Wiem, wiem, że teraz gnuśność bierze górę nad gorliwością, obłuda nad otwartym czołem, prywata nad względami dla bliźnich, tchórzostwo nad męstwem. Wiem to wszystko, a jednak – mówię, aby dać wam znak, panie balwierzu, że pojąłem waszą przypowieść – jeśli Jupiter odmówi deszczu, ja zuchwale rękę podniosę, by z wymienia chmury strumień wycisnąć.

– Nie chciałem was moją anegdotą urazić – zmieszał się balwierz.

– A ja – odparł Don Kichot – dokładnie to odpowiedziałem na nią, co chciałem.

Po tej wizycie i proboszcz, i balwierz upewnili się w tym, co siostrzenica blada i gospodyni rumiana wyczytały już były ze zmarszczki na czole Don Kichota, a mianowicie, że nie uda się rozsądnym ludziom uchronić go przed wyruszeniem na trzecią wyprawę.

Wierny giermek tymczasem również długo nie odwiedzał swojego pana, a to z paru przyczyn: najpierw, że musiał do woli nagadać się z żoną, co zajęło mu wiele poranków, dni, wieczorów i nocy, a następnie, że gospodyni i siostrzenica Don Kichota broniły mu wstępu. W końcu jednak udało się sforsować ich opór i rycerz przyjął Sancza w tejże swojej komnacie sypialnej i w tymże domowym stroju, ale w znacznie ufniejszym i nie zaprawionym goryczą humorze. Rozpytawszy tłuściocha (a na mokrym i ciepłym domowym wikcie giermek zdążył się jeszcze zaokrąglić dużo bardziej niż w trakcie głodnej nieraz i wytrząsającej wyprawy) o nowiny i słuchy, dowiedział się Don Kichot, iż kto żyw o nim gada, rozmaicie zresztą, bo: „pomylony, ale komiczny" bądź „z fantazją, ale bez piątej klepki", bądź wreszcie „ledwie zipie, ale tłucze garnki", na co wszystko pokiwał wyrozumiale głową i wyjaśnił, że nawet w starożytności nikt ze sławnych mężów nie uniknął potwarzy; dalej jednak dowiedział się czegoś, co dużo bardziej go podnieciło, a to, że krąży ponoć po świecie książka, w której opisano już znaczną część dotychczasowych przygód i rycerza, i giermka, i rumaków ich – Rosynanta i kłapoucha; Sanczo sam rozmawiał z człowiekiem, który twierdził, że miał w rękach tę książkę – był nim syn sąsiada, świeżo przybyły z Salamanki z dyplomem bakałarza w garści, niejaki Samson Karrasko.

– Przyprowadźże go tutaj! – zawołał niecierpliwie Don Kichot. – Jeśli prawdą jest, że do księgi trafiłem i że nie jest to, uchowaj Boże, księga oszczercza, połowa mojej misji spełniona! Przez księgę wszak przykład moich rycerskich zmagań wszystkim przyszłym udzieli się pokoleniom i kto wie, może nieraz jeszcze naśladowany i powtarzany będzie przez wieki.

Sanczo sprowadził bakałarza – bladego, cherlawego na oko i niezbyt urodziwego młodzieńca – ten zaś padł przed rycerzem na kolana i wykrzyknął:

– Jakie to szczęście, wasza namacalność, że widzę żywego, z krwi i ciała, jednego z najsłynniejszych błędnych rycerzy, jacy istnieli, istnieją lub istnieć będą na kuli ziemskiej, o czym świadczy księga, którą czytałem!

– Więc to prawda – zapytał Don Kichot, podnosząc Samsona Karrasko z klęczek – że znalazł się już autor, który spisał moje czyny i sprawy?

– Prawda pomnożona co najmniej przez dwanaście tysięcy egzemplarzy, w których ją do dnia dzisiejszego wydrukowano.

Tu zaczęła się długa rozmowa, w trakcie której Don Kichot wypytywał bakałarza dokładnie o opisane w książce historie i porównywał je z tym, co sam zapamiętał, bakałarz zaś dopraszał się komentarza do fragmentów, które wydawały mu się niejasne; i Sanczo Pansa także uczestniczył w owej rozmowie; ale pominę ją tutaj, bo sami wiecie, co się dotąd

przytrafiło i co o tym sądzić; skorzystam zaś z czasu, który zabrała, żeby dać wam znać, że nie wiem jeszcze, co myśleć o nowym bohaterze, który w tym miejscu wkracza do całej historii, to znaczy o Samsonie Karrasko; i owszem, miły jest dla Don Kichota i pełen szacunku, nawet rzekłbym – czołobitności; ale czy szczerze? I owszem, chce mu być sojusznikiem, zaraz tego dowiedzie, nie tylko początkiem znajomości, lecz i dalszym ciągiem rozmowy, w którym, inaczej niż starzy przyjaciele, o których wiemy co myśleć, nie będzie rycerza odwodził od rycerstwa, wędrownika od wędrowania; ale czy za tym nic się nie kryje? Niestety, muszę się przyznać, choć to może brzydka przywara, że opowiadając doświadczenia Donkichotowe nauczyłem się nieufności do ludzi, z którymi miał do czynienia, i teraz też, choć sam rycerz i jego giermek mile przyjmują reweranse imć bakałarza, ja przyglądam mu się, z lekka mrużąc oczy i nie mówię tak ani nie, tylko mówię, że nie wiem, co o nim myśleć – wstydząc się trochę tej powściągliwości wobec serdecznego człowieka, ale zachowując nadzieję, że wszystko się we właściwym czasie wyświetli.

W tej chwili Sanczo Pansa, kończąc perorować o tym, co jego osobiście spotkało podczas drugiej wyprawy, nadmienił:

– Ale teraz taki już jestem znów rozpalony, że gdyby mój pan nie był zgaszony, wnet znaleźlibyśmy się w drodze, broniąc tych różnych panienek i siekając olbrzymów, jak to mamy w zwyczaju.

Don Kichot oznajmił, że wcale nie jest zgaszony i zamierza właśnie przedsięwziąć trzecią wyprawę.

Tu, jakby popierając decyzję swojego pana, zarżał głośno na dworze znakomity Rosynant.

– Ja bym radził, wasza zdobywczość – powiedział z uszanowaniem Samson Karrasko – żebyście się tym razem skierowali w stronę królestwa Aragonu i prześwietnego miasta Saragossy. Tam w dniu Świętego Jerzego odbywają się turnieje, w których, pokonując niechybnie wszystkich rycerzy aragońskich, zdobędziecie tym samym pierwszeństwo pośród rycerzy świata w ogóle. Zachowajcie jedynie odrobinę ostrożności, ponieważ życie wasze już nie tylko waszą jest dziś własnością, lecz wszystkich potrzebujących opieki oraz pomocy.

– Otóż to – powiedział Sanczo – i moją także, przynajmniej dopóki nie wywiązaliście się z przyrzeczenia w sprawie wyspy albo królestwa.

– A wy zważajcie, mości Sanczo Panso – dorzucił bakałarz – żeby godności, którymi was Don Kichot obdarzy, nie zmieniły wam charakteru. Zdarza się bowiem, że ktoś awansowany znienacka nie na wielkorządcę nawet, lecz dużo niżej, nie poznaje od tej chwili ojca i matki.

– To nie ja – zapewnił giermek – ja tam dobry mam wzrok i na pamięć się nie uskarżam.

– Przekonamy się – rzekł Don Kichot – gdy obejmiesz już władzę, a stanie się to bardzo niedługo.

Postanowiono, że wyruszą za tydzień. Bakałarz, wtajemniczony we wszystkie plany, przyrzekł dochować tajemnicy zwłaszcza wobec tych, którzy chcieliby i mogli przeszkodzić, czyli: księdza proboszcza, nieodłącznego balwierza, gospodyni rumianej jak zimowe jabłuszko i siostrzenicy bladej jak brzask jesienny.

Zaczęły się dni przygotowań, których główny ciężar wziąć musiał na swe sklepione barki Sanczo Pansa, mimo że zajęty był również długimi debatami z żoną, bo ciągle im było mało; przed nią zresztą nie ukrywał tym razem ani celu, ani spodziewanego terminu wyprawy; główny zaś nacisk kładł na przygotowanie małżonki do splendorów, które ją czekały u jego boku; i prawdę mówiąc, popadał przy tym nieraz w zwątpienie, czy zacna towarzyszka życia sielskiego sprosta temu, co ją czekało; ale mimo obaw bakałarza nie miał pokus, by jej czy kogokolwiek z bliskich się wyprzeć.

Zjawił się wreszcie Sanczo ponownie u Don Kichota, by mu donieść, że uprząż pocerowana, juki połatane i wypchane tym, co niezbędne, zbroja doklepana i nawet nowy hełm z przyłbicą nabyty przy pomocy Samsona Karrasko i oczyszczony z rdzy oraz pleśni, tedy lśni srebrzyście, choć nie pozłociście, jak świetlanej pamięci hełm Mambrina, utracony,

niestety, w potyczce z pokutnikami, o czym, zdaje się, nie wspomniałem w porę, ale któż by pamiętał o hełmie, gdy Don Kichot omal nie wyzionął był ducha? Po tych meldunkach o gotowości sprzętu do wyprawy Sanczo Pansa dorzucił, że jest jeszcze coś, co chciałby przed wyruszeniem załatwić; a chciałby nie dlatego nawet, że sam chciałby, lecz dlatego, że chciałaby jego dobra żona; ale skoro chciałaby jego dobra żona, to i on chciałby.

– A cóż to takiego ? – spytał Don Kichot.

– A to, wasza szczodrobliwość, żebyście mi wyznaczyli stałe wynagrodzenie za moją służbę, bo łaska pańska na pstrym koniu jeździ i lepszy wróbel w gębie niż gołąb na dębie, a gdy śmierć zawita, o racje nie pyta, i żeby mi to wynagrodzenie wypłacano co miesiąc z waszego majątku, tak jak się ugodzimy i spiszemy to na papierze.

– W żadnej księdze rycerskiej nie czytałem – powiedział Don Kichot – żeby rycerz z giermkiem godzili się i spisywali to na papierze, niczym kupczyki. Nie, Sanczo, albo pozostaniesz na mojej służbie za co łaska i dobrą nadzieję, która, nadmieniam na stronie, wnet stokrotnie ci się opłaci, albo rozstaniemy się w dobrej zgodzie, a ja znajdę sobie innego giermka, może mniej niż ty gadatliwego i niezdarnego.

Póki tak rozmawiali, zamknąwszy się, by ich nikt nie podsłuchał, gospodyni i siostrzenica Don Kichota, przeczuwając, co się święci, wierciły się niespokojnie pod drzwiami, a w końcu, wyłapawszy piąte przez dziesiąte słowo z powiedzianych w komnacie, pobiegły do Samsona Karrasko, żeby go błagać o pomoc. Uznały, że jako nowy przyjaciel ich pana i wuja, krasomówca-bakałarz może wywrzeć wpływ zbawienny na niego i skłonić do porzucenia nieopatrznych zamiarów. Bakałarz wysłuchał niewiast i kazał im wracać do domu, obiecując, że niedługo sam się tam zjawi. Przybył akurat w chwili, gdy Don Kichot stanowczym tonem odmawiał Sanczowi Pansie wyznaczenia stałej pensji miesięcznej, a ten, lekko osłupiały, z rozdziawioną gębą przestępował z nogi na nogę.

Samson, jak za pierwszą wizytą, padł na kolana i zawołał:

– O, najwaleczniejszy z błędnych rycerzy La Manczy, Kastylii, Europy i całego globu ziemskiego! Niech Opatrzność sprzyja wszystkim twoim zamiarom i zniweczy poczynania tych, którzy chcieliby czynić ci wstręty!

Następnie, wstając, zwrócił się do gospodyni rumianej, w tej chwili zbielałej jednak ze złości, i do siostrzenicy bladej, w tej chwili zaczerwienionej, i rzekł:

– Wiem już na pewno w tej chwili, że wolą przeznaczenia jest, aby Don Kichot czym prędzej powrócił do wykonywania swych szlachetnych obowiązków rycerskich, nie obciążę więc sumienia, próbując go skłaniać do czegokolwiek innego. Naprzód więc, wasza prawomocność – to mówił już, naturalnie, znowu do Don Kichota – brońcie poniewieranych i krzywdzonych, poniewierajcie i krzywdźcie krzywdzicieli, opiekujcie się sierotami, wdowami, dziewicami i zamężnymi białogłowami, a jeżeli potrzeba wam giermka, za najwyższy zaszczyt i szczęście poczytywałbym, gdybym mógł nim zostać.

– Słyszysz, niewdzięczniku? – odezwał się Don Kichot do Sancza. – Sam bakałarz Samson Karrasko, absolwent przesławnego uniwersytetu w Salamance, pragnie być moim giermkiem i nie pyta o pensję, jak niektórzy ludzie małego ducha! Nie ma obaw, nie przyjmę jego oferty, zbyt wielka byłaby to strata dla sztuk i nauk; każdemu swoje – komu miecz, komu zgrzebło, a komu pióro. Ale widzisz na tym przykładzie, jakich giermków mogę mieć, jeżeli ty nie raczysz pozostać przy mnie.

– Raczę! – zakrzyknął wystraszony Sanczo. – Dalibóg, raczę, wasza wspaniałomyślność, alboż przez chwilę myślałem was odstępować? To moja żona gadała, żebym się upominał o pensję, ale co mi tam, wiem przecież, że z waszej łaski doczekam się większych rzeczy.

– Tedy jutro ruszamy – ogłosił Don Kichot, energicznym ruchem zdejmując myckę.

I znowu z podwórza odpowiedziało mu waleczne rżenie Rosynanta.

Gospodyni rumiana i siostrzenica blada uderzyły w lament, długi i rozdzierający, przerywany tylko przekleństwami na bakałarza, który tak je oszukał. W tym lamencie i

złorzeczeniach była też jakby rezygnacja, płynąca z poczucia, że skoro nawet Samson Karrasko nie powstrzymuje, przeciwnie zaś – zagrzewa Don Kichota do nowych szaleństw, to nie ma już sposobu, by uchronić ich pana i wuja przed kolejną wyprawą, może jeszcze niebezpieczniejszą od dwu poprzednich.

W tym miejscu Cervantes nadmienia półgębkiem, że bakałarz, zanim tak zachował się, jak się zachował, złożył był wizytę proboszczowi i balwierzowi i dość długo rozmawiał z nimi, ale treść tej rozmowy na razie pozostała nieznana.

Rozdział trzydziesty czwarty, w którym Don Kichot klęka przed panią swojego serca, Dulcyneą z Toboso

I znów jedzie Don Kichot, niczym kopia żelazna w przestrzeń się wbija, i rozwiera się oporna przestrzeń, by przepuścić go razem z koniem.

Jedzie Sanczo Pansa, niczym bukłak pełny kolebie się na swym ośle, a że ziemia jak on okrągła i okrągłością horyzontów opatulona, nie stawia mu oporu przestrzeń widoma i do własnej pełni macierzyńskim gestem jego pełnię przygarnia.

Jadą obaj, rycerz i giermek, a wraz z nimi posuwa się ich wypraw nieodłączny towarzysz, jak Don Kichot niezmożony, pewny swego jak Sanczo Pansa, w sieci o niewidzialnych oczach jak w jasyrze sroższym od tureckiego trzymający i rycerza na koniu, i giermka na ośle – posuwa się wraz z nimi życia ich nieodłączny uczestnik, skwar.

To już trzecia wyprawa Don Kichota – czy bieg jej pomyślniejszy będzie niźli poprzednich?

Tym razem nie od przygody pragnie ją zacząć, nie od zmierzenia się z niebezpieczeństwem straszliwym, nie od wystawienia na próbę, zawsze przecież zwycięską, swej odwagi i siły.

Na wstępie tej wyprawy przed słodkim obliczem pani swego serca, Dulcynei z Toboso, pragnie stanąć Don Kichot, do kolan białych jej przypaść, do smukłej dłoni wargi przycisnąć, w pięknych słowach żarliwe uczucie swe wypowiedzieć, melodią jej głosu rozkoszować się choć przez chwilę, aby po tym spotkaniu dopiero, na nowo natchniony i pokrzepiony, bezgranicznie szczęśliwy i szczęściem swym silny, kontynuować zmagania z występnym światem.

Jakże bym chciał, żeby przynajmniej tego dnia poszczęściło się Don Kichotowi!

Może być tak: za pierwszym zakrętem, za najbliższą nadzieją, za pierwszym skrzyżowaniem, za najbliższym zbiegiem okoliczności, za widnokręgiem, który zaniecha ucieczki, za zielonym wzgórzem, za dobrą szansą, za posłanym do przodu czułym wejrzeniem – ukaże się Don Kichotowi o n a . Wiemy, że jest zaledwie urodziwą wieśniaczką Aldonzą ze wsi Toboso, i ten fakt realny musi wpłynąć na przebieg spotkania, ale mimo to nie musi ono być przykre dla Don Kichota ani wyłącznie śmieszne dla nas, którym uda się zostać jego świadkami.

...Oto ona – uprzytomni sobie z sercem bijącym Don Kichot – pani moich myśli i czynów, piękność nadludzka i cnota nieporównana, Dulcynea z Toboso!

I zeskakując z Rosynanta, zawoła załamującym się głosem:

– Na kolana, Sanczo! Obok mnie – na kolana przed damą!

– Wasza stokrotność – powie ze zdziwieniem Sanczo Pansa – jako żywo, nie widzę tu żadnej damy, choć rozglądam się bacznie.

– Na kolana, zuchwalcze–krzyknie z gniewem Don Kichot – i spuść oczy, bo oślepniesz od blasku jej lic niebiańskich! ...Pani – zwróci się do Aldonzy – racz wybaczyć giermkowi memu jego nieokrzesanie. Twój widok w takie wprawił go osłupienie, że zapomniał o wszelkiej obyczajności... O, chwilo cudowna, wymarzona w znoju bitewnym! O, nagrodo za zmagania i trudy! Dulcyneo z Toboso, bądź pozdrowiona!

– Bądźcie i wy zdrowi, czcigodny szlachcicu, jeśli to do mnie zwracacie się tak niezrozumiale – odpowie Aldonza, skromnie spuszczając oczy i mnąc rąbek fartuszka.

– Do niej ? W samej rzeczy, panie, mówicie do tej bosej dziewuchy ? – przepyta się Sanczo Pansa. – Nie powiem, dziewka na schwał, nic jej nie brakuje, i na twarzy dość gładka, tyle że opalona. I robotna, od razu widać, juści...

– Milcz – zapieni się Don Kichot – albo w gardło ci wtłoczę te bezeceństwa!... Pani mego serca, okrutnico luba, ja, Don Kichot z La Manczy, zwany też Rycerzem Posępnego Oblicza, już od lat miłuję cię kornie, alem nie śmiał skromności twej słowem nazbyt dufnej nadziei dotknąć, póki czynów nie dokonałem, jakie imię twe i miłość mą rozsławiły na całym świecie. Dziś przybywam i błagam: zaniechaj twej bezwzględności wzgardliwej, ukój ranę płomienną w piersi rycerza.

– Czcigodny szlachcicu – odpowie Aldonza – nie wiem, o jakiej ranie mówicie, ale opatrzę ją bez wzdragania, a jeśliście spragnieni i głodni, wnet wam mleka przyniosę w dzbanie. Spocznijcie tu pod drzewem i poczekajcie.

– O, Dulcyneo – powie ze wzruszeniem Don Kichot – dźwięk twojego głosu srebrzysty goi rany i krzepi ciało zdrożone. O, pani mego serca umiłowana.

– Na imię mi Aldonza – nieśmiało sprostuje dziewczyna. – Jeśli wszakże nie żartujecie i podoba się wam, czcigodny szlachcicu, miłować mię, to nie jestem wam krzywa. Znam i was, i domowników waszych, i gotowa jestem służyć wam, jak rozkażecie. Wiem, żeście zacnym panem, i będę was kochała, jak umiem, jeśli tato pozwolą. Aleć zwykła ze mnie wieśniaczka i trwożę się, że żarty ze mnie stroicie...

– Dulcyneo – powie Don Kichot – więc czynisz mi nadzieje, że ukończy się strapienie mojego serca. Dasz mi wstążkę z rąbka twej szaty na znak miłosnego przymierza, nim odejdę na nowe boje?

– A po cóż byście mieli odchodzić? – nie pojmie Aldonza.

I tu znowu wtrąci się Sanczo. Nie wiadomo dlaczego: wszak już wcześniej był się dowiedział, że to w postaci Aldonzy, córki chłopa Lorenza z wioski Toboso, chce Don Kichot widzieć wymarzoną Dulcyneę, damę wspaniałą – i przyjął to do wiadomości jako jeszcze jedną szaleńczą fanaberię swojego pana. Ale to były tylko rozmowy – tylko teoria, można by rzec, gdyby Sanczo Pansa mógł zrozumieć to określenie – to był świat słów, w którym przyzwyczaił się tolerować wszelką niedorzeczność. Tolerował ją i w działaniach Don Kichota, gdy rozgrywały się wśród obcych, w obcej i niecodziennej scenerii. Tu jednak fantazja wkraczała w najbliższe, od dziecka znane wiejskie otoczenie, ze słowa przeistaczała się w ciało, w jedno ze zwykłych, znajomych ciał z tego otoczenia właśnie – i Sanczo nie rnógł się nie zbuntować.

– Tego już za wiele! – wtrąci się zatem Sanczo. – Nie jeden raz, wasza wychudłość, oczom nie wierzyłem, dając ucha temu, coście prawili, ale kiep ze mnie, jeśli teraz to uczynię! Zgoda na nieprzyjacielskie barany, zgoda na olbrzymy ze skrzydłami wiatraków i głowami pełnymi wina, zgoda na karczmisko objęte czarem – niech tak będzie, wszystko być może. Ale że ta dziewucha Aldonza panią jest Dulcyneą – nie, nie i nie, choćbyście mnie kołem łamali, nigdy w to nie uwierzę!

– Głupiś, Sanczo! – rozsierdzi się, że aż poczerwienieje, Don Kichot.

– Nie, nie i nie!

– Głupiś, Sanczo! – lecz to już nie głos Don Kichota.

– Co takiego? – obejrzy się giermek.

– Głupiś jak but – mój to głos, który historię tę opowiadam – skoro nie mieści ci się w głowie, że ta dziewczyna, pospolita wieśniaczka Aldonza, jest Dulcyneą. Jest nią, gdyż Don Kichot ją umiłował, i jest nią, gdyż gotowa sercem gorącym odpowiedzieć na jego miłość. Jest urodziwa i dobra; chce opatrzyć mu rany, nakarmić go i napoić; nie rozumie, co rycerz mówi, ale czuje, że mówi szlachetnie, i to ją wzrusza. Czegóż więcej trzeba, niemądry Sanczo, by uznać ją za najsłodszą Dulcyneę z Toboso?

I – cóż to? – czyżby Sanczo Pansa zrozumiał? Nic nie mówiąc i nie ociągając się dłużej, klęka obok Don Kichota przed wieśniaczką Aldonzą. Aldonza jest zmieszana, spłoniona, ciągle niepewna, czy z niej tu nie żartują, ale choćby i tak – nie mająca tego za złe szlachetnemu i godnemu podziwu panu. Cichszym jeszcze głosem, z ciągle spuszczonymi oczami, Aldonza powtarza:

– A po cóż byście mieli odchodzić ?

Rozdział trzydziesty piąty w którym spotkanie Don Kichota z Dulcyneą z Toboso przedstawione jest zupełnie inaczej niż w rozdziale trzydziestym czwartym

Wyjechawszy z rodzinnej wsi, Don Kichot na Rosynancie i Sanczo Pansa na siwym ośle skierowali się do pobliskiego Toboso.

Ale dalej wszystko było inaczej.

Ani za pierwszym zakrętem, ani za najbliższą nadzieją, ani za pierwszym skrzyżowaniem, ani za najbliższym zbiegiem okoliczności, ani za widnokręgiem, który by zaniechał ucieczki, ani za wzgórzem zielonym, ani za dobrą szansą, ani za posianym do przodu czułym wejrzeniem – Dulcynea nie ukazała się Don Kichotowi.

Noc już zapadła, kiedy rycerz z giermkiem wjechali do uśpionego Toboso. Po obejściach szczekały psy, czasem kot jakiś miauknął, zaryczał osioł, wieprz zachrząkał w chlewie, ale w oknach się nie świeciło i na ulicy nie spotkali żywej duszy, chociaż noc była księżycowa. Sanczo Pansa wolałby zresztą noc nieprzejrzanie ciemną, bo łacniej by się wtedy wytłumaczył, że nie potrafi znaleźć domu Dulcynei, do którego wszak powinien był znać już drogę.

– Panie – rzekł, szukając wyjścia z niewyraźnej sytuacji, gdy Don Kichot nalegał, by czym prędzej prowadził go pod wiadomy adres – toć o tej porze i tak nie znajdziemy otwartej bramy. Kołatać nie przystoi po nocy, wszystkich budząc, jak to czynią rozpustni młodzieńcy pod domami swych przyjaciółek, przyjmowani przez nie choćby i o drugiej nad ranem.

– Nie twierdzę, że będziemy się dobijali – odparł Don Kichot – ale mimo wszystko znajdźmy najpierw ten pałac. Nie rozumiem, czemu nie możesz trafić od razu, skoro trafiłeś wówczas, kiedym cię posłał z listem. Skup się, Sanczo, nie bądź tak roztargniony. O, czy to aby nie ten wielki gmach po drugiej stronie placu?

– To kościół. Ale ciekaw jestem, czemu też wasza nieomylność nie może trafić do zagrody swojej pani, a mnie się dziwuje.

– Mówiłem ci przecież, że nigdy nie zbliżyłem się na pół mili do mojej ukochanej ani nie przekroczyłem wysokich progów jej rezydencji.

– To i ja tak samo.

– Jak to? A któż jak nie ty twierdził, że rozmawiał z nią, podczas gdy białymi dłońmi dla rozrywki uroczej przesiewała zboże w stodole? Któż o moich cierpieniach jej opowiadał i

rozkaz dla mnie otrzymał, bym się stawił przed jej najpromienniejszym obliczem, co też czynię posłusznie, a raczej chcę uczynić, gdy tylko zdołam?

– Niby ja – przyznał Sanczo – ale teraz zdaje mi się, że to wszystko było jak gdyby we śnie.

– Teraz we śnie i otępieniu przebywasz – surowo rzekł Don Kichot – i wzywam cię, Sanczo, zbudź się co rychlej.

W tej chwili ukazał się parobek jakiś, który dwa muły prowadził, pług wlokące po ziemi.

– Przyjacielu – zwrócił się doń Don Kichot – czy nie moglibyście nam wskazać pałacu najwspanialszej księżniczki, pani Dulcynei z Toboso?

– Nie mógłbym – odparł parobek – bo jestem, wasza odświętność, nietutejszy i od paru dni zaledwie wynająłem się gospodarzowi do robót w polu. Ale nie słyszałem, żeby w Toboso mieszkała jakaś księżniczka.

I popędził muły w stronę szarzejącego pola.

Sanczo Pansa, coraz bardziej obawiając się, że wnet zdemaskowane zostanie jego kłamstwo, jakoby w samej rzeczy odwiedził, kiedy został do niej wysłany, Dulcyneę z Toboso, wysilał tymczasem cichcem całą swoją pomysłowość i wymyślił w końcu taki oto wykręt, na krótką metę: że najwłaściwiej będzie, jeśli Don Kichot poczeka w ukryciu, on zaś poszuka tymczasem zagubionego domu Dulcynei, dotrze przed jej oblicze i zapowie swojego pana. Dopiero gdy dama wyznaczy czas i miejsce spotkania, Sanczo zawiadomi go o tym i zaprowadzi już bez błądzenia. Rycerzowi propozycja giermka wydała się wcale rozsądna i zgodna z dobrymi obyczajami. Oddalili się więc jakieś dwie mile od wioski, tam Don Kichot zaszył się w gaju i czekał, a Sanczo znów zawrócił do miasta.

Zostawmy Don Kichota samemu sobie i pójdźmy za Sanczem Pansą, ponieważ to od niego będą zależały tym razem dalsze wydarzenia opowieści tu powtórzonej. Opuściwszy swojego pana, mędrek nasz nie przestał się, oczywiście, głowić nad wybrnięciem bez szwanku z sytuacji dość niefortunnej; bo poprzednia propozycja zaledwie odwlokła sprawę; ale jak ją ostatecznie rozplątać? Czy obwieścić może Don Kichotowi, że pani jego serca wyjechała w daleką podróż albo wręcz pożegnała ten smętny padół? Nie, niedobra to myśl – nie wiadomo, czy, zrozpaczony, w szał nie wpadnie jeszcze większy niż dotąd i nie zrobi czegoś, co w najgorszy sposób na obydwu się skrupi; cóż więc czynić, zaiste? I tu Sancza Pansę olśnił nowy pomysł, który jeszcze nie tak dawno ani w głowie by mu nie postał; po tym jednak, jak niechcący terminował w szkole takich mistrzów, jak proboszcz i balwierz, przyjaciele Donkichotowi, dziwne byłoby, odwrotnie, gdyby nie zaraził się od nich tą szczególną pomysłowością, zmierzającą do podsuwania pragnącemu się łudzić coraz nowych złudzeń, fantaście – coraz bajeczniejszych fantazji, marzycielowi – coraz zuchwalej sfałszowanych obrazów jego marzenia. Niestety! Lubię Sancza Pansę, ale to, co zamierza zrobić, nie podoba mi się zupełnie; nie przekonam go zaś, aby tego nie robił, bo na własnej skórze zależy mu przecież najbardziej.

Odjechawszy tyle tylko, żeby go Don Kichot nie widział, chytrusek zeskoczył z osła i rozłożył się pod drzewem na czas taki, by można było uwierzyć, że dojechał i powrócił z Toboso. Odpoczynek mu się nie dłużył, bo Sanczo Pansa nie należał do ludzi, którym kiedykolwiek dłuży się odpoczynek; a gdy czas przewidziany, jego zdaniem, upłynął, wstał, przeciągnął się i zerknął w stronę Toboso. Miał szczęście, na które zresztą liczył: ze strony, w którą spoglądał, jechały drogą trzy wieśniaczki na trzech oślicach. Spiesznie dosiadł swojego osła i kłusem popędził do Don Kichota. Rycerz wzdychał miłośnie w lasku, gdzie go był zostawił, ale nie walił głową o skały, może dlatego, że tu skał nie było, drzewa jednak były, a o drzewa także nie walił głową.

– Jakie nowiny przynosisz? – zapytał niespokojnie Don Kichot.

– Śpieszcie się, panie! – wykrzyknął w odpowiedzi Sanczo. – Nadjeżdża! Już nadjeżdża! Musicie wyjechać naprzeciw, by ją spotkać pośrodku drogi!

– Kogo spotkać? – zamierającym głosem zapytał Don Kichot.

– Jak to kogo ? Naszą panią Dulcyneę z dwiema dworkami. Jadą tu do was, wszystkie trzy złociste i jedwabiste, perłowe i brylantowe, utrefione i wypachnione! A jakie mają rumaki! Jakie siodła! Jakie strzemiona!

– A więc jedźmy prędzej, Sanczo – zawołał Don Kichot, spinając Rosynanta ostrogą. – W nagrodę za tę nowinę, oprócz wyspy i trzech osiołków, które masz już u mnie, dostaniesz trzy źrebięta z mojej stajni, naturalnie wówczas dopiero, gdy oźrebią się moje klacze.

Kiedy wyjechali na drogę, trzy wieśniaczki na swoich oślicach były już bardzo blisko, a nikogo więcej na całej drodze nie było widać. Zakłopotany Don Kichot zapytał giermka, gdzie też pozostawił damy, których przyjazd mu zapowiedział.

– Jak to gdzie ? Nie powiecie chyba, wasza uroczystość, że nie widzicie zbliżającej się w blasku pani Dulcynei z dwiema dworkami!

– Widzę jedynie trzy wieśniaczki na trzech oślicach.

– Boże! – przeraził się Sanczo. – Więc ten czarownik obrzydliwy znowu ściga mojego pana i najcudowniejszy obraz, na jaki zasłużyły jego szlachetne oczy, zmienia w samą nieważność i pospolitość! Błagam was, panie, wysilcie się trochę, przetrzyjcie oczy i dojrzyjcie w pełnej krasie słodką panią waszego serca!

Co powiedziawszy, zsiadł z kłapoucha, za uzdę chwycił oślicę środkowej baby i padając przed nią na kolana, wyrzekł z emfazą:

– Księżniczko, królowo i cesarzowo piękności! Oto rycerz w was zadurzony, onieśmielony i bez tchu od waszej urody, Don Kichot z La Manczy, a jam, jak wiecie, bo przedstawiałem się już parę razy, jego wierny giermek, Sanczo Pansa, czyli, można powiedzieć, sługa sługi waszego:

Don Kichotowi nie pozostawało nic innego, jak runąć na kolana obok Sancza; wpatrywał się przy tym nieprzytomnym wzrokiem w tę, którą Sanczo tak kwieciście wysławiał, i dostrzegał zwykłą wieśniaczkę, o szerokiej twarzy i płaskim nosie; ale sam przed sobą nie śmiał już się przyznać do takiego omamu zmysłów.

Tymczasem zniecierpliwiona kobieta wydarła Sanczowi uzdę swojej oślicy i wrzasnęła:

– Wynocha, bo jak cię zamaluję!

– Żartów się tym panom zachciało! – zawtórowała jej druga. – Jak zawołam mojego chłopa, to ich nauczy!

– Z drogi, no! – i trzecia najechała oślicą na klęczącego rycerza.

– O, jak srodze prześladuje mnie los – westchnął Don Kichot. – Nawet tego mi nie oszczędził, że spotykając wreszcie panią mojego serca, moje szczęście najwyższe, przedmiot uwielbienia najgorliwszego, koronę wszystkich wartości świata, oczy bielmem mam zakryte i uszy głuche, i to, co zdaję się dostrzegać i słyszeć, szpetne jest i odpychające, jak zarządził złośliwy czarownik Freston, nieodmienny mój prześladowca!

W tej chwili oślica rzekomej Dulcynei wierzgnęła, może wystraszona kopią i całą postacią Don Kichota, a może z innej przyczyny, i zwaliła swoją panią na ziemię. Don Kichot schylił się, by ją podnieść, ale baba nie czekała na pomoc i z jednego podskoku znalazła się z powrotem rozkraczona po męsku na grzbiecie bydlęcia. W tej chwili wszakże, gdy Don Kichot się do niej schylał, zdołał stwierdzić, że nie tylko zmysły wzroku jego i słuchu zaatakował podły czarownik, lecz nie zapomniał także o węchu, zdało się bowiem rycerzowi, iż zamiast fiołkami i ambrą Dulcynea z Toboso pachnie czosnkiem oraz nawozem.

Wszystkie trzy wieśniaczki odjechały szybko, nie zatrzymywane przez rycerza zgnębionego ani przez bardzo zadowolonego z siebie giermka.

Kiedy zniknęły im już z oczu, Don Kichot jął wypytywać Sancza o wszystkie szczegóły stroju swojej pani, o jej rumaka, siodło i czaprak, a spryciarz nie bardzo nawet musiał wysilać swą wyobraźnię, rycerz bowiem pytając, podpowiadał mu już odpowiedzi. Don Kichot słuchał uważnie, kiwał głową i wzdychał, że radość, po którą wybrał się do Toboso,

przeistoczyła się w takie straszne zmartwienie. Ale nic już nie dało się zrobić i porozmawiawszy co nieco rycerz z giermkiem wsiedli znów na wierzchowce, by kontynuować wyprawę.

Rozdział trzydziesty szósty, w którym Rycerz Posępnego Oblicza i Rycerz Zwierciadeł staczają bój o pierwszeństwo Dulcynei bądź Kasyldei między damami

Rozmawiali jeszcze, a rozmawiali; i w szczegóły wchodzili; Don Kichot nie zgadzał się z użytym przez Sancza porównaniem oczu Dulcynei do pereł; oczy pięknej są jak szmaragdy, a zęby jak perły! Na co Sanczo przystawał i mogli posuwać się dalej.

– Jedno mnie trapi – oznajmił w pewnej chwili Sanczo – że gdy poślecie jakiego pokonanego olbrzyma, by się upokorzył u stóp naszej pani, w jaki sposób rozpozna ją biedaczysko, tak okropnie zmienioną?

– Może nie będzie aż tak źle, żeby czar i dla nich ją przeistoczył, jak dla mnie. Na wszelki wypadek, kiedy poślę do Toboso pierwszego pokonanego, każę mu wrócić jeszcze i zdać sprawę, kogo zobaczył.

Zatrzymali się na noc w lesie; i kto by przypuszczał? – jakby już ich szukała i naprzeciw im wychodziła przygoda, pozwalająca urzeczywistnić zamyśloną przez Don Kichota próbę; o krok od nich, w tym samym lesie, choć pod innym drzewem, inny błędny rycerz stanął ze swym giermkiem na popas; i usłyszeli, przybrane westchnieniami, takie słowa nieznajomego:

– O, Kasyldeo z Wandalii, najpiękniejsza, ale także najokrutniejsza z białogłów! Jak możesz pragnąć, by twój wierny rycerz tak się tułał bez końca, ducha swojego dręcząc i ciało w rozpaczliwym oddaleniu od ciebie! Małoż tego, że do uznania cię za najpiękniejszą na świecie zmusiłem w boju wszystkich rycerzy Kastylii, Leonu, Nawarry i Andaluzji, a także, najbardziej się narażając, wszystkich godnych tego imienia rycerzy La Manczy?

– Co to, to nie – mruknął dosyć głośno Don Kichot. – Jestem z La Manczy i trudno by mnie było zmusić do uznania za najpiękniejszą innej damy, poza tą, która nią jest rzeczywiście.

Nieznajomy rycerz zerwał się na równe nogi.

– Kto idzie ? – zapytał niespokojnie. – Weseli czy zasmuceni?

– Zasmuceni – odpowiedział Don Kichot.

– Przybliżcie się tedy, zacny rycerzu – poprosił nieznajomy – i usiądźcie ze mną, a opowiem wam o moim nieszczęściu.

Don Kichot usiadł obok nieznajomego i wysłuchał jego opowieści, podczas gdy Sanczo Pansa odszedł nieco w bok z giermkiem tamtego i pozwolił się przezeń poczęstować pasztetem z królika i przednim naprawdę winem.

Historia nieznajomego, którego Cervantes ochrzcił Rycerzem Zwierciadeł, od licznych małych zwierciadełek, naszytych na jego okrywającym zbroję kaftanie, a zatem historia Rycerza Zwierciadeł była taka: od lat kochał się on w pewnej pani, którą nazwał Kasyldeą z Wandalii. Ta cudowna istota domagała się od swego rycerza coraz nowych dowodów uczucia, nieraz bardzo trudnych i niebezpiecznych, a on dostarczał ich damie swej bez szemrania. Na koniec zażądała, by objechał wszystkie części Hiszpanii i od wszystkich spotkanych w drodze błędnych rycerzy uzyskał potwierdzenie, iż żadna inna, tylko ona, Kasyldea z Wandalii, jest najpiękniejszą białogłową na świecie. Uczynił i to: objechał prawie cały półwysep, stoczył liczne boje i zwyciężył wszystkich rycerzy, którzy nie kwapili się z daniem pierwszeństwa w urodzie damie jego serca.

– Ale największą napawa mnie dumą – zauważył w tym miejscu swojej historii Rycerz Zwierciadeł – że pokonałem w pojedynku słynnego Rycerza Posępnego Oblicza, to znaczy Don Kichota z La Manczy.

– Kogo ? – przepytał się zdumiony Don Kichot.

– Don Kichota z La Manczy. Bardzo się wzdragał, ale, zwyciężony, musiał przyznać, że Kasyldea jest piękniejsza od Dulcynei, a ja, jego zwycięzca, jestem najwaleczniejszym i najbardziej zakochanym między wszystkimi rycerzami na świecie.

Don Kichot już chciał krzyknąć „to podłe łgarstwo!”, ale pohamował się i powiedział spokojnie:

– Możliwe, żeś zwyciężył, panie rycerzu, kwiat rycerstwa Hiszpanii, a nawet całego świata, wątpię jednak, czy był między pobitymi ów słynny, jak powiadasz, Don Kichot.

– Był z całą pewnością, i chętnie go opiszę na dowód, że mówię prawdę. Mąż to nie pierwszej młodości, wysoki i chudy, z orlim nosem i długim, obwisłym wąsem. Koń jego zowie się Rosynant, a giermek, który mu towarzyszy, Sanczo Pansa, jest mały i gruby. Jeśli po tym, co powiedziałem, nadal mi nie dowierzasz, będę musiał uciec się do perswazji z pomocą miecza.

– Nie denerwujcie się – powiedział Don Kichot. – Opis wasz jest prawdziwy, a szkopuł w tym jedynie, że to ja jestem Rycerzem Posępnego Oblicza, a przecież wiem, żem nigdy z wami nie walczył, bo gdyby tak było, nie sądzę, żebym zapomniał. Jedyne wytłumaczenie to, że wróg mój i prześladowca, zły czarownik Freston, przybrał, spotkawszy was, moją postać i umyślnie dał się pokonać, żeby mnie i panią mego serca okryć niesławą. Nie pierwszy to jego figiel, a jeśli ty z kolei wątpisz w to, co powiadam, mój miecz chętnie ciebie przekona.

– Z wszystkiego widać – rzekł Rycerz Zwierciadeł – że tak czy owak nie uniknąć nam skrzyżowania mieczów. Cóż, kto sobowtóra Donkichotowego pokonał, może i z Don Kichotem we własnej osobie da sobie radę. Ale nie będziemy wszak potykać się w ciemności, jak hultaje i rzezimieszki, doczekajmy blasku dnia, aby słońce widziało, jak uczciwie walczymy. A po walce – mam nadzieję, że przyjmiecie taki warunek – zwyciężony wypełni każdy rozkaz zwycięzcy, o ile nie będzie on przeciwny godności rycerskiej.

– Przyjmuję warunek – odpowiedział Don Kichot.

W trakcie tej rozmowy obaj giermkowie, podjadłszy i popiwszy sobie do woli, zdrzemnęli się nieco, teraz więc rycerze obudzili ich, by zawiadomić o pojedynku, jaki stoczą o wschodzie słońca. Na giermku Rycerza Zwierciadeł nie wywarło to wielkiego wrażenia, Sanczo Pansa jednak szczerze się zmartwił, ponieważ zdążył się już nasłuchać od kolegi o przewagach Rycerza Zwierciadeł i nie wiedział, czy Don Kichot sprosta przeciwnikowi. Jeszcze bardziej struchlał, kiedy giermek Rycerza Zwierciadeł oznajmił mu, że zgodnie z andaluzyjskim zwyczajem giermkowie nie mogą bezczynnie przypatrywać się pojedynkowi swych panów, lecz sami również muszą walczyć ze sobą.

– Wcale mi się ten zwyczaj nie podoba – oświadczył Sanczo – i nigdy o nim nie słyszałem od mojego pana, który zna wszystkie zwyczaje rycerskie, a ponadto, jakże mogę walczyć, nie mając miecza?

– Nie będziemy się potykać na miecze, tylko na worki płócienne – wyjaśnił tamten, którego możemy nazwać Nochalem, chociaż po ciemku nie widać jeszcze, jaki ma nochal; ale niech no tylko rozwidnieje, Sanczo ujrzy ów przedziwny instrument swego przeciwnika, fioletowy jak bakłażan, krzywy i ogromny, pełen szpetnych brodawek, zwisający aż do podbródka; i ujrzawszy go, tak się przerazi, że wszystko uczyni, by uniknąć walki z takim straszydłem.

Na razie jednak, nie widząc w ciemnościach twarzy Nochala, Sanczo odetchnął z ulgą:

– Na worki? A to bardzo proszę. W takim pojedynku wytrzepiemy się co najwyżej z kurzu.

– A nie – powiedział Nochal – bo te worki nie będą puste. Do każdego włożymy z pół tuzina kamieni jednakowej wagi, no i tak będziemy się workowali.

Sanczowi znów zrzedła mina.

– Nie mogę się bić – powiedział – z człowiekiem, który tak serdecznie mnie poczęstował i do którego nie czuję żadnej urazy.

– Jest i na to sposób – wyjaśnił Nochal. – Po prostu dam wam w buzię raz i drugi, i to, co poczujecie, to będzie właśnie uraza.

– Zdaje się – powiedział Sanczo Pansa – że zaczynam ją odczuwać już w tej chwili, bez zastosowania waszego sposobu i na samą myśl, że moglibyście sobie na to pozwolić.

– No, widzicie – powiedział Nochal.

Tymczasem zaczęło się rozwidniać i świergot obudzonych ptasząt witał jasność dnia, w którym tyle miało się zdarzyć.

I wtedy właśnie Sanczo Pansa ujrzał niemożliwy nos człowieka, z którym miał się pojedynkować na worki, i nogi się pod nim ugięły, i pojął, że raczej niezliczoną ilość policzków zniesie, niżby miał do walki stanąć z Nochalem.

W przeciwieństwie do giermka, Don Kichot nie zobaczył twarzy swego przeciwnika, ten bowiem z pierwszym promieniem słońca spuścił i zatrzasnął przyłbicę; na prośbę zaś, by ją uchylił, odparł odmową.

– Powiedzcie tedy, mnie się w słońcu przyjrzawszy – zaproponował Don Kichot – czy prawdziwie jestem tym Don Kichotem, którego byliście zwyciężyli, jak powiadacie.

– Jesteście doń podobni jak dwie krople wody, ale skoro twierdzicie, że to sztuczki czarnoksięskie, nie obstaję, że nim jesteście faktycznie.

– Przyjmuję wyjaśnienie – skinął głową Don Kichot – a teraz do dzieła, aby ramię moje dostatecznie wam dowiodło, że nie zwyciężyliście Don Kichota.

Giermkowie przywiedli konie na skraj polany i rycerze skoczyli w siodła. Rozjechawszy się w dwie strony, okrążyli polanę, by z rozpędu zderzyć się w pojedynku na śmierć i życie; ale zanim do tego zderzenia doszło, Don Kichot musiał zwolnić, bo Sanczo Pansa, ciągle drżący ze strachu, uczepił się strzemienia Rosynanta, błagając, by pan nie zostawiał go sam na sam z Nochalem, lecz pomógł mu usadowić się na jakiejś gałęzi, skąd mógłby bezpiecznie oglądać bitwę. Rycerz, wyrozumiały dla małostek swego giermka, zatrzymał się, aby pomóc Sanczowi wdrapać się na drzewo korkowe. Tymczasem jego przeciwnik objechał polanę i galopem (który niewiele się różnił od galopu Rosynanta, bo i sam koń Rycerza Zwierciadeł niewiele od Rosynanta się różnił) pędził na spotkanie Don Kichota. Kiedy ujrzał atoli, że Don Kichot zajęty jest czymś zgoła innym niż akurat powinien, osadził rumaka w biegu, za co ten był mu prawdziwie wdzięczny, bo już ledwie się ruszał. Ale właśnie w tej chwili Don Kichot skończył podsadzać Sancza na gałąź i wrócił do obowiązków rycerskich. Spiąwszy ostrogami chude boki Rosynanta skłonił go do runięcia jak huragan na Rycerza Zwierciadeł, który także wbił ostrogi w boki swojego wierzchowca, ale nie potrafił go już zmusić do ruszenia choćby

na palec z miejsca. Jednej chwili potrzeba było Don Kichotowi na wysadzenie Rycerza Zwierciadeł z siodła.

– Zwycięstwo! – wykrzyknął uradowany Sanczo Pansa, ześlizgując się na dół po pniu korkowca.

Don Kichot, już spieszony, nachylał się nad leżącym bez czucia Rycerzem Zwierciadeł, by przekonać się, czy zabity, czy żyje.

Jakież było zdumienie i rycerza, i giermka, gdy po podniesieniu przyłbicy pokonanego ujrzeli ni mniej, ni więcej, tylko dobrze sobie znane oblicze Samsona Karrasko, bakałarza z rodzinnej wioski.

– A to dopiero czarnoksięstwo! – powiedział wstrząśnięty Don Kichot. – Przyjrzyj się, Sanczo, co te wrogie siły potrafią, jakie niemożliwe przemiany w złośliwości swojej sprawiają.

– Póki się nie rusza – powiedział równie wstrząśnięty Sanczo – wbijcie, wasza skuteczność, na wszelki wypadek, miecz w gardło temu, który przybrał postać Samsona Karrasko. Może pozbędziecie się w ten sposób jednego ze swych wrogów czarnoksiężników.

– Bardzo słuszna rada – przyznał Don Kichot i wyciągnąwszy miecz uniósł go nad grdyką pokonanego.

– Nie czyńcie tego, na Boga, wasza sumienność! – zawołał, nadbiegając, giermek Rycerza Zwierciadeł. – Toć to wasz przyjaciel, bakałarz Samson Karrasko!

Spojrzeli na nadbiegającego i nie poznali go, nie miał już bowiem swego ohydnego nochala, tylko zwyczajną, na wpół dobroduszną, na wpół chytrą twarz wieśniaka z La Manczy, także zresztą skądciś Sanczowi Pansie znajomą.

– Ej, czy to aby nie mój kum i sąsiad, wesoły Tome?

– To ja, w samej rzeczy.

– A nos?

Tome wyciągnął z kieszeni i pokazał nochal z lakierowanej masy papierowej, ze sznurkiem do zawiązania na głowie.

Sanczo coraz bardziej wytrzeszczał oczy.

W tym momencie przyszedł do siebie leżący na ziemi Rycerz Zwierciadeł, przeto Don Kichot przyłożył mu koniuszek miecza do gardła i zażądał:

– Przyznaj natychmiast, bo jeżeli nie przyznasz, to zginiesz, że Dulcynea z Toboso góruje urodą i wszelkimi cnotami nad każdą białogłową, Kasyldei z Wandalii nie wyłączając. Dalej, przyrzeknij, że udasz się niezwłocznie do Toboso i padniesz do stóp mej pani, donosząc jej, jak cię pokonałem, i oddając się na jej łaskę albo niełaskę. Wreszcie, jeśli pozostawi cię wolnym, wróć do mnie i zdaj sprawę z wizyty u nieporównanej, nic nie pomijając ani zmieniając.

– Wszystko, co tylko chcecie – wyjąkał pokonany rycerz, starając się nie ruszać za bardzo grdyką.

– Musisz również przyznać, wyznać i uznać, że ów zwyciężony przez ciebie rycerz, choć wydawał się Don Kichotem, nie był ani nie mógł nim być, jak ja ze swej strony przyznaję i uznaję, że rycerz pokonany przeze mnie nie jest bakałarzem Samsonem Karrasko, tylko postać jego przybrał za sprawą mych podłych wrogów.

– Przyznaję i uznaję – wybełkotał leżący na ziemi – wyznaję i doznaję, a także zaznaję i zeznaję zgodnie z wyrażonym przez was życzeniem, zabierzcie tylko trochę dalej ten miecz i pozwólcie mi się dźwignąć z upadku.

Don Kichot wspaniałomyślnie cofnął miecz i Rycerz Zwierciadeł, wspomagany przez eks-Nochala, swojego giermka, ze stękaniem podniósł się z ziemi, na którą zwaliła go brawurowa szarża Rycerza Posępnego Oblicza.

Niebawem rozjechali się: Rycerz Zwierciadeł, który teraz dopiero należał do zasmuconych naprawdę, nie zaś w fantazji, udał się wraz ze swym giermkiem na poszukiwanie wioski,

gdzie okłady z maściami, ciepłe lub zimne, ulżyłyby jego poturbowanym bokom, Don Kichot zaś i Sanczo Pansa zawrócili, w zgodzie z wcześniejszym planem, na gościniec wiodący do Saragossy.

Na tym można by było rozdział niniejszy skończyć, gdyby nie rozmowy, które rycerz i giermek przez czas jakiś jeszcze ze sobą toczyli, a które dotykały dopiero co minionych wydarzeń. Sanczo wciąż nie mógł wyjść z podziwu, jak to sąsiad i kum jego Tome przy pomocy przyprawionego nochala zwieść go potrafił, a nawet do głębi przerazić. Na to znów obruszył się Don Kichot.

– Co, w samej rzeczy wierzysz, że Rycerz Zwierciadeł to był mój przyjaciel Karrasko, a jego giermek – twój sąsiad Tome?

– Nie wiem, panie, ale twarz jego, kiedy już postradał ten ohydny nochal, i głos, i wszystko, co mi mówił o moim domu, żonie i dzieciach, należało właśnie do mego kuma.

– Ale jakże przypuścić, Sanczo, że bakałarz Samson Karrasko, człowiek zgoła nie wojowniczy, został nagle błędnym rycerzem i przybył tu, aby ze mną walczyć, chociaż nigdy nic między nami nie było? Mówię ci, to wszystko sztuczka czarnoksiężników, a co oni potrafią, wiesz przecież, skoro napawałeś się urodą i wdziękiem Dulcynei, podczas gdy ja musiałem w niej widzieć szpetotę i pospolitość zwyczajnej baby.

Sanczo westchnął tylko i westchnienie jego było kropką w dyskusji.

A wy co sądzicie – był czy nie był Rycerz Zwierciadeł bakałarzem Samsonem Karrasko, a jeżeli był, to po co się tak zabawiał?

Rozdział trzydziesty siódmy, w którym na scenę wkracza Rycerz Lwów, co nie oznacza wcale, że opowieść będzie miała nowego bohatera

Kiedy tak Don Kichot i Sanczo Pansa, posuwając się gościńcem do Saragossy, rozmawiali o wydarzeniach, w których świeżo wypadło im uczestniczyć, dopędził ich na jabłkowitej klaczy jakiś jeździec, już nie pierwszej młodości, sam we wszystkim zielonym, od kołpaka do ostróg. Kawałek drogi odbyli razem z nim, uprzejmie gawędząc i dowiadując się, że jest zamożnym szlachcicem z pobliskiej miejscowości, a nazywa się Diego de Miranda. Opisał im swój żywot poczciwy i nie omieszkał też z zatroskania się zwierzyć, o które osiemnastoletni syn go przyprawia. Młodzieniec ten, który przez sześć lat pobierał nauki w Salamance, porzucił raptem wszystkie na rzecz jednej jedynej, mianowicie poezji, podczas gdy ojciec chciałby go widzieć prawnikiem lub teologiem. Don Kichot w długiej i bardzo rozsądnej mowie pocieszył hidalga, że choć poezja raczej radość niż pożytek zdolna jest przynieść, w żadnym przecież razie nie przynosi ujmy temu, co się nią para, ani jego rodzinie. Doradzając, by Don Diego zezwolił synowi iść za powołaniem, dorzucił, że poezja bywa rozmaita, ale gdyby na przykład syn Don Diega, jak starożytny mistrz Horacy, najgłębsze prawdy życia w wiersz przyoblekał i powszechne przywary zręcznie piętnował, można by i pożytek moralny w jego dziele odnaleźć.

Szlachcic w zielonym stroju był tyleż zaskoczony, co pocieszony argumentami Don Kichota, i nabrał dlań z miejsca ogromnego szacunku. W szczególne jednak zdumienie wprawiło go to, co w dalszym ciągu rozmowy usłyszał o samym Don Kichocie, jego powołaniu i czynach.

– Czy to możliwe – zawołał – aby dziś istnieli na świecie błędni rycerze? Pięćdziesiąt lat chodzę po tej ziemi i nie mogę sobie wyobrazić, by istniał na niej ktoś, kto czyni dobro i tępi zło, broni sierot, opiekuje się dziewicami, strzeże czci mężatek, pomaga wdowom! Za bajkę bym to miał, gdybym was, wasza jedyność, nie oglądał na własne oczy! Bogu niech będą dzięki, że istniejecie!

W trakcie tej przemowy szlachcica w zielonym stroju Sanczo Pansa ujrzał na uboczu pasterzy dojących owce i zjechał do nich, by zakupić, co się nadarzy. Nadarzyły się świeże serki, wybrał więc parę, zapłacił i zastanawiał się właśnie, w czym je zabrać, kiedy usłyszał niecierpliwe wołanie Don Kichota.

Rycerz wołał go dlatego, że dostrzegł na drodze nadjeżdżający z przeciwka wóz przybrany królewskimi chorągiewkami i na widok ten nabrał przekonania, że szykuje się nowa przygoda. Hełm wszakże Don Kichota przytroczony był do Sanczowego siodła, a bez hełmu rozpoczynać przygodę, o ile ma być pomyślną, nie sposób.

Usłyszawszy przynaglanie swego pana, Sanczo Pansa pospiesznie włożył nabyte serki nie gdzie indziej, tylko do hełmu Donkichotowego, i popędził kłapoucha, by czym prędzej stanąć przed zniecierpliwionym rycerzem.

– Hełm! – rozkazał Don Kichot. – Żwawo!

Giermek bez namysłu podał mu hełm wraz z zawartością, a Don Kichot, nie zaglądając do środka, wsadził sobie hełm na głowę; ledwie go umocował, biała serwatka jęła spływać po policzkach, nosie i karku rycerza, co poczuwszy, wykrzyknął przerażony :

– Na Boga! zdaje się, że mózg mi topnieje! – i pośpiesznie ściągnąwszy hełm z głowy, zajrzał do środka.

– To nie ja włożyłem te serki! – uprzedzając wybuch gniewu swego pana, oznajmił Sanczo Pansa. – Bo i skąd bym miał jakieś serki czy mleko, a gdybym miał, tobym sobie do brzucha wsadził, nie do waszego hełmu! To najpewniej czarnoksiężnicy... –użył wypróbowanego argumentu.

– Daj mi jaką chustkę, żebym sobie twarz otarł – zażądał Don Kichot. Coś nie wierzę tym razem w czarnoksiężników...

Ale na dłuższe śledztwo nie było już czasu, bo wóz wiozący przygodę był tuż; Don Kichot, otarłszy sobie twarz i ciemię, a także hełm, wsadził go z powrotem na głowę, dobył broni i zastąpił drogę wozowi.

– Cóż to za wóz – zawołał donośnie – i co na wozie?

– To mój wóz – odparł woźnica – wynajęty do przewiezienia dwóch lwów, które gubernator Oranu przysyła w podarunku Jego Królewskiej Mości.

– Duże te lwy ? – kontynuował przesłuchanie Don Kichot.

– Większych nie widziałem – odezwał się drugi mężczyzna, jadący na przedzie wozu – a jestem dozorcą lwów, to moje zajęcie. W pierwszej klatce jest lew, a w drugiej lwica; jedno i drugie bardzo wygłodniałe; śpieszymy się, by dotrzeć do miejsca, gdzie je będzie można nakarmić.

– A nie – powiedział Don Kichot. – Najpierw otworzysz te klatki i wypuścisz lwy na mnie; pokażę bestiom, kim jest Don Kichot.

Wszyscy zaczęli błagać Don Kichota, żeby dał spokój; między innymi Don Diego de Miranda usiłował mu wytłumaczyć, że dzikie zwierzęta w ogóle nic wspólnego nie mają z błędnym rycerstwem, a te lwy w szczególności żadnym ruchem łapy ani pomrukiem nie wystąpiły przeciwko niemu; w dodatku stanowią podarunek dla Jego Królewskiej Mości i nie należy przeszkadzać im w dotarciu do celu.

– Moje to, nie czyje inne rzemiosło – dumnie powiedział Don Kichot – i ja wiem najlepiej, czy te lwy mają coś, czy nie mają z błędnym rycerstwem. Ej, człowieku! – podniósł głos na dozorcę zwierząt. – Wypuścisz je zaraz z klatek albo na tej kopii jak na rożnie ciebie obrócę!

Pojęli, że na Don Kichota nie ma rady, woźnica zatem poprosił jedynie, by pozwolił mu wyprząc muły i schronić się z nimi w bezpiecznym miejscu, a dozorca zwierząt wziął wszystkich obecnych na świadków, iż otwiera klatki pod przymusem, za wszelkie zaś zło i szkody, jakie z tego wynikną, obarcza odpowiedzialnością pana rycerza.

Woźnica wyprzągł muły i oddalił się z nimi do lasu, jego śladem oddalił się też na swej jabłkowitej klaczy szlachcic w zielonym stroju i opłakujący już swego pana Sanczo Pansa na kłapouchu. Don Kichot, rozważywszy, czy dogodniej będzie walczyć z lwami pieszo czy konno, zdecydował się na tę pierwszą możliwość, jako że nie był pewien, czy widok bestii krwiożerczej nie spłoszy Rosynanta, zsiadł więc z konia i z mieczem w jednej dłoni, a tarczą w drugiej stanął przed wozem.

W tym miejscu Cervantesowi wyrywa się z piersi okrzyk:

– O, najśmielszy ze śmiałych, najmężniejszy z mężnych, najwaleczniejszy z walecznych Don Kichocie z La Manczy! Jakimi słowy mam wysławiać cię i wychwalać, wynosić i wielbić? Ty sam jeden oto, ty pieszo, ty z mieczem i tarczą jedynie, ty z sercem nieustraszonym, ty bezinteresowny, ty nieprzejednany, stajesz przeciw parze największych i najdzikszych lwów, jakie przywędrowały kiedykolwiek z Afryki do Hiszpanii! Nic więcej nie da się już dodać do tego, czyny twoje, Rycerzu Posępnego Oblicza, niech mówią same za siebie!

Tu pisarz urywa, dozorca zaś z ociąganiem otwiera pierwszą klatkę, w której lew-samiec straszliwy siedzi.

– Nuże! – krzyknął Don Kichot. – Nuże!

Lew przeciągnął się, rozwarł paszczę, ziewnął, wywalił długi jęzor, po kociemu obmył nim pysk, wreszcie wystawił łeb z klatki i przypatrzył się Don Kichotowi ślepiami jak rozżarzone węgle. Don Kichot wytrzymał ten wzrok, a nawet jakby odepchnął go swoim nieustępliwym spojrzeniem, i czekał, aż lew, przyjmując jego wyzwanie, opuści klatkę. Zwierzę jednak nie kwapiło się widać do pojedynku, ponieważ, rozejrzawszy się na różne strony, cofnęło łeb do klatki, odwróciło się tyłem do Don Kichota, wygodniej się ułożyło i zamknęło oczy.

– Nuże! – krzyknął znowu Don Kichot. – Podrażnij go kijem, żeby wyszedł tu do mnie!

– Do tego nie zmusicie mnie, wasza pełnokrwistość – odparł dozorca. – Mnie pierwszego rozszarpie, gdy go podrażnię. Zechciejcie się zadowolić, wasza wzajemność, tym, czegoście już dokazali. Skoro przeciwnik wasz nie stanął na placu, mimo że miał po temu wszelką możliwość, siebie tylko niesławą okrył i uznał najwidoczniej wasze zwycięstwo.

– Masz rację – zgodził się po krótkim namyśle Don Kichot. – Pozwalam ci zamknąć klatkę i wezwać tych, którzy obawiali się oglądać mój pojedynek z bestiami.

Kiedy wszyscy skupili się wokół rycerza, pytając, co właściwie zaszło, dozorca lwów szczegółowo opowiedział o męstwie Don Kichota, przed którym stchórzył lew tak dalece, że bał się nawet opuścić otwartą klatkę i bez boju uznał zwycięstwo Donkichotowe.

– Daj, Sanczo, po talarze tym dobrym ludziom – zarządził Don Kichot – a wy, gdy przybędziecie na dwór madrycki, jeśli tak się przypadkiem złoży, że będziecie Jego Królewskiej Mości opowiadali o moim czynie, na pytanie, któż tego dokonał, odrzeknijcie, że Rycerz Lwów. Od tej wiekopomnej chwili bowiem, zgodnie ze zwyczajem, zmieniam dotychczasowy przydomek Rycerza Posępnego Oblicza na nowy, który bardziej odpowiada mojej istocie.

Wóz ruszył w swoją drogę, a Don Kichot, Sanczo Pansa i Don Diego de Miranda – w swoją.

Don Diego milczał, nie wiedząc już, co ma sądzić o Don Kichocie; ten za to, podniecony sukcesem, przemawiał obficie, a między innymi mówił, co następuje:

– Każdy ma swoje powołanie; ja jedno mam, syn wasz drugie; pozwólcie mu pozostać poetą i pięknym wierszem opiewać na przykład czyny błędnych rycerzy, choćby ten mój dzisiejszy. Gdyby jednak zechciał skrócić jeszcze szlak wiodący na niedostępny szczyt Świątyni Sławy, mógłby zamiast wąskiej ścieżki poezji obrać jeszcze węższą ścieżynę błędnego rycerstwa albo nawet, bo i to się zdarza, połączyć obie. Nie po to snuję te myśli, byście go w jakimkolwiek kierunku pchali, ot tak, po prostu dzielę się nimi z wami.

Don Diego przysięgał sobie w duchu, że dokąd jak dokąd, ale na ścieżkę czy dróżkę błędnego rycerstwa nie popchnie swojego syna; prędzej już się z poezjowaniem jego pogodzi; ani słowem jednak nie odpowiadał Don Kichotowi.

Pod wieczór dotarli do wsi, w której stał dom Don Diega; wtedy ten zaprosił Don Kichota, by odpoczął u niego po minionych trudach i pokrzepił się przed tymi, co go czekają. Don Kichot chętnie przyjął zaproszenie i wraz z Sanczem spędził cztery dni u gościnnego towarzysza drogi, mile podejmowany przez gospodarza, jego małżonkę i syna, z całą trójką

też wiodąc uprzejme, a niekiedy uczone rozmowy o życiu ludzkim, poezji i błędnym rycerstwie.

Rozdział trzydziesty ósmy, zawierający przygodę Don Kichota w Jaskini Montesinosa, a także próbę częściowego komentarza do tej przygody

Rozmów tych, toczonych przez cztery dni w gościnnym domostwie Don Diega de Mirandy z gospodarzem, jego małżonką i synem poetą, nie będę przytaczał. Pominę też niektóre wydarzenia, jakie zaszły w dalszej drodze Don Kichota i Sancza Pansy, a to: pojedynek dwóch studentów z Salamanki, w którym naszemu rycerzowi przypadła zaszczytna rola rozjemcy, dalej pewne chłopskie wesele, w trakcie którego panna młoda była jedna, ale pan młody inny na początku i inny na końcu; nasi bohaterowie byli tam zaledwie obecni, nie zaś w jakiś sposób czynnie wmieszani, jeśli nie liczyć, naturalnie, wyjątkowego zaspokojenia apetytu Sancza Pansy na mokre; wszystko to pominę, bo, jak zwykle, pilno mi – a i wam, mam nadzieję – do dalszych przygód Rycerza Posępnego Oblicza, przepraszam, Rycerza Lwów, zapomniałem na chwilę, że tak się teraz nazywa, gdybym znowu zapomniał, to mi przypomnijcie.

Kolejna wielka przygoda, niepodobna do wszystkich poprzednich, rozegrać się miała nie na drodze, nie w polu, nie w zamczysku zaczarowanym, ale w głębi ziemskich czeluści, mianowicie w słynnej Jaskini Montesinosa. Parę wieków przed czasem, w którym toczy się nasza opowieść, Montesinos, wychowany przez pustelnika, był szlachetnym rycerzem i parem Francji, powinowatym wielkiego rycerza Durandarte, wraz z którym (a bez niego także) przeżył moc niezwykłych przygód, aż zamiast umrzeć, żywcem zapadł się, zaklęty, pod ziemię. Miejsce, w którym to się stało, znajdowało się nie opodal szlaku, którym zdążał Don Kichot; zapragnął je tedy zbadać i udał się tam z przewodnikiem, którym był krewniak uczony jednego z owych studentów szermierzy. Sanczo Pansa, oczywiście, towarzyszył im na trzeciego.

Noc spędzili w niewielkiej wiosce, jakieś dwie mile od Jaskini Montesinosa; tam również zaopatrzyli się w sto sążni powroza, niezbędnego przy spuszczaniu się w podziemne dziedziny.

Tak zaopatrzeni, o drugiej po południu dotarli na miejsce.

Otwór jaskini był spory, ale gęsto zarośnięty głogiem, dzikimi figami i jeżynami; całe to plątawisko Don Kichot posiekał mieczem, a na hałas, który przy tym uczynił, wyleciała ze środka chmara olbrzymich kruków i kawek, które powaliły rycerza na ziemię; gdyby był

przesądny, uznałby to za zły omen i poniechał wyprawy, on jednak wstał, otrzepał się i stwierdził, że więcej ptactwa ani nietoperzy tu nie ma, może więc przystąpić do tego, co postanowił. Sanczo Pansa i uczony krewniak studenta – którego dla krótkości będę dalej nazywał po prostu Krewniakiem – przewiązali przeto rycerza liną i zaczęli go spuszczać w głąb podziemnej czeluści.

Giermek postękiwał przy tym i mówił:

– Jeszcze czas się zatrzymać, wasza nieosiągalność, radzę wam z całego serca, nie dajcie się żywcem pogrzebać w tej studni, bo i co wam z takiej przygody po ciemku!

– Milcz, Sanczo, bo ta misja odnalezienia pod ziemią szlachetnego Montesinosa na mnie właśnie czeka od wieków – odparł rycerz.

– A nie omieszkajcie dokładnie się tam rozejrzeć – mówił Krewniak – ponieważ kto wie, czy nie ujrzycie dziwów, godnych odnotowania przez naukę.

Jemu Don Kichot nic już nie odpowiedział, ponieważ modlił się właśnie o pomoc w powziętych zamiarach do Boga i do damy swego serca, Dulcynei z Toboso, które to połączenie, acz mogłoby się wydać bluźnierstwem, bynajmniej nie zdziwiłoby nikogo spośród błędnych rycerzy.

Modląc się, stopniowo znikał im z oczu w czarnym otworze, aż zupełnie znikł, razem ze swoimi modlitwami, a także ostrogami i hełmem.

Niebawem doszły ich jeszcze głuche nawoływania, żeby bardziej popuścili liny, co też posłusznie, choć niezbyt gwałtownie, czynili; wreszcie już i nawoływań nie było słychać; odwinęli tedy wszystkie sto sążni liny do samego końca i czekali, co będzie dalej.

Dalej nic się nie działo, otwór jaskini milczał nieporuszony, po jakimś czasie tedy zaczęło im się robić markotno, zwłaszcza Sanczowi, serdecznie przywiązanemu do swego pana i zatroskanemu o jego życie. W końcu zdecydowali się i zaczęli nawijać linę z powrotem. Lina nie stawiała oporu, ogarnął ich więc lęk, i znowu zwłaszcza Sancza, któremu aż łzy ukazały się w oczach, że może Don Kichot zginął w czeluściach i nie ma go już wcale na końcu liny. Kiedy jednak zwinęli większą część, może cztery piąte, powroza, poczuli z ulgą napinający go ciężar. Ciągnęli pośpiesznie dalej i wreszcie ujrzeli wyłaniającego się z czarnego szybu rycerza.

– Bogu niech będą dzięki! – wykrzyknął Sanczo. – Już myśleliśmy, wasza dogłębność, że na zawsze tam zostaniecie.

Don Kichot nie odpowiadał; oczy miał zamknięte; kiedy całkiem go już wyciągnęli, odwiązali od sznura i ułożyli na ziemi, też się nie ocknął; dopiero po dłuższym tarmoszeniu otworzył oczy i rzekł na wpół przytomnie:

– Jaka szkoda, że nie pozwoliliście mi pozostać tam dłużej...

Potem oznajmił, że jest okropnie głodny, wyciągnęli więc, co tam kto miał, i posilili się wszyscy trzej, Don Kichot w zamyśleniu, Sanczo Pansa i Krewniak w rosnącej niecierpliwości ; w trakcie tego posiłku rycerz zdawał się coraz bardziej przytomnieć, aż wreszcie, gdy skończyli, zupełnie już był rozbudzony, i nie dając się prosić, jął im opowiadać, co mu się przytrafiło na dole.

Wedle tej opowieści, znalazł się w pewnej chwili, sam nie wiedząc jak ani kiedy, na rozkosznej, kwiecistej łące, następnie zaś oczom jego ukazał się cudowny pałac o kryształowych murach. Podwoje pałacu otwarły się i wyszedł z nich białobrody starzec, który, uściskawszy przybysza, rzekł:

– Bądź pozdrowiony, mężny rycerzu, Don Kichocie z La Manczy, na którego od bardzo dawna już my, zaklęci tutaj, czekamy, by pokrzepił nas swym widokiem i światu odsłonił prawdę o wnętrzu ziemi, a może nawet, kto wie, byśmy za jego przyczyną wyzwoleni zostali z czaru.

– Czy jesteś, panie, tym, kim cię być mniemam? – zapytał z całym uszanowaniem Don Kichot.

– Nie mylisz się – odparł starzec – jestem właśnie owym Montesinosem, od którego nazwę wzięła jaskinia. Trzyma mnie tu mocą swoich zaklęć francuski czarodziej Merlin, jak trzyma też innych mężów oraz niewiasty; a dlaczego nas zaczarował, nikt tego nie wie, nie tracę jednak nadziei, że się w końcu, a może już niebawem, dowiemy. Oto na przykład – wskazał rycerza, spoczywającego w marmurowym sarkofagu, z prawą ręką na sercu – wielki mój druh Durandarte, który od czasu do czasu budzi się dla skarg i westchnień, choć uczyniłem już dlań wszystko, o co był prosił.

Jakby na potwierdzenie jego słów, Durandarte westchnął i rzekł:

– Rycerzu Montesinosie,
Błagam cię, gdy już umrę,
Wydrzyj mi serce z piersi
I zanieś pięknej Belermie!

– Wszak uczyniłem to już, drogi mistrzu mój i powinowaty, wielki rycerzu Durandarte, prawie pięć wieków upływa od czasu, gdy wyjąłem wam serce i w koronkowej chusteczce wręczyłem pięknej Belermie, która tego serca jest panią. Ona nie rozstaje się z nim odtąd, co zdołałem zauważyć, ponieważ pani Belerma, jak wy i ja, przebywa, wraz z całym jej i waszym dworem, zaczarowana w tych właśnie podziemiach. Tylko ochmistrzynię Ruiderę, jej siedem córek i dwie siostrzenice, litując się nad ich płaczem, czarodziej Merlin zamienił w jeziora i wyniósł na powierzchnię; w La Manczy jeziora te nazywają Stawami Ruidery; również giermek wasz Gwadiana, bez ustanku was opłakujący, zamieniony został w rzekę, która to na powierzchnię wypływa, to na nowo we wnętrze ziemi zapada... Wszystko to powtarzałem wam już nieraz, ale nie chcieliście mnie słuchać; teraz jednak słuchajcie uważnie, bo dorzucam nowinę, że przybył do nas rycerz, który wskrzesił w obecnych czasach zapomniane już i wzgardzone błędne rycerstwo – sam Don Kichot z La Manczy!

Durandarte zdawał się słuchać przemowy Montesinosa, ale nie pojął jej widać, bo powtórzył z westchnieniem:

– Rycerzu Montesinosie,
Błagam cię, gdy już umrę,
Wydrzyj mi serce z piersi
I zanieś pięknej Belermie! –

po czym zapadł w to samo, co przedtem, milczenie.

Tu w sąsiedniej sali pałacu rozległo się zawodzenie żałosne, i Don Kichot obróciwszy głowę w tę stronę ujrzał poprzez kryształowe ściany przeciągającą procesję. Szły tam szeregami piękne dziewoje w żałobnych sukniach, a na końcu dostojna pani w długiej białej szacie, w ręku niosąc coś owiniętego w koronkową chusteczkę. Montesinos wyjaśnił Don Kichotowi, że to również zaklęte przez Merlina dworki Belermy i Durandarta, a ta dama na końcu to, ma się rozumieć, sama Belerma.

– Sporoście tam na dole zobaczyli i pogadali – przerwał w tym miejscu Krewniak – i naprawdę nie pojmuję, wasza prawdomówność, jak mogliście tyle zdążyć w tak krótkim czasie.

– To jeszcze nie wszystko – powiedział Don Kichot – zaraz dopowiem resztę. Ale dlaczego czas, który spędziłem w Jaskini Montesinosa, nazywacie krótkim?

– Trwało to z godzinę – powiedział Sanczo Pansa.

– Niemożliwe – zaoponował Don Kichot – żeby trwało to godzinę, skoro po trzykroć zapadała noc i tyleż razy nowy dzień nastawał. Łatwo obliczyć, że trwało to całe trzy doby.

– Widać tam jest inny czas niż tutaj – powiedział Sanczo Pansa. – Czary, jak rozumiem, mogą i czas odmienić: póki nam na górze wlecze się lada jaka godzina, im na dole trzy dni i trzy noce cwałują.

– Chyba tak – potwierdził Don Kichot.

– A czy jedliście coś przez te trzy doby, wasza pospieszność? – zaciekawił się Krewniak.

– Nic w ustach nie miałem, ale też nie czułem głodu aż do wyjścia na górę.

– A czy zaklęci w ogóle jadają?

– Nie jedzą ani nie wydalają, a przez te trzy doby, jakie z nimi spędziłem, żaden oka nie zmrużył, ja także.

– To są dziwy bardzo godne odnotowania przez naukę – powiedział Krewniak.

– Mógłbym długo jeszcze opowiadać o różnościach i cudownościach, jakie ukazał mi Montesinos, ale zostawię to na inną okazję, bo was nie chcę zmęczyć i sam się czuję nieco zmęczony. Opowiem tylko, co cię, Sanczo, bardzo może zająć, że raptem na tamtejszej łące rozkosznej trzy wieśniaczki ujrzałem, w których poznałem zaklętą Dulcyneę z Toboso wraz z jej dwiema towarzyszkami; wszystkie trzy dokładnie tak samo wyglądały, jak wówczas, gdyśmy je spotkali na drodze u wyjazdu z Toboso; zapytany, czy je zna, Montesinos zaprzeczył, suponując jedynie, że muszą to być jakieś wielkie damy w okowach czaru; wnosił to stąd, iż na łące owej moc było najświetniejszych dam z różnych wieków, a właściwie wszystkie, o których wspominają księgi rycerskie.

Sanczo Pansa, który od początku opowieści Don Kichota o przygodach pod ziemią nie potrafił w nie bez zastrzeżeń uwierzyć, teraz, usłyszawszy o spotkaniu zaczarowanej w wieśniaczkę Dulcynei, a będąc wszak prawdziwym twórcą owego niedawnego zaczarowania, nie mógł dłużej wytrzymać i wykrzyknął:

– Ten cały Montesinos zupełnie wam rozum wywrócił! Nie było tam żadnej Dulcynei, a czy reszta była, to też pytanie!

– Po tym, czegom doświadczył – rzekł Don Kichot – jestem w łaskawym nastroju i dlatego puszczam mimo uszu twoje zuchwałe słowa.

– Możecie sobie puszczać albo nie puszczać, ale powiedzcie, po czym poznaliście naszą panią i o czym żeście z nią rozmawiali.

– Mówiłem już, że wyglądała dokładnie tak samo, jak wtedy, gdy mi ją pokazałeś. Rozmawiać z nią nie rozmawiałem, ledwie bowiem odezwałem się pierwszym słowem, jak Dulcynea odbiegła i Montesinos radził mi jej nie gonić na próżno. Nadmienił też, że zbliża się czas mojego wyjścia z jaskini, i na zakończenie przyrzekł zawiadomić mnie we właściwej chwili, jaki ma być mój udział w odczarowaniu jego, Durandarta, Belermy i wszystkich, którzy z woli Merlina tam przebywają. Oto cała historia, jaką mogę was teraz uraczyć, a wasza wolna wola wierzyć w to lub nie wierzyć.

– Dla nauki – powiedział Krewniak – owocniejsze będzie uwierzenie we wszystko, co wasza genialność nam przytaczacie. Rozwijając i komentując te wątki, z wielkim pożytkiem włączę je do paru dysertacji, nad którymi pracuję, na przykład wiadomość o źródłach rzeki Gwadiany do księgi o rzekach hiszpańskich, o tym zaś, skąd się wzięły Stawy Ruidery – do księgi o stawach.

– Szkoda – powiedział Sanczo Pansa – że ja pisać nie umiem, bo z tych łgarstw, com w życiu usłyszał, pięćdziesiąt uczonych ksiąg bym napisał, a z tego, co sam zełgałem – drugie pięćdziesiąt.

Don Kichot, ciągle widać w łaskawym nastroju, puścił i tę aluzję mimo uszu.

Niestety! Kończąc rozdział o przygodach Don Kichota w Jaskini Montesinosa, nie mam prawa poprzestać na dwóch sprzecznych w tej materii opiniach – uczonego Krewniaka i Sancza Pansy; w tym miejscu bowiem i sam Cervantes się wypowiedział, choć nie całkiem jednoznacznie i jakby rozmyślnie zaciemniając to, co pragnął powiedzieć. Nie mogę uwierzyć – oznajmia Cervantes – ani wmówić w siebie także nie mogę, iż to wszystko, co utrzymywał

Don Kichot o pobycie swoim w podziemiach, przydarzyło się dokładnie tak, jak w jego relacji. Wszystkie poprzednie przygody miały swoje wytłumaczenie, ale ta zdecydowanie przekracza granice ludzkiego rozumienia. Ale jakże – dorzuca zaraz autor – podejrzewać Don Kichota o kłamstwo, skoro znamy go jako rycerza cnotliwego, szlachetnego i prawdomównego, i jakżeby zdołał na poczekaniu wymyślić tyle różnych niepodobieństw, gdyby, wbrew zastrzeżeniom zdrowego rozsądku, nie zetknął się z nimi w rzeczywistości? No tak, ale z drugiej strony, a może z trzeciej, są świadkowie, że na łożu śmierci Don Kichot całą tę historię z Jaskinią Montesinosa uroczyście odwołał, przyznając, że ją zmyślił, bo mu bardzo odpowiadała. W końcu Cervantes umywa ręce od całej sprawy i ogłasza, że spisuje przygodę nie rozstrzygając, czy prawdziwa jest, czy fałszywa, a czytelnik rozważny sam niech pogląd na nią poweźmie.

Ja, który cztery wieki później na nowo opowiadam Don Kichota dzieje, nie mogę być bardziej Cervantesowski od Cervantesa, innymi słowy: nie mogę gorliwiej dać wiary Don Kichotowi, niźli ten, który go wymyślił. Mogę tylko powiedzieć, że jeśli przygodę w jaskini Don Kichot świadomie rozegrał w swojej fantazji, byłby to trzeci rodzaj fantazjowania, z jakim mieliśmy do czynienia w rycerskiej tej epopei. Pierwszy – to ten, któremu nieświadomie oddawał się Don Kichot, pod wpływem lektur swoich widząc świat, nie takim jakim zdawał się innym ludziom. Tak w wiatrakach widział olbrzymów, w trzodach – armie nieprzyjacielskie, w sobie – zwycięskiego zawsze mocarza. Drugi rodzaj fantazjowania – to ten, w który podstępnie i niekiedy złośliwie wpędzali go inni: proboszcz, balwierz, piękna Dorota, nawet wierny giermek Sanczo Pansa, kiedy tak mu było wygodnie. I oto trzeci – własne Donkichotowe zmyślenie na użytek słuchaczy, o czym świadczyć mogące? Chyba o tym, że sam siebie nie zawsze ze śmiertelną traktował powagą, że był zdolny do żartu i zgrywy, miał poczucie humoru, i co tu gadać, mądrzejszy był dużo, niż mniemali widzący go w takiej tylko postaci, w jakiej chciał, żeby go widziano.

Rozdział trzydziesty dziewiąty, w którym poznajemy dzieje ryczących oślim głosem ławników, a także widzimy wkraczającego do zajazdu mistrza Pedro z podejrzanie zasłoniętą połową twarzy

Kolejna przygoda Don Kichota, chociaż nie, ogarniają mnie wątpliwości, czy słowo przygoda jest tu najwłaściwsze, lepiej będzie: kolejny wyczyn Don Kichota, widownią zatem kolejnego wyczynu Don Kichota był zajazd, w którym wraz z Sanczem i towarzyszącym im jeszcze Krewniakiem, po dniu naznaczonym niezwykłością przeżyć w Jaskini Montesinosa, rycerz nasz zatrzymał się na noc. Tym razem było dlań zresztą jawne, że zajazd to zwykły zajazd, i to, co się stało, nie wyniknęło z żadnej pod tym względem pomyłki.

Ale zanim opiszę ów wyczyn, zadzierzgnąć muszę inną akcję, która rozegra się już po nim, zadzierzgnięta jednak powinna być właśnie w tej chwili.

Otóż ledwie się znaleźli na drodze, minął ich człowiek, który zdawał się bardzo śpieszyć, drepcąc obok swego objuczonego muła i energicznie go popędzając. Ładunek zaś, jaki dźwigał ów muł, składał się, ni mniej, ni więcej, tylko z broni śmiercionośnej – ostrych dzid i halabard. Mijając naszych bohaterów, człowiek pozdrowił ich grzecznie i podążał dalej, co Don Kichotowi dziwne się wydało, zatrzymał więc poczciwca uwagą, że jak na swego muła wziął chyba przesadne tempo.

– Nie mogę zwolnić – odparł tamten – ponieważ to, co wiozę, będzie jutro bardzo potrzebne. Zatrzymam się jednak na noc w najbliższej gospodzie; jeśli mnie tam znajdziecie, dowiecie się więcej, o ile macie ochotę, ma się rozumieć.

I popędził swojego muła.

Na ciekawości Don Kichotowi nie zbywało, jego towarzyszom również; podążyli przeto, nie mieszkając, tą samą drogą i przed zapadnięciem nocy znaleźli się w zajeździe, w którym zatrzymać się obiecywał i tamten. Spotkali go bez trudu przy oporządzaniu muła, w czym dla prędkości trochę mu nawet pomogli, po czym wszyscy rozsiedli się na karczemnej ławie i przewoźnik broni opowiedział im całą historię.

Zaczęło się od dwóch ławników z pewnej wsi, niezbyt oddalonej od zajazdu, w którym o tym mówiono. Pierwszemu z tych ławników zginął osioł; drugi, gdy minęły dwa tygodnie, obiecał osła odnaleźć, twierdząc, że go już spotkał rano w pobliskim lesie. Chciał go nawet od razu złapać, ale osioł, zdziczały i wielce płochliwy, uciekł przed nim w leśną gęstwinę. Jeżeli jednak pójdą we dwóch – zapewne im się nie wymknie. Właściciel osła bardzo był wdzięczny

za pomoc i udał się wraz z drugim ławnikiem do lasu. W miejscu porannego spotkania bydlęcia nie było. „Mam pomysł – powiedział ławnik numer dwa. – Rozejdźmy się w dwie strony lasu i ryczmy po oślemu, jeżeli potraficie, tak jak ja potrafię; któregoś z nas kłapouch usłyszy i odpowie; wtedy będziemy go mieli". – „Dobre sobie, czy potrafię ! – odparł ławnik numer jeden. – Jestem wielkim mistrzem w ryczeniu i wątpię, czy dorównają mi w tym prawdziwe osły. Bardzo mi się podoba wasz pomysł, kumie. Zaczynajmy przeto". Po czym rozeszli się w dwie strony lasu, tak jak sobie rzekli. Przez chwilę szli cicho, aż każdemu z nich jednocześnie przyszło na myśl, że już ryknąć pora. Ryknęli tedy obaj i każdy wziął ryknięcie drugiego za spodziewany odzew osła. Z krzykiem „odnalazł się!" pobiegł ławnik numer jeden, z krzykiem „mam cię!" ławnik numer dwa – i tu natrafili, nie bez zawodu, na siebie wzajem. „To nie mój osioł ryczał?" – zdziwił się pierwszy. „To nie wasz osioł?" – zawtórował mu drugi. „Muszę przyznać – powiedział pierwszy – że pod względem głosu niczym się nie różnicie od osła". – „Wam się większe uznanie należy – powiedział drugi – bo twierdzenie, że się pod względem głosu nie różnicie od osła, byłoby niedocenianiem was, którzy jesteście w ryku osłem wzmożonym, arcyosłem i osłem nad osłami". Wymienili jeszcze parę komplementów, wzajemnie wynosząc swoje umiejętności, po czym rozeszli się znowu, by przeprowadzić plan od początku, ale nie udawało im się, bo co który zaczął ryczeć, drugi mu odpowiadał i znowu się schodzili w nadziei, że natrafili na osła. Wreszcie wpadli na pomysł, że dla odróżnienia od osła prawdziwego będą wydawali podwójny ryk, raz za razem. I znowu się rozeszli, i wydawali te podwójne ryki, zgubione bydlę jednak ani razu nie odpowiedziało żadnemu, choć obeszli w ten sposób cały las z jednej i drugiej strony. Nie odpowiadało, bo nie mogło im odpowiedzieć, pożarte przez wilki, co stwierdzili w końcu, znalazłszy ścierwo w gęstych zaroślach. Zmęczeni już byli, gdy do tego finału doszło, przyjęli go więc z pokorą, pierwszy ławnik zaś powiedział: „No trudno, nie wskrzesimy już biedaczyska, ale nić żałuję mimo wszystko tego dnia poszukiwań, bo nasłuchałem się waszego oślego ryku, a to był koncert nad koncertami". – „Zbytek skromności – odparł drugi ławnik – wasz ośli ryk był dopiero mistrzowski, miło mi to przyznać, bo znam się na rzeczy". Tyle sobie powiedziawszy, wrócili na wieś, gdzie z rzetelnym zapałem każdy opowiedział rodzinie, sąsiadom i znajomym, w jaki sposób szukali osła, nie znajdując go tylko dlatego, że już nie żył, i jakie przewagi w oślim ryczeniu wykazał przy tym towarzysz leśnych wędrówek. Już nazajutrz wszyscy ludzie na wsi zaczęli sobie nawzajem opowiadać całą historię; następnego dnia przekroczyła ona granice tej jednej wsi i zaczęła krążyć po innych; nabrała przy tym szyderczego posmaku i rychło tak się dziać poczęło, że spotkawszy kogokolwiek stąd ludzie skądinąd po oślemu ryczeli, aby zeń zakpić. Wieś obu ławników jęła się unosić honorem i na ryk odpowiadała pięścią. Od pięści do kamienia, od kamienia do kija, coraz częściej dochodziło do regularnej bitwy pomiędzy wyszydzanymi a szydercami. Taka bitwa szykowała się i tym razem; w jej oczekiwaniu człowiek, który teraz o wszystkim opowiadał, również mieszkaniec wsi naznaczonej piętnem oślego ryku, wiózł pośpiesznie zakupione u zbrojarzy dzidy i halabardy.

Na tym wyjaśnieniu zakończył swoją opowieść, której wysłuchawszy Don Kichot zamierzał właśnie rzec coś mądrego i moralnego, gdy przeszkodziło mu w tym wejście do gospody gościa w koźlich skórach, z połową twarzy zasłoniętą przepaską z zielonej tafty, co mogło oznaczać chorobę tej części twarzy, ale powiem wam od razu, że oznaczało chęć uczynienia się niepodobnym do siebie samego, z czego zaś ta chęć wypływała – o tym za chwilę.

– Czy nas przyjmiecie, panie gospodarzu? – niezbyt przyjemnym głosem zapytał przybysz. – Mam ze sobą małpę odgadującą przeszłość, jak również teatr przedstawiający „Wyzwolenie Melisendry".

– Toć to mistrz Pedro! – wykrzyknął uradowany właściciel zajazdu. – Dla was zawsze znajdzie się miejsce, bo zabawicie mi wieczorem klientów, że lepiej nie trzeba. Ale gdzie wasza małpa i teatr?

– Na wozie – odrzekł mistrz Pedro. – Skoro nas przyjmujecie, zaraz będą tutaj.

I wyszedł z gospody, z czego skorzystał karczmarz, by szybko wytłumaczyć obecnym, kto zacz ten mistrz Pedro. Przedstawił go jako znanego kuglarza, objeżdżającego La Manczę z teatrzykiem lalek, w którym przedstawia naprawdę doskonałą i godną obejrzenia sztukę „Wyzwolenie Melisendry". Ponadto mistrz Pedro wozi małpę, która, zapytana o coś z przeszłości, szepcze mu do ucha odpowiedź, a on ją powtarza na głos, pobierając za to po dwa reale. Owszem, zdarza się małpiszonowi omylić, ale na ogół to, co mówi, to szczera prawda. Tyle karczmarz, a ja w tym miejscu dorzucę, że choć małpie odpowiedzi, i owszem, były prawdziwe, kryło się w tym przecież oszustwo, jak w całej postaci mistrza Pedro, a na czym polegało to ostatnie, dla większego napięcia jeszcze wam nie wyjawię, no, ale nie przejmujcie się, w końcu, oczywiście, wyjawię, jeżeli sami się nie domyślicie do tego czasu.

Rozdział czterdziesty, w którym Don Kichot niespodziewanie uczestniczy w wyzwoleniu Melisendry, chociaż właściwie, znając Don Kichota, powinniśmy się byli tego spodziewać

Tymczasem zajechał na wozie teatrzyk lalek, a mistrz Pedro powrócił do gospody w towarzystwie dużej małpy bez ogona, z bardzo obrośniętymi pośladkami. Don Kichot usiłował zapytać ją o przyszłość swej rycerskiej wyprawy, ale małpi pryncypał wyjaśnił, że zwierzę nie zapowiada tego, co się stanie, lecz jedynie mówi o tym, co już było, względnie jest teraz. To wszystkich rozczarowało, zwłaszcza Sancza Pansę, który oznajmił, że to, co było, sam wie najlepiej i grosza nie zapłaci za taką wiadomość; ale skoro o przyszłości małpa nie mówi, a o przeszłość nie zamierza jej pytać, niech będzie teraźniejszość; chciałby mianowicie wiedzieć, co w obecnej chwili robi jego najdroższa żona.

Mistrz Pedro dwukrotnie uderzył prawą ręką w swe lewe ramię i małpa skoczyła mu na nie, coś tam szybko nakłapała do ucha i znów zeskoczyła. W tej samej chwili mistrz Pedro znalazł się na klęczkach przed Don Kichotem i obejmując go pod kolana mówił:

– O, wielki i niezłomny Don Kichocie z La Manczy, wskrzesicielu i odnowicielu zapomnianego już, niestety, błędnego rycerstwa, pogromco krzywdzicieli, obrońco skrzywdzonych, ostojo, podporo i pociecho ludzkości, jakie to szczęście spotkać ciebie, o, wielki, na swojej drodze.

Wszyscy osłupieli, Don Kichota nie wyłączając, kuglarz zaś, wstając już z klęczek, zwrócił się do Sancza Pansy:

– I ty, najświetniejszy giermku najświetniejszego rycerza, bądź mi pozdrowiony i wiedz, że twa najdroższa żona jest zdrowa, w tej chwili międli len pracowicie, a obok stoi dzban wyszczerbiony z winem, którym się pokrzepia w swej pracy i zdążyła już sporo łyknąć.

– To bardzo możliwe – powiedział, nie wychodzący ze zdumienia Sanczo Pansa i bez targów zapłacił dwa reale, należne małpie za jej rewelacje.

– Zaiste – przemówił Don Kichot – oto dowód, jak kształcące bywają podróże. Gdybym siedział w domu, któż by zdołał mnie przekonać, że istnieją małpy jasnowidzące, jak oglądaliśmy to wszyscy na własne oczy? Muszę bowiem wyjaśnić tym, którzy jeszcze nie wiedzą, że istotnie jestem Don Kichotem z La Manczy, którego poznało we mnie to mądre zwierzę.

– Skoro ta małpa taka mądra – powiedział Sanczo Pansa – to niech powie, czy prawdą jest to, co opowiadaliście, wasza nieprzytomność, o wydarzeniach w Jaskini Montesinosa, czy też może wszystko wam się przyśniło.

Don Kichot, acz z widoczną niechęcią, powtórzył pytanie, na którym zależało Sanczowi, formułując je tak: czy pewne rzeczy, jakie niedawno przeżył, były jawą czy też złudzeniem?

Małpa znowu wskoczyła na ramię swego pana i coś mu naszeptała do ucha, po czym mistrz Pedro powtórzył:

– Małpa mówi, że część waszych przeżyć jest prawdopodobnie prawdopodobna, część zaś prawdopodobnie nieprawdopodobna; ta pierwsza należeć może do jawy, ta druga do snu; a teraz małpa prosi o niezadawanie jej dalszych pytań, bo jest zmęczona, i zaprasza na przedstawienie, które za chwilę zacznie się na cześć wszystkich tutaj obecnych, z wielkim Don Kichotem na czele.

Ustawiono teatr i mnóstwo świec woskowych, które go miały oświetlać. Mistrz Pedro schował się za dekoracją, aby wprawiać w ruch kukiełki, z przodu zaś stanął jego młody pomocnik z pałeczką, mający tłumaczyć bieg akcji i pokazywać wkraczające postacie. Rozległy się bębny, trąby i salwy armatnie, gdy zaś umilkły, odezwał się ów młodzieniec:

– Ujrzycie państwo prawdziwą historię, zaczerpniętą z kronik i romansów, opowiadającą o wyzwoleniu Melisendry z mauretańskiej niewoli przez małżonka jej Don Gaiferosa. Więzili ją w Hiszpanii, w sławnej Saragossie, o, w tej wieży, którą tutaj widzicie. Ale teraz nie patrzcie jeszcze na wieżę, tylko na przód sceny, gdzie Don Gaiferos gra w szachy, jakby zapomniał już o Melisendrze. Tu wkracza w koronie i z berłem sam cesarz Karol Wielki, ojciec Melisendry, bardzo niezadowolony z zięcia, i mówi, co o nim myśli. Karol Wielki wychodzi, Don Gaiferos zrywa się, odrzuca szachownicę i o broń woła; uzbroiwszy się, wyrusza w daleką drogę. Teraz już możecie spojrzeć na wieżę; ta pani, która wychodzi na balkon i tęsknie spogląda w stronę Francji, to właśnie Melisendra. Widzicie teraz Maura, który skrada się za plecami Melisendry, chwyta ją i zdradziecko całuje w same usta? Ona spluwa ze wstrętem i ociera usta koszulą, po czym, czując się znieważona, z płaczem wyrywa sobie włosy z głowy. Ale tu, na drodze, już Don Gaiferos się ukazuje konno; wnet podjeżdża pod wieżę, a pani Melisendra, nie poznając go, mówi: „Rycerzu, gdy do Francji zawitasz, o Don Gaiferosa zapytaj". Wtedy on daje się poznać, a ona, jak tu widzicie, spuszcza się do niego z balkonu, ale niestety! Suknia jej się zaczepiła o balkon, i Melisendra wisi w powietrzu, nie mogąc dosięgnąć ziemi. Ale nie martwcie się, szanowni widzowie, Don Gaiferos nie jest sknerą i nie zważając bynajmniej na kosztowny materiał, tnie go szablą, wyzwala żonę, chwyta ją w ramiona i sadza na swoim koniu. Koń rży radośnie, pani Melisendra mocno się trzyma męża, wyjeżdżają z miasta i jadą ku Paryżowi. Ktoś ich jednak podejrzał i doniósł o ucieczce mauretańskiemu królowi Marsyliowi. Alarm na całe miasto! Słyszycie, dzwonią wszystkie dzwony na wieżach meczetów!

– Słyszeć słyszymy – powiedział Don Kichot – ale jest w tym wielka nieścisłość, bo Maurowie nie biją w dzwony, tylko walą w kotły i dmą w piszczałki.

– Już nie dzwonią – powiedział zza sceny mistrz Pedro, zaprzestając dzwonienia. – Ale moglibyście nie zważać na takie drobiazgi, bo w teatrze nie chodzi wcale o prawdziwość szczegółów, tylko o zadziwienie widzów, choćby nawet niedorzecznością, i o napełnienie kiesy.

– Niech i tak będzie – zgodził się Don Kichot.

– Już zbrojna jazda mauretańska wychodzi z miasta – ciągnął pomocnik właściciela teatru. – Zajadle ścigają katolickich małżonków. Co to będzie? Jeśli ich dopędzą, to przywiążą do końskiego ogona i w tak przerażającej postaci przyprowadzą z powrotem do Saragossy. Módlmy się, by do tego nie doszło!

Don Kichotowi nie wystarczyły jednak modlitwy.

– Nie pozwolę! – wykrzyknął, zrywając się na równe nogi. – Nuże, zatrzymaj się, ty podła zgrajo! W mojej obecności nie zostanie zadany gwałt znakomitemu rycerzowi Don Gaiferosowi i jego ukochanej Melisendrze! Wycofajcie się, Maurowie, z tego pościgu, albo ze mną będziecie mieli do czynienia!

Co obwieściwszy, wyciągnął miecz i jął z furią prawdziwą rąbać mauretańskie kukiełki w teatrzyku, przewracając je i miażdżąc, ścinając głowy i odrąbując ramiona. Wśród innych ciosów zdarzył się i taki, od którego sam mistrz Pedro zostałby bez głowy, gdyby w porę nie odskoczył i nie przycupnął.

– Ależ, panie! Opamiętajcie się! – wołał rozpaczliwie mistrz Pedro, podczas gdy Don Kichot bez przerwy zadawał ciosy na prawo i na lewo. – Toć to lalki, nie prawdziwi Maurowie! O, nieszczęsna chwila, kiedy was ponownie spotkałem! Powinienem był pamiętać, że jesteście szaleni, i zmykać gdzie pieprz rośnie, gdym was tylko zobaczył! Doprowadzicie mnie do ruiny swoim szaleństwem!

Don Kichot zdawał się nie słyszeć tych rozpaczliwych wezwań i ostro pracował mieczem, niszcząc wszystkie dekoracje i kukiełki, nie tylko te, które przedstawiały Maurów, ale i pozostałe, na czele z cesarzem Karolem Wielkim. Dogadywał przy tym:

– Co, nie ma pożytku z błędnych rycerzy? Ą któż jeszcze, gdyby mnie tu nie było, ruszyłby na odsiecz Don Gaiferosowi i nadobnej Melisendrze? Na pewno bezbronnych dopadliby już Maurowie i włóczyli przywiązanych do końskiego ogona!

Myślę, że w tej chwili, kiedy Don Kichot tak się sroży, a właściciel teatrzyku jęczy, że został zrujnowany (co wygląda, nie da się ukryć, na najprawdziwszą prawdę), a Sanczo Pansa pociesza go, że rycerz, gdy ochłonie z gniewu, zapłaci mu za zniszczenia, a inni obecni nie odważają się wtrącić, a mądra małpa szuka schronienia na dachu gospody, otóż myślę, że w tej chwili mogę wam już powiedzieć, kim był naprawdę mistrz Pedro, zmniejszając tym nieco, być może, wasze nadmierne dla niego współczucie. Bo ja, wiedząc, kim był, nie współczuję mu ani trochę, a nawet sądzę, że Don Kichot, choć nie domyślał się, z kim ma do czynienia, został przez niebiosa natchniony do tej napaści.

Jeżeli pamiętacie jeszcze, jak Don Kichot uwolnił galerników królewskich i jak mu się za to odwdzięczyli, a zwłaszcza, jak się odwdzięczył najpodlejszy z nich, łotr wierutny Gines de Pasamonte, przezywany Ginesillo Krzywe Oczko, wiedzcie teraz, że to właśnie on, po licznych występkach, lękając się złapania, postanowił zmienić swą tożsamość, zasłonił tedy jedno oko wraz z policzkiem i przezwał się mistrzem Pedro, wędrownym kuglarzem. Skąd miał teatrzyk i kukły, nie wiadomo dokładnie, ale możecie być pewni, że doszedł do nich nieuczciwą drogą; małpę zaś wygrał, oszukując, u powracających z Afryki chrześcijan wyzwoleńców. Małpa umiała na dany znak skakać na ramię i niby to szeptać coś do ucha; udawał, że powtarza, czego się od niej dowiedział, a czego faktycznie wywiedział się lub domyślił przedtem; prostaczkowie podziwiali go i płacili po dwa reale. Kiedy tym razem wkroczył do zajazdu, poznał natychmiast Don Kichota i Sancza, nietrudno mu więc było odegrać komedię, wprawiającą wszystkich w zdumienie; ale jak już się rzekło, niewiele brakowało, a byłby za nią zapłacił życiem.

– Jestem doszczętnie zrujnowany! – wykrzyknął znowu mistrz Pedro, kiedy Don Kichot zaprzestał wreszcie dzieła zniszczenia; prawdę mówiąc, nic więcej w owej chwili do zniszczenia nie pozostawało.

– Nie martwcie się – powiedział Sanczo Pansa, który podobnie jak jego pan nie domyślał się, że wędrowny kuglarz to stary znajomy nie tylko rycerza i giermka, ale i giermkowego osła. – Jak tylko Don Kichot dowie się, że was skrzywdził niechcący, wszystko wynagrodzi z nawiązką.

– Skrzywdziłem? – zdziwił się Don Kichot. – Kogóż to ja skrzywdziłem?

– Tego poczciwego człowieka, którego małpa tak was przedtem uhonorowała – wyjaśnił Sanczo. – Poniszczyliście lalki, które nań pracowały.

– Znowu – zasmucił się Don Kichot – znowu czarnoksiężnicy, stali moi prześladowcy, zmylili mnie, przedstawiając rzeczy raz w ich właściwej postaci, to znów przestawiając je i podstawiając jedne za drugie. Wiedziałem przecież z początku, że to kukły i przedstawienie, a potem tak się jakoś zrobiło, że przestałem o tym wiedzieć i wystawiłem sobie, że wszystko, co się dzieje, dzieje się w samej rzeczy. A skoro tak, czyż nie było moją powinnością wspomóc uciekających i zagrodzić drogę goniącym? Ale mimo że, jak widzicie, żadnej mojej winy nie ma w tym, co się stało, tylko wina prześladujących mnie złowrogich mocy, zgadzam się zapłacić za zniszczone kukiełki, ile mistrz Pedro wyceni.

Rozpoczęło się wycenianie, które trwało aż do wieczerzy; Don Kichot nie targował się na ogół, raz tylko coś mu się znów przestawiło i nie zgodził się płacić za ucięty nos Melisendry, twierdząc, że Melisendra i Don Gaiferos dzięki jego interwencji dawno już są we Francji; Gines-Pedro się nie upierał; kiedy wreszcie wszystko podsumowano, zrobiła się z tego suma czterdziestu i trzech czwartych reala, którą Sanczo Pansa na rozkaz Don Kichota wypłacił w gotówce.

Powieczerzano w miłej zgodzie, a nad ranem wszyscy się rozjechali: mistrz Pedro z małpą i szczątkami teatru w jedną stronę, przewoźnik dzid i halabard w drugą, Don Kichot z giermkiem w trzecią, a syty wrażeń uczony Krewniak – w czwartą, gdzie znajdowała się widać jego uczona księga do napisania.

Rozdział czterdziesty pierwszy, opisujący bitwę, do której przygotowały nas dzieje ryczących oślim głosem ławników

Mimo że przewoźnik dzid i halabard pojechał w jedną stronę (która w stosunku do strony obranej przez Ginesa Krzywe Oczko nazwana została drugą), a Don Kichot i Sanczo Pansa – w drugą (określoną jako trzecia), to przecież po dniach paru, kręcąc i zawijając, drogi ich się przecięły. Najpierw rycerz i giermek usłyszeli odgłosy bitewne, a następnie, wjechawszy na pokaźny pagórek, ujrzeli i samą bitwę. I choć owego człowieka, który opowiedział im był historię ryczących jako osły ławników, nie dostrzegli wcale wśród zbrojnych gromad, z pewnej odległości strzelających do siebie z łuków i rusznic, a także wymachujących wojowniczo halabardami, dzidami i rozmaitą inną ostrą bronią, z różnych znaków wydawało się jasne, że to musi być ta właśnie bitwa, na którą z ładunkiem swoim pośpieszał, i że toczyć się ona już musi czas jakiś. Jedno, co dziwiło trochę obserwatorów, to było to, że pomimo gęstej dość strzelaniny nikt od strzałów nie padał; przypatrzywszy się baczniej, stwierdzili, że wszystkie strzały, czy to z łuku, czy to z rusznicy, były niecelne; ale zdziwienie z powyższej przyczyny wypadało po namyśle porzucić – nie żołnierze w końcu toczyli bitwę, lecz zwyczajni kmiotkowie.

Rozpoznawszy wśród zmagających się gromad tę, która broniła swego honoru, nietrudno zaś ją było rozpoznać, powiewały bowiem nad nią dumne proporce z osłem o rozdziawionym pysku, rycerz i giermek podjechali bliżej, by ofiarować swój udział w bitwie po stronie wyszydzonych przeciw szydercom. To znaczy: w takim celu podjechał Don Kichot, a Sanczo Pansa przy wlókł się za nim bardzo niechętnie i wyrzekając, że wcale to niepotrzebne, raczej bowiem nie lubił uczestniczyć w podobnych starciach, ale co mu pozostawało, skoro jego pan już podjął decyzję?

Widok Don Kichota wprawił zbrojnych w zwykłe ludziom, którzy się z nim pierwszy raz stykali, zdumienie. Rycerz podniósł przyłbicę i korzystając z ciszy, która zapadła, wygłosił dłuższe przemówienie, zawierające jego poglądy na rzemiosło rycerskie, dalej na to, czy społeczność może się w jakichkolwiek okolicznościach uważać za obrażoną, wreszcie – jakie mogą być godziwe powody, by osoba przeciw osobie i gromada przeciw gromadzie za broń chwytała. Powodów takich wyliczył pięć: pierwszy – to obrona wiary katolickiej (pierwszy powód, ale nie pierwszy otrzymujemy w tym miejscu dowód, że Don Kichot był człowiekiem pobożnym), drugi – obrona własnego życia, trzeci – obrona czci, rodziny i mienia, czwarty – w służbie królowi swemu w sprawiedliwej wojnie, piąty – obrona ojczyzny. Wyliczywszy te

powody, jął się zastanawiać, w jakiej mierze któryś z nich mógłby obejmować zemstę za szyderstwa, nie skończył jednak owego zastanawiania się i zamilkł na chwilę dla nabrania tchu, gdy w szczelinę wąziutką między słowami, od razu ją rozszerzając, wtargnął Sanczo Pansa.

– Słyszeliście – powiedział Sanczo Pansa – co rzecze mój pan, wielki rycerz Don Kichot z La Manczy, dawniej zwany Rycerzem Posępnego Oblicza, obecnie zaś Rycerzem Lwów. Nie myślcie sobie, to bardzo poważny człowiek, mówi po łacinie jak biskup, zna się na prawie, teologii i pojedynkach, otóż jeśli nie zrozumieliście, co powiedział, to ja wam wyjaśnię, że głupi gniewałby się o te ośle ryki. Co do mnie, to jeszcze dzieckiem bardzo lubiłem ryczeć i nikt mi nie przeszkadzał w oddawaniu się tej rozrywce. Pamiętam, że ilekroć zaczynałem, odzywały, się w odpowiedzi wszystkie osły, ile ich było we wsi. Nie zdarzyło się też, żeby mi kto z tego powodu przyganiał, przeciwnie, wielu mi zazdrościło. A na dowód, że nie łżę, zaraz usłyszycie moje ryczenie, bo jestem pewien, że czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci.

To obwieściwszy, ścisnął nos palcami i wydał z siebie tak potężny ośli ryk, że echo poszło po wszystkich okolicznych dolinach.

Niestety! Nie zrozumiano jego pokojowych intencji. Podejrzewając zwykłe szyderstwo, z którym tak często się spotykali, kmiotkowie zachmurzyli twarze, a jeden z nich, niedaleko stojący, podniósł żerdź, w którą był uzbrojony, i wymierzył Sanczowi potężny cios. Giermek zachybotał się na swym siwym osiołku, rozwarł ramiona łapiąc nimi powietrze i zwalił się całym ciężarem na ziemię.

W tej sytuacji Don Kichot nie kontynuował przerwanej przemowy i podniósłszy kopię natarł na gwałtownika. Nie dosięgną! go jednak, ponieważ stanęło między nimi wielu wojowników z rozmaitą bronią i na rycerza posypał się grad kamieni. Don Kichotowi nie pozostawało nic innego, jak wycofać się z pola bitwy, zachowując na lepszą okazję życie drogocenne dla wdów i sierot, a także całość swojego ciała. Galopując na Rosynancie, nie odwracał głowy i tylko co jakiś czas poruszał ramionami, żeby się upewnić, czy nie dostał kulki w plecy od nieoczekiwanych przeciwników spod znaku osła. Ci jednak dali mu spokój, a nawet Sancza wsadzili na kłapoucha i posłali w ślad za panem. Doczekawszy się potłuczonego i rozgoryczonego giermka, Don Kichot powiedział:

– Zgłupiałeś chyba, Sanczo, z tym rykiem. W domu powieszonego nie mówi się o sznurze. Na ośli ryk jedyną odpowiedzią ze strony tych ludzi mogły być kije.

– Tego bym się spodziewał, gdybym nie był prawdziwym osłem – przyznał Sanczo. – Czego bym się jednak nie spodziewał, to tego, że błędni rycerze uciekają, pozostawiając swych giermków mielonych na mąkę we wrogich żarnach.

– Nie uciekałem, lecz rozsądnie się wycofałem – wyjaśnił Don Kichot – a dzięki temu i tobie pozwolono pozbierać kości.

Na to Sanczo nic już nie odpowiedział, tylko westchnął wymownie.

Co się bitwy tyczy, to trwała ona aż do wieczora w tej samej postaci, to znaczy ze strzelaniem, od którego nikt nie padał, i z wymachiwaniem ostrą bronią na odpowiednią odległość. Gdy słońce schowało się za horyzontem, obie triumfujące armie w poczuciu zasłużonego zwycięstwa powróciły do swoich wiosek.

Rozdział czterdziesty drugi, w którym zaczarowana łódź wypływa na sławną rzekę Ebro

Znów minęło parę dni sławnej wyprawy, a do sławnego miasta Saragossy ciągle było daleko, może nawet dalej niż na początku, jako że nasz sławny rycerz i sławny giermek wcale o kierunek nie dbali, mapy ni kompasu nie wyciągali z troków, jakże zresztą mieli wyciągać, skoro wcale ich tam nie mieli, wędrowali jedynie ciągle przed siebie, natchnieniem i przypadkiem powodowani. Tak dojechali nad brzeg sławnej i pięknej rzeki Ebro, w czym opowiadający te dzieje też nie widzi niewłaściwości, bo sławna wyprawa nad sławną rzeką, sławny Don Kichot przeglądający się w sławnym nurcie, sławny Sanczo Pansa ze sławnego brzegu zwieszający nogi (sławne nogi, chciałoby się powiedzieć) – wszystko to jest chyba równie na miejscu, jak te same sławne osoby w sławnych wrotach sławnego miasta, do którego, dorzucę w tym miejscu, w ogóle nigdy nie mieli dotrzeć.

Jakiś czas jechali brzegiem, rozkoszując się widokiem czystej, obfitej i spokojnie płynącej, może z lekka ociężałej, jak hiszpańska dama pod południowym promieniem, wody. Wtem ujrzeli kołyszącą się tuż przy brzegu i przywiązaną do schylonej ku falom wierzby małą łódź bez wioseł. Dokoła – żywej duszy; Don Kichot ze zrozumieniem pokiwał głową i zeskoczył z konia.

– Zsiadaj i ty – rozkazał giermkowi – i przywiąż oba wierzchowce do drzewa, a żwawo, słyszysz?

– Słyszę – odparł Sanczo – ale nie rozumiem, czemu bym miał tak czynić.

– Ta zaczarowana łódź czeka na nas najwyraźniej – wyjaśnił Don Kichot. – Musimy zostawić tu Rosynanta i osła, bo nie zmieszczą się w łodzi, która nas zaprasza. Łódź ta wzywa mię na ratunek, nie wiem czyj, rycerza czy damy, ale z pewnością kogoś, kogo na życzenie dobrych czarnoksiężników mam wybawić z opresji.

– Skoro tak uważacie, wasza pochopność – odrzekł Sanczo – zrobię, co każecie, ale dla czystego sumienia powiem, co sam uważam. To nie jest łódź czarodziejska, tylko rybacka. W tych stronach rybacy łowią z łodzi najsmakowitsze pstrągi na świecie.

Zgłaszając swe zastrzeżenie co do charakteru statku, Sanczo Pansa mimo to posłusznie przywiązywał osła i Rosynanta do drzewa, a gdy Don Kichot dał susa do łodzi, skoczył za nim i na znak swego pana przeciął nożem powróz.

Łajba powoli zaczęła się oddalać od brzegu; Rosynant szarpał się na uwięzi; osioł ryczał żałośnie; Sanczo Pansa drżał ze strachu i wołał, płacząc:

– Żegnajcie, najmilsi! Może nigdy się już rie zobaczymy na tym świecie! Nie myślcie o mnie źle, kiedy zginę w tym odmęcie szaleństwa!

Don Kichot bardzo się gniewał za to drżenie i płacz, i żałosne wołanie, karcił więc surowo giermka, wskazując mu, że płyną spokojnie i na razie bez niebezpieczeństw, że upłynęli już przynajmniej siedemset albo osiemset mil i niebawem przekroczą równik, którą to chwilę poznać można po tym, iż u wszystkich żeglarzy giną wówczas wszy co do jednej.

– Przesuń, Sanczo, ręką po udzie – zakończył Don Kichot – i sprawdź, czy tam jeszcze która została; wynik eksperymentu powie nam, czy zbliżamy się dopiero do równika, czyśmy już go minęli.

– Na własne oczy widzę, wasza żeglowność – powiedział uspokojony już nieco giermek – że zaledwie parę sążni odbiliśmy od brzegu, a mój dobry osioł i wasz Rosynant znajdują się w tym samym miejscu, gdzie ich przywiązałem, widoczni w tej samej okazałości, co przedtem.

– Tak ci się tylko zdaje, Sanczo. Nie upieraj się i zrób tę próbę, o której ci mówiłem, a będziemy mieli naukowy dowód na wszystko.

Sanczo rozpiął pas i przesunął dłonią po udzie, po czym wyjął rękę, strzepnął palcami i zanurzył garść w rzece.

– No i co ? – zapytał Don Kichot. :

– Jeszcze nie dojechaliśmy tam, gdzie wasza mądrość powiada.

– Czyżbyś upolował jakiego zwierza?

– I niejednego! – pochwalił się Sanczo Pansa.

Tymczasem ruch łodzi uległ przyśpieszeniu; najwyraźniej znalazła się w głównym prądzie; i w tej samej chwili ujrzeli kilka młynów wodnych stojących na środku rzeki; a choć młyny wodne są poniekąd okazalszymi krewnymi zwykłych wiatraków, Don Kichot nie ujrzał w nich olbrzymów, ani w ogóle żywych istot, lecz warowny zamek – i wskazując młyny giermkowi, rzekł donośnym głosem:

– Widzisz, Sanczo, ten zamek warowny, do którego wiedzie nas łódź czarodziejska? To tam przebywa w niewoli rycerz, dama, a może ktoś z królewskiej rodziny, kto czeka niecierpliwie na moją pomoc.

– Jaki zamek? – zdumiał się Sanczo. – To są młyny wodne, w których mielą zboże, a jak wpadniemy w ich koła, to i nas zmielą.

– Złudzenie, jak zwykle – powiedział Don Kichot. – Dobry czarownik sprzyja nam i kieruje naszą łodzią, a zły czarownik tymczasem odmienia w naszych oczach ludzi i przedmioty, by zdawały się nie tym, czym są rzeczywiście. Ale możesz mi wierzyć, Sanczo – nie poddam się woli złego czarownika!

W tej chwili łódź przyśpieszyła jeszcze bardziej i pomknęła prosto w wir pieniący się pod kołami młynów.

Na pomosty wybiegli młynarze od stóp do głów ubieleni mąką i wystawili przed siebie długie żerdzie, by zatrzymać łódź pędzącą w paszczę zagłady.

– Ludzie, oszaleliście? – wołali. – Czy żyć wam się odechciało i obraliście sami taką śmierć straszliwą pod młyńskimi kołami?

– Widzisz, Sanczo, te białe diabły czy upiory jakoweś? – zapytał Don Kichot.– Nie wątpisz już chyba, że jesteśmy na miejscu. Teraz zobaczysz jeszcze, jak sobie z nimi poradzę.

I prostując się w tańczącej na falach łodzi, zaczął wymyślać młynarzom i domagać się, by natychmiast wypuścili więzioną w zamku osobę, kimkolwiek jest, rycerzem czy damą, bowiem on, Don Kichot z La Manczy, zwany Rycerzem Lwów, przybył, by ją wydrzeć z ich rąk plugawych, i jeśli nie oddadzą jej z dobrej woli, zostaną zmuszeni tym oto mieczem – co mówiąc, dobył miecza i wymachiwał nim w powietrzu, aż dziw, że utrzymując się ciągle na nogach.

Sanczo tymczasem padł na kolana, błagając Boga o ratunek przed nieuniknioną, jak już się zdawało, śmiercią. Bóg wysłuchał go, posługując się zręcznymi ramionami i długimi

żerdziami młynarzy, którzy dosłownie w ostatniej chwili przed wpadnięciem pod koła zatrzymali łódź, a Don Kichota i Sancza wyciągnęli z wody, skacząc za nimi ofiarnie i bez obawy, że się zamoczą. Wyciągniętych ułożyli na brzegu, żeby przeschli co nieco, ale niedługo dane im było schnąć w spokoju, bo tu nadbiegli rybacy, właściciele łodzi, której mimo zatrzymania przez młynarzy, nie udało się uratować, i jęli tarmosić rycerza wraz z giermkiem, żądając odszkodowania za stratę.

– I owszem – powiedział Don Kichot – gotów jestem zapłacić pod warunkiem, że okup ten otworzy wrota więzienia dla wiadomych osób.

– Co za więzienie, u licha, co za osoby? – zdenerwował się jeden z młynarzy.– Chodzi wam może o klientów, którzy przyjeżdżają tu zemleć ziarno za godziwą opłatą?

– A więc nie porozumiemy się – rzekł Don Kichot. – W walce dwóch czarnoksiężników, z których jeden przysłał mi łódź, a drugi ją wywrócił, ten pierwszy okazał się, niestety, słabszy tym razem. Hej, więźniowie tego zamku! – podniósł głos. – Czy słyszycie mnie? Cierpliwości tedy, błagam was, cierpliwości, dzisiaj bowiem, jak widać, nie uda mi się was wydobyć z niewoli. Czekajcie następnego razu, następnej łodzi zaczarowanej i następnego rycerza, którym może będę znowu ja, a może ktoś szczęśliwszy ode mnie...

– Da Bóg, że to nie będziecie wy – mruknął Sanczo Pansa – a w każdym razie ja już z wami nie wsiądę do łódki, choćbyście się nie wiem jak upierali.

– To jak będzie z naszym odszkodowaniem? – zapytał rybak.

– Zapłacę – rzekł Don Kichot i po krótkim targu faktycznie zapłacił, a raczej kazał zapłacić Sanczowi, bo ten opiekował się kiesą, pięćdziesiąt realów, z których każdy był obciążony westchnieniem Sancza.

Młynarze popatrzyli na rycerza i giermka, pokiwali głowami i ukryli się w młynach, rybacy oddalili się do swoich sieci, a Don Kichot i Sanczo Pansa wrócili brzegiem, co wcale nie trwało długo, do Rosynanta i siwego osła, przywiązanych do drzewa i pokornie czekających na swoich panów.

Rozdział czterdziesty trzeci, w którym Don Kichota i Sancza Pansę spotyka coś będącego raczej przyjemną niespodzianką niż niebezpieczną przygodą, ale zarazem decydującego prawie o wszystkich dalszych przygodach, aż do końca wyprawy

Ściślej mówiąc, nie c o ś ich spotkało, lecz k t o ś.

A ten ktoś, to wcale n i e b y l e k t o.

Spotkali ich sam Książę i sama Księżna, sami nie w tym znaczeniu, że sami-samiuteńcy, towarzyszył im bowiem ich dwór wspaniały, ale że nie byle kto właśnie, tylko sam Książę i sama Księżna. Cervantes nie przytacza jaśnie oświeconych nazwisk książęcych, podkreśla nawet, że ich nie zna, ale komentatorzy sądzą, że zna, tylko woli się nie narażać, bo to naprawdę znaczne nazwiska. Mniejsza o to, nam wystarczy Książę i Księżna.

Książę i Księżna bawili właśnie na polowaniu. Z tej okazji Księżna występowała w zielonym stroju myśliwskim i z gracją dosiadała mierzynka śnieżnobiałej maści, w zielonym także czapraku i ze srebrzystym siodłem. Na lewej dłoni piastowała krogulca, było to bowiem wykwintne polowanie z krogulcem na ptactwo wysokolotne. Don Kichotowi, gdy ją ujrzał na skraju lasu, wydała się Księżna niezwykle piękna, przez co nie chcę powiedzieć, że nie była piękna naprawdę, bo może i była. Jak wyglądał i był ubrany Książę, Cervantes w tym miejscu nie mówi, prawdopodobnie dlatego, że Don Kichot w pierwszej chwili ujrzał Księżnę jedynie, a gdy Książę pojawił się obok swej małżonki, Don Kichot właśnie spadał z konia i nie mógł mu się przyglądać, ale o tym za chwilę.

Ujrzawszy Księżnę i otaczających ją myśliwych, siedział jeszcze w siodle dość mocno i nie zachwiał nim jej widok, choć go zachwycił; nie wiedząc, że to sama Księżna, zorientował się przecież, że wielka pani, polecił tedy Sanczowi, by podjechał do niej i w jego imieniu ofiarował najniższe usługi. Sancho zmusił osła do przyśpieszenia kroku i podjechał żwawo do damy w zielonym stroju, co uczyniwszy ześliznął się z kłapoucha i przyklęknąwszy na jedno kolano przed jej koniem oznajmił:

– Wasza wspaniałość, nazywam się Sancho Pansa i jestem giermkiem rycerza, którego widzicie, Don Kichota z La Manczy, zwanego niegdyś Rycerzem Posępnego Oblicza, obecnie zaś Rycerzem Lwów, bo je odważnie pokonał, co sam widziałem. Teraz mój pan chciałby się zbliżyć do waszej wspaniałości, nie żeby ją pokonać, ale żeby jej służyć, o co doprasza się pokornie i z utęsknieniem.

– Wstań, zacny giermku – odparła z wdzięcznym uśmiechem Księżna – spełniłeś bowiem poselstwo jak należało. Powiedz tylko, czy to o twoim panu prawi pewna drukowana książka, jako o miłośniku niejakiej pani Dulcynei z Toboso?

Pytanie to świadczyło, że Księżna była w kursie nowości literackich i czytała również księgę, o której wspominał Don Kichotowi Samson Karrasko, zawierającą opis, nie wiadomo zresztą, czy ścisły, pierwszych wypraw naszego rycerza.

– To on – skwapliwie potwierdził Sanczo – a ten drugi, o którym z pewnością książka też prawi, mniejszy, grubszy i na białym ośle, to nikt inny, tylko właśnie ja.

– Czuję się zaszczycona – powiedziała Księżna. – Powiedz swemu panu, że i ja, i Książę mój małżonek z uszczęśliwieniem witamy go w swoich włościach i prosimy, by zechciał przyjąć gościnę w naszym wiejskim pałacu.

Sanczo dosiadł osła i jeszcze pośpieszniej, niż kłusował do Księżny, zawrócił do tego, który go posłał. Opowiedziawszy Don Kichotowi cały przebieg rozmowy, dorzucił jeszcze trochę uniesień na temat urody i uprzejmości tej wielkiej pani, czego rycerz wysłuchał z większą uwagą, niż zazwyczaj wysłuchiwał opinii giermka na przeróżne tematy. Gdy zaś Sanczo skończył, Rycerz Lwów poprawił się w siodle, podniósł przyłbicę i dźgnąwszy Rosynanta ostrogami ruszył ku Księżnie. Ta tymczasem przywołała Księcia, który podobnie jak i ona miał już za sobą lekturę pierwszych przygód Don Kichota, i opowiedziała mu z radością, że bohater książkowy, który tak ich bawił oboje, przybywa oto we własnej osobie i zamierza zawrzeć z nimi znajomość.

Jakoż Don Kichot podjechał na Rosynancie, a Sanczo pomknął za nim, by zgodnie z giermkowskimi obowiązkami przytrzymać panu strzemię przy zsiadaniu. Niestety, tak się śpieszył, że w trakcie zeskakiwania z osła zaplątała mu się noga w sznurach uprzęży i zamiast stanąć na równe nogi pozostał zawieszony głową w dół, a nogami do góry i włóczony w tej pozycji po ziemi. Don Kichot nie zauważył, co się przytrafiło Sanczowi, i pewny, że ten trzyma już strzemię w ręku, przechylił się do zsiadania. Tu się okazało, że siodło było źle podpięte, i rycerz razem z siodłem zleciał na ziemię. Książę kazał swym ludziom podnieść z upadku i rycerza, i giermka, co też ci uczynili, jednakże Don Kichot był niepocieszony tak niefortunnym początkiem znajomości z Księżną i Księciem. Z trudem maskując ból potłuczonych kości i kulejąc na obie nogi, podszedł mimo wszystko do książęcej pary, by zgiąć przed nią kolana, ale tu Książę żwawo zeskoczył z konia i wziął Don Kichota w objęcia, mówiąc:

– Przepraszam was, wasza kościstość, w imieniu tej ziemi, która do mnie należy, iż tak niegościnnie potraktowała wasze kości, ale zapewniam, że w naszym pałacu, dokąd się wnet razem udamy, kości gościa zaznają wszelkiej błogości.

– W każdym położeniu i stanie – odparł Don Kichot – rzucone, potłuczone czy pogrzebane, kości moje wraz z resztą ciała i duszy gotowe są usługiwać Wielmożnym Księstwu.

Wymieniono jeszcze kilka równie górnolotnych zdań i komplementów, po czym ruszono w drogę do książęcego pałacu; Sanczo Pansa poprawił uprzednio siodło i ściągnął popręgi Rosynanta, by Don Kichot mógł bezpiecznie go dosiąść; Księżna jechała w środku, a Książę i Don Kichot po jej obu stronach; Sanczo zaś, miast pozostać nieco w tyle, jak wypadało, przyłączył się do tej znakomitej trójki na czwartego, raz po raz wtrącając się do rozmowy, co Don Kichota trochę denerwowało, ale parę książęcą szczerze bawiło, zachęcali więc giermka, by nie powściągał języka.

Tu konieczne jest wyjaśnienie, bez którego dalszy bieg wydarzeń może być zbyt ciemny, że jeżeli spotkanie Don Kichota na skraju lasu z polującą parą książęcą należy niewątpliwie położyć na karb przypadku, to od tej chwili Książę i Księżna osiodłali przypadek jak ognistego rumaka, wbili w jego boki ostrogę własnej niepohamowanej zabawy, ściągnęli wędzidłem kapryśnego wielkopańskiego dowcipu. Nie muszę opisywać, komu i jakie

wydawali rozkazy, kogo, kiedy i z jaką misją wysyłali przed sobą, kogo pilnie wzywali, kogo pytali o radę, komu na co sypali groszem; dość na tym, że cokolwiek się dalej działo, było przez nich ukartowane, chociaż czasem, przez zapał sług książęcych, przekraczało granice, jakie zakreślili żartowi. Od znanego nam już postępowania przyjaciół Donkichotowych – proboszcza, balwierza i innych, których ci pierwsi w sprzysiężenie swoje wciągnęli – postępowanie Książąt różniło się intencją; nie chodziło już mianowicie o tak zwane dobro Don Kichota, o wyleczenie jego wyobraźni i sprowadzenie ciała razem z duchem do domu z obszarów jego zabłąkania i obłąkania, lecz o czczą rozrywkę i nic ponadto; w związku z tym Cervantes powiada, nie w tym miejscu co prawda, lecz dużo dalej, już po opisaniu licznych pomysłów i inscenizacji, w których sidła raz po raz wpadali rycerz i giermek, że kpiarze nie są mniej szaleni od kpów, tyle zachodów w ich okpienie wkładając; zgoda, ale szaleństwo różnorakiej zabawy, w tej liczbie pełnej zawiłych intryg i starań zabawy cudzym kosztem, było od wieków i jest nadal właściwe rodzajowi ludzkiemu; powiedziawszy więc, co było do powiedzenia, zachowajmy i dla kpiarzy szalonych wyrozumiałość, i nie krytykując nikogo, wróćmy do opowieści.

Kiedy Don Kichot i Sanczo Pansa w towarzystwie pary książęcej dotarli do pałacu, u wrót czekali już dwaj stajenni w purpurze, którzy zsadzili błędnego rycerza z konia, następnie dwie panny w bieli zarzuciły mu na ramiona płaszcz z najświetniejszego szkarłatu, kiedy zaś prowadzony przez Księcia wkroczył na wewnętrzny dziedziniec, wszystkie krużganki wypełniły się różnej barwy dworzanami i sługami płci obojga, wiwatującymi na cześć najsławniejszego z błędnych rycerzy i wylewającymi nań flakony wszelkich wonności. Duma pomieszana z zachwytem i wdzięcznością rozpierała serce Don Kichota, ponieważ był to pierwszy raz w jego życiu, gdy w prawdziwym, a nie urojonym pałacu książęcym podejmowano go tak, jak należało podejmować, o czym wiedział z ksiąg, zasługujących na taki przywilej błędnych rycerzy. Uśmiechał się tedy promiennie, kiwał głową i dłoń przykładał do serca, posuwając się dalej tam, gdzie go prowadzono.

Na piętrze, w bogato zdobionej sali, usługujące mu panny w bieli potroiły się – i już sześć ich było, nie dwie jak przedtem; ale na urodzie i wdzięku nic nie straciły. Sześć tych panien odebrało mu broń i ściągnęło zbroję, aż pozostał w kaftanie i obcisłych pludrach; lecz gdy chciały go, dla przebrania koszuli, dalej obnażać, nie dopuścił do tego w swej wstydliwości; i chcąc nie chcąc, musiały wyjść, pozostawiając sam na sam z Sanczem, który dalej mu służył. Przebrał tedy Don Kichot koszulę, na nowo płaszcz szkarłatny zarzucił, pendent z mieczem przypasał i tak wystrojony przeszedł do następnej sali, gdzie czekały już nań panny, ustawione w szpaler, z miską, mydłem, dzbanami i ręcznikami; umył ręce i wytarł, a każda z panien dygała, kiedy do niej podchodził, więc i on się kłaniał uprzejmie, to przy misce, to przy ręcznikach. Z kolei dwunastu paziów z majordomem na czele ceremonialnie wprowadziło Don Kichota do sali jadalnej; tam na stole czekały cztery nakrycia, na progu sali zaś powitali rycerza Książę, Księżna i przebywający u ich boku duchowny; choć się wzdragał, zmuszony został Don Kichot do zajęcia pierwszego miejsca przy stole, Książę z Księżną zasiedli po jego bokach, a duchowny naprzeciw; Sanczo Pansa zaś, który na krok swego pana nie odstępował, także wszedł do sali jadalnej, ale choć zwykle w drodze jadał ze swym panem przy jednym stole, tu do stołu nie dopuściły go obyczaje, stanął zatem, wraz z miejscowymi sługami, za plecami obiadujących.

Obiad ciągnął się długo, potrawy były znakomite, a rozmowy nie gorsze, bo Don Kichot błyszczał mądrością i wiedzą, Księżna wdziękiem, Książę uprzejmością, a Sanczo Pansa, raz po raz, wbrew napomnieniom pana, wtrącający swoje trzy grosze, mimowolnym lub nie mimowolnym dowcipem; jedynie ksiądz, niestety, odznaczał się ciasnotą umysłu oraz idącym z tym w parze zacietrzewieniem, gniewało go więc wszystko, o czym była mowa, czy to historia Dulcynei zamienionej w szkaradną babę, czy to napomknienie o obiecanej giermkowi przez błędnego rycerza wyspie; kiedy zaś – właśnie w związku z wyspą – Książę powiedział,

że nie widzi nic złego w tej obietnicy i pragnie sam przyczynić się do jej spełnienia, w imieniu Don Kichota ofiarowując Sanczowi rządy jednej z wielu, które posiada, ksiądz zerwał się od stołu i na znak protestu, nie kończąc nawet obiadu, opuścił pałac, czym się zresztą pozostali biesiadnicy wcale nie przejęli.

Miłe rozmowy, obracające się głównie wokół spraw Don Kichota, których oboje księstwo bardzo byli ciekawi, trwały jeszcze trochę, aż obiad dobiegł końca. Wówczas znowu piękne panny w bieli wkroczyły, tym razem w cztery; z dzbanem srebrnym, takąż misą, ręcznikami i pachnącym mydłem neapolitańskim; ale z gestów ich, ku zdziwieniu Don Kichota, wynikało, że nie o mycie rąk chodzi tym razem, lecz o mycie brody, czemu poddał się z rezygnacją, mniemając, że tu taki panuje zwyczaj. Kiedy wszakże panna od mydła namydliła mu już brodę obficie, przy okazji śnieżną pianę na policzkach, nosie i oczach kładąc, że aż był zmuszony zacisnąć mocno powieki, pannie od dzbana raptem wody zabrakło, pobiegła więc po nią, prosząc, by pan rycerz zaczekać raczył. Czekał posłusznie, z namydloną twarzą, a gdy wróciła i wraz z pozostałymi doprowadziła mycie brody do szczęśliwego końca, oczy wreszcie otworzył i popatrzył na wszystkie cztery jakby z lekkim powątpiewaniem, nic jednak nie rzekł.

Odezwał się za to Sanczo Pansa, najpierw pod nosem, do siebie, a gdy Księżna poprosiła, by powtórzył głośniej, co mu przyszło do głowy, nie certując się w samej rzeczy powtórzył:

– Myślę sobie, czy w tym księstwie dla rycerzy jedynie zawarowane jest mycie brody, czy dla giermków tak samo, przynajmniej co drugi obiad ?

– Skoro ci się spodobało – powiedziała Księżna – nie ma przeszkód, by się moje panny zajęły i twoją brodą już po pierwszym obiedzie. Na was to składam – zwróciła się do majordomusa – by życzenie mego przyjaciela Sancza Pansy wypełnione zostało co do joty.

Majordomus przyrzekł, że wszystkiego dopilnuje, po czym wraz z resztą służby i zabierając Sancza ze sobą, udał się na obiad. Don Kichot pozostał sam z książęcą parą, w dalszym ciągu wypytywany o panią Dulcyneę z Toboso, jej nieszczęsną przemianę, prześladujących go złych czarowników oraz inne okoliczności swojego losu, na wszystko zaś odpowiadał otwarcie i wyczerpująco. Poruszona też została raz jeszcze sprawa Sanczowego gubernatorstwa i Don Kichot zapewnił Księcia i Księżnę, że o ile faktycznie powierzą giermkowi którąś ze swych wysp do rządzenia, on sam doradzi mu, jak ma postępować, by go urząd nie zepsuł i nie wyzuł z dotychczasowej poczciwości.

Taka miła rozmowa toczyła się czas jakiś, aż zakłócił ją harmider wielki w pałacu; wnet wpadł do sali ten, o którym właśnie mówili, bardzo wzburzony, z zawiązaną pod szyją ścierką czarną od brudu, za nim zaś goniła cała hałastra lokajczyków, kuchcików i innej drobnej czeladzi, z czego jeden podtykał Sanczowi pod nos cebrzyk z pomyjami, drugi zaś łapał za brodę i usiłował wsadzić do cebrzyka.

– Cóż to ma znaczyć? – zapytała Księżna. – Czego chcecie od pana gubernatora?

– Ten pan nie pozwala sobie umyć brody – wyjaśnił jeden z hałastry – jak to jest w zwyczaju i jak przedtem sam prosił.

– Ale nie prosiłem – wykrzyknął z desperacją Sanczo – o mycie brody w pomyjach i takimi łapskami! Skoro tak, to obejdę się całkiem bez mycia, brodę mam dosyć czystą i doczekam do Wielkiejnocy, a kto się zbliży, aby mnie myć albo czesać, tego z całym uszanowaniem pogłaszczę tą oto pięścią, że na długo odechce mu się tych posług!

Księżna i Książę z trudem tłumili śmiech, ale Don Kichotowi sprawiało przykrość to naigrawanie się z jego giermka, odezwał się więc surowo do hałastry, która obskoczyła Sancza:

– Poniechajcie go, ludzie, bo ja, jego pan, uważam go za czystego i powinno to każdemu wystarczyć, a przedmiotem żartów ani on, ani ja nie będziemy.

– Zaiste – zmuszając się do powagi, oświadczyła Księżna – skoro komu nie w smak nasz zwyczaj, niech zostanie przy swoim, tym bardziej że wy, czyściochy, tym razem służyliście

zwyczajowi niedbale i zuchwale, obawiam się, że folgując w ten sposób swej antypatii do cnych giermków błędnych rycerzy.

Stropiona wymówką czeladź wycofała się, zabierając cebrzyk z pomyjami i unosząc też pośpiesznie brudną ścierkę spod brody Sancza, który uniknąwszy tego, co mu groziło, na kolanach dziękował Księżnie za wstawiennictwo. Powtórzyła na to, że już niedługo za sprawą Księcia jej małżonka Sanczo obejmie rządy na wybranej do tego wyspie, za co on z kolei dziękował jeszcze wylewniej.

Pora była – przynajmniej dla rycerzy – na drzemkę poobiednią, toteż Książę i Don Kichot, każdy z osobna, udali się do swoich sypialni. Sanczo na prośbę Księżny pozostał na całe popołudnie z nią i jej dworkami, tocząc rozmowy dowcipne i pouczające i na swój sposób opowiadając o tych samych wydarzeniach, o których przedtem ze swego punktu widzenia mówił Don Kichot.

Z rozmów tych, by czytelników nie nużyć, jeden fragment tylko przytoczę, zdaje się, że dosyć ważny. Otóż w pewnej chwili, wysłuchawszy różnych relacji Sancza, Księżna przedstawiła mu taki szkopuł: skoro, jak z tego, co opowiadał, wynika, pan jego jest szalony, a on, giermek, wiedząc o tym, nadal mu towarzyszy i służy, i w dodatku pokłada nadzieję w jego obietnicach, sam musi być jeszcze bardziej szalony; jakże więc ona, Księżna, ma popierać decyzję Księcia swego małżonka, by tak szalonemu rządy wyspy powierzyć, nie zaś najusilniej go od decyzji takiej odwodzić.

Na to odpowiedział Sanczo:

– Słuszny jest ten szkopuł, ani słowa przeciwko niemu, sam go nawet podzielam i wiem, że gdyby mi starczyło rozumu, dawno bym Don Kichota porzucił. Ale jesteśmy z tej samej wioski; byłem z nim razem w ciężkich opałach; jadłem jego chleb; miłuję go i podziwiam takiego, jaki jest; okazywał mi swą wdzięczność i hojność; jestem wierny i nie umiem zdradzać; z tego wszystkiego wychodzi, że taki już mój los i rozłączy nas dopiero mogiła. A co się tyczy owych przyobiecanych rządów, skoro zostaną mi przez waszą miarodajność za głupotę moją cofnięte, to moja mądrość potrafi nie dbać o nie, myśląc, że może to i lepiej dla mojego sumienia; a choćby i nie lepiej, to i tak będzie, co ma być, a ja na to nie poradzę.

Był to pierwszy raz, a może i ostatni (to się okaże), gdy Księżna słuchała słów Sancza nie śmiejąc się ani śmiechem jawnym, ani ukrytym, lecz w zdumieniu i zawstydzeniu, którego sama nie potrafiła pojąć i które wydobyło z niej taką odpowiedź, zupełnie serio:

– Ależ nie, Sanczo, Książęta nie wycofują obietnic, będziesz miał swoją wyspę, tym bardziej że, jak widzę, wcale nie jesteś szalony i mój szkopuł był całkowicie niesłuszny. Proszę cię tylko, przyjacielu, żebyś dbał o poddanych, jak dbasz o pana swego, a oni, jestem pewna, też będą cię miłowali i podziwiali.

Sanczo przyrzekł, że będzie dbał o poddanych, i na tym się ten fragment rozmowy skończył.

Rozdział czterdziesty czwarty, w którym odbywa się polowanie na grubego zwierza, a następnie coś dużo dziwniejszego, nie z dziedziny życia dworskiego, lecz z dziedziny czarów

Na grzecznych rozmowach i ceremoniach upłynął pierwszy tydzień pobytu Don Kichota i Sancza Pansy w książęcym pałacu. Bał się już Don Kichot, że zniewieścieje wśród wygód i bez przygód, ale że, jak wiedział, czyniono tymczasem przygotowania do łowów na grubego zwierza (o innych zaś przygotowaniach, które również czyniono, nie wiedział), uzbroił się w cierpliwość, resztę broni mając także na podorędziu, i czekał.

Jakoż nastąpił ów dzień, gdy ruszono w knieję, z wielkim zgiełkiem, pohukiwaniem, szczekaniem, trąbieniem, w tłumie myśliwych i naganiaczy, w zielonych strojach myśliwskich, choć Don Kichot, co prawda, odmówił przywdziania takiego stroju, który chciano mu ofiarować, i wystąpił, jak zwykle, w zbroi, ale wszyscy inni, z Księciem i Księżną na czele, a Sancza Pansy nie wyłączając, mieli stroje myśliwskie i wyglądali w nich malowniczo, co jest przecież jedną z głównych racji polowań.

Księżna – zamiłowana łowczyni – zsiadłszy z konia, z krótkim oszczepem w ręku, zajęła upatrzone stanowisko, a Książę i Don Kichot stanęli po obu jej stronach; Sanczo Pansa natomiast nie zsiadając z osła, dla ostrożności pozostał nieco w tyle, co nie uchroniło go jednak przed momentem przerażenia, gdy ukazał się potworny odyniec, z kłami jak szable, tocząc pianę z ryja, podrażniony już przez nagonkę i sadzący prosto na Księżnę. Co się działo dalej, Sanczo już nie widział, ześliznąwszy się bowiem z kłapoucha, umykał co sił w leśną gęstwinę; dopadłszy jakiegoś dębu, jął się nań wdrapywać po gałęziach i sękach, ale w połowie drogi na wierzchołek gałąź złamała się, Sanczo zleciał w dół, zaczepił się w locie nowym myśliwskim kubrakiem o wystający sęk i zawisł tak głową do ziemi, czego, jak wiemy, był zwyczajny, choć nie zawsze się to działo na dębie. Mimo że zwyczajny, wrzeszczał wniebogłosy, może nie tyle już ze strachu ani nawet z nieprzyjemnej pozycji, co z żalu po zniszczonej garderobie, którą był już sobie umyślił sprzedać za dobre pieniądze, a podarta, wiadomo, nie miała takiej wartości. Nikt tymczasem nie zwracał uwagi na jego wrzaski, wszyscy bowiem z zapartym tchem spoglądali na dzika, który, jak się rzekło, z kłami jak szable, tocząc pianę z ryja, sadził prosto na Księżnę. Księżna z podniesionym oszczepem, nie cofając się ani o krok, czekała na napastnika, to samo Książę, ale Don Kichot, wyprzedzając wszystkich, wyszedł odyńcowi naprzeciw z mieczem i tarczą, i niechybnie

byłby go rozpłatał lub zostałby rozpłatany, gdyby w bokach zwierzęcia nie utkwiło jednocześnie pół tuzina albo więcej oszczepów, wbitych przez myśliwych z książęcego orszaku; dzik zatoczył się, piana z ryja poczerwieniała, i już było po wszystkim. Wtedy dopiero do uszu obecnych dotarły krzyki Sancza, podeszli więc doń i odczepili z sęka, na którym wisiał jak połeć wieprzowiny na haku rzeźnickim. Upolowanego odyńca przewieziono triumfalnie na mułach do wielkich namiotów ustawionych na polanie pośrodku kniei; tam czekały już na myśliwych stoły nakryte i zaczęła się uczta, o której tyle można powiedzieć, że była iście książęca, uczta zaś taka jest ważną częścią polowania, trwała więc długo i reszta dnia upłynęła na niej bardzo przyjemnie.

Z zapadnięciem nocy zaczęły się wszakże dziać rzeczy dziwne, a nawet, można śmiało powiedzieć, przedziwne. Z czterech stron kniei zapaliły się jakieś światła, jakby łuny, coraz jaskrawsze, aż oślepiające oczy tych, którzy byli w środku. Jednocześnie dźwięki się rozległy bębnów, kotłów, trąb i piszczałek, na modłę mauretańską, ale szczególnie przeraźliwe, i jak blaski były oślepiające, tak hałasy ogłuszające. Przytłoczyły wszystkich i strachem skuły – nie dającym się pokonać strachem niewiadomego – te iluminacje razem z dźwiękami, jeszcze Don Kichot najmniej pokazywał po sobie, ale Sanczo Pansa formalnie trząsł się. Tu z ostępów wyłonił się diabeł na koniu, w róg ochrypły dmący w galopie.

– Stój! – zawołał Książę. – Mów, kim jesteś, dokąd zmierzasz, kto za tobą ciągnie tym borem?

– Jestem diabeł – odparł, jak należało się spodziewać, diabeł. – Poszukuję Don Kichota z La Manczy i jeśli mnie mój wzrok diabelski nie myli, mam go tu przed sobą.

– Jam jest – potwierdził Don Kichot – i nie boję się diabłów. Czego chcesz ode mnie, siło nieczysta?

– Piekło kazało mi cię uprzedzić, że zbliża się tu sześć hufców czarowników, strzegących zaczarowanej pani Dulcynei z Toboso. U boku zaczarowanej trwa dzielny rycerz Montesinos, który wyjawi ci, jak ją można odczarować, ale piekło, przemawiające moimi ustami, dla twojego dobra nie radzi podejmować tej próby.

– Niepotrzebne mi piekielne rady – gniewnie i dumnie zarazem oznajmił Don Kichot. – Niech mi tylko Montesinos powie, co mam czynić, a nie cofnę się przed żadnym niebezpieczeństwem ni trudem.

Diabeł zaśmiał się śmiechem mrożącym krew w żyłach, zatrąbił w róg i odjechał w ciemność, zostawiając wszystkich w wielkim zdumieniu, a najbardziej Sancza Pansę i Don Kichota; tego pierwszego, gdyż dotąd mniemał, że to jego wymysł zaczarował Dulcyneę, drugiego, ponieważ cichcem wątpił sam w prawdę tego, co spotkało go w jaskini Montesinosa; teraz zaś i zaczarowanie Dulcynei, i spotkanie z Montesinosem okazywało się prawdą obiektywną, niezależną od Sanczowych łgarstw i Donkichotowych fantazji.

Tu rozległy się nowe głosy, jakby grzmoty, strzelania, krzyki wojenne; łuny z czterech stron zgasły, a zamiast nich jęły się przemykać przez gęstwinę liczne drobne światełka; potem i one zgasły, a dźwięki dobiegające zdały się łoskotem ciężkich wozów na kamieniach, towarzyszyły im też jakby ryki wygłodniałych drapieżców. Po tej uwerturze ze skrzypieniem wtoczył się na polanę wóz ciągniony przez cztery woły; bydlęta miały czarne kapy na grzbietach, a do rogów umocowane płonące pochodnie; prowadziły ów wóz diabły takie jak pierwszy, a na tronie wysokim pośrodku wozu starzec białobrody zasiadał, który, gdy mijał wpatrzone weń towarzystwo, rzekł głosem jakby z czeluści płynącym:

– Jestem czarownik Freston.

Wóz przejechał, a po chwili nadjechał drugi, z wszystkim takim samym, diabłów nie wyłączając, i z podobnym starcem na tronie, który mijając towarzystwo takim samym głosem z czeluści przedstawił się:

– Jestem czarownik Lirgandeo.

Tak przejechało pięć wozów, z czarnymi kapami i pochodniami, z diabłami na przedzie i z siwobrodymi czarownikami, którzy wymieniali swoje imiona, jakże znane Don Kichotowi z ksiąg rycerskich i z gorzkich rozmyślań nad przeciwieństwami, jakie tyle razy przed nim piętrzyli. Szósty wóz jednak był zupełnie inny – i inne dźwięki go poprzedzały, jakieś granie słodkie na instrumentach nieznanych, z czego wszyscy wnieśli, że najgorsze minęło, a teraz coś dobrego nastąpi – otóż przy tej muzyce miłej wjechał wóz ze trzy razy większy od tamtych, ciągniony przez sześć mulic okrytych białymi kapami, a na każdej z mulic, jak również po bokach wozu siedzieli biało ubrani pokutnicy, każdy z pochodnią, co także tworzyło widok niesamowity, ale nie aż tak odpychający, jak tamte diabły. Pośrodku wozu zaś siedziały dwie postacie, z których żadna nie była starcem siwobrodym, lecz – pierwsza – dziewicą niezrównanej urody, otuloną w gazę srebrzystą ze złotymi blaszkami, druga – Śmiercią w czarnym całunie, który odrzuciła, gdy wóz zatrzymał się przy naszym towarzystwie, i monotonnym, jakby sennym nieco głosem powiedziała:

– Jestem czarownik Merlin, ze wszystkich najpotężniejszy. Do ciebie mówię, błędny rycerzu Don Kichocie z La Manczy. Jeśli pragniesz, by niezrównana pani Dulcynea z Toboso, w prostą chłopkę zaklęta, odzyskała właściwą sobie postać, tylko jeden jest na to sposób. Giermek twój, Sanczo Pansa, ma dobrowolnie obnażyć swoje tłuste pośladki i przyjąć na nie trzy tysiące i trzysta batów. Gdy dopełni się ta liczba, czar pryśnie.

– Jeszcze czego! – wykrzyknął oburzony Sanczo Pansa. – Co moje pośladki mają wspólnego z zaczarowaniem pani Dulcynei? Nie zgodzę się ani na trzy tysiące i trzysta batów, ani na trzydzieści, ani na trzy nawet, bo mi milsze moje zdrowe pośladki od wszystkich pań zaczarowanych i nie zaczarowanych!

– Zmuszę cię! – zagrzmiał Don Kichot. –Przywiążę cię do drzewa i jak mi Bóg miły, wymierzę ci sześć tysięcy sześćset sześćdziesiąt batów dla odczarowania pani mego serca, niezrównanej Dulcynei z Toboso!

– Tak nie można – powiedział Merlin – bowiem plagi Sancza, aby były skuteczne, muszą być dobrowolne. Może je sobie rozłożyć na dogodne raty, a także zadawać własną lub obcą ręką, byle dopełnił się w końcu cały rachunek.

– Ani w końcu ani na początku, ani własną ani obcą ręką, ani na raty ani z procentem – odparł stanowczo giermek. – Mój pan się w niej kocha, to niech się dla niej smaga, a ja, jak mówiłem, nie mam z tym nic wspólnego.

Tu podniosła się z tronu siedząca obok Merlina piękna dziewica i głosem zupełnie nie licującym z postacią, bynajmniej bowiem nie niewieścim, lecz męskim, odezwała się wprost do Sancza:

– O, człowiecze z kamiennym sercem, duszą na wiór wyschniętą, drewnianą wątrobą i blaszanymi flakami! Tyle hałasu o trzy tysiące i trzysta batów? Toć w sierocińcu dziecię niewinne bodaj co miesiąc tyle dostaje, nie zbawiając przy tym nikogo i nie zasługując się zdumionemu światu. Tak ci żal, potworze zatwardziały duszą i ciałem, rzemiennej skóry twoich pośladków, a nie żal ci moich oczu wypłakanych, słodyczy moich jagód, całej mojej gładkości dziewiczej, uwięzionej w skorupie szkaradnej baby!

– Toć wasza przecudowność stoi przed nami w całej swojej ponętnej postaci – wyjąkał Sanczo Pansa.

– To tylko na chwilę wyświadczył mi tę łaskę obecny tu pan Merlin, bym wzruszyła twoją gnuśność i zatwardziałość, ale chwila ta minie zaraz bezpowrotnie, jeśli nie podejmiesz zbawiennego dla mnie postanowienia. Błagam cię, niegodziwy samolubie, jeżeli nie dla mnie, uczyń to dla twojego pana, tego wielkiego rycerza, pogrążonego w rozpaczy przez skuwające mnie czary.

– No więc jak będzie, Sanczo? – zapytała Księżna.

– Nijak nie będzie – odparł Sanczo. – Nie wydam na mękę miłych mi pośladków, już powiedziałem. A teraz dodam, że dziwny ma sposób proszenia ta pani Dulcynea, pomieszany

z wymyślaniami od potworów i flaków kamiennych, i innych, czego żaden człowiek nie ścierpi. A mój pan też, zamiast mnie błagać i ugłaskiwać, krzyczy, że mnie przywiąże do drzewa i podwoi tę porcję batów niczym nie zasłużonych. A i jaśni księstwo zapominają, że batom tym, gdybym się zgodził, poddałby się nie tylko giermek, ale i gubernator – czy to przystoi?

– Człowiek o kamiennym sercu – zauważył Książę – nie może być gubernatorem na mojej wyspie. Jakżeby rządził dobrymi wyspiarzami, głuchy na ich cierpienia i błagania o pomoc? Nie chcę wpływać na twoją decyzję, ale powiem ci, Sanczo, że albo się zgodzisz na te baty dla odczarowania pani Dulcynei z Toboso, albo nici z twoich rządów, niestety.

– Proszę o czas do namysłu! –wykrzyknął Sanczo przestraszony uciekającą sprzed oczu wyspą. – Dwa dni na wybór, co lepsze!

– Nie ma mowy – sprzeciwił się Merlin. – Musi to zostać rozstrzygnięte natychmiast: albo pani Dulcynea w znanej niektórym z tu obecnych postaci chłopki wróci na zawsze do Jaskini Montesinosa, albo w postaci, którą widzicie, będzie czekała na Polach Elizejskich, aż wypełni się ustalony rachunek batów.

– Coś się tu nie zgadza – kręcił głową Sanczo Pansa. – Goniec diabelski zapowiadał, że przybędzie tu rycerz Montesinos i że z nim mój pan załatwi sprawę odczarowania pani Dulcynei, a tymczasem jest zupełnie inaczej. Może rycerz Montesinos zna inny sposób i całe to smaganie jest niepotrzebne?

– I ty wierzysz diabłu? – zaśmiał się szyderczo Merlin. – Montesinos czeka pod ziemią na własne odczarowanie, które, jak i odczarowanie pani Dulcynei, jest w moim ręku. Nie szukaj wykrętów, Sanczo, tylko zgódź się na biczowanie, a będzie to z pożytkiem nie tylko dla twojej duszy, lecz i dla ciała, bo po twojej czerwonej fizjonomii widać, że mały upust krwi dobrze ci zrobi.

– Bądź mężny, Sanczo – poprosiła Księżna – i zgódź się z wdzięczności dla Don Kichota, którego wszak kochasz, a my wszyscy go czcimy.

– Więc dobrze – westchnął Sanczo – zgadzam się, ale pod warunkiem, że sam sobie wymierzę te trzy tysiące i trzysta batów, w takich ratach i terminach, jakie mi będą wygodne. A choćby niektóre razy były słabsze od innych, to i tak się będą liczyły. A jak się pomylę w rachunku, to pan czarodziej mnie zawiadomi, żeby czasem nie było na moją niekorzyść.

– O to się nie troszcz – rzekł Merlin – bo w tej samej chwili, w której dojdzie do pełnej liczby, odczarowana pani Dulcynea pokaże ci się i podziękuje osobiście za poświęcenie.

– Zgoda – powiedział Sanczo – pod umówionymi warunkami.

Ledwie to powiedział, znów się rozległa słodka muzyka i wóz ruszył z miejsca. Merlin owinął się z powrotem w swój czarny całun, a piękna Dulcynea nisko ukłoniła się swemu wybawicielowi, a także Don Kichotowi i obojgu Księstwu. Don Kichot uszczęśliwiony wziął Sancza w ramiona i okrył jego twarz wdzięcznymi pocałunkami. Jakby towarzysząc radości ludzi, nastał świt, kwiaty polne i leśne podniosły główki, strumyki żywiej zaszemrały, ziemia odetchnęła i słońce jak błędny rycerz w purpurowej zbroi zaczęło swoją niestrudzoną wędrówkę.

Rozdział czterdziesty piąty w którym Don Kichot i Sanczo Pansa poświęcają się dla duenii Doloridy

Już następnego dnia, ledwie przetarłszy oczy, Księżna ciekawie dopytywała Sancza, jak bardzo zmalał jego dług w batach liczony, który miał wypłacić swoim pośladkom.

– Zlitujcie się, wasza rachunkowość, dajcie odsapnąć – błagał giermek. – Jeszcze mi strach nie przeszedł, który też powinien się liczyć za dobre razy, a już mam się smagać niczym pokutnik? Owszem, wymierzyłem sobie na początek pięć plag, chyba starczy na razie?

Na pytanie, czym je sobie wymierzył, zeznał, że ręką, co Księżna uznała za zbyt mizerną ofiarę dla tłustych wierzycieli Sanczowych i przyrzekła, że dostarczy mu odpowiedniejszego narzędzia; to przejęło go znowu lękiem.

Nie przeszedł mu ten lęk w ogrodzie książęcym, gdzie dla odmiany dnia tego podano obiad, ledwie bowiem sprzątnięto ze stołów, rozległa się niepokojąca muzyka piszczałki i bębna, a wiedział już, że w tym towarzystwie wykwintnym muzyka zapowiada nową przygodę.

Jakoż, poprzedzona przez orkiestrę w żałobnych strojach i wysokiego jak wieża giermka Trifaldina Białobrodego, wkroczyła bohaterka tej nowej przygody, wysoka jak słup hrabina Trifaldi, zwana też duenią Doloridą, czyli Boleściwą, a z nią jeszcze dwanaście duenii nieco niższych rangą, ale nie wzrostem. Wszystkie duenie, hrabiny nie wyłączając, twarze miały zasłonięte czarnymi kwefami, co bardzo intrygowało obecnych, a Sancza, mimo nie ustępującej trwogi, najbardziej. Upewniwszy się, że w ogrodowym towarzystwie, prócz pary książęcej, znajduje się poszukiwany przez nią najbardziej rycerski z rycerzy Don Kichot z La Manczy wraz z najbardziej giermkowatym z giermków Sanczo Pansą, hrabina Trifaldi opowiedziała swoją historię.

Otóż w bardzo dalekim królestwie Kandaja, rządzonym przez królową-wdowę Maguncję, hrabina Trifaldi opiekowała się jako główna duenią młodocianą następczynią tronu, przepiękną infantką Antonomasją. Nie opiekowała się nią jednak tak sumiennie, jak należało, uległa bowiem westchnieniom rycerza Don Klawicha i wpuściła go do swej wychowanicy, co wydało się po jakimś czasie, uwypuklone przez dziecię w łonie Antonomasji. Królowa Maguncja nie miała rady i zgodziła się oddać infantkę za żonę Don Klawichowi, mimo że był zwykłym rycerzem, nie królewskiego bynajmniej rodu. Tak się jednak tym wszystkim zmartwiła, że przed upływem trzech dni umarła i została pogrzebana, i tu się dopiero zaczęła

rzecz najstraszniejsza. Nad grobem królowej ukazał się na drewnianym koniu jej brat stryjeczny, olbrzym, okrutnik i czarownik Malambruno.

– Olaboga, znowu czarownik – jęknął w tym miejscu opowieści Sanczo, ale pozostali ze zbyt wielkim przejęciem słuchali hrabiny Trifaldi, żeby zwracać uwagę na jego jęki.

Malambruno za karę zaczarował na grobie Maguncji młodych kochanków: Don Klawicha zamienił w krokodyla, Antonomasję zaś o wypukłym łonie – w małpę, ale nie w żywego krokodyla i żywą małpę, tylko w posągi z nieznanego metalu. Skończywszy z kochankami, zabrał się do hrabiny Trifaldi i pozostałych dwunastu duenii dworu królewskiego.

– Musiałyśmy stanąć przed jego obliczem – ciągnęła żałosną opowieść pani Dolorida – a on popatrzył tylko na każdą z nas po kolei i pod spojrzeniem tym poczułyśmy jakby ukłucia ostrych igiełek na podbródkach gładkich oraz policzkach. Podniosłyśmy dłonie do twarzy i... spójrzcie.

To mówiąc, odrzuciła welon, a za nią uczyniło to pozostałych dwanaście duenii – i wszyscy ujrzeli twarze zarośnięte brodami różnej barwy i kształtu: sama hrabina Trifaldi miała czarną, o kręconym włosie, inne panie – rude, płowe, szpakowate lub całkiem siwe. Był to widok tak zaskakujący, że nikt nie wiedział, co ma powiedzieć, i w głuchej ciszy zabrzmiał omdlewający głos Doloridy:

– Tylko Don Kichot może nas uratować – co wyrzekłszy, osunęła się zemdlona na ziemię.

– Jestem gotów – powiedział Don Kichot – ale co mam właściwie czynić?

– Udać się na spotkanie z Malambrunem – odparła, budząc się z omdlenia, hrabina Trifaldi. – Za jednym zamachem odczarujecie wtedy, wasza jednoczesność, krokodyla z małpą i nasze brody.

– A jak znajdę Malambruna?

– On sam, wasza rozbieżność, przekonawszy się, że trafiłam do was po żmudnych poszukiwaniach, przyśle swego konia drewnianego, który zawiezie was razem z giermkiem na właściwe miejsce.

– Co ma do tego giermek ? – zapytał Sanczo Pansa. – Ja tam nie wybieram się do żadnego Malambruna, a tym bardziej na koniu z desek, kiedy na miękkim grzbiecie mojego kłapoucha ledwie się utrzymam. Niech mój pan jedzie, skoro tak uważa, a ja tu poczekam i w wolnych chwilach zajmę się sprawą pani Dulcynei, tak że po powrocie znajdzie ją bardzo posuniętą do przodu.

– Rzecz w tym – powiedziała hrabina Trifaldi – że o ile dobrze zrozumiałam niecnego Malambruna, wątpliwe, czy bez udziału Sancza Pansy uda się coś zrobić z naszymi brodami.

– Nie jestem golibrodą – upierał się giermek.

– Nie martwcie się, łaskawe panie – oświadczył Don Kichot – niech się tylko zjawi ów rumak, a Sanczo postąpi tak, jak mu rozkażę.

Z tą zapowiedzią już się Sanczo nie spierał, w głębi duszy nie tracąc nadziei, że drewniany koń się nie zjawi.

Daremne to były nadzieje, bo skoro przygoda z drewnianym koniem została, dla żabawienia jednych i dokuczenia innym, zamyślona i przygotowana, to musiała się rozegrać do końca.

Ledwie mrok wieczorny zapadł, weszło do ogrodu czterech dzikusów odzianych w sukienki z liści i wniosło wielkiego drewnianego konia, ogłaszając:

– Niech dosiądzie go rycerz, któremu starczy odwagi.

– Nie jestem rycerzem ani mi nie starczy odwagi – ucieszył się Sanczo, ale dzikus, który wygłosił był pierwsze zdanie, dorzucił też dalsze:

– Dla rycerza jest siodło, a łęk dla rycerzowego giermka, na którego także czeka pan Malambruno. Niech zawiążą sobie oczy, by uniknąć zawrotu głowy na wysokościach, a gdy przekręcą kołek na końskiej szyi, zacznie się podróż powietrzna, która skończy się we właściwej chwili.

– Wsiadamy, Sanczo – surowo obwieścił Don Kichot.

– Co pomyślą moi poddani na wyspie, której jestem gubernatorem – powiedział Sanczo – jeżeli tak ich opuszczę i nie wiadomo za ile lat wrócę, bo koń może się zepsuć i powrotną drogę trzeba będzie odbyć piechotą?

– Kiedykolwiek wrócisz – odezwał się Książę – znajdziesz wyspę na miejscu, a poddanych czekających wiernie na wielkorządcę. Nie chcę, oczywiście, wpływać na twoją decyzję, ale powiem ci, Sanczo, że rezygnując z wyprawy dla ocalenia i ogolenia cierpiących, stawiasz się w świetle, utrudniającym w ogóle powierzenie ci rządów wyspy.

– Już wsiadam – powiedział ostatecznie przekonany Sanczo. – Zawiążcie mi oczy, a ja polecę się Najświętszej Panience i niech będzie, co będzie.

Zanim jednak naprawdę wsiedli, Don Kichot wziął jeszcze giermka na stronę i zaproponował mu, żeby przed podróżą udał się pod pretekstem zabrania potrzebnych w drodze rzeczy do swej izdebki i tam wymierzył sobie choć z pięćset batów na rachunek tych trzech tysięcy dwustu dziewięćdziesięciu pięciu, jakie mu jeszcze zostały.

– Niech Bóg broni! – wykrzyknął Sanczo. – Poranionym tyłkiem mam potem siadać na tej końskiej desce? Nie, wasza niedomyślność, nic z tego; po powrocie to co innego; wtedy wszystko załatwię z taką gorliwością, że będziecie zadowoleni.

– Ta obietnica mi wystarczy – skinął głową Don Kichot i ruszył w stronę konia, a Sanczo Pansa, choć nieco ociągając się, za nim.

Wsiedli, dali sobie zawiązać oczy i Don Kichot położył rękę na kołku; ledwie to uczynił, rozległy się okrzyki hrabiny Trifaldi i pozostałych dwunastu duenii, a wszystkie te głosy brzmiały raczej jak męskie niźli niewieście, co związane być musiało z wpływem bród na cały organizm.

– Już unieśliście się nad ziemią! –wołały ochmistrzynie.

– Coraz wyżej i wyżej!

– Przecinacie powietrze szybciej niż strzała!

– Jak wysoko, jak wysoko!

– Zdumiewacie wszystkich, którzy z zadartymi głowami was oglądają!

– Uważaj, nieustraszony Sanczo, byś nie spadł! Oj, chwiejesz się na tym łęku, chwiejesz!

– I wy, Don Kichocie z La Manczy, uważajcie, bo gdybyście runęli z takiej wysokości, nic was nie ocali!

Sanczo dla pewności mocno oplótł swego pana ramionami i zapytał:

– Jakże nas widzą, jeżeli lecimy tak wysoko, i czemu głosy ich dochodzą mnie tak wyraźnie?

– Nie zastanawiaj się nad szczegółami – poradził Don Kichot – bo cały nasz lot wykracza poza znane prawa natury i należy do dziedziny czarnoksięskiej, w której prawa te nie są ważne. Ale nie łap mnie tak kurczowo, bo razem spadniemy. Nie ma przecież powodu do lęku: lot drewnianego konia jest tak łagodny jakby stał w miejscu. Gdyby nie ten wiatr z tyłu, nie czułbym, że lecimy.

– I ja czuję taki wiatr – przyznał Sanczo Pansa – jakby wielkie miechy we mnie dmuchały.

Nie da się ukryć (choć przed podróżnikami było to ukryte), iż naprawdę dmuchały na nich wielkie miechy, poruszane przez sługi książęcej pary. Po chwili zaprzestano dmuchania i zaczęto Don Kichota i Sancza Pansę ogrzewać zapalonymi pakułami na długich trzcinach.

– Teraz jesteśmy w sferze ognia – oznajmił Don Kichot.

– Czuję to – rzekł Sanczo Pansa – a nawet obawiam się, że całą brodę mam osmaloną. Zaraz odsłonię oczy i zobaczę, gdzieśmy dotarli.

– Nie czyń tego, bo cię oślepi – ostrzegł Don Kichot. – Lepiej zdajmy się na wroga, który nas wezwał, bo zależy mu przecież, żebyśmy dotarli na miejsce w dobrym porządku.

– Ale nie zależy mu na naszych siedzeniach – odparł Sanczo Pansa. – Moje na przykład jest już dosyć obolałe.

Nie wiadomo, czy z litości nad obolałym siedzeniem giermka, czy znudzony zabawą, Książę dał znak, że czas kończyć przygodę. Przytknięto ogień do ogona drewnianego konia, a ponieważ był on nafaszerowany racami i petardami, rozległ się huk i wszystko się rozleciało; osmoleni Don Kichot i Sanczo Pansa znaleźli się na ziemi.

Kiedy się pozbierali i ściągnęli przepaski z oczu, stwierdzili ze zdumieniem, iż znajdują się w tym samym ogrodzie, z którego, dosiadłszy drewnianego konia, wzbili się w przestworza. Naokoło leżało całe towarzystwo jakby omdlałe, a po hrabinie Trifaldi i pozostałych dueniach nie było śladu. W klombie pośrodku ogrodu tkwiła za to potężna dzida, a na niej zawieszony był pergamin z wielkim złotym napisem, który Don Kichot głośno odczytał:

„Mądry Malambruno uznaje warunki za spełnione wskutek samego podjęcia podróży na drewnianym koniu przez nieustraszonego Don Kichota z La Manczy i jego wiernego giermka Sancza Pansę. Mądry Malambruno rezygnuje z walki i przywraca właściwą postać Don Klawichowi i Antonomasji, jak również niewieścim podbródkom hrabiny Trifaldi, zwanej duenią Doloridą, i pozostałych dwunastu duenii".

Triumfujący Don Kichot zaczął budzić z omdlenia Księcia i Księżnę i podsuwać im pod oczy ostatni komunikat czarnoksiężnika. Dali się wreszcie doprowadzić do zmysłów, a z nimi wszyscy obecni przy tym dworzanie, i gratulując błędnemu rycerzowi zwycięstwa nad Malambrunem, dopytywali się o wrażenia z podróży. Don Kichot wypowiadał się powściągliwie, ale Sanczo Pansa zaraz się rozgadał, utrzymując, że w trakcie drogi raz po raz uchylał chustki i spoglądał to na ziemię, to znów na niebo. Opowiadając najniemożliwsze brednie na temat tego, jak wygląda niebo z bliska i ziemia z daleka, a więc niebo jak wielka micha z mnóstwem mokrego i dymiącego jedzenia, a znów ziemia – jak ziarnko gorczyczne, ludzie na niej – jak laskowe orzechy (nie muszę chyba zwracać czytelnikom uwagi na sprzeczności kryjące się w dwu ostatnich porównaniach), zerkał jednocześnie na wszystkie strony, szukając Doloridy i pozostałych ochmistrzyń z gładkimi twarzami, ale nie mógł ich nigdzie dojrzeć i musiał dojść do smutnego wniosku, że wyczyn Don Kichota i jego spowodował zniknięcie nie tylko bród, ale ich nosicielek, czego bardzo żałował, spodziewając się, że są urodziwe.

Rozdział czterdziesty szósty, w którym Sanczo Pansa obejmuje rządy i sądy na swojej wyspie

Wprawdzie książętom wszystko wypada, tak samo jak królom, ale ten Książę, o którym cały czas mówimy, doszedł wreszcie do wniosku (co niechybnie przemawia na jego korzyść), że nie wypada mu dłużej zwlekać z wypełnieniem obietnicy danej Sanczowi i czas już ofiarować giermkowi tę wyspę, na którą czekając, zdobył się na tyle poświęceń.

– A więc – powiedział Książę do Sancza Pansy – dziś otrzymasz strój odpowiedni, a jutro udasz się na wyspę, której mieszkańcy spragnieni są wielkorządcy jak deszczu.

– Włożę strój, jaki każecie – odparł przyszły gubernator – nic mi to nie zaszkodzi, bo i tak pozostanę Sanczem Pansą.

Don Kichot, gdy dowiedział się, że Sanczo już nazajutrz ma objąć swe stanowisko, zabrał go do komnaty dla udzielenia koniecznych rad, których giermek wysłuchał z widocznym szacunkiem, ale trudno, oczywiście, o gwarancję, czy nie myślał przy tym o czymś zupełnie innym.

Pierwsza część rad była ogólna, jak to: żeby pamiętał, kim był, nie wstydził się swego dawnego stanu i nie pysznił nowym; jeżeli go odwiedzi przypadkiem ktoś z rodzinnej wioski, żeby nie udawał, że nie zna tego człowieka; jeżeli sprowadzi żonę, co będzie słuszne, bo niedobrze jest długo pozostawać bez żony, niech pilnuje, by głupim gadaniem nie zburzyła tego, co on zbuduje mądrym namysłem; żeby podarunki bogacza nie odwiodły go od sprawiedliwości dla ubogich, a łzy i nalegania biedaka – od sprawiedliwości dla zamożnych; żeby w sądach nie zaślepiała go osobista namiętność, własna krzywda ani uroda petentki; żeby nie znieważał tego, którego musi ukarać; żeby raczej był zbyt miłosierny, niż zbyt surowy.

Druga część rad była szczegółowa, jak to: żeby wielkorządca obcinał paznokcie, nie ulegając mniemaniu, które żywią niektórzy, jakoby długie paznokcie były eleganckie; żeby był umiarkowany w jedzeniu i piciu; żeby nie pachniał cebulą i czosnkiem; żeby mu się nie odbijało w czyjejś obecności; żeby nie spał do południa; żeby nie rozprawiał, który ród jest bardziej, a który mniej znakomity.

Cała rozmowa Don Kichota z Sanczem Pansą trwała, naturalnie, dłużej, niż zajęło tutaj samo wyliczenie rad, zresztą też nie wszystkich, lecz najważniejszych; a gdy dobiegła końca, niewiele już dnia zostało; nazajutrz zaś rano, zgodnie z zapowiedzią Księcia, wysłano Sancza z liczną świtą na wyspę, która, co prawda, nie była wyspą w dosłownym tego słowa

znaczeniu, tylko jednym z należących do Księcia miasteczek, skoro jednak umówiono się, że to wyspa, to nie ma co się spierać o nazwy, zwłaszcza że do bycia prawdziwą wyspą brakowało miasteczku jedynie otaczającej ze wszystkich stron wody.

Na czele przydzielonej Sanczowi świty stał majordomus Księcia, którego brodata twarz wydawała się nowemu wielkorządcy dziwnie znajoma; również głos, gdy tamten się odezwał, nie zabrzmiał obco; Sanczo podrapał się w głowę i szepnął do Don Kichota:

– Czy nie zgodzilibyście się ze mną, wasza ostrożność, że oblicze tego książęcego majordomusa ani o włosek nie różni się od oblicza hrabiny Trifaldi, zwanej też duenią Doloridą?

– W samej rzeczy – powiedział Don Kichot, przypatrzywszy się uważnie majordomusowi – jest to jedno i to samo oblicze, ale nie wyciągajmy stąd wniosku, że majordomus jest Doloridą, lecz raczej że znowu jakiś czarnoksiężnik żartuje z nas sobie.

– Ale i głos – powiedział Sanczo Pansa – jest jeden i ten sam, z czego, proszę bardzo, mogę nic nie wyciągać, postanowiłem jednak śledzić go odtąd bardzo podejrzliwie.

– Zawiadom mnie – powiedział Don Kichot – o wszystkim, co wyśledzisz, a także o wszystkim, co ci się na tym gubernatorstwie przytrafi.

Teraz nastąpiły pożegnania; Sanczo Pansa ucałował dłonie swoim książęcym dobrodziejom i Don Kichotowi, który go pobłogosławił, przy czym obaj mieli łzy w oczach, i dosiadł nie swojego kłapoucha, lecz muła przystojącego urzędowi podobnie jak biret i toga, w które przyodziano gubernatora; do kłapoucha zaś, który kroczył za nim w nowym czapraku i rzędzie, raz po raz odwracał głowę.

Podążając wraz z Sanczem Pansa na jego wyspę, siłą rzeczy rozstać się musimy na jakiś czas z Don Kichotem; trudno, będziemy tęsknili, jak ci dwaj tęsknili do siebie i nawet chwilami pragnęli cofnąć to, co się stało; ale skoro wraz z awansem Sancza rozstanie rycerza z giermkiem doszło do skutku, nie ma rady, nie uda się opowiedzieć jednocześnie o jednym i drugim, i trzeba przyjąć jakąś kolejność; niech więc najpierw będzie o Sanczu, bo jemu w tym czasie przytrafiło się więcej.

Miasteczko, które mianowano wyspą, nazywało się Barataria i liczyło jakiś tysiąc mieszkańców. Kiedy nowy wielkorządca wjeżdżał do Baratarii, biły dzwony, mieszkańcy krzyczeli „niech żyje!”, a rada miejska witała go chlebem i solą. Po nabożeństwie w kościele zaprowadzono Sancza Pansę do sali przyjęć i posadzono na stolcu sędziowskim, towarzyszący mu zaś nieodłącznie majordomus oznajmił:

– Pod waszą nieobecność, panie gubernatorze, nagromadziło się trochę spraw do rozsądzenia, i ludność błaga, żebyście z tym nie zwlekali.

– Dawajcie te sprawy – powiedział Sanczo Pansa – rozsądzę je szybko i sprawiedliwie.

Na dany znak weszło dwóch ludzi – wieśniak i krawiec.

Pierwszy zeznawał krawiec: że wieśniak, odwiedziwszy go wczoraj w warsztacie, wetknął mu kawał sukna i zapytał, czy starczy tego na kaptur. Krawiec zmierzył i powiedział, że co ma nie starczyć. Wtedy wieśniak w chciwości swojej podejrzewając, że krawiec chce mu ukraść kawałek sukna, zapytał, czy nie starczy aby na dwa kaptury. Czemu nie, zgodził się krawiec, starczy i na dwa. A na trzy? Krawiec przytaknął. Tak doszli do pięciu kapturów. Kiedy zaś wieśniak przyszedł dziś po odbiór zamówionych kapturów i krawiec mu je oddał – ten nie tylko nie chciał zapłacić, lecz domagał się, żeby krawiec – odwrotnie – zapłacił jemu albo oddał nietknięte sukno.

Tak wyglądał konflikt opowiedziany przez krawca; Sanczo zapytał wieśniaka, czy przeciwnik jego opisał rzecz zgodnie z prawdą.

– Owszem – przyznał wieśniak – ale rozkażcie, wasza dociekliwość, by pokazał moich pięć kapturów.

– Mogę pokazać – nie opierał się krawiec – oto one, i przysięgam, że zużyłem całe sukno, co mistrzowie cechowi łatwo mogą wymierzyć – to mówiąc pokazał pięć kapturków zdobiących pięć palców jego ręki.

Wszyscy bardzo śmiali się na ten widok, a Sanczo Pansa orzekł, zgodnie z zapowiedzią, szybko i sprawiedliwie:

– Nic nikomu się nie należy, to znaczy krawcu nie należy się za robotę, wieśniakowi nie należy się sukno, a kapturki niech będą oddane ubogim dziewczynkom dla lalek.

Następna procesująca się para stanęła przed wielkorządcą: dwóch starców, w tym jeden z laską trzcinową.

Starzec bez laski zeznał, że przed jakimś czasem pożyczył temu drugiemu dziesięć złotych eskudów, które dłużnik miał mu zwrócić, gdy tego zażąda. Długo się nie upominał, a gdy się w końcu upomniał, starzec z laską odmówił zwrotu, twierdząc, że nie jest mu nic winien. Starzec bez łaski uważał go dotąd za uczciwego człowieka, trapi się więc bardzo tą różnicą zdań na temat dziesięciu eskudów. Jeżeli tamten przysięgnie przed sądem, że jest tak, jak mówi, niefortunny wierzyciel uwierzy we własny brak pamięci i da mu spokój.

– I cóż, starcze z laską, czy przysięgniecie? – zapytał z prawdziwą ciekawością Sanczo.

– Przysięgnę – oznajmił zapytany, po czym oddawszy pierwszemu starcowi do potrzymania swoją laskę trzcinową, żeby nie przeszkadzała w trakcie przysięgi, położył rękę na krzyżu i przysiągł, że choć pożyczył był od starca bez laski dziesięć eskudów, oddał mu je już do rąk własnych. Starzec bez laski, trzymający w tej chwili laskę starca z laską, westchnął i powiedział, że wycofuje sprawę, po czym oddał laskę właścicielowi i obaj wyszli z sali przyjęć, ukłoniwszy się uprzednio Sanczowi. Ten w zamyśleniu wodził palcem po brwiach i nosie, po chwili zaś wyprostował się i rozkazał przywołać z powrotem obydwu starców.

Kiedy wrócili, Sanczo poprosił starca z laską o nic innego, tylko właśnie o tę laskę trzcinową, a gdy ją otrzymał, wręczył smutnemu wierzycielowi mówiąc:

– Teraz dług jest zwrócony.

Starzec z laską, a obecnie bez laski, zaczerwienił się; natomiast starzec bez laski, a obecnie z laską, nic nie rozumiał.

– Złamcie tę trzcinę – zarządził Sanczo – a jeżeli nie jest tak, jak myślę, to jestem ostatnim osłem.

Złamano trzcinę i znaleziono w jej wnętrzu ukryte dziesięć złotych eskudów. Wszyscy dopytywali się w zdumieniu, jak Sanczo doszedł do tego, na co odrzekł, że nic prostszego kiedy starzec z laską, wręczywszy na chwilę laskę przeciwnikowi, przysięgał, że oddał mu dług, to, zakładając, że nie był krzywoprzysiężcą, tylko w wypadku,jeśli miał monety w lasce, mógł w tej chwili nie kłamać, a zarazem nie oddawać długu naprawdę.

Trzeci i ostatni sąd tego dnia dotyczył pewnej niewiasty i hodowcy bydła, który ją spotkał w polu. Niewiasta twierdziła, że napadł na nią i zrabował jej cnotę, on zaś utrzymywał, że wszystko odbyło się za wzajemną zgodą i zapłacił jej dostatecznie.

– A zostały wam jeszcze jakie pieniądze? – zapytał gubernator.

– Mam jeszcze dwadzieścia dukatów w skórzanej kiesce – przyznał się hodowca.

– Oddajcie kieskę tej kobiecie.

Hodowca wykonał rozkaz, a kobieta złapała kieskę i dziękując wylewnie sędziemu za sprawiedliwość dla uciśnionych dziewic, opuściła salę. Wtedy Sanczo rozkazał:

– Biegnijcie za nią, odbierzcie kieskę i wracajcie do mnie.

Hodowca pobiegł jak strzała, a po jakimś czasie wrócili oboje, sczepieni w rozpaczliwej walce o kieskę, której kobieta za nic nie chciała oddać. Pomstowała przy tym głośno na rabusia, który w biały dzień na ulicy usiłował jej wydrzeć pieniądze.

– No i co, wydarł? – zapytał Sanczo.

– Raczej życie by mi wydarł niż moje pieniądze! – wykrzyknęła zapalczywie niewiasta. – Obcęgami by mi musiał wyrywać, kleszczami, tygrysimi szponami!

– To nie na moje siły – powiedział zrezygnowany mężczyzna, puszczając niewiastę. Wówczas gubernator poprosił, żeby pokazała mu kieskę, a gdy ją podała, wręczył mężczyźnie, do kobiety zaś rzekł:

– Gdybyś z takim samym uporem jak kieski, a nawet o połowę mniejszym, broniła swej cnoty, sam Herkules by ci jej nie zrabował. Idź i nie pokazuj się więcej na wyspie pod karą dwustu batów.

Obecni znowu zdziwili się rozsądkowi gubernatora, a on przeciągnął się i powiedział, że chyba już dosyć sądzenia jak na pierwszy dzień rządów, teraz zaś chętnie zjadłby czego mokrego.

Rozdział czterdziesty siódmy, w którym Sanczo Pansa nadal rządzi na wyspie Baratarii, lecz wydaje mu się to coraz uciążliwsze

Wyglądało na to, że życzenie pana gubernatora zostanie zaraz spełnione, z sali przyjęć bowiem zaprowadzono go do sali jadalnej, gdzie czekał już stół obficie zastawiony, czekała też służba do mycia rąk, do usługiwania przy stole i do innych, na razie niewiadomych czynności. Fotel przy stole był tylko jeden i nakrycie na stole jedno, z czego łatwo było zrozumieć, że to dla Sancza i że on jeden będzie się posilał, a pozostali będą mu pomagali swą obecnością. Kiedy wkroczył na salę, rozległa się muzyka, która trwała, póki mył ręce i wycierał, a kiedy usiadł – zamilkła. W tej samej chwili pojawiła się obok gubernatora jakaś nieznajoma postać o dosyć ponurej twarzy i z fiszbinową pałeczką w dłoni. Nie zwracając uwagi na tę asystę, Sanczo Pansa rozejrzał się po stole, na. którym pełno było naczyń z rozmaitymi daniami, mokrymi i suchymi. Skinął z zadowoleniem głową i podczas gdy zawiązywano mu serwetkę pod brodą, zastanawiał się, od którego by zacząć. Sięgnął po najbliżej stojący półmisek z ostrygami, ale zanim zdążył której skosztować, jegomość u jego boku machnął pałeczką i pośpiesznie zabrano mu półmisek sprzed nosa. Chcąc nie chcąc zdecydował się na drugi, z pasztetem z królika, ledwie jednak wyciągnął doń rękę, gdy dotknięty pałeczką i ten półmisek uciekł przed Sanczem. To samo powtórzyło się i z trzecim półmiskiem, na którym leżały świeże jarzyny.

– Czy to obiad, czy sztuczki z królikiem i kapeluszem? – zapytał zdenerwowany gubernator.

– Wasza niespożytość – powiedział z szacunkiem ów osobnik, na którego znak znikały potrawy – spełniam tylko swój obowiązek; jestem mianowicie lekarzem waszej niespożytości i mam pilnować, byście nie spożyli, uchowaj Boże, nic takiego, co zaszkodzi wam na żołądek; ostrygi były stanowczo za ciężkie, ten pasztet za ostry, te jarzyny zbyt wzdymające; z góry powiem, że nie radzę wam też jeść tej zupy, bo zawiera zbyt wiele płynu, ani tego mięsa, bo jest za suche – co powiedziawszy, wskazał pałeczką, a służba natychmiast sprzątnęła wazę z zupą i półmisek z pieczenia.

– Zostały więc – rzekł Sanczo – jeśli mnie wzrok nie myli, te apetycznie przyrządzone przepiórki.

– Raczej umrę, niż pozwolę je tknąć waszej nietykalności – oznajmił lekarz.

– A to dlaczego? – zdziwił się Sanczo.

– Ponieważ, jak uczy Hipokrates, ze wszystkich niestrawności najniebezpieczniejsza jest ta, którą powodują przepiórki.

– Zacznijmy więc od innego końca – powiedział Sanczo. – Pan doktor zrobi przegląd całego stołu i usunie wszystko, co może mi zaszkodzić, a tym, co zostanie, zajmę się już spokojnie, bez obawy, że mi ucieknie.

Lekarz skinął głową na znak zgody, następnie wbił jastrzębie spojrzenie w nakryty stół i pałeczka zaczęła wykonywać konwulsyjny taniec nad całą jego przestrzenią, w miarę zaś, jak się poruszała, służba ogołacała stół z naczyń, aż zamieniła go w białą pustynię, na której i mysz by się nie pożywiła, nie tylko człowiek, zwłaszcza zaś człowiek o tak dobrym apetycie jak Sanczo Pansa.

Głodnemu i złemu gubernatorowi na widok znikającego jedzenia oczy coraz bardziej wyłaziły z orbit, aż doprowadzony do szału trzasnął pięścią w stół, z ostatniego uciekającego półmiska złapał ręką kawałek mokrego placka, zwanego po hiszpańsku **tortilla**, i wpakowawszy go sobie do ust, przełknął prawie bez żucia, po czym wrzasnął:

– Wynoś mi się stąd, przeklęty łapiduchu, bo ci łeb utnę za próbę zamorzenia głodem władzy państwowej! Mnie zaś niech natychmiast dadzą jeść albo zrezygnuję ze stanowiska, bo ziarnka bobu nie jest warta posada, na której się nie można najeść do syta!

Przerażony lekarz zaczął się wycofywać ku wyjściu, ale w tej chwili wbiegł, potrącając go, zakurzony posłaniec i przyklęknąwszy przed Sanczem podał mu zapieczętowany list. Sanczo oddał list majordomusowi, każąc mu odczytać nadawcę i adresata. Nadawcą był sam Książę, adres zaś brzmiał: DON SANCZO PANSA, GUBERNATOR WYSPY BARATARIA, DO RĄK WŁASNYCH ALBO JEGO SEKRETARZA.

– Mam jakiego sekretarza ? – zapytał Sanczo Pansa.

– Ja nim jestem – odezwał się jeden z obecnych – ponieważ umiem czytać i pisać.

– Czytajcie przeto tak dobrze, jak umiecie – zarządził gubernator.

Sekretarz odpieczętował list, przybliżył go do oczu i odczytał, co następuje:

„Czuwajcie, drogi Don Sanczo Pansa, albowiem doniesiono mi, że wrogowie szykują się do zdradzieckiego napadu którejś ciemnej nocy. Ponadto czterech przebranych zamachowców jest już prawdopodobnie na wyspie, strzeżcie się więc wszystkich, którzy zechcą się do was zbliżyć, i nie jedzcie potraw, które mogą być zatrute. W razie czego wezwijcie mnie, a przyjdę wam z pomocą, ale w ogóle zdaję się na wasz przysłowiowy rozsądek. Dan w miejscu, dzisiaj rano – Wasz przyjaciel Książę".

– Jednym z zamachowców jest niechybnie lekarz – powiedział Sanczo Pansa – zaczniemy więc od wrzucenia go do lochu. Gdzie on się podział?

Lekarz zniknął jednak w trakcie odczytywania listu, Sanczo Pansa machnął zatem ręką i kontynuował:

– Wy, panie sekretarzu, odpiszcie Księciu, że będę się kierował jego poleceniami i przestrogami jak Dziesięciorgiem Przykazań. Dalej napiszcie, że całuję ręce jego i Księżnej pani, a także mojego dobrego pana, Don Kichota z La Manczy, za którym bardzo się już stęskniłem, a ponadto napiszcie, co uważacie, bo powinniście to umieć, skoro tacy jesteście uczeni. A wy, panie majordomusie, tak podobni do pewnej osoby, której nie wymienię, ale dla której coś niecoś zrobiłem bardzo się narażając, sprawcie, żeby mi dali choć kawałek chleba z cebulą, bo dłużej już nie wytrzymam tego rządzenia.

– Przy wystawnej wieczerzy powetujecie sobie, wasza apetyczność, zbyt postny obiad – przyrzekł majordomus. – Teraz zaś przybył do was interesant i błaga o posłuchanie.

– Zamachowiec? – zapytał niespokojnie Sanczo Pansa.

– Nie, prostaczek.

– W samej rzeczy musi to być prostaczek, skoro nie wie, że my, rządzący, też musimy mieć trochę czasu na posiłek i odpoczynek, kiedy nie należy się nam naprzykrzać. Dalibóg,

coraz uciążliwsze zdaje mi się to stanowisko. Trudno, niech wejdzie, tylko niech szybko gada, o co mu chodzi.

Chłopina, który padł do nóg gubernatorowi, nie potrafił jednak gadać szybko, o co mu chodzi, przede wszystkim dlatego, że był jąkałą, a po drugie – że za istotne uważał różne okoliczności, dotyczące żony zmarłej w połogu dwadzieścia lat temu, a także wszystkich synów żyjących i nieżyjących, chociaż chodziło tylko o jednego z nich, który właśnie miał ochotę się żenić. Ten to syn był trochę dziwny, bo sam siebie tłukł kułakami i płakał, a ponadto trzy razy dziennie miał trzęsionkę, spowodowaną, jak sądził ojciec, przez napastujące go demony. Za to dziewczę, które chciał pojąć, było połamane, bezzębne i miało jeszcze pewną ilość niecodziennych przymiotów, które petent opisał bardzo rozwlekle i drobiazgowo, zaznaczając przy tym, że jemu przyszła synowa bardzo się podoba.

– No, dobrze – westchnął Sanczo Pansa, nie bez trudu wysłuchawszy tego wszystkiego, co trwało z siedem razy dłużej, niż powtórzyłem wam tutaj w ogromnym skrócie– a czegóż właściwie, mój poczciwcze, życzysz sobie ode mnie?

– Chciałbym tylko – rozpromienił się chłopina – żeby pan gubernator podarował mi dla młodej pary trzysta albo lepiej sześćset albo i z dziewięćset dukatów, żeby mieli na początek, a później to się zobaczy.

– I to wszystko? – zapytał Sanczo. – Więcej nic nie chcesz? Nie przemilczaj z nieśmiałości albo z obawy.

– Jakbyście dali tysiąc dwieście, to czemu nie – zgodził się petent – albo co łaska więcej, ale więcej to mi już trudno policzyć.

Ledwie skończył, gubernator zerwał się z miejsca, złapał za fotel, na którym siedział, i ryknął:

– Łeb ci rozwalę, ty wydrwigroszu, taki synu, dobry tato, chamie nieokrzesany! Dukatów ode mnie żądasz, trzystu albo sześciuset, albo więcej co łaska? Skąd mam ci je wziąć, kiedy doba nie upłynęła, jak objąłem rządy w Baratarii? A choćbym i miał, za cóż miałbym ci je darować? Masz mnie za półgłówka, a może kto inny przez ciebie wypróbować pragnie moją głupotę? Precz mi z oczu, żywo, bo zrobię, com powiedział, jak mi Bóg miły! A wy, panie z brodą – zwrócił się do majordomusa – powiadaliście, że to nie zamachowiec, otóż mówię wam, że to zamachowiec na mój spokój, na moje zdrowie, na krew, która mi uderza do głowy!

Majordomus prędko dał znak chłopinie, by się wycofał, co ten nie mieszkając uczynił, a Sanczo Pansa zasapany odstawił fotel, opadł nań bez sił i jak ryba wyjęta z wody łapał powietrze. Uspokoiwszy się rzekł:

– Zaiste, przez natręta tego przeszedł mi apetyt, nie będę już dziś wieczerzał i pójdę spać na głodnego. Gdzie jest moja sypialnia?

– Sypialnia jest niedaleko – odrzekł majordomus – i w każdej chwili możecie, wasza bezsenność, zostać tam zaprowadzeni, istnieje atoli zwyczaj, że gubernator Baratarii przed snem robi obchód wyspy, by mieć pewność, że wszystko w porządku i może spać spokojnie do następnego ranka.

– Chodźmy przeto – nie chcąc sprzeniewierzyć się obowiązkom władzy, znowu zgodził się, mimo że oczy mu się kleiły, Sanczo. – Mam nadzieję, że ta wyspa nie okaże się tak rozległa, bym jej nie obszedł do rana.

I ruszył na ten obchód, energicznie wymachując laską, a w orszaku jego szli: majordomus o twarzy duenii Doloridy, sekretarz, który umiał czytać i pisać, wreszcie spora gromadka strażników, policjantów, protokolantów oraz takich funkcjonariuszy publicznych, których czynności wciąż pozostawały gubernatorowi niewiadome, ale z pewnością były bardzo potrzebne.

Obchód ten był nader uciążliwy, bo coraz to ktoś przed nimi uciekał, więc trzeba go było gonić, a nie zawsze się udawało dogonić, co denerwowało goniących, a znowu jak się

udawało dogonić, to też wychodziło głupio, jak na przykład z pewnym młodzieńcem, złapanym dzięki temu, że się potknął i upadł.

– Co cię skłoniło do ucieczki? – surowo zapytał gubernator.

– To, że mnie goniono, wasza szczególność.

– A czym się zajmujesz, kiedy nie uciekasz?

– Idę sobie powoli.

– Dokąd?

– Spodziewam się, że w końcu dojdę na cmentarz.

– A dokąd to dzisiaj szedłeś, nim zacząłeś uciekać?

– Zażyć powietrza.

– Ciekaw jestem, gdzie na tej wyspie zażywa się powietrza.

– Tam gdzie wieje.

– Ach tak! No więc teraz ja będę powietrzem, które powieje ci w tyłek i zdmuchnie prosto do więzienia! Tej nocy będziesz spał bez powietrza.

– Obawiam się, wasza przemożność, że do tego mnie nie zmusicie.

– Ja nie zmuszę ciebie? A czy ty wiesz, kto ja jestem?

– Jakakolwiek jest wasza władza, nikt nie zmusi mnie, póki żyję, żebym spał w więzieniu.

– Sądzisz, że przekupisz strażnika? Że jakiś czar skruszy twoje kajdany?

– Przyjmijmy–uśmiechając się uprzejmie rzekł młodzieniec – że straż będzie nieprzekupna, loch głęboki, a kajdany mocne. Ani chybi spędzę tę noc w więzieniu, skoro mnie tam wtrącicie. Jeśli wszakże nie zechcę zasnąć i przez całą noc oka nie zmrużę, jaką władzą zmusicie mnie, wasza całkowitość, żebym spał w więzieniu, jak powiadacie?

– Co prawda, to prawda – przyznał Sanczo Pansa. – Nigdy mi nie przyszło do głowy, że więzień może zachować tyle wolności, której niepodobna go pozbawić. Idź tedy z Bogiem, bo do końca wędrówki zdajesz się mieć jeszcze daleko, w każdym razie dalej ode mnie, choć się też nie śpieszę.

Na podobnych gonitwach, a niekiedy rozmowach, jak ta, którą przytoczyłem, unaoczniających Sanczowi ograniczoność jego władzy nad ludźmi, zeszedł nocny obchód Baratarii, i oto dzień zaświtał na wyspie, nie pora więc już była udawać się do sypialni, tylko należało zabierać się znów do rządzenia oraz sądzenia, spożywszy jedynie skromne śniadanie, złożone z łyżeczki konfitur i czterech łyków świeżej wody, bo nic więcej nie podano, niestety.

Tego dnia Sanczo rozstrzygnął znowu kilka konfliktów między poddanymi, wydał kilka praw, mających odtąd obowiązywać na wyspie, odebrał list Don Kichota, zgodnie z zawartą w tym liście radą odwiedził rynek, podyktował odpowiedź na list Don Kichota, a wieczorem był już tak zmęczony, że odmówiwszy kolejnego obchodu wyspy rzucił się na łoże, i zasnął. Historycy jego panowania powiedzą może, iż to zaśnięcie było głównym błędem gubernatora, bowiem właśnie z jego snu korzystając zebrali się wówczas zamachowcy, a byli nimi wszyscy ludzie, którzy go otaczali, pod przewodem majordomusa, i uradzili, jak dokonać przewrotu. Z drugiej strony wszakże, choć rację miał ów młody filozof, że człowiek może się czasem powstrzymać od snu na złość tym, którzy go do zaśnięcia zmuszają, o wiele trudniej jest utrzymać opadające powieki na złość własnej potrzebie i ochocie zaśnięcia, zwłaszcza wówczas, gdy się już dwie doby nie spało. Nie dziwmy się, że i Sanczo Pansa nie był do tego zdolny, a zresztą nie miejmy złudzeń: czyby spał, czy czuwał, zamach stanu i tak byłby nastąpił, bo postanowiono go z góry, jeszcze zanim nasz przyjaciel objął stanowisko na wyspie.

O zamachu jednak – we właściwej chwili; na razie parę szczegółów o drugim dniu rządów Sancza Pansy nad Baratarią.

Wspomniany list Don Kichota, oprócz wskazania, by gubernator odwiedził rynek (a także jatki oraz więzienie), zawierał między innymi rady następujące, dorzucone do tych, których udzielił mu był jeszcze w pałacu: żeby, chcąc pozyskać sobie zwykłych obywateli, nade

wszystko dbał, by nie zabrakło w sprzedaży środków żywności, i to po taniej cenie; „nic tak bowiem nie dręczy serc ludzi ubogich – dosłownie napisał błędny rycerz – jak głód i drożyzna”; obok tego zaś – żeby starał się być grzeczny dla wszystkich; żeby rozporządzenia, które wyda, były nie tylko słuszne, ale miały szansę, iż będą przestrzegane; żeby nie zwlekał z rozpatrywaniem spraw ludzi siedzących w więzieniu; żeby postrachem był dla rzeźników i wszystkich innych stojących przy wadze; żeby nie mogło o nim powstać mniemanie, iż jest chciwcem lub kobieciarzem...

Rzecz oczywista, iż Sanczo wysłuchał orędzia Don Kichota z wielką uwagą, w odpowiedzi zaś, którą podyktował sekretarzowi, wyłożył najpierw skargi, że tak zajęty jest na urzędzie swoim, iż brak mu nawet czasu na podrapanie się w głowę lub obcięcie paznokci, tak głodny, jak nie był nigdy, błądząc ze swym panem po największym odludziu, i dużo bardziej niewyspany niż wówczas, gdy dręczyły go mary na poddaszu zaklętego zajazdu. Kiedy jechał objąć władzę na Baratarii, wyobrażał sobie – tak się mianowicie dalej uskarżał – iż będzie tłusto jadł i miękko spał; otóż nic z tego! Okazało się, że przybył tu na pokutę, jak do klasztoru. O tym zaś, co słyszy się, że gubernatorzy pobierają jakieś pensje, diety, dywidendy, okupy, haracze, podatki, dodatki i zadatki, tutaj nikt nie wspomina, a on sam nie wspomina także, bo nie ma komu, otoczony przez postacie nieżyczliwe sobie i podejrzane, jak ten majordomus o twarzy hrabiny Trifaldi lub jegomość podający się za lekarza i morzący głodem autora listu... Po tych skargach Sanczo przeszedł do sprawozdania ze swych poczynań i tu potwierdził, że i owszem, pilnie odwiedza rynek, na którym przyłapał już pewną przekupkę, że do świeżych orzeszków dosypuje spróchniałe i puste; za karę odebrał jej towar i rozdał dzieciom szkolnym, i zakazał pokazywać się przez dwa tygodnie na rynku... Na zakończenie listu Sanczo Pansa wyrażał nadzieję, że Don Kichota nie bardzo nękają czarnoksiężnicy, on sam zaś, jeśli dzięki podłemu lekarzowi nie postrada życia, szczęśliwie wydobędzie się w końcu z tego wielkorządztwa.

Resztę dnia gubernator spędził, jak się rzekło, na układaniu dekretów, z których przynajmniej część zasługuje tutaj na wymienienie, jak to: obniżenie ceny obuwia, zezwolenie na sprowadzanie wina skąd kto chce, byleby go nie fałszować i nie rozcieńczać, ustalenie wysokości poborów dla służby, ustanowienie kontroli, czy żebrzący o wsparcie ślepi i beznodzy są nimi rzeczywiście, wypędzenie z wyspy poetów trudniących się rymowanym pochlebstwem i przerabiających co jakiś czas dedykacje na poematach. Przytaczając te i inne słuszne prawa ułożone przez Sancza Pansę, Cervantes twierdzi, a nie ma powodu, by mu nie wierzyć, że zachowano je na Baratarii długo jeszcze po obaleniu gubernatora, co stanowi niewątpliwą pociechę dla wszystkich, pragnących aby dobro w życiu społecznym było trwalsze niż ci, którzy dobro czynią.

Rozdział czterdziesty ósmy, w którym dowiadujemy się, co porabiał pozbawiony towarzystwa wiernego giermka Don Kichot

Sanczo Pansa śpi wreszcie; spiskowcy spiskują; my wróćmy do Don Kichota.

Już w parę chwil po odjeździe giermka błędny rycerz poczuł wielki smutek i osamotnienie na książęcym dworze, a nieco później, gdy po wieczerzy udał się do swojej komnaty i jął rozbierać się do snu (wyjednawszy sobie uprzednio w dyskusji z Księżną, że żadne dworki urodziwe nie będą mu usługiwać i w ogóle nikt nie zrani jego wstydliwości; ba, wzruszona surowymi obyczajami rycerza, Księżna z własnej inicjatywy oznajmiła mu, że znajdzie u siebie naczynie, pozwalające na nieotwieranie przez całą noc drzwi zamkniętej komnaty), otóż gdy jął rozbierać się do snu, oprócz smutku i osamotnienia poczuł też wielką niewygodę z nieobecności Sancza Pansy, w trakcie bowiem ściągania z chudych łydek pięknych zielonych pończoch na jednej z nich puściło oczko, a za pierwszym drugie i w sumie dwa tuziny oczek, tak że pończocha stała się podobna do żaluzji. Sanczo Pansa byłby połapał oczka, niechby nawet jedwabiem innego koloru, ale co miał uczynić Don Kichot? Siedział tak markotnie na łóżku, aż przyszła mu myśl, że nazajutrz włoży wysokie buty podróżne; to go nieco pocieszyło, więc położył się, gasząc uprzednio świece i uchylając okno zakratowane, mimo nocy bowiem panował straszliwy upał.

Niestety! Choć trudno spać w dusznej komnacie, otwarcie okna na ogród również nie sprzyjało błogiemu snowi; ktoś po ogrodzie chodził i rozmawiał; przysłuchawszy się, z jakimż osłupieniem dowiedział się Don Kichot z owej rozmowy, a raczej ze zwierzeń jednej dworki drugiej dworce, że ta pierwsza, imieniem Altisidora, zakochała się śmiertelnie w nim właśnie, ani o to dbając, że jego serce, co powszechnie było wiadomym, należało na zawsze i wyłącznie do niezrównanej, chwilowo zaś zaczarowanej, pani Dulcynei z Toboso. Nie poprzestając na zwierzeniach, piękna – sądząc po głosie – Altisidora, akompaniując sobie na harfie, odśpiewała długą romancę o swej miłości do Don Kichota, czego wysłuchał do końca, po czym zatrzasnął okno i rzucił się na łoże, wzdychając i mrucząc: czego ode mnie chcecie, nierozumne dziewice? Nie mogę należeć do żadnej innej, skoro do tej jednej należę! Nie błagajcie mnie i nie kuście –pozostanę czysty, wierny i obyczajny, na przekór waszym wdziękom i czarom!

Po czym, mimo takich wzruszeń i zmartwień, nie od razu, ale jednak zasnął.

Altisidora napastowała go swoją miłością również w dzień: mdlała na jego widok, a jak nie mdlała, to wymownie wzdychała lub wygłaszała niby to nikogo nie dotyczące zdania o

okrutnych rycerzach – Don Kichot jednak, choć dręczyło go sumienie na widok takich cierpień zakochanej dziewicy, pozostawał nieubłagany.

Kolejnym powodem złego samopoczucia Don Kichota pod nieobecność Sancza Pansy stało się to, że dość długo już przebywał na książęcym dworze, a przecież – powiadało mu sumienie – bynajmniej nie takie pieczeniarstwo jest istotą egzystencji rycerskiej; więcej – żywot, jaki tu pędzi, jest wprost przeciwny powołaniu i przepisom rycerskiego stanu. Postanowił w końcu, że opuści pałac i, choć bez giermka, uda się, jak wyruszając na tę właśnie wyprawę, od jakiegoś czasu przerwaną, zamierzał przecież, do Saragossy, gdzie w turniejach uczestnicząc, pokona wszystkich rycerzy krajowych i zagranicznych i nieśmiertelną sławą okryje siebie, damę swego serca Dulcyneę z Toboso i swą ziemię ojczystą – piękną La Manczę. Miał to właśnie oznajmić Księciu i Księżnie, i odchrząknął już nawet, siedząc z nimi przy stole, by rozpocząć przemowę, uzasadniającą i wykładającą powzięty zamiar, gdy nagle do sali, w której to się działo, weszły dwie niewiasty w gęstej żałobie i rzuciły się Don Kichotowi do kolan. Tak boleśnie przy tym wzdychały i jęczały, że w rycerzu wielka litość wezbrała i zerwał się od stołu, by je podnieść, prosząc przy tym usilnie o odsłonięcie twarzy i powiedzenie, jaka krzywda lub nieszczęście sprowadza je tu do niego.

Błędny rycerz nie dziwił się, oczywiście, niczemu, jakież jednak było zdziwienie obojga Księstwa, gdy po odsłonięciu twarzy żałobnie okazało się, że jedną z nich jest ochmistrzyni ich dworu, pani Rodriguez, drugą zaś córka tejże, panna takiej sobie urody. Jedną i drugą Księstwo znali jako osoby dość prozaiczne, nieoczekiwane więc było ich rzucenie się do kolan błędnego rycerza, gest taki bowiem, każdy przyzna, ma w sobie coś prawdziwie poetyckiego. Pani Rodriguez, nic na razie nie tłumacząc, poprosiła Księstwa o pozwolenie na przedłożenie swej sprawy Don Kichotowi, a gdy Książę pozwolił, sam był bowiem ciekaw, o co tu chodzi, opowiedziała, szlochając, że jej naiwne dziecię, to właśnie, które przyprowadziła ze sobą, dało się, słuchając pięknych słówek pewnego nicponia, uwieść i, niestety, nie jest już takie, jakie było, nim to się stało. Ten łobuz, nawiasem mówiąc, syn bogatego rolnika z sąsiedztwa, choć przyrzekał, że się z nią ożeni, teraz ani myśli dotrzymać słowa.

– Z tego, co słyszałam o błędnych rycerzach – zakończyła ochmistrzyni – mniemam, że moglibyście, wasza osobistość, wyzwać tego szalbierza na pojedynek i pokonawszy, zmusić, by się z moją córką ożenił. Błagam, nie odmawiajcie obrony biednej wdowie oraz sierocie!

Don Kichot poweselał na wieść, że znowu potrzebne jest dla przywrócenia ładu moralnego na świecie jego waleczne ramię, zaniechał więc natychmiast niedawnego zamiaru opuszczenia pałacu i rzekł:

– Dość płaczów, pani, prośby zaś całkiem tu niepotrzebne, kiedy obowiązek rycerski mnie wzywa. Córka wasza zawiniła niechybnie, dając ucha obietnicom hultaja, ale mimo to należy jej się spełnienie owych obietnic, i biorę to na siebie, że zostaną spełnione. Odnajdę tego panka, wyzwę go i pokonam; jeśli zaś odmówi dotrzymania danego słowa – bez litości zabiję.

– Ani nie musicie go szukać, ani wyzywać – oświadczył Książę. – Uważam, że już jest wyzwany i zawiadomię go o tym, przypilnuję też, by się stawił. Ze swej strony, skoro za wasz rycerski obowiązek poczytujecie stoczenie tego pojedynku, moją powinnością jako władcy będzie przygotowanie wam pola i zadbanie, by odbył się zgodnie z prawidłami i w warunkach jednakowych dla obu walczących.

– A więc – uzupełnił Don Kichot – na ten raz nie pytam o szlachectwo mego przeciwnika i uznaję go godnym potykania się ze mną; zostanie mężem tej dziewicy lub zginie – co rzekłszy, rzucił rękawicę na środek sali, a Książę podjął ją w imieniu swego wasala i wyznaczył pojedynek na szósty dzień od tego, w którym rzecz się działa.

Dla dochowania formalności pani Rodriguez z córką przy świadkach złożyły swą sprawę w ręce Don Kichota, a on ją przyjął; Książę ogłosił jeszcze pewne szczegóły przyszłego

pojedynku; Księżna wreszcie oznajmiła, że od tej chwili nie uważa pani Rodriguez za swą ochmistrzynię, a panny Rodriguez – za córkę ochmistrzyni, lecz obydwie – za damy z przygód rycerskich, które przybyły tu w poszukiwaniu obrony.

– W związku z powyższym – zakomunikowała Księżna osłupiałej służbie – te szlachetne panie są gośćmi pałacu i jako takim należy im usługiwać; zamieszkają w skrzydle gościnnym; i biada temu z was, który o tym zapomni.

Don Kichot powstał od stołu, złożył głęboki ukłon Księstwu oraz damom ze swej nowej przygody i udał się do stajni, żeby w czasie, jaki pozostawał do pojedynku z uwodzicielem panny Rodriguez, poćwiczyć nieco odwykłego od trudów Rosynanta.

Rozdział czterdziesty dziewiąty, w którym, jak wszystkie rzeczy doczesne, dobiegają końca rządy Sancza Pansy na wyspie

Gubernator Baratarii, Don Sanczo Pansa, siódmej nocy swoich pamiętnych rządów wyciągnął się na posianiu, syty nie tyle dań wspaniałych i trunków podniecających, sławy i władzy, zaszczytów i przyjemności, co wydawania wyroków i rozporządzeń, przyjmowania natrętów, głowienia się nad sprawami, które niewiele go obchodziły. Znużenie i głód początkowo nie dawały mu usnąć, ale w końcu, ukołysany przez nocną ciszę, zaczął zapadać w drzemkę – i wtedy właśnie wytrąciło go z niej wielkie dzwonienie, a także wrzawa, która z wielu stron nagle wybuchła. Zaniepokojony, usiadł na łożu i zaczął się wsłuchiwać w te niepojęte hałasy, coraz to przybierające na sile i złożone już nie tylko z dzwonów i głosów zgiełkliwych, ale także z trąb i bębnów, a wreszcie z tupotu i strzelaniny. Przerażony wyskoczył z łoża, tak jak był, w samej koszuli, i z sypialni swej wyszedł na korytarz, którym przebiegali tam i z powrotem jacyś ludzie z pochodniami i dobytymi szpadami.

– Do broni! – krzyczeli. – Wszyscy do broni! – ujrzawszy zaś gubernatora, zwrócili się do niego: – Wasza przyrodzoność, ratujcie wyspę! Wróg wdarł się z północy i południa, z zachodu i wschodu, a także z północnego zachodu, południowego wschodu i pozostałych stron świata!

– Wróg? – powtórzył w osłupieniu Sanczo. – Jaki wróg? O co mu chodzi?

– Odwieczny wróg, wasza nadprzyrodzoność! Uzbrójcie się szybko, by obronić przed wrogiem siebie i nas, waszych wiernych poddanych!

– Ja mam obronić? Nic się na tym nie znam, dalibóg. Trzeba wezwać mojego pana Don Kichota z La Manczy, dla niego w to graj – bronić, zbroić, gromić; ale cóż mnie do tego?

Wierni poddani nie dawali się jednak przekonać, że wojna z. wrogiem, który napadł wyspę, nie dotyczy gubernatora.

– Otrząśnijcie się z tej gnuśności, wasza gorliwość! – wołali. – Przynieśliśmy wam broń zaczepną i odporną; uzbrójcie się i przewodźcie nam w walce!

– Niech będzie – poddał się z westchnieniem rezygnacji Sanczo Pansa, a ci, jakby na to tylko czekali, obskoczyli go zaraz i wprost na koszulę założyli mu dwie pawęże drewniane, z przodu i z tyłu, które mocno ściągnęli rzemieniami, tak że nie mógł się ruszyć. W rękę wetknęli mu dzidę, której użył za podpórkę, bo ledwie się już trzymał na nogach, ale oni nie zważali na to, tylko popychali, żeby poszedł na czele i poprowadził ich do ataku.

– Te dechy nie dadzą mi się ruszyć – mówił Sanczo – ustawcie mnie raczej na jakim przesmyku albo w wylocie i będę go bronił własnym ciałem, a do ataku, z Bogiem, ruszajcie sami!

Nieubłagani, nie słuchali argumentów, i wciąż pchali nieszczęśnika, wyrzucając mu niegodny rządzącego brak animuszu.

Pocąc się i męcząc, usiłował zrobić krok do przodu, ale zaraz upadł na ziemię i pozostał na niej, nie mogąc się podnieść, podobny do żółwia, tylko takiego niezwykłego, który z obu stron ma skorupy. Wierni poddani, nie usiłując go podnieść, nadal miotali się tam i z powrotem, krzycząc:

– Do broni! Wszyscy do broni! – i nieraz przy tym przebiegali po Sanczu, skulonym w swoich pawężach, depcząc go i padając na niego, a najenergiczniejszy stał nawet na nim przez jakiś czas jak na podwyższeniu, z którego rzekomo kierował obroną wyspy.

– Tutaj! – wołał. – Tam! Zamykać bramę! Otwierać! Odpierać! Odbierać! Walić! Palić! Lać smołę! Dać szkołę! Oliwa sprawiedliwa!–i wiele innych jeszcze wznosił okrzyków.

Sanczo, pognieciony i poturbowany, leżąc w swoich pawężach, słuchał tego wszystkiego i modlił się po cichu, żeby wróg już wziął wyspę, a on, żywy czy umarły, żeby przestał wreszcie znosić to, co znosił w tej chwili.

Raptem, w najmniej spodziewanym momencie, usłyszał nowe głosy:

– Zwycięstwo! Wróg pobity, odbity i dobity! Pod waszym przewodem pokonaliśmy odwiecznego wroga! Wstawajcie, panie gubernatorze, triumfować i dzielić łupy!

– Pomóżcie mi wstać – zbolałym głosem poprosił Sanczo.

Podnieśli go, odwiązali pawęże, a wówczas on, opadłszy na łoże, pozwolił sobie zemdleć na krótką chwilę, ocknąwszy się zaś, wstał, włożył kubrak i spodnie, i wolnym krokiem, prędzej bowiem nie mógł, taki był zmaltretowany, udał się w milczeniu do stajni. Wierni poddani szli za nim; w promieniach świtu można było rozpoznać twarze tych, którzy otaczali gubernatora od początku panowania nad Baratarią: lekarza, który chronił jego organizm przed szkodami mogącymi wyniknąć z wszystkich prawie posiłków, sekretarza, który umiał czytać i pisać, książęcego majordomusa, który odziedziczył brodę po odmienionej hrabinie Trifaldi, i wszystkich innych, nie wyłączając tych, których obowiązki do końca pozostały niewiadome dla Sancza Pansy. Teraz nie zwracał jednak na nikogo uwagi, tylko wkroczywszy do stajni podszedł do swego kłapoucha stojącego przy żłobie, ucałował go w czoło i rzekł:

– Pójdź, mój bracie, towarzyszu i przyjacielu! Niech wrócą te szczęśliwe czasy, kiedy jedyną moją troską było, jak nakarmić twój głodny żołądek i naprawić podartą uprząż! Nie chcę rządów, nie chcę sądów, nie chcę gubernatorskich niepokojów, pokojów i przedpokojów! Wracajmy tam, gdzie nasze miejsce!

Tak przemawiając do osła, okulbaczył go, a następnie dosiadł nie bez trudności i z wyżyny oślego grzbietu wygłosił mowę już nie do osła, lecz do ludzi, otaczających go w zakłopotaniu, nie wiedzieli bowiem, co to wszystko oznacza:

– Żegnam was, panowie, i wracam do życia! Nie urodziłem się na gubernatora, sędziego, obrońcę wysp przed odwiecznymi wrogami i takiego, który dla zdrowia morzy się głodem. Raczej mi okopywać kapustę, przycinać winorośl, doić kozę i jeść fasolę, albo nawet giermkować szalonemu panu mojemu Don Kichotowi, niż upierać się przy tym stanowisku, do którego może jestem za głupi, a może za mądry. Zostańcie z Bogiem, a wielmożnemu Księciu, który mnie tu osadził, zgodnie z prawdą donieście, że inaczej niż to bywa w obyczaju wielkorządców, goły na tym stolcu zasiadłem i goły zeń schodzę. To wszystko, co chciałem rzec, a teraz pilno mi jechać, żeby dotrzeć gdzieś, gdzie mnie kompresami obłożą, bo bardzo jestem podeptany i połamany.

– Ależ, wasza przykładność – powiedział lekarz – zostańcie, a zaordynuję wam okłady uzdrawiające, gdy zaś o jedzenie chodzi, to przyrzekam waszej dokładności pozwolić na spożywanie wszystkiego i tyle, ile wam się żywnie podoba, nawet z dokładką.

– Za późno – odparł Sanczo – nikt mnie już nie zatrzyma tutaj ani nie skłoni do objęcia rządów gdziekolwiek indziej.

– Nie śmiemy was zatrzymywać – zabrał głos majordomus – chociaż wielka to strata dla Baratarii. Jedźcie, skoro tak postanowiliście, zechcijcie tylko, wasza układność, jak przyjęte, stawić się po drodze u Księcia, dla zdania sprawy z dni i nocy swych rządów.

– Dopełnię tego – przyrzekł Sanczo. – Jeszcze raz, żegnajcie, panowie.

Pytali go jeszcze, co mogą dlań uczynić i czego by sobie życzył na drogę, ale przyjął tylko trochę obroku dla osła i chleba z serem dla siebie, po czym ściągnął wodze i wyjechał na trakt, zostawiając byłych poddanych dziwnie markotnych i wcale nie ochoczych do śmiechu, mimo że obiecywali sobie po dymisji gubernatora bardzo dobrą zabawę.

Rozdział pięćdziesiąty, w którym po paru wydarzeniach, oddzielających jeszcze od siebie rycerza i giermka, dochodzi wreszcie do ich upragnionego połączenia

Jak się cieszę – i wy z pewnością też się cieszycie – że już niedługo, ależ tak, nim się skończy rozdział, który właśnie zaczynam, spotkają się znowu Don Kichot i Sanczo Pansa, i pozostaną ze sobą, co będzie przecież znacznie naturalniejsze niż sytuacja, gdy są osobno, tacy jacyś niezupełni, niewykończeni, każdy jakby bez ręki albo bez nogi.

Dopiero razem będą na powrót prawdziwym Don Kichotem z La Manczy, błędnym rycerzem, i Sanczem Pansą prawdziwym, giermkiem Don Kichota.

A więc już niedługo – co nie znaczy, że natychmiast – i nim to nastąpi, po drodze to i owo jeszcze stać się musi. I temu właśnie,co się stanie,poświęcony będzie niniejszy rozdział.

Nie tak daleko ujechał Sanczo od porzuconej przez siebie wyspy, gdy spotkał idących z przeciwka sześciu pobożnych niemieckich pielgrzymów z kosturami. Zatrzymali się na jego widok, zaśpiewali chórem coś pobożnego i wyciągnęli ręce po jałmużnę, więc im oddał, co miał, czyli chleb z serem, ale oni, choć to przyjęli, nie byli zadowoleni i na migi żądali odeń pieniędzy. Tak samo na migi pokazał im, że nie ma, i już miał jechać dalej, gdy jeden z pielgrzymów, baczniej mu się przyjrzawszy, zawołał w najczystszym kastylskim, czyli hiszpańskim języku:

– Czy mnie wzrok nie myli? Toć to Sanczo Pansa!

– To ja w samej rzeczy – przyznał Sanczo Pansa, zdziwiony zarówno tym, że cudzoziemiec go zna, jak tym, że odzywa się po hiszpańsku.

– Nie poznajesz mnie, drogi sąsiedzie? – zapytał pielgrzym. – Jestem Rikote z twojej wsi, ciągle jeszcze mnie nie poznajesz?

– Teraz cię poznaję – powiedział Sanczo Pansa – mimo że jesteś przebrany.

Zsiadł z osła, uściskał napotkanego i dorzucił:

– Ale że też starczyło ci odwagi na powrót do Hiszpanii! Toć jeśli cię złapią i poznają, będziesz się miał z pyszna!

– Jeżeli ty mnie nie wydasz, a jestem przekonany, że tego nie uczynisz, nikt mnie nie pozna.

– Ja nie jestem z tych, co wydają – powiedział dumnie Sanczo Pansa. – Troszeczkę się tylko boję, ale chętnie bym z tobą pogawędził i posłuchał o twoich dziejach.

– A ja ci chętnie wszystko opowiem – rzekł Rikote – zwłaszcza że po wszystkim, co się stało, już się więcej bać nie potrafię.

Zamienił kilka słów po obcemu ze swoimi Niemcami i wszyscy razem usunęli się do pobliskiego gaju topolowego, gdzie rozłożyli zapasy (obfitsze i bardziej urozmaicone od chleba z serem, który przyjęli od Sancza Pansy) i zaprosili również naszego bohatera do wspólnej uczty, przed czym się wcale a wcale nie wzbraniał. Kiedy bukłaki były już puste, a chleb, ser, oliwki, mięso i kawior – zjedzone, Niemcy posnęli sobie, zaś Rikote opowiedział Sanczowi swoją historię.

Zanim ją powtórzę, muszę wytłumaczyć wam coś, czego Cervantes nie musiał tłumaczyć swoim czytelnikom, bowiem dobrze o tym wiedzieli, jako że działo się w ich ojczyźnie i dosyć wtedy niedawno, a częściowo nawet w ich przytomności. Otóż katoliccy królowie Hiszpanii w XV i XVI wieku uważali, że umiłowanie religii chrześcijańskiej wymaga pozbycia się innowierców, a więc licznie zamieszkałych w tym kraju i współtworzących jego kulturę Żydów i Maurów. Jednych i drugich wypędzono zatem, a część nawet okrutnie wyrżnięto; pozostali zaś początkowo ci, którzy przyjęli chrzest; takich nowych chrześcijan pochodzenia żydowskiego nazywano marranami, a pochodzenia mauretańskiego – moryskami. Po pewnym czasie jednak również marranów i morysków zaczęto tępić, mówiąc, że jedynie udają chrześcijan, a w głębi duszy pozostali, kim byli. Wielu spalono na stosie, a wszystkich skazano na wygnanie, co stało się nie tylko przyczyną licznych cierpień dotkniętych tym osób, ale, jak okazało się trochę później, zadało gospodarce Hiszpanii i w ogóle jej cywilizacji takie ciosy, z których kraj ten przez wieki nie potrafił się podnieść. Jak zawsze w podobnych sytuacjach, trafiali się ludzie, którzy korzystali z prześladowań swych dotychczasowych współobywateli, i inni, którzy im współczuli i pomagali, choć to ostatnie groziło poważnymi karami. Byli więc i marrani, i moryskowie, którym mimo wszystko udało się jakoś przetrwać i zatrzeć ślady pochodzenia od nie tych co należało przodków. Niektórzy badacze twierdzą, że sam Miguel de Cervantes Saavedra był kimś takim i to właśnie stało u podłoża przynajmniej części jego życiowych kłopotów i przykrości (których istotnie miał co niemiara). Nie wiem, czy to prawda, i zresztą niespecjalnie zależy mi na rozstrzygnięciu tej tajemnicy; prawdą jest natomiast, że Cervantes, jak jego bohaterowie, był po stronie prześladowanych i dobrze im życzył; tego dowodzi między innymi historia Rikota, dawnego sąsiada Sancza Pansy, spotkanego przezeń na drodze w stroju niemieckiego pielgrzyma, ale nie ukrywającego przed nim, kim jest naprawdę, wiedzącego bowiem, że Sanczo nań nie doniesie.

Rzecz w tym, że Rikote był moryskiem; i jego też, wraz z rodziną, dotknął edykt królewski, skazujący morysków na opuszczenie w określonym terminie Hiszpanii. Jak teraz opowiadał Sanczowi, natychmiast wyjechał, ale sam, by znaleźć dobre miejsce na osiedlenie, a następnie sprowadzić żonę i córkę. Był we Francji, był we Włoszech, a w końcu wynajął dom w pewnej wsi niemieckiej, z której co roku pielgrzymi udają się do świętych miejsc w Hiszpanii. Postanowił chodzić z pielgrzymami, nie dla dochodów, których ten proceder przysparza, ale żeby odwiedzać bezpiecznie ojczyznę, ciągle wytęsknioną, ciągle opłakiwaną, ciągle słodszą nad wszystkie kraje. Za pierwszą pielgrzymką chciał zabrać swoje niewiasty i odkopać skarb zakopany; niestety, zbyt wiele czasu zmitrężył w obcych krajach i nie zastał już na miejscu żony i córki; musiały ruszyć w drogę nie czekając na niego i udały się, choć gorliwe chrześcijanki, do muzułmańskiego Algieru, czego Rikote nie potrafił zrozumieć. Teraz pozostawało mu wykopanie skarbu i sprowadzenie obu niewiast z Algieru do Niemiec; ufał w Bogu, że choć trudne to przedsięwzięcie, przecież mu się powiedzie.

– Co do tego, że znalazły się w Algierze – powiedział Sanczo – to nie dziw się, bo zabrał je tam brat twojej żony; jako niewiasty musiały szukać oparcia w mężczyźnie, a ten był najbliższy, kiedy ciebie nie stało. A co do skarbu, to boję się, że nic nie znajdziesz, bo

słyszałem, że zabrano im dużo złotych monet i pereł, kiedy przed wyjazdem, zgodnie z rozporządzeniem, zaniosły je do zapisu.

– To nie ten skarb – zaprzeczył Rikote – bo mojego schowka one wcale nie znały; dla pewności nie wyjawiłem go nawet żonie i córce; ale tobie go wyjawię, jeśli zechcesz pomóc mi w wykopaniu i ukryciu tego, co moje; i dam ci za to dwieście eskudów; wiem, że ci się przydadzą.

– Zrobiłbym to – rzekł Sanczo – gdybym był bardziej chciwy niż bojaźliwy, ale że jestem bardziej bojaźliwy niż chciwy, to chyba nie zrobię; jedyne, co mogę, to życzyć ci pomyślności.

– Bóg zapłać – odparł Rikote – i nie będę cię namawiał, skoro jest tak, jak mówisz. Ale możesz jeszcze jedno: jeżeli byłeś w naszej wsi, kiedy moi ją opuszczali, możesz opowiedzieć mi, jak to było.

– Byłem w naszej wsi i mogę ci powiedzieć, że cała wieś je żegnała, płacząc, zwłaszcza zaś żałowano twojej córki, bo wszyscy mówili, że to najmilsze i najśliczniejsze stworzenie na świecie. Ja sam, choć nie miewam oczu na mokrym miejscu, płakałem nad nią; a wielu przemyśliwało, jak by ją porwać i ukryć, ale strach przed Santa Hermandad powstrzymał ich przed działaniem; a Don Gaspar Gregorio, ten młody dziedzic, o którym mówiono, że ją miłuje, przepadł gdzieś tego samego dnia i ludzie myślą, że pojechał w jej ślady.

Rikote podziękował Sanczowi za wiadomości, a że niemieccy pielgrzymi zaczęli się właśnie budzić z poobiedniej drzemki, co oznaczało, że zaraz ruszą w dalszą drogę do miejsc świętych oraz bogatych, obaj dawni sąsiedzi znów się uściskali, tym razem na pożegnanie, Sanczo dosiadł kłapoucha, Rikote podparł się kosturem, i tak się rozstali.

Do książęcego pałacu było już całkiem blisko, ale popas z pielgrzymami sprawił, że za dnia nie udało się Sanczowi dotrzeć do celu. Kiedy zaskoczyła go noc, zjechał z drogi, szukając miejsca, gdzie by najwygodniej doczekał ranka, długo jednak nie szukał, Opatrzność bowiem zdecydowała, gdzie ma tę noc spędzić, usuwając raptem osiołkowi grunt spod kopyt i wciągając zwierzę razem z człowiekiem w jakąś głęboką rozpadlinę wśród ruin. Riedy spadali, przerażony Sanczo sądził, że zatrzyma się na dnie piekieł, ale spadanie trwało krótko i znaleźli się w jamie nie aż tak głębokiej, chociaż dość głębokiej, żeby nie móc z niej wyjść bez pomocy. Osiołek doznał przy tym pewnego szwanku, pojękiwał więc z cicha, a Sanczowi nic się nie stało, co stwierdził obmacawszy głowę, nogi i wszystkie członki. Ucieszył się na chwilę, a zaraz potem zmartwił, gdy obmacał podobnie ściany swego więzienia i przekonał się, że zbyt są gładkie, by w jakikolwiek sposób wdrapać się na nie. Usiadł tedy na ziemi i akompaniując jękom kłapoucha zaczął wzdychać żałośnie, nie dla cierpień fizycznych, lecz dla duchowych, to znaczy dręczony przez imaginację, która podsuwała mu obrazy śmierci z głodu i opuszczenia w tej studni. Widział już nawet oczyma duszy tę chwilę, gdy po latach przypadkowy odkrywca wyciągnie spod ziemi pomieszane ze sobą kości zbielałe jego i osła, i nikt nie zdoła dociec, czyje to szczątki.

Na tych smutkach i ponurościach zeszła noc, a z promieniami dnia dostrzegł Sanczo w jednej ze ścian swego więzienia spory otwór, którego wcześniej po ciemku nie był się domacał. Podszedł bliżej, schylił się, skurczył i wlazł tam na czworakach, by znaleźć się już nie w studni, lecz w obszernej pieczarze lub może lochu, który ciągnął się dalej w głąb i nie wiadomo gdzie kończył. Sanczo Pansa zawrócił, kamieniem rozszerzył otwór i przeprowadził przezeń osła, po czym, prowadząc go za uzdę, jął się posuwać owym lochem czy też pieczarą, chwilami w ciemnościach, chwilami w półmroku albo nawet w sączącej się skądciś z góry jasności, ale cały czas z lękiem i niewielką nadzieją, że się stąd wydostanie.

Tego poranka, jak każdego zresztą w owych dniach przed czekającym go pojedynkiem, Don Kichot wyjechał konno w pole, by zarówno własne kości, rozleniwione pobytem w pałacu, jak kości zastałego w stajni Rosynanta zaprawić do niedalekiej już gry rycerskiej. Ćwiczył różne manewry i zwroty, a gdy w pewnej chwili spiął rumaka do szarży, ten zawisł

przednimi nogami nad szczeliną w głazie i zarżał przeraźliwie, co skłoniło rycerza do szybkiego ściągnięcia wodzów i cofnięcia Rosynanta wstecz: tak uniknęli karkołomnego upadku; w tej samej zaś chwili, gdy Don Kichot chciał odjechać od rozpadliny, usłyszał głos spod ziemi:

– Hej, czy jest tam w górze jakaś dusza chrześcijańska?

Głos wydał się Don Kichotowi znajomy, ale choćby i nie był znajomy, rycerz byłby się zatrzymał na takie wołanie.

– Ktoś ty w dole? – odkrzyknął.

– A któż by – odpowiedziano – jak nie Sanczo Pansa nieszczęsny, giermek słynnego rycerza Don Kichota z La Manczy i były gubernator wyspy Barataria!

– Czy jesteś duszą Sancza Pansy, pokutującą za grzechy? – zapytał przerażony Don Kichot. – Co mam, duszo, dla ciebie uczynić, mów! Zrobię wszystko, bo moim powołaniem jest niesienie pomocy potrzebującym na tym i na tamtym świecie.

– W takim razie – dobiegł głos spod ziemi – wasza miodoustość nie możecie być nikim innym, tylko Don Kichotem z La Manczy, moim dobrym panem, tym bardziej że głos macie też mego pana.

– Jestem Don Kichotem – potwierdził rycerz – nie miej więc, duszo, skrupułów i wszystko mi powiedz.

– Przysięgam – odparł głos spod ziemi, raźniejszy niż na początku – że nie jestem duszą pokutującą, lecz żywym, dzięki Bogu, giermkiem waszym, Sanczem Pansą, który wpadł do tej dziury wraz ze swym osłem i nie potrafi się z niej wydostać.

W tej samej chwili osioł gwałtownie ryknął, jakby chcąc potwierdzić oświadczenie Sancza, i rzeczywiście było to dla Don Kichota potwierdzenie wystarczające, więc ucieszony powiedział, że zaraz przyprowadzi ludzi z pałacu, którzy wyciągną i Sancza, i kłapoucha.

Tak się też stało; Książę i Księżna wysłuchali wiadomości o przygodzie Sancza i zrozumieli, że musiał wpaść do starego podziemia, o którego istnieniu dobrze wiedzieli; nie zrozumieli tylko, jak to się stało, że nie uprzedzając ich, porzucił stolec gubernatorski na Baratarii; zostawiając jednak wyjaśnienie tej sprawy na później, wysłali ludzi z hakami i linami, którzy nie bez trudu wyciągnęli na powierzchnię Sancza i osła.

Don Kichot i Sanczo Pansa padli sobie w ramiona, a Rosynant i kłapouch czule potarli się łbami; dla ludzi i dla zwierząt moment naprawdę był wzruszający; po tym zaś powitaniu Sanczo padł na kolana przed Księciem i Księżną, i rzekł:

– Obdarzyliście mnie, wasze wyniosłości, tym urzędem, którego w głupocie swojej pragnąłem, ale już nie pragnę i nie zapragnę. Jak rządziłem, doniosą wam inni; choćby mylili się lub łgali, ich sąd o mnie będzie bardziej się liczył niźli mój własny. Co na wyspie zostanie po moich rządach, okaże się później; mnie nie zostało nic; goły do Baratarii przybyłem i goły powracam; trochę nawet straciłem na ciele dzięki medykowi przybocznemu i innym; tego sobie już nie odbiorę, niech będzie moja strata; zresztą źle mówię, bo jest i coś, co zyskałem – to przekonanie, że nie zależy mi na rządzeniu ani wyspą, ani królestwem, ani całym światem. Dziękuję tedy waszym podniosłościom za wszystkie dobrodziejstwa, jakimi mnie obsypali, całuję wasze ręce i stopy, i jak dzieci, gdy się bawią w komórki do wynajęcia, opuszczam tę komórkę, niech w nią wskoczy kto inny, a ja wskakuję w moją starą komórkę, czyli przechodzę na giermkowanie panu mojemu, Don Kichotowi z La Manczy, zwanemu też Rycerzem Lwów, za którym strasznie się stęskniłem, nie mówiąc o tym, że, jak mi szepnął, oczka mu puściły na zielonej pończosze i nie miał ich kto załapać, ale zdaje się, że za długo już przemawiam, więc na tym kończę.

Don Kichot, usłyszawszy o tych oczkach, aż zazgrzytał zębami i zbladł z wściekłości; całe szczęście, że giermek w tym miejscu skończył i nikt wątku zielonej pończochy nie podjął; Książę powiedział tylko, że z przykrością przyjmuje rezygnację Sancza Pansy ze stanowiska, ale ma nadzieję, że w przyszłości zechce on przyjąć jakąś inną ofertę; Księżna zaś

powiedziała, że widząc, jaki jest zmarnowany, zaraz rozkaże przygotować dlań posiłek i pościel, którą to zapowiedź Sanczo przyjął wdzięcznie, kłaniając się i kładąc rękę na sercu.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy, w którym Don Kichot stacza bohaterski pojedynek w obronie skrzywdzonej panny Rodriguez

Kiedy Książę w imieniu swego wasala podjął rękawicę Don Kichota i zapowiedział, że sprowadzi pozwanego, tudzież zatroszczy się o pole i wszelkie warunki ustanowionego spotkania, miał zamiar rzeczywiście wymóc na młodym człowieku, który nie chciał pojąć za żonę panny Rodriguez, stawienie się i stoczenie z Don Kichotem rycerskiej walki. Nie dbał, oczywiście, o krzywdę panny Rodriguez, ale, jak zwykle, o zabawę, której spodziewał się po tym starciu. Jednakże młodzieniec, o którego chodziło, uciekł gdzie pieprz rośnie, nie przed mieczem Don Kichota, o tym bowiem, że został wyzwany, nie zdążył się jeszcze dowiedzieć, ale przed panią Rodriguez, która jako przyszła teściowa przerażała go bardziej od Lucypera. Książę atoli niełatwo rezygnował z zabawy i skoro właściwy winowajca uciekł, wyznaczył do pełnienia jego roli jednego ze swych lokajów imieniem Tosilos. Pojedynek miał się więc odbyć; z tym, że ani Don Kichota, ani obu zainteresowanych pań nie zawiadomiono, iż w szrankach stanie nie ten, który tak brzydko potraktował kochającą go pannę, lecz ktoś nie mający z tym nic wspólnego.

Nadszedł wreszcie dzień wyznaczony; na dziedzińcu zamkowym ustawiono trybuny dla sędziów spotkania i dla obu dam, które wniosły skargę; naokoło rozłożyło się też mnóstwo przybyszów z okolicznych wsi i miasteczek, ponieważ wieść gminna o niezwykłym widowisku, jakie miało nastąpić, obiegła i podnieciła mieszkańców tej ziemi na wiele mil wkoło.

Pierwszy wkroczył na pole wyznaczony przez Księcia mistrz ceremonii, którym był – no, któż by? – ano, przybyły w ślad za Sanczem z Baratarii majordomus o twarzy i brodzie zaginionej bezpowrotnie hrabiny Trifaldi. Zbadał on, czy pole jest równe i nie kryje jakiejś przeszkody, o którą walczący mogliby się potknąć i upaść; zbadał też broń, która miała być użyta w pojedynku, a w szczególności sprawdził, czy zgodnie z rozkazem Księcia kopie mają zdjęte śmiertelne ostrza; wreszcie dał znak, że wszystko w porządku, i z dwu przeciwległych stron wjechali w szranki obaj zawodnicy, witani fanfarami i oklaskami.

Przeciwnik Don Kichota był rosłym mężczyzną, zakutym w potężną zbroję i usadowionym na odpowiednim dla jego postury koniu. Twarzy jego nie było widać za spuszczoną przyłbicą, jemu natomiast wystarczyło szpary na oczy, by wszystko dokładnie widzieć, korzystał więc z tego, bacznie się rozglądając, a przede wszystkim wpatrując się przez dłuższą chwilę w tę, o którą toczyła się walka. Warunki były wyraźne i proste: jeżeli zwycięży Don Kichot, jego

zwyciężony przeciwnik nie uchyli się od poślubienia córki pani Rodriguez ; w przeciwnym razie – nie będzie miał tego obowiązku i biedne dziewczę nie zmieni stanu panieńskiego na stan małżeński. Otóż stała się rzecz nieprzewidziana, bo w chwili, gdy Tosilos przypatrywał się przyczynie pojedynku, drżącej z niepokoju o jego przebieg, poczuł raptem, że panna bardzo mu się podoba, więcej – że zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia, a było to naprawdę pierwsze wejrzenie, Tosilos bowiem, z woli Księcia zastępujący w pojedynku właściwego winowajcę, nigdy przedtem nie widział tej, o którą dzisiaj miał walczyć.

Tymczasem mistrz ceremonii ustawił pojedynkujących się tak, żeby każdy miał za sobą i przeciw sobie tyle samo słońca, i machnął ręką na znak, że można zaczynać; znów rozległ się wysoki dźwięk trąb, zahuczały złowieszczo bębny – i Don Kichot ruszył do ataku, galopem, ma się rozumieć, owym słynnym, galopem Rosynanta, na którym nie każdy by się poznał, ale kto znał Rosynanta, ten wiedział, że to galop bojowy.

– Niech żyje Don Kichot z La Manczy – wzniósł okrzyk Sanczo Pansa – najwspanialszy z błędnych rycerzy, po którego stronie zawsze jest słuszność! Niech żyje i zwycięża!

Tosilos widział bohaterski pęd atakującego Don Kichota, ale nie ruszył mu naprzeciw w takim samym pędzie, ani w ogóle nie ruszył z miejsca, lecz głośno przywołał mistrza ceremonii, który natychmiast przybył, pełen obaw, czy aby nie uchybiono jakimś istotnym prawidłom spotkania.

– Czy dobrze rozumiem – zapytał Tosilos, podczas gdy Don Kichot, widząc, że przeciwnik nie rusza mu naprzeciw, też zatrzymał się w miejscu – czy dobrze rozumiem, że w spotkaniu tym chodzi, bym ożenił się z tą tutaj nadobną panną?

– Dobrze rozumiecie.

– W takim razie – rzekł Tosilos – nie mamy o co krzyżować kopii, bo ja, zwyciężony przez jej wdzięk i urodę, pragnę natychmiast się z nią ożenić.

Mistrz ceremonii zdumiał się, nie był bowiem przekonany o wdzięku i urodzie panny Rodriguez, nie on jeden zresztą, bo trzeba było naprawdę się w niej zakochać, by uwierzyć w te jej przymioty, a ponadto mistrz ceremonii wiedział, że Tosilos uczestniczy w pojedynku nie dla jakiejkolwiek osobistej przyczyny, lecz na rozkaz Księcia, który chce się zabawić, tym dziwniejsze więc było zachowanie zakutego w pancerz lokaja. Nie pozostawało mistrzowi ceremonii nic innego, jak zawiadomić o wszystkim Księcia, który okropnie się rozgniewał na Tosilosa. Ale ten, na nic nie zważając, podjechał tymczasem pod trybunę, gdzie siedziały matka i córka, i oświadczył się formalnie o rękę panny Rodriguez.

– Skoro tak – powiedział, słysząc to, Don Kichot – jestem zwolniony z zobowiązania i mogę jedynie życzyć wszelkiej pomyślności młodej parze.

– Tak powinny się kończyć wszystkie pojedynki – dodał Sanczo Pansa, pomagając swemu panu zejść z Rosynanta.

Książę z chmurną miną zszedł na dziedziniec zamkowy i zwrócił się do Tosilosa:

– Więc bez walki, rycerzu, uznajecie się za zwyciężonego?

– Chcę ją poślubić, panie – odparł Tosilos.

– Zdejmijcie tedy przyłbicę.

Tosilos zdjął hełm wraz z przyłbicą i wszyscy ujrzeli nie rycerską wcale, choć sympatyczną, twarz książęcego lokaja.

– Oszustwo!–krzyknęła pani Rodriguez.–Złośliwość i niegodziwość! To lokaj Księcia pana, Tosilos, a nie ten, który obiecał poślubić moją córkę!

– Ale ten, który chce ją poślubić – zauważył na stronie Sanczo Pansa. – Czy to nie więcej warte?

– Nie oburzaj się, pani – rzekł Don Kichot. – Nikt was tu nie chciał oszukać, a jeśli można mówić o złośliwości, to nie ze strony ludzi, tylko podłych czarnoksiężników, którzy mnie prześladują i raz jeszcze postanowili obrabować z chwały zwycięstwa, zamieniając tego, z którym miałem walczyć, w książęcego lokaja.

Książę, któremu powrócił dobry humor, powiedział:

– Faktycznie, Don Kichotowi zdarzają się takie sprawy, tedy i ja gotów jestem uwierzyć, że mój lokaj nie jest sobą samym, tylko kimś innym, przemienionym w lokaja. Dla sprawdzenia tego potrzymam go ze dwa tygodnie w zamknięciu; tak długo nie może trwać złość czarnoksiężników na Don Kichota, więc na pewno ten, który zdaje się nam Tosilosem, odzyska do tego czasu właściwą postać.

– To nie jest pewne – odezwał się Sanczo Pansa – bo ci figlarze ciągle kogoś w kogoś zmieniają, gdy dotyczy to mego pana, jak na przykład Rycerza Zwierciadeł, którego pokonał, w bakałarza Samsona Karrasko z naszej wsi, a panią Dulcyneę z Toboso, którą miłuje, w zwyczajną, za przeproszeniem, babę; z powrotem zaś jakoś nie zmieniają albo stawiają nowe warunki, żeby zmienić, więc boję się, że ten lokaj zostanie już lokajem na całe życie.

– Kimkolwiek jest – powiedziała nagle panna Rodriguez – skoro chce mnie wziąć za żonę, niech bierze; wolę być prawowitą żoną lokaja niż uwiedzioną kochanką rycerza, którym zresztą tamten też wcale nie był.

Na takich rozmowach skończył się pojedynek Don Kichota w obronie skrzywdzonej panny Rodriguez.

Rozdział pięćdziesiąty drugi, w którym Don Kichot i Sanczo Pansa znowu są w drodze

Ten pojedynek, którego nie było, był, niestety, ostatnim zwycięskim pojedynkiem w rycerskich dziejach Don Kichota z La Manczy, które wprawdzie niezupełnie jeszcze dobiegają końca, ale dużo już bliżej mają do końca niż do początku, czego co prawda Don Kichot nie wie wcale, stojąc na dziedzińcu książęcego pałacu, ani Sanczo Pansa nie wie, ani nikt z obecnych w tym miejscu osób, ale ja nie mogę nie wiedzieć, wiem przeto i jestem szczerze tym zasmucony.

Kiedy piszę o staniu na dziedzińcu książęcego pałacu, nie mam na myśli owych chwil, opisanych w poprzednim rozdziale, tuż po poddaniu się Tosilosa, kiedy rozprawiano o rzekomej przemianie tego, który podniósł przyłbicę, oraz o decyzji panny Rodriguez, by go mimo wszystko poślubić; to już inne stanie, kilka dni później, gdy Don Kichot, z nową siłą trapiony wyrzutami sumienia, że pędzi żywot niegodny błędnego rycerza, za pozwoleniem Księcia i Księżny, i pożegnawszy ich uniżenie, ściskając chudymi kolanami chude boki Rosynanta, w pełnej zbroi opuszczał pałac; a Sanczo towarzyszył mu, naturalnie, na swym potężnie objuczonym kłapouchu, promieniejący radością, bo obdarzony przez majordomusa o twarzy hrabiny Trifaldi sakiewką zawierającą dwieście złotych eskudów na potrzeby podróży.

Z krużganków oglądali ten odjazd wszyscy domownicy Księcia i Księżny, z których każdy uczestniczył był w jakimś żarcie z rycerza i giermka, jak nie w myciu brody Sanczowi, to w podpaleniu drewnianego konia lub w procesji czarownika Merlina, i na wspomnienie tych żartów błąkały się jeszcze uśmiechy po twarzach mężów i niewiast, ale nikt jakoś nie odważył się zaśmiać głośno i wielką ciszą żegnano odjeżdżających, i było w tej ciszy jakby zakłopotanie czy zawstydzenie. Jedna tylko znalazła się istota, która nawet w tej patetycznej chwili ciągnęła swoją dawniej zaczętą kpinę – może dlatego, że nie osiągnęła w niej dotąd prawdziwego sukcesu? A może to wcale nie była kpina ? Mówię o pięknej dworce Altisidorze, która przerwała ciszę Donkichotowego odjazdu, uderzając w struny harfy i wyśpiewując dźwięcznym swym głosem pożegnalną romancę, pełną wyrzutów pod adresem tego, który wzgardził jej miłością, i złych życzeń dla niego na dalszą drogę. Zepsuło mu to, oczywiście, i tak nie najświetniejszy już humor, i z zasępionym obliczem wyjechał za wrota pałacu.

– Wytłumaczcie mi, wasza przedziwność – odezwał się Sanczo, kiedy odjechali już kawałek drogi – co ta śliczna panna w was widziała, że się tak zakochała? Bo słyszałem

zawsze, że pierwszym warunkiem miłości jest uroda, a w was, dalibóg, żadnej nie dostrzegam.

– Są dwa rodzaje urody – wyjaśnił Don Kichot – mianowicie duszy i ciała. Wiem i bez ciebie, że nie celuję w tej drugiej, ale miłość rodzi się również na widok pierwszej, na którą składa się prawość, rozum, wspaniałomyślność i godne zachowanie; jeśli będziesz posiadał te cechy, i w tobie może zakochać się najcudowniejsza niewiasta.

– Ja bym na pierwsze słówko tej Altisidory pozwolił się kochać – powiedział Sanczo – ale jakoś dotąd nikt nie zauważył we mnie ani jednej, ani drugiej urody, o których mówicie.

Tak jechali, rozmawiając o tym i owym, to gościńcem, to polną drogą, to otwartą łąką, to znów pośród lasów znikając, jechali dzień i drugi, i trzeci, spotykając różnych ludzi, a czasem nikogo nie spotykając, z przygodami i bez przygód, niektóre zaś nowe przygody bardzo były podobne do starych, dlatego zapewne, że ilość przygód, jakie przeznaczenie wymyślić może dla człowieka, jest ograniczona, i kto już dużo ich zaznał w życiu, raczej podobne jeszcze przeżyje niż zupełnie inne.

Niby trochę inna od już zaznanych, a przecież podobna do nich była na przykład ta, gdy Don Kichot wyjechał na środek drogi, by zatrzymać zbliżającą się w wielkim pędzie grupę jeźdźców z kopiami i wymóc na nich hołd dla piękności i szlachetności pani Dulcynei z Toboso. Nie słuchali wcale, czego od nich żąda, już z daleka głośno ostrzegając:

– Usuńcie się, człowiecze, bo byki, które pędzą za nami, stratują was na kotlet!

– Rycerza Lwów nie nastraszycie bykami – odparł dumnie Don Kichot i ponowił swoje żądanie, grożąc, że o ile go nie usłuchają, wyda im bezlitosną bitwę.

Jeźdźcy przemknęli, nie odpowiadając, a niebawem za nimi – stado dzikich byków, pędzonych do pewnej miejscowości, gdzie miały nazajutrz stoczyć krwiożercze walki z najlepszymi toreadorami tej części Hiszpanii. Byki obaliły na ziemię Don Kichota z Rosynantem i Sancza Pansę z siwym osiołkiem, i nie wydając im wprawdzie bezlitosnej bitwy, stratowały kopytami tak, że ledwie zdołali się podnieść, i to nie od razu. Za bykami cwałowała druga grupa jeźdźców z kopiami, ale i oni nie zatrzymali się przy rycerzu i giermku, mimo że Don Kichot krzyczał leżąc w kurzu i udręce:

– Stójcie, zbóje! Dajcie zadośćuczynienie rycerzowi, który chce z wami walczyć!

Ani się nawet nie obejrzeli na jego krzyki, a gonić ich nie był, naturalnie, w stanie.

Podniósłszy się w końcu, Don Kichot i Sanczo pokuśtykali do cienistego lasku, w którym zdrój odkryli czysty; tam obmyli się nieco i puściwszy wolno oba wierzchowce, usiedli nad wodą. Sanczo wyciągnął zapasy żywności, ale początkowo nie śmiał zabierać się do jedzenia, czekał bowiem w uszanowaniu, aż jego pan zacznie pierwszy; dopiero widząc, że Don Kichotowi ani to w głowie, zaczął się opychać chlebem i serem.

– Posilaj się, Sanczo – powiedział Don Kichot – podtrzymuj to życie, do którego czujesz się przywiązany; a ja umrzeć wolę z głodu, protestując w ten sposób przeciw bezmyślności i okrucieństwu prześladującego mnie losu. Pomyśl tylko sam: rozsławiony w księgach, przyjaciel książąt, przedmiot miłości dziewic, i oto, gdy wolno mi się było spodziewać najświetniejszych laurów i ostatecznych uwieńczeń mego rycerskiego żywota, jam wdeptany w proch i stratowany kopytami bydląt nieczystych! Nie uznaję takiego losu i niech widzi, że nie jestem przywiązany do życia, kiedy niesie mi poniżenie i niezasłużony upadek.

– Tak sobie myślę, wasza honorowość – powiedział Sanczo, nie przestając żuć chleba z serem – że na życie nie ma co się obrażać, bo ono i tak nie podniesie rękawicy, którą rzucicie. Ja tam będę jadł, pił i spał aż do końca – i zobaczymy, kto wyjdzie na swoje, ja czy ono. A wam powiem, że nie ma większego szaleństwa jak poddawać się desperacji; lepiej podjedzcie odrobinę i prześpijcie się na murawie, a ręczę, że obudzicie się w lepszym humorze.

Don Kichot nie żachnął się, o dziwo, na giermka, ale wysłuchał z uwagą jego filozofii i przyjmując propozycję sięgnął po kawałątek chleba z serem; z tego widać, że coś się niepostrzeżenie zmieniło w Don Kichocie, a w każdym razie w stosunkach między Don

Kichotem a Sanczem. Zrównani także przez to, że obydwaj rozmawiali teraz z pełnymi ustami, ciągnęli swoją debatę.

– W najlepszym humorze obudziłbym się – mówił Don Kichot – gdybym wiedział, że podczas gdy ja śpię, idąc za twoją radą, ty obnażasz pewną część ciała i wodzami Rosynanta wymierzasz sobie trzysta albo czterysta razów na rachunek tych trzech tysięcy z hakiem, które winieneś pani mego serca, nadobnej Dulcynei z Toboso.

– Wasza obliczalność – powiedział Sanczo – wyśpijmy się lepiej obydwaj i obydwaj obudźmy się w dobrym humorze, a potem zobaczymy. Jak wiecie, mam szczerą wolę dotrzymania tego, co obiecałem, ale chwila, kiedy człowieka po jedzeniu ogarnia senność, nie jest najlepsza, bo i ręka nie bardzo pewna.

Don Kichot nie nalegał; posiliwszy się, usnęli obaj na zielonej murawie, ich wierzchowce zaś pasły się tymczasem spokojnie, szczypiąc trawę dokoła wyciągniętych ciał rycerza i giermka.

Jeden z następnych popasów zrobili w zajeździe, którego Don Kichot nie próbował nawet zamienić w zamek rycerski, toteż nie przytrafiła im się tam żadna przygoda, wszystko było zwyczajne: i kiepska wieczerza, i liche posłanie. Jeżeli popas ten zasługuje mimo to na wspomnienie, to dlatego, że poznani tam hidalgowie opowiedzieli Don Kichotowi i Sanczowi o kursującej między ludźmi książce z fałszywymi ich przygodami; bardzo to rozgniewało błędnego rycerza, a giermka także trochę, mniej jednakże, bo w ogóle mniej był skłonny do gniewu. Otóż w tej fałszywej książce, jak się dowiedzieli, Don Kichot dotarł już do Saragossy i uczestniczył w tamtejszych turniejach; żeby więc zadać jej kłam w sposób wyraźny, prawdziwy Don Kichot postanowił zmienić marszrutę; i dlatego właśnie, nie zaś z innych powodów, nigdy do Saragossy nie dotarł, udał się natomiast do Barcelony.

Kilka dalszych dni minęło w drodze i znów się zatrzymali, na odmianę, w leśnej gęstwinie. Sanczo, napełniwszy żołądek, od razu zasnął, Don Kichota wszelako dręczyła bezsenność, nie z głodu ani z przejedzenia, tylko z uporczywego myślenia; myślał zaś o rozmaitych rzeczach, najbardziej wszakże o Dulcynei zaklętej w chłopkę i opieszałości Sancza Pansy, który, mogąc ją wyzwolić z zaklęcia, wcale się z tym nie kwapił i bodajże zaledwie pięć razów dotąd sobie wymierzył, co było naprawdę niczym w porównaniu z brakującymi trzema tysiącami dwustu dziewięćdziesięcioma pięcioma. Krążąc myślą wokół tej sprawy, doszedł wreszcie Don Kichot do wniosku, że skoro Sanczo sam się nie biczuje, trzeba mu w tym pomóc; wszystko jedno w końcu, czyje ramię wymierzy baty, chodzi tylko o to, na czyj spadną pośladek.

Zgodnie z tym wnioskiem, zdjął wodze z Rosynanta i odpowiednio je złożył; następnie zbliżył się do śpiącego Sancza i zaczął mu odwiązywać sznur, na którym trzymały się spodnie. Sanczo, który zdawał się spać twardo, obudził się jednak niezwłocznie i zapytał:

– Któż to mnie rusza i rozwiązuje mi spodnie?

Don Kichot wyjaśnił, w jakim celu to czyni, i usiłował kontynuować to, co przedsięwziął, ale Sanczo szarpnął się i gwałtownie zaprotestował:

– O, nie! To, co mam uczynić dobrowolnie, nie może być dokonane siłą! Odejdźcie, wasza niecierpliwość, i śpijcie spokojnie, a daję wam słowo, że w odpowiedniej chwili wybiczuję się sam, jak należy.

– Nie mogę na to liczyć – odparł Don Kichot – bo za długo się już namyślasz, bardziej dbając o swe siedzenie, niż o wyzwolenie pani Dulcynei z haniebnego zaklęcia.

To rzekłszy, znowu złapał za Sanczowe spodnie, Sanczo wyrwał się i podstawiwszy nogę Don Kichotowi, przewrócił go na ziemię, po czym przycisnął pierś kolanem i złapał obie ręce, tak że rycerz nie mógł się ruszyć i zaledwie zdołał wykrztusić:

– Porywasz się, łotrze, na swego pana i dobroczyńcę?

– Ależ skąd – zaprzeczył Sanczo – puszczę was zaraz i palcem nie tknę, przyrzekniecie tylko, że nie będziecie próbowali wyręczać mnie w biczowaniu.

Chcąc nie chcąc, Don Kichot przyrzekł, Sanczo puścił go tedy i dla pewności odbiegł pod inne drzewo, by się tam ułożyć do przerwanego tak niefortunnie snu. Kiedy się jednak układał, poczuł raptem, że ktoś dotyka mu głowy; podniósł rękę i pełen przerażenia zmacał czyjeś dyndające nogi. To samo spotkało go pod jeszcze innym drzewem, pod które się przeniósł. Ze zjeżonymi ze strachu włosami zaczął wzywać Don Kichota, a gdy ten nadszedł, opowiedział mu o dziwnych owocach, zwisających w tutejszym lesie z gałęzi.

– Nie bój się – spokojnie powiedział Don Kichot – to owoce sprawiedliwości; najlepszy znak, że wielkie miasto Barcelona już blisko.

I tak rzeczywiście było.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci, który dzieje się w Barcelonie, trochę na barcelońskim lądzie, ale bardziej – na morzu

Nie Barcelona jednak, lecz tylko noc Barcelonę otaczająca kołysała powieszonymi na drzewach przestępcami jak niemymi dzwonami postrachu i przerażenia; Barcelona – była dniem wesołym i jasnym, rozpiętym między migotliwym klepiskiem morza a świetliście błękitnym pułapem niebios; dniem pełnym trzepotania, igrania, dzwonienia, trąbienia, dymienia, a także butnego rozpierania się budynków i ludzi, na ziemi i na falach zatoki, zuchwałego i dźwięcznego ujarzmiania każdej piędzi dostępnej lądu i wody; i Don Kichot przeto, i Sanczo Pansa, którzy nigdy dotąd nie widzieli ani morza, ani wielkiego portu, ze zdumieniem i podziwem wpatrywali się w to widowisko życia, jakie wjeżdżającym z jutrzenką pani Barcelona dawała, i nieprędko pewnie byliby się otrząsnęli z uroku, gdyby nie przywołali ich do rzeczywistości barcelońscy ulicznicy swawolni.

Paru takich wisusów, ukrytych w tłumie, cichcem wetknęło pod ogony Rosynantowi i siwemu osłowi kulki ostów kłujących, które tak im dopiekły, że nieszczęsne zwierzęta w szale rzuciły się przed siebie, desperacko wierzgając; Don Kichot i Sanczo Pansa zaraz spadli na ziemię, i w ten sposób pierwsze zetknięcie ich ciał z Barceloną promienną było czymś zgoła innym niż poprzedzające je pierwsze zetknięcie oczarowanego wzroku i słuchu.

W Barcelonie rycerz i giermek zatrzymali się nie w zajeździe ani w zamku książęcym, ale w miejskim domu pewnego zamożnego pana, do którego mieli polecenie od innych życzliwych osób, spotkanych w drodze. Ten przyjął wędrowców bardzo gościnnie i dbając, by się nie nudzili, oprowadzał ich po całym mieście; pewnego popołudnia postanowił pokazać im stojące u nabrzeża galery, o czym uprzedził dowodzącego admirała; ten zaś zgotował słynnym gościom (w Barcelonie bowiem, wykształconej i czytającej książki, Don Kichot i Sanczo Pansa byli już naprawdę słynni) wspaniałe przyjęcie.

Zaledwie ukazali się na brzegu, spuszczono na wodę łódź pokrytą kobiercami i poduszkami, a kiedy Don Kichot postawił na niej nogę, z wszystkich galer po kolei dano strzały armatnie, nie w Don Kichota, ma się rozumieć, lecz na jego cześć i w powietrze. Łódź podpłynęła do głównej galery i Don Kichot po drabince sznurowej wstąpił na pokład, Sanczo i towarzyszące im osoby za nim.

– Hu! Hu! Hu! – wykrzyknęła załoga na powitanie, admirał zaś podał Don Kichotowi rękę, mówiąc, że dzień spotkania z błędnym rycerzem odznaczy białym kamieniem, jako najważniejszy w swym życiu.

Dozorca galerników gwizdnął przeraźliwie i tłum mężczyzn siedzących przy wiosłach obnażył ciała; w tej samej chwili białe żagle z niezwykłą szybkością jęły się wspinać po masztach; jedno i drugie nadzwyczaj zdumiało Sancza, ale nie zdążył się jeszcze w pełni oddać zdumieniu, gdy sam stał się przedmiotem kolejnego manewru; wioślarz potężnej budowy złapał go i uniósł do góry, podając następnemu – i od tej chwili eks-gubernator Baratarii zaczął latać nad głowami galerników, podawany z rąk do rąk, aż obleciał w koło całą galerę i wylądował z powrotem w tym miejscu rufy, od którego się wszystko zaczęło. Dyszał ciężko, spocony i poturbowany, i mrugał powiekami, nie pojmując, co go spotkało. Don Kichot zapytał admirała, czy każdy, kto po raz pierwszy wstępuje na pokład, przechodzi podobny chrzest, bo co się jego tyczy, to nie ma zamiaru tak fruwać; co mówiąc, z wyrazem zdecydowania na twarzy położył dłoń na rękojeści miecza; lecz admirał uprzejmie zaprzeczył, jakoby zwyczaj fruwania nad galerą mógł dotyczyć błędnego rycerza.

Zabawa z Sanczem była, jak się okazało, krótką rozgrzewką dla galerników przed podjęciem prawdziwej pracy; teraz bowiem dozorca razami bicza wprawił w miarowy ruch ich ramiona połączone z wiosłami i galera zaczęła wypływać na pełne morze. Sanczowi, który przyszedł już do siebie, wiosła wydały się długimi czerwonymi nogami chodzącymi po fali; złości zaś, jaką przed chwilą jeszcze odczuwał do galerników, wyzbył się natychmiast, współczując ich smaganym przez dozorcę plecom i mówiąc sobie, że ludzie ci żyją w prawdziwym piekle.

Don Kichotowi tymczasem coś zupełnie innego przyszło do głowy, odezwał się więc do Sancza:

– Świetna okazja ci się trafia, by odczarować wreszcie niezrównaną Dulcyneę z Toboso. Mógłbyś wmieszać się, obnażony do pasa, między tych tu ludzi i przyjąć na swe ramiona pewną ilość uderzeń, z których każde, jako silną ręką zadane, byłoby ci może policzone za dziesięć. Z pewnością zaś we wspólnym cierpieniu z innymi mniej boleśnie odczuwałbyś własne, dużo łatwiej zatem by ci przyszło spełnienie ślubowanej pokuty.

Możemy co najwyżej domyślać się, jaki był stosunek Sancza do tej propozycji, nie zdążył bowiem powiedzieć słowa, gdy jeden z marynarzy krzyknął, że fort przybrzeżny sygnalizuje statek mauretański od zachodniej burty.

Admirał zaczął energicznie wydawać rozkazy, mające na celu wzięcie do niewoli statku, który określił jako brygantynę korsarską z Algieru. Dwie galery wypłynęły na pełne morze, dwie pozostałe, w tej liczbie admiralska, na której pokładzie znajdował się błędny rycerz z giermkiem, posuwały się wzdłuż brzegu. Niebawem dojrzano ową brygantynę, której „arraez", jak po arabsku nazywano kapitana korsarzy, musiał zdawać sobie sprawę z beznadziejnej sytuacji i rozpoczął najwidoczniej manewry zmierzające do poddania się. Zamiar jego udaremnili jednak dwaj pijani Turcy, którzy wystrzelili do zbliżającej się galery i zabili dwóch hiszpańskich żołnierzy; rozwścieczony admirał oświadczył na to, że nikogo na brygantynie nie wypuści z życiem; tamci również pojęli, co im grozi, i w ostatniej chwili usiłowali się wymknąć, ale było już za późno; cztery galery otoczyły ich, zahaczyły bosakami i całą mauretańską załogę ujęły żywcem.

– Który to wasz arraez ? – zapytał ostrym tonem admirał.

Jeden z jeńców, jak się później okazało, hiszpański poturczeniec, odpowiadając po kastylsku, wskazał młodzieńca niezwykłej urody, nie wyglądającego nawet na dwadzieścia lat. Jego powierzchowność równie zdumiewała, jak to, że ktoś taki mógł dowodzić statkiem algierskich korsarzy.

Galery zawróciły teraz, by czym prędzej przybić do nabrzeża, gdzie zgromadziły się już wiwatujące tłumy, a wśród nich barcelońskie osobistości, z wicekrólem na czele. Kiedy zarzucono kotwicę, wicekról ze swym otoczeniem, w którym znaleźli się również bawiący tu akurat pielgrzymi, wkroczył na pokład galery.

– Gratuluję pomyślnych łowów!–powiedział wicekról.

– Zwierzyna wnet zawiśnie na rei – oznajmił admirał, wskazując arraeza, już ze związanymi rękami i sznurem na szyi.

– Kim jesteś, arraezie? – zapytał wicekról, tknięty współczuciem na widok pięknego młodzieńca i w głębi duszy pragnący go ocalić od śmierci. – Turkiem z urodzenia, Maurem czy poturczeńcem?

– Ani jednym, ani drugim, ani też trzecim – po kastylsku, bez obcego akcentu, odparł młodzieniec.

– Kim więc jesteś, młodzieńcze?

– Nie jestem młodzieńcem, lecz białogłową, a do tego chrześcijanką.

Ta odpowiedź zdumiała wszystkich bardziej jeszcze niż wygląd arraeza. Postanowiono zawiesić wykonanie wyroku i wysłuchać wpierw opowieści młodzieńca, a raczej – jeśli nie było to fałszem – panny. Oto co opowiedziała: urodziła się w jednej z wiosek La Manczy jako córka dobrych chrześcijan, lecz, niestety, morysków, podlegających zatem, jak wszyscy moryskowie, wygnaniu. Ojciec jej wyjechał pierwszy, by znaleźć gdzieś na obczyźnie miejsce do osiedlenia dla całej rodziny, gdy jednak długo nie wracał, ona z matką nie mogły już dłużej czekać i musiały też ruszać w drogę. Ruszyły pod opieką wuja, który jako mężczyzna decydował o kierunku wędrówki i obrał, wbrew uczuciom opowiadającej, chrześcijanki dobrej jak jej rodzice, drogę do muzułmańskiego Algieru. Za nimi, wmieszany w tłum wysiedlonych morysków, pojechał też szlachcic z sąsiedniej wioski, Don Gaspar Gregorio, połączony z dziewczyną tajną miłością. Matka nie wytrzymała trudów podróży i zmarła rychło po wylądowaniu na afrykańskim brzegu. Z wujem dziewczyna rozstała się, gdy dla jej urody król Algieru zatrzymał ją na swym dworze; zatrzymał też – dla chłopięcej urody, która u barbarzyńskich Turków w nie niniejszej była cenie od panieńskiej – Don Gaspara Gregorio.

– Ale – ciągnęła piękna moryska – sprawdziło się szczęście moje, którym naznaczyli mnie rodzice, dając mi na chrzcie świętym imię: Joanna Felix, co tłumaczy się, jak państwo wiecie: Joanna Szczęsna. Do króla dobiegły wieści o zakopanym skarbie mojego ojca, i zapragnął go bardziej niż mej urody.

W tym miejscu opowieści, kiedy padło imię: Joanna Felix, jeden z towarzyszących wicekrólowi pielgrzymów zadrżał, i gdyby ktoś mu się przypatrywał, dostrzegłby, że człowiek ten całą siłą woli powstrzymuje się przed jakimś ruchem gwałtownym, może przed rzuceniem się do stóp dziewczyny albo też jej wzięciem w ramiona. Nikt jednak nie przypatrywał się pielgrzymowi, gdyż wszyscy byli zajęci opowieścią, którą kontynuowała Joanna.

Król Algieru, łakomy skarbów, wysłał po nie dziewczynę do Hiszpanii, ukochanego jej zatrzymując jako zakładnika. Do towarzystwa przydał Joannie Szczęsnej dwóch Turków, tych właśnie, którzy po pijanemu zastrzelili hiszpańskich żołnierzy, dalej poturczeńca, który pierwszy przemówił, i trzydziestu sześciu wioślarzy. Joanna i poturczeniec mieli zostać wysadzeni na brzeg w sukniach chrześcijańskich i przedostać się do La Manczy, a po wydobyciu skarbu wrócić na umówione miejsce, dokąd znów przybiłaby brygantyna. Owi dwaj Turcy jednak woleli, wbrew rozkazom, kręcić się wzdłuż brzegów w poszukiwaniu zdobyczy, co skończyło się tak, jak już wszyscy wiedzą.

– Oto cała moja historia – powiedziała ze łzami w oczach Joanna Szczęsna. – Teraz, jeśli chcecie mnie zabić, uczyńcie to, ale błagam o jedno, pozwólcie mi umrzeć po chrześcijańsku.

Wzruszony wicekról podszedł do niej i przeciął więzy. W tej samej chwili pielgrzym, nie potrafiąc już dłużej powściągać uczuć, rzucił się do dziewczyny i z płaczem pokrywał ją pocałunkami, wołając:

– O, najmilsza moja córeczko, to ja, twój ojciec Rikote, wróciłem, by cię odszukać, bo nie mogę już dłużej żyć bez ciebie!

Następnie zwrócił się do admirała i wicekróla:

– Wróciłem tu z Niemiec i wykopałem skarb, który noszę ze sobą, a teraz, dzięki Opatrzności, odzyskałem największy skarb, moją córkę umiłowaną. Jeżeli jest w tym wydarzeniu coś, co puka do furty miłosierdzia w gmachu waszej sprawiedliwości, błagam, uchylcie tę furtę, dobrzy panowie!

– Mogę poświadczyć – odezwał się Sanczo – że Rikote to jest Rikote, a to jego córka Joanna Szczęsna, ukochana szlachcica Don Gaspara Gregorio, który za nią pociągnął do barbarzyńskiego Algieru.

– Żyjcie, Joanno Szczęsna – rzekł admirał – ile niebo łaskawe zechce, na pociechę staremu ojcu i młodemu małżonkowi.

Zapanowała ogólna radość, wśród której zastanawiano się, jak wydobyć Don Gaspara Gregorio z mauretańskiej niewoli; Don Kichot proponował, że pojedzie po niego na Rosynancie i odbije go mieczem, wbrew całej zgrai pohańców, podobnie jak żonę swą Melisendrę odbił niegdyś dzielny Don Gaiferos.

– To się działo na lądzie – zauważył Sanczo Pansa – między Algierem zaś a Hiszpanią rozciąga się kawał morza.

Don Kichotowi nie wydawało się, żeby to stanowiło taką wielką różnicę.

Z innym pomysłem wystąpił wspomniany już poturczeniec: ofiarował się mianowicie popłynąć do Algieru na niewielkiej łodzi, z szóstką chrześcijańskich wioślarzy, tam przybić do znanego sobie miejsca w pobliżu domu, gdzie trzymają Don Gaspara, i tą samą łodzią, po wyzwoleniu młodzieńca podstępem lub siłą, powrócić do Barcelony. Ten plan uznano za niezły, choć ryzykowny, nie ryzykownego wszakże i zarazem lepszego nikt nie wymyślił. Na wypadek dostania się wioślarzy do niewoli, Rikote zobowiązał się ich wykupić; to przeważyło szalę – i w parę dni później łódź o sześciu parach wioseł wypłynęła z portu.

Szczęśliwy Rikote z córką czekał w Barcelonie, gdzie nadal pozostawali też, ciekawi obrotu sprawy, Don Kichot i Sanczo Pansa, co może było błędem ze strony błędnego rycerza, ale któż to mógł przewidzieć, a zwłaszcza – któż jest bez błędu?

Rozdział pięćdziesiąty czwarty, w którym Don Kichot stacza pojedynek z Rycerzem Białego Księżyca

Pewnego dnia Don Kichot, dosiadłszy Rosynanta, odbywał przejażdżkę po nabrzeżu – w pełnej zbroi, bo w niej czuł się najbardziej sobą.

I oto z przeciwka nadjechał drugi rycerz, też w pełnej zbroi, choć może wcale nie czując się w niej najbardziej sobą, i z wymalowanym na tarczy białym księżycem. Ten to rycerz zatrzymał się o kilka kroków i donośnym głosem zawołał:

– Niech będzie pozdrowiony wielki Don Kichot z La Manczy, najsłynniejszy i najbitniejszy z błędnych rycerzy; tym zaś, który go pozdrawia, jest Rycerz Białego Księżyca, którego przewagi także są znane światu.

– Bądź więc pozdrowiony, Rycerzu Białego Księżyca – grzecznie odpowiedział Don Kichot, z delikatności nie dorzucając, że nigdy nie słyszał o nim i jego przewagach.

– Szukałem cię i znalazłem – kontynuował Rycerz Białego Księżyca – by zmierzyć się z tobą i zmusić do wyznania, że pani mego serca, mniejsza o to, jak się nazywa, jest najpiękniejsza ze wszystkich, nie wyłączając nadobnej Dulcynei z Toboso. Jeżeli nie wyznasz tego bez walki, musisz ze mną walczyć; a gdy cię zwyciężę, warunkiem moim jest, byś na rok złożył broń i usunął się do swej wioski, żyjąc tam w spokoju i nie biorąc miecza do ręki; gdybyś ty mnie zwyciężył, bierz me życie, a także rumaka, zbroję i sławę. Odpowiadaj teraz, bo tylko dzisiejszy dzień mi pozostał, by rzecz zacząć i skończyć.

– Rycerzu Białego Księżyca – surowym głosem powiedział Don Kichot – przyjmuję wasze wyzwanie i gotów jestem stoczyć walkę tego dnia i o tej godzinie, czyniąc zadość pośpiechowi waszemu. Pani Dulcynei z Toboso z pewnością nie widzieliście nigdy, bo nie poważylibyście się na bluźnierstwo, które słyszałem; odwołacie je, gdy was zwyciężę. Na warunki się zgadzam, z wyjątkiem tego, że mam wziąć waszą sławę; nie znam jej i niepotrzebna mi ona. Teraz zaś wybierzcie sobie pole i ja sobie wybiorę – i zaczynajmy w imię Boże!

Ukłonili się, zatoczyli szeroko końmi i ruszyli naprzeciw sobie, nie czekając znaku, którego zresztą nie miał im kto dać, bo dokoła gapie tylko stali oraz dwaj ich giermkowie, rycerza zaś, by im sędziował, żadnego tutaj nie było.

Koń Rycerza Białego Księżyca był od Rosynanta i silniejszy, i lżejszy, toteż szybciej przebył dzielącą ich odległość i przeciwnik wpadł z takim impetem na Don Kichota, że, choć dłużej pragnąłbym opowiadać ten pojedynek o jakże ważkich, jak za chwilę okaże się,

skutkach, jest to niemożliwe, bo Don Kichot wraz z Rosynantem już runęli na ziemię, obaleni samym zderzeniem, bez użycia kopii czy innej broni.

– Jesteś zwyciężony, a nawet martwy – powiedział Rycerz Białego Księżyca, przykładając leżącemu kopię do szyi – jeżeli odmówisz spełnienia moich warunków.

– Dobij mnie – omdlałym głosem wyrzekł Don Kichot, nie podnosząc przyłbicy – nigdy bowiem nie wyrzeknę się prawdy, iż pani mego serca, Dulcynea z Toboso, jest najcudniejszą białogłową na świecie.

– Prawdę mówiąc, nie zależy mi na tym – powiedział Rycerz Białego Księżyca – niech więc pani Dulcynea pozostanie taka, jak mówisz, bylebyś, jak się zgodziłeś przyjmując wyzwanie, złożył broń na rok i usunął się do swej wioski.

– Ten warunek – westchnął Don Kichot – mój honor rycerski każe mi spełnić.

Rycerz Białego Księżyca cofnął kopię od szyi Don Kichota i skłoniwszy się pokonanemu odjechał kłusem; znając rzetelność i honorowość tego, z kim walczył, nie musiał wszak pilnować, by przyrzeczenie zostało spełnione; był pewny, że i bez pilnowania będzie.

Zamknąwszy się w pewnej gospodzie w innej stronie miasta, Rycerz Białego Księżyca z ulgą pozbył się hełmu, przyłbicy i całej zbroi; gdyby Don Kichot widział go wtedy, przekonałby się ze zdziwieniem, że potykał się był już niegdyś z rycerzem o takim wyglądzie i pokonał go wówczas, jednakże przeciwnik jego nie mienił się wtedy Rycerzem Białego Księżyca, lecz Rycerzem Zwierciadeł, skąd niekoniecznie należy wyciągać wniosek, że takie lub inne imię, przybrane przez rycerza, decyduje o wyniku utarczki; z jeszcze większym zdziwieniem uprzytomniłby sobie, że czy to jako Rycerz Zwierciadeł, co Don Kichot pamiętał, czy jako Rycerz Białego Księżyca, co stwierdziłby teraz, przeciwnik jego nieodmiennie miał twarz i postać bakałarza Samsona Karrasko z ojczystej wioski; nie wiem, czy ciągle trwałby w mniemaniu, że to figiel czarnoksiężników, i jak by figiel ten wytłumaczył; może lepiej, że Don Kichota nie było w gospodzie, w której mógłby podglądać rozbierającego się rycerza; natomiast ja, który jako opowiadający tę historię muszę być wszędzie, gdziekolwiek jakiś jej epizod się dzieje, widzę go doskonale i – wybacz, Don Kichocie – jestem przekonany, że czarnoksiężnicy nie mają tu nic do rzeczy i że to prawdziwy, jedyny, przez nikogo w nic nie zamieniony Samson Karrasko, i choć tak prawdziwy, a raczej dlatego, że tak prawdziwy, to fałszywy twój, trzeba to wreszcie powiedzieć, druh oraz stronnik.

Don Kichota podniesiono tymczasem z prochu i zaniesiono do gościnnego mieszkania, w którym stał od początku pobytu swego w Barcelonie. Twarz miał bladą i pokrytą potem, ale może nie tyle z bólu cielesnego, co z bólu ducha udręczonego porażką w bitwie i warunkiem, którego jako pokonany musiał dopełnić. Towarzyszący mu Sanczo Pansa też był smutny ogromnie, widząc taką klęskę swego pana i wymuszoną na nim obietnicę, że przez rok nie tknie miecza. W tej samej chwili przecież, w której Don Kichot przestawał być błędnym rycerzem, on, Sanczo, tracił status giermka, z którym wciąż jeszcze wiązał różne nadzieje, choć już nie chciał być wielkorządcą.

Przez tydzień prawie Don Kichot pozostawał w łożu boleści, cofając się wciąż w myślach do niefortunnego pojedynku i próbując sobie wyobrazić inny jego przebieg niż rzeczywisty; kiedy mu się to udawało, weselał na chwilę, ale niebawem znów pogrążał się w melancholii. Sanczo trwał u jego wezgłowia i, sam już nieco pocieszony, nie potrafił bowiem długo się martwić, pocieszał swego pana takimi słowy:

– Kości macie całe, przestańcie się przeto turbować, bo sami sobie połamiecie duszę, a tej żaden chirurg nie złoży. Skoro nie ma innej rady, to skończmy się na razie włóczyć i wracajmy do domu; rok przeleci szybko; a mnie najbardziej zależy, żebyście byli potem zdolni do podjęcia rycerskiego rzemiosła, bo inaczej w jaki sposób zostanę hrabią?

– Przyrzekam ci – ożywiając się, powiedział Don Kichot – że ledwie rok minie, wrócę do mojego szczytnego powołania i ze zdobyciem hrabstwa dla ciebie nie będzie kłopotu.

W tej chwili przyszli ludzie z dobrymi wiadomościami: że łódź, która wyruszyła po Don Gaspara Gregorio, szczęśliwie powróciła, przywożąc wyzwolonego młodzieńca.

– Szkoda – powiedział Don Kichot – bo gdyby się nie udało, ja bym tam wyruszył na Rosynancie i zdobyłbym wolność nie tylko dla Don Gaspara, lecz dla wszystkich chrześcijan, znajdujących się jeszcze w mauretańskiej niewoli. Ale co ja mówię? – przypomniał sobie naraz rzeczywistą sytuację. – Pokonany w boju, zrzucony z konia, taki, któremu nie wolno brać miecza do ręki, cóż ja mogę obiecywać, nieszczęsny?

– Dajcie już, panie, spokój z tym rozpamiętywaniem – poprosił Sanczo. – Oto idą wszyscy, nie mąćcie innym radości, raczej ją podzielcie.

I Don Kichot, choć nie bez wysiłku, otrząsnął się z melancholii, by dzielić radość połączonych wreszcie, pięknych i młodych Don Gaspara Gregorio i Joanny Szczęsnej, a także jej zacnego ojca Rikota i wszystkich ludzi, którzy im dobrze życzyli. Nie było jeszcze jasne, czy wyjadą wszyscy razem do Niemiec, czy dzięki wstawiennictwu tak możnych protektorów, jak wicekról Barcelony, oraz pieniądzom Rikota, uda im się obejść okrutne prawo i pozostać w Hiszpanii; niektórzy w to wierzyli, a sam Rikote nie bardzo; ale pierwsze szczęście, że się odnaleźli i byli razem, już ich spotkało; nie wymagajmy od losu za wiele naraz.

Parę dni później, pożegnawszy przyjaciół, Don Kichot i Sanczo Pansa wyruszyli w drogę powrotną do ojczystej La Manczy. Don Kichot na Rosynancie, ale bez zbroi, którą władowano na kłapoucha, a Sanczo Pansa z tego powodu pieszo. Mijając miejsce pojedynku z Rycerzem Białego Księżyca, Don Kichot westchnął i rzekł:

– Oto pole klęski mej i nieszczęścia, nie przeze mnie zawinionego, ale przez słabość mego rumaka. Cmentarza chwały mej nie zapomnę nigdy, a skoro po roku kwarantanny znowu będę błędnym rycerzem, wrócę tutaj, by kołem przebić upiora.

– Amen – powiedział Sanczo Pansa. – Zaczyna mi się zdawać, że ten rok prawie minął.

I zostawili Barcelonę za sobą.

Rozdział pięćdziesiąty piąty, w którym pewne wydarzenia, jakie miały miejsce podczas drogi powrotnej Don Kichota i Sancza Pansy do wsi rodzinnej, zostają opisane, inne zaś pominięte

Droga trwała dość długo i trafiały się podczas niej rycerzowi i giermkowi rozmaite przypadki, które nie wiem, czy warto opisywać, bo cóż to zmienia, na przykład, że któregoś dnia zostali znów stratowani przez pędzące stado, tym razem wieprzy; ani to pogłębiło przecież wystarczająco już głęboką klęskę Donkichotową, ani z niej wydobyło; najistotniejsze zaś pozostaje to, że ze wszystkimi przygodami, spotkaniami, komplikacjami, gąszczem nowych złudzeń i przesiekami w tym gąszczu, nie był to triumfalny powrót zwycięzców, lecz droga powrotna ludzi do tego zmuszonych, a więc zniewolonych, podległych, i w tym sensie droga odmienna od większości dróg Don Kichota, którymi rządził dobry lub zły przypadek, fantazja, a choćby szaleństwo i omamienie, wszelako były to ciągle drogi o t w a r t e, u ich końca nie stała ustalona przez kogoś konieczność takiego lub innego życia, przebywania w tym lub innym miejscu, przemiany w to lub owo, a zwłaszcza we własne zaprzeczenie i przeciwieństwo.

Wszystko buntuje się we mnie przeciw drodze powrotnej zwyciężonego Don Kichota.

Pozwólcie, że ze znanych mi epizodów tej drogi tylko takie powtórzę, w których rycerz choćby na krótko otrząsał się z jakże niewłaściwego sobie zniewolenia, może zapominał o nim, może je lekceważył, i myśl skupiał wokół wciąż gotujących się w nim namiętności albo przyszłość bajeczną na nowo kreślił, nawet Sancza pociągając do jej obrazów.

Tak, przejeżdżając przez pewną łąkę bujną, rzucił raptem pomysł, z książek, jak rycerstwo błędne, niechybnie wzięty, tylko z innych nieco książek, nie rycerskich, ale pasterskich.

– Arkadia – powiedział marzycielsko szczęśliwa kraina śpiewających i pląsających pasterzy z pasterkami, czystych źródeł, drzew darzących owocem, kwiatów układających się w girlandy, wiecznej pogody, wierszy o szczęśliwej miłości.

– Gdzie to jest? – zapytał Sanczo.

– Możemy stworzyć Arkadię choćby w naszej wiosce. Na czas swego odosobnienia zamienimy się w pasterzy, kupię kilka owieczek i nazwę się pasterz Kichotis, a ty, jeśli zechcesz, pasterz Pansino. Kochanką moją będzie pasterka Dulcynea, bo to imię tak samo stosowne dla pasterki, jak dla księżniczki. Ty swoją pasterkę nazwiesz, jak ci podszepnie natchnienie.

– Będę musiał zapytać żony – odparł Sanczo.

– Nasi przyjaciele z pewnością zechcą się do nas przyłączyć – ciągnął Don Kichot. – Balwierz, proboszcz, bakałarz Samson Karrasko...

– Czy proboszcz też będzie miał swoją pasterkę? – zapytał Sanczo. – Chyba nie wypada. Balwierz czy bakałarz to co innego.

– Te szczegóły rozstrzygnie się później – powiedział Don Kichot. – Najważniejsze, żeśmy powzięli główne postanowienie.

Później jednak, w trakcie dalszej drogi, trwającej wiele dni i wiele nocy, jakoś nie było więcej mowy o Arkadii; za to pewnego razu Don Kichot przypomniał sobie o nie spłaconym długu Sancza Pansy wobec zaklętej w chłopkę Dulcynei z Toboso.

– Rad bym zachęcić twoją skwapliwość – powiedział – opłacając te plagi w brzęczącej monecie; nie żebym nie ufał, że i tak dopełniłbyś ślubowania, ale sądzę, że zapłata uczyni razy mniej nieznośnymi.

– Zgoda, panie – powiedział Sanczo – skoro takie wasze życzenie; jak słusznie zauważyliście, i tak dopełniłbym ślubowania, ale nie wymawiam się od zapłaty; ile też mi dacie za każde uderzenie?

– Sam ustanów cenę – zaproponował Don Kichot.

– Nie liczmy tych pięciu, które sobie wlepiłem na początku – oświadczył Sanczo. – W takim razie jestem sobie winien równe trzy tysiące i trzysta batów, każdy po ćwierć reala, to chyba nie za dużo?

– Może być – zgodził się Don Kichot.

– Trzy tysiące po ćwierć reala – liczył w głowie Sanczo Pansa, nie posługując się papierem, bo skądinąd nie umiał pisać, ani liczydłami, bo ich nie miał, ani palcami, boby ich nie starczyło – to tak jakby tysiąc pięćset po pół reala, to znaczy siedemset pięćdziesiąt reali. Do tego dochodzi trzysta po ćwierć reala, czyli sto pięćdziesiąt po pół, to znaczy siedemdziesiąt pięć całych. Siedemset pięćdziesiąt dodać siedemdziesiąt pięć to będzie osiemset dwadzieścia pięć reali. Zgoda, wasza zamożność?

– Wszystko mi jedno – odparł Don Kichot – bo nie znam się tak jak ty na rachunkach; ale do sumy, którą wymieniłeś, dodam jeszcze sto reali, jeżeli szybko zaczniesz swoją pokutę.

– Zacznę dzisiejszej nocy, jeżeli spędzimy ją pod gołym niebem, bo w gospodzie, pomiędzy ludźmi, byłoby mi niesporo.

Kiedy nadeszła noc, upragniona przez Don Kichota, mająca bowiem przybliżyć odczarowanie Dulcynei, a przez Sancza Pansę też witana bez żalu, rycerz i giermek zatrzymali się w kępie drzew nie opodal drogi. Puścili wolno Rosynanta i osła, bez pośpiechu spożyli wieczerzę z dźwiganych przez Sancza zapasów, a wreszcie Sanczo z rzemienia należącego do oślej uprzęży sporządził giętki bicz i ruszył za drzewa, zostawiając swego pana samego. Don Kichot, widząc, jak odważnie maszeruje naprzeciw torturze, którą za chwilę sam sobie zada, przestrzegł Sancza, żeby nie przesadzał z tym smaganiem; jeśli bowiem będzie walił za mocno, za gęsto, za okrutnie dla swego ciała, gotów jeszcze rozszarpać się w strzępy i ducha wyzionąć, nim dojdzie do należytej liczby.

– Nie bójcie się, wasza delikatność – powiedział Sanczo – ducha nie wyzionę, ale oszczędzać się nie zamierzam; toć trzeba, żeby bolało, bez boleści nie będzie cudu.

Co zapowiedziawszy, obnażył się i rozpoczął biczowanie, a Don Kichot z odległości dwudziestu kroków liczył uderzenia. Po szóstym razie Sanczo zatrzymał się i oznajmił:

– Odwołuję umowę, bo każde takie uderzenie warte jest pół, a nie ćwierć reala.

– Podwajam! – zawołał Don Kichot. – Nuże, nie zatrzymuj się, bracie!

– Naprzód tedy! – odparł Sanczo i jął walić rzemieniem ze zdwojonym zapałem, tyle że nie swoje plecy, lecz otaczające go drzewa. Wzdychał jednak przy tym i jęczał, jakby każdy cios spadał boleśnie na jego wrażliwe ciało, aż się Doń Kichot w pewnej chwili wystraszył, czy nie za dużo tego dobrego, i rzekł:

– Dałbyś już spokój, Sanczo, policzyłem do tej chwili tysiąc sto jedenaście batów, nawet osioł nie zniesie tyle za jednym zamachem.

– Nie odwodźcie mnie, wasza wielkoduszność, od mojej misji – powiedział giermek – bo i ja mam swój honor, choć nie jestem pasowany na rycerza, i skoro się podjąłem, to się podjąłem. Wymierzę sobie drugie tysiąc sto jedenaście, a potem zobaczymy.

– Skoro takie czujesz dziś powołanie – skapitulował Don Kichot – nie śmiem ci wzbraniać. Nie śpiesz się tylko tak bardzo, bo pomylę rachunek.

Sanczo jednak nabrał już takiego rozpędu, że nie potrafił zwolnić i biczował się, jakby zboże młócił, aż korę poodbijał od wszystkich drzew dookoła. W pewnej chwili, zadawszy potężny cios grubemu bukowi, nie mógł powstrzymać dzikiego okrzyku triumfu, który Don Kichot wziął za krzyk bólu, podbiegł przeto do niego i wyrwał mu rzemień z ręki, mówiąc:

– Nie, nie, mój najlepszy Sanczo, ani uderzenia więcej. Piękna Dulcynea poczeka, i ja z nią razem, aż wykurujesz się po dzisiejszym biczowaniu, by dokończyć swą misję bez narażania życia.

– Niech i tak będzie – zgodził się z ociąganiem Sanczo. – Narzućcie mi w takim razie, wasza pieczołowitość, płaszcz na ramiona, żebym się nie przeziębił, od tego bowiem giną niedoświadczeni biczownicy.

Don Kichot owinął Sancza własnym płaszczem, a ten zasnął natychmiast i spał aż do pierwszych promieni słońca; wówczas wstał, zdumiewająco rześki i wesół, i ruszyli dalej.

Parę następnych nocy spędzili w zajazdach, ofiarny Sanczo nie mógł więc kontynuować swoich działań na rzecz odczarowania nadobnej Dulcynei z Toboso; ale niebawem nadeszła i taka noc, kiedy znów popasali między drzewami, i wówczas Sanczo, podobnie jak za pierwszym razem, zapamiętale oćwiczył pobliskie buki, Don Kichot zaś skrupulatnie rachował ciosy i zatrzymał giermka, gdy dopełniła się wiadoma liczba trzech tysięcy i trzystu. Zapłacił mu, oczywiście, zgodnie z umową, po czym, ledwie świt się rozjaśnił, zaczął wyglądać odczarowanej damy swego serca, której spotkanie było tym prawdopodobniejsze, że znajdowali się już w La Manczy, niedaleko rodzinnej wioski.

Rozdział pięćdziesiąty szósty, w którym Don Kichot i Sanczo Pansa wracają do wsi rodzinnej

To dolinami, to wzgórzami się posuwali, aż wjechali na wzgórze, z którego widać było rozłożoną w dole ich wieś rodzinną.

Sanczo Pansa wzruszony padł na kolana, wołając:

– Widzisz, ojczyzno, kto powraca w twoje objęcia? To Don Kichot, największy z błędnych rycerzy, którym nie przestanie być, chociaż teraz na kołku zawiesi zbroję. A to ja, Sanczo Pansa, nie bardzo bogaty, ale bardzo obity, niech ci wystarczy, że coś „bardzo", by mnie przyjąć z szacunkiem.

– Powściągnij gadulstwo – rzekł Don Kichot – i uważaj, żeby wjechać do wioski prawą nogą, jak i ja będę uważał.

Zjechawszy ze wzgórza, wnet znaleźli się u wjazdu do wioski; tam na klepisku pod gołym niebem kłóciło się dwóch chłopców, z których jeden ze złością rzekł do drugiego: „nie zobaczysz jej nigdy w życiu!"

Don Kichot, który z każdą chwilą robił się niespokojniejszy, powiedział do Sancza:

– Zły omen! Pierwsze słowa, jakie usłyszeliśmy: „nie zobaczysz jej nigdy w życiu!", oznaczają, że nigdy już nie zobaczę damy mego serca, najnadobniejszej, najszlachetniejszej i najcnotliwszej Dulcynei z Toboso.

W tej samej chwili dostrzegli umykającego polem zająca; ścigali go myśliwi z chartami.

– Zły omen: zając! – jeszcze niespokojniej odezwał się Don Kichot.

Uciekający szarak z rozpędu zaplątał się w nogach Sanczowego osła; Sanczo schylił się, schwytał go bez trudu i pokazał Don Kichotowi, mówiąc:

– Niech ten zając oznacza panią Dulcyneę z Toboso, a charty – prześladujących ją czarnoksiężników; otóż uciekła im w moje ręce, a ja oddaję ją waszej wytęsknioności; jeśli jest w tym jaka wróżba, to dobra.

Tu zbliżyli się owi pokłóceni chłopcy, by obejrzeć zająca; na pytanie Sancza, o co im poszło, odpowiedzieli, że jeden drugiemu zabrał klatkę na świerszcze i nie miał zamiaru oddać do końca życia.

– A jak ci dam reala? – zapytał praktyczny Sanczo.

– Za reala oddam.

Sanczo wręczył chłopcu monetę, ów oddał klatkę, a Sanczo powiedział do Don Kichota:

– Oto złe wróżby, jeśli były jakie, już są przełamane i zniweczone. A przypominam sobie jeszcze, że wasza dorzeczność sami zakazaliście mi wierzyć w znaki i wróżby, twierdząc, że nie przystoi to chrześcijanom i ludziom rozsądnym.

Don Kichot nic nie odpowiedział, ale jakby poweselał na chwilę.

Jechali dalej przez wieś, aż spotkali zażywających przechadzki proboszcza i bakałarza; ci rozwarli na ich powitanie ramiona, radując się, ale nie zdumiewając, że błędny rycerz z giermkiem dobrowolnie wracają w domowe pielesze; Don Kichot zsiadł z konia i uściskał obu przyjaciół, po czym w ich towarzystwie, a także otoczony chmarą ciekawskich dzieciaków, ruszył dalej w kierunku domu, z Sanczem Pansą zamykającym procesję.

Gospodyni rumiana i siostrzenica blada, do których parę chwil wcześniej dotarła już wieść o ich powrocie, czekały u wrót domostwa, swoim zwyczajem pochlipując, nie wiadomo, z radości, że widzą pana swego i wuja, czy ze smutku, że widzą go tak mizernym.

Przybiegła też, o wszystkim powiadomiona, żona Sancza, dużo mniejsza i dużo grubsza od niego, i zanim jeszcze rzuciła mu się na szyję, by wycałować, jak na kochającą i stęsknioną żonę przystało, w oba policzki, wykrzyknęła:

– Czy ja śnię? Tak wygląda mój mąż gubernator lub hrabia? To drapichrust i żebrak raczej, biednaż ja, biedna!

– Mylisz się, żono – powiedział Sanczo – sądząc mnie po wyglądzie, kiedy jestem zmorzony drogą. Przywożę pieniądze, a to chyba najważniejsze.

– Pieniądze, mój drogi małżonku? To bardzo dobrze. A jak się ma nasz osioł, czy aby nie chory?

– Zdrów – zapewnił Sanczo, miłośnie ściskając i szczypiąc żonę.

– To chwała Bogu – powiedziała Sanczyna, ujmując osła za uzdę i prowadząc go w stronę domu. Sanczo Pansa, nie schodząc z kłapoucha, posłusznie dał się wraz z nim prowadzić ku swojemu losowi, zostawiając Don Kichota swojemu, z gospodynią rumianą, siostrzenicą bladą, a także przyjaciółmi – proboszczem, bakałarzem oraz balwierzem, bo i ten się zjawił, porzucając klienta z na wpół ogolonym podbródkiem.

Don Kichot, nie odpoczywając po trudach podróży, zamknął się z przyjaciółmi w swojej komnacie (względne to, co prawda, było zamknięcie, gdyż gospodyni rumiana i siostrzenica blada skrzętnie podsłuchiwały pod drzwiami) i opowiedział im o klęsce w pojedynku z Rycerzem Białego Księżyca, która zmusiła go do porzucenia na rok rycerskiego rzemiosła i pozostawania w domu, czego zamierzał, jak honor rycerski każe, co do joty dotrzymać. Przyjaciele kiwali głowami, nie pokazując, że coś niecoś wiedzą już o tym wszystkim, i pochwalając rzetelność, z jaką Don Kichot postanowił wywiązać się z przyrzeczenia. Zdziwili się dopiero, kiedy zapowiedział, że przez ten rok zamierza prowadzić żywot pasterski, tak jak opisany on jest w księgach pasterskich, a więc pełen rozmyślań i westchnień miłosnych, igraszek nad źródłami i pod drzewami, pląsów z pasterkami i sławienia ich w wierszach. Aby pasterska Arkadia stała się realnością, zakupi, oczywiście, trzodę owiec dość znaczną, a ponadto przybierze odpowiednie imię, które już wymyślił.

– I jakież to ? – zapytał proboszcz.

– Pasterz Kichotis – ze skromną dumą powiedział Don Kichot, dodając, że gdyby przyjaciele doń się przyłączyli, pomógłby i im, mając w tym praktykę, dobrać odpowiednie imiona.

Słuchali go, jak się rzekło, wielce zdumieni, że na miejsce starego szaleństwa tak rychło rozpleniło się nowe; ale uznali je za mniej groźne od tamtego; by więc nie powrócił do rycerskich mrzonek, udali, że komedię pasterską uznają za rozsądną, i zadeklarowali przystąpienie do niej, czym wielce go ucieszyli.

– Mnie – zaznaczył bakałarz – bardzo to odpowiada, ponieważ, jak wiadomo, jestem znakomitym poetą, będę więc na każdym kroku składał wiersze zwane sielankami, tym bowiem przede wszystkim zajmują się pasterze w Arkadii. Co się zaś imion tyczy, to jeszcze

ważniejsze niż nasze własne są imiona pasterek, które musimy wycinać kozikiem na każdym drzewie.

– I nad tym – rzekł Don Kichot – nie muszę się zastanawiać, ponieważ ja, pasterz Kichotis, od zawsze wielbię najurodziwszą i najwdzięczniejszą pasterkę Dulcyneę z Toboso.

– No tak – przyznał proboszcz – ale my, którzy nie zadbaliśmy o to zawczasu, musimy dopiero poszukać jakichś milutkich pasterek, które by się nam podobały, choćby nie były dla nas stosowne pod wszelkimi względami.

– Zawsze też – dodał Samson Karrasko – możemy dla nich wykorzystać imiona z książek, jak: Filis, Amarylis, Diana, Galatea czy Belisarda.

Na tym skończyli pierwsze pertraktacje, z których Don Kichot był bardzo zadowolony, i opuścili go, obiecując odwiedzić jutro, a także doradzając, by dbał o zdrowie i dogadzał sobie we wszystkim.

Niestety, trochę popsuły mu humor gospodyni rumiana i siostrzenica blada, które zaraz po wyjściu gości wpadły do Don Kichota z wymówkami, że zamiast naprawdę żyć rozsądnie, siedzieć w domu, pomnażać majątek i często się spowiadać, on wdaje się w nową awanturę, może nawet gorszą i niebezpieczniejszą od błędnego rycerstwa.

Długo trajkotały mu nad uchem, a on słuchał spokojnie, aż wreszcie rzekł:

– Uciszcie się, kobiety, bo sam wiem, co mi czynić wypada, a wy nie rozumiecie, o czym mówicie. Teraz zaś zaprowadźcie mnie do łoża, bo jakoś kiepsko się poczułem i zdaje mi się, że zachorzałem znienacka. Co do jednego nie miejcie wątpliwości, że czy będę błędnym rycerzem, czy błędnym pasterzem, na was to się nie skrupi i nic wam nie zabraknie w tym domu.

Kiedy tak mówił, spojrzały nań i po wypiekach jaskrawych na żółtych zawsze policzkach poznały, że Don Kichot faktycznie ma gorączkę; czym prędzej zaprowadziły go do łoża, ułożyły, nakarmiły rosołem i starały się jak najbardziej dogadzać choremu.

Rozdział pięćdziesiąty siódmy, w którym, niestety, będziemy musieli rozstać się z Don Kichotem

Gorączka i słabość nie przeszła Don Kichotowi ani nazajutrz, ani po dwóch dniach, ani po trzech i czterech i pięciu.

Leżał, długi i wychudły, z pojawiającymi się i znikającymi wypiekami na woskowych policzkach, z wzrokiem wbitym w sufit, nie zwracając uwagi na otoczenie i tylko od czasu do czasu rzucając w przestrzeń oderwane zdania:

– Nie ma Dulcynei!

– Nic z tego, Sanczo!

– Daremne poświęcenie!

– O, podła bezsilności!

Bliscy i przyjaciele z okrzyków tych wysnuli domniemanie, że Don Kichota bardziej trapi niemoc ducha niż ciała; że składa się na to, być może, zmartwienie po klęsce w pojedynku z Rycerzem Białego Księżyca, żałość z powodu wymuszonego porzucenia stanu rycerskiego, nade wszystko zaś rozczarowanie, że nie spotkał dotąd Dulcynei odczarowanej i pięknej. Jakby zapominając, że przynajmniej część tych zgryzot spowodowały nie czyje inne, tylko ich starania i dobrodziejstwa, przyjaciele próbowali teraz – za późno! za późno ! – pocieszyć i rozweselić chorego. W szczególności bakałarz Samson Karrasko zachęcał go, by odrzucił smutki i podjął, jak dopiero co miał zamiar, radosną egzystencję pasterza; on, bakałarz, w każdej chwili gotów mu jest towarzyszyć i nabył już nawet dwa psy do strzeżenia trzody. Don Kichot nie słuchał jednak tych pocieszeń i zachęt, dalej zżerany gorączką i melancholią.

Wezwano lekarza; ten spojrzał na język, wymacał tętno i powiedział, że nie jest to choroba, na którą by znał lekarstwo; raczej księdza wypada wołać. Don Kichot wysłuchał tego wyroku nie tracąc spokoju; ale siostrzenica blada i gospodyni rumiana uderzyły w szloch, a Sanczo Pansa wraz z nimi. Wtedy Don Kichot słabym głosem poprosił, by wyszli z jego sypialni, bo chce się przespać; i zasnął.

Spał długo, aż nie wiedziano, czy jest to oznaką przychodzenia do zdrowia, czy – przeciwnie – konania. Kiedy się zaś obudził, naprawdę, trudno mi powtarzać rzecz tak niewiarygodną, i przyznam, że mam pewne wątpliwości, czy w tym miejscu relacja jest całkiem ścisła, ale nie mam rady, powtarzam za Cervantesem, otóż kiedy się Don Kichot obudził, wielkim głosem wyrzekł się błędu, w którym dotąd przebywał, czyli błędnego rycerstwa, ze złych książek wyczytanego i w szaleństwie wcielanego w życie, które je

odrzucało; wyrzekając się zaś rycerstwa, Bogu dziękował, że mu umysł uleczył w ciała chorobie, zdrowy sąd przywracając; i księdza wołał, żeby szybko się wyspowiadać, notariusza zaś, by sporządzić testament.

Radować się powinni byli słuchający tego: siostrzenica blada i gospodyni rumiana, balwierz sprytny, proboszcz rozumny i bakałarz pomysłów pełen; ręce zacierać i do góry skakać z uciechy; czyż nie tego zawsze pragnęli, nie do tego dążyli i nie osiągnęli wreszcie swojego? Czemu więc wydawali się jacyś tacy zakłopotani, jakby nie wierzący uszom, a nawet – niespecjalnie uszczęśliwieni tą przemianą na łożu śmierci? Czyżby tknęło ich poczucie, że ze wszystkich szaleństw Donkichotowych to nagłe odżegnanie się od szaleństwa jest szaleństwem największym? Czyżby pojęli, że to nie Don Kichot przemawia, ale ś m i e r ć D o n K i c h o t a, Don Kichot w Don Kichocie wreszcie przez nich zamordowany, ciało z duszy wyzute Donkichotowej ?

Nie miejmy złudzeń; jeśli nawet tak było przez chwilę, wnet minęło zakłopotanie; ożywili się wszyscy, krzątać zaczęli; już wierzyli w uzdrowienie umysłu, już pociechą im się to zdało w zbliżającej się chwili zgonu; już się proboszcz zabierał do wyspowiadania chorego; już bakałarz poleciał po notariusza; i tylko Sanczo Pansa, płacząc, przypadł do umierającego i błagał:

– Nie umierajcie, wasza nieśmiertelność, po cóż macie umierać, kiedy ze wszystkich szaleństw człowieka największe jest właśnie to – położyć się i umrzeć ni stąd, ni zowąd, i nie z ran krwawiących, lecz ze zmartwienia! Wstawajcie, wasza niepodległość, i chodźmy w pole, za pasterzy przebrani, bo widzi mi się, że pani pasterka Dulcynea przepiękna czeka, już odczarowana, by się z panem zabawić! A jeśli umieracie, wasza niezwyciężoność, z tej zgryzoty, że zostaliście zwyciężeni, to raczej na mnie zrzućcie winę, że źle ściągnąłem popręgi Rosynanta i dlatego wylecieliście z siodła, bo prawdę mówiąc, tak właśnie było!

Don Kichot nie słuchał jednak próśb Sancza Pansy i umierał, pełen smutku, skruchy i zdrowego rozsądku.

Proboszcz go wyspowiadał, notariusz spisał testament.

I w spowiedzi, i w testamencie Don Kichot ponownie wyrzekał się głupstwa i piętnował wiarę w błędnych rycerzy. Ponadto w testamencie szczegółowo podał, co komu zostawia, i nie zapomniał o nikim: ani o Sanczu Pansie wiernym, ani o gospodyni rumianej, siostrzenicy bladej i innych.

Kiedy zaś skończył dyktować testament, zemdlał z wyczerpania. W ciągu trzech dni, które mu jeszcze pozostały do życia, często mdlał, martwiąc tym, oczywiście, wszystkich, którzy przy nim czuwali; ale, jak zauważa Cervantes, który kończąc opowieść o Don Kichocie też już był chory i miał umrzeć w niespełna rok później, 23 kwietnia 1616 roku, owi czuwający mimo wszystko jedli, pili i spali, i miewali chwile dobrego humoru, bo to nie oni umierali i takie jest prawo życia.

W ostatniej swej godzinie Don Kichot przyjął sakramenty i spokojnie, po chrześcijańsku, w swoim łożu wyzionął ducha, co poświadczyli obecni przy tym między innymi ksiądz i notariusz.

Rozdział pięćdziesiąty ósmy, w którym ten, który dziś opowiada historię o Don Kichocie z La Manczy, proponuje nieco inne jej zakończenie

Powiedziałem, że trudno mi uwierzyć w tę przemianę Don Kichota na łożu śmierci; trudno i przykro; ale cóż mam robić – nie wymyślam błędnego rycerza dziejów, lecz je tylko powtarzam.

Powtórzywszy do końca, do ostatniego tchnienia umierającego i szlochu żegnających go bliskich, mimo to jeszcze raz oświadczę zuchwale, że n i e w i e r z ę; i nie tylko w odwrócenie się Don Kichota od błędnego rycerstwa i nawrócenie na codzienność i zdrowy rozsądek nie potrafię uwierzyć, lecz i w następną wiadomość, poświadczoną przez księdza i notariusza, że D o n K i c h o t n i e ż y j e.

Myślę, że Cervantes, w tym czasie sam już w nie najlepszym stanie, uległ pogłoskom, których nie mógł sprawdzić, a które łatwo domyślić się kto porozpuszczał, i zakończył książkę tak jak powtórzyłem w poprzednim rozdziale, nie wiedząc, że Don Kichot tymczasem przyszedł do siebie i ochłódłszy do pasterskiego pomysłu, jął potajemne przygotowania czynić do czwartej wyprawy.

Rok przymusowej pokuty szybko minął – i oto...

Przez skwar, od jasnego nieba do rudej roli jak na sznurze wielkie pranie sztywno rozwieszony w powietrzu, przez skwir ptactwa polnego, przez ojczystej ziemi skwierczenie na przyrody i dziejów gorącej blasze, jedzie, kolanami chudymi chude boki rumaka swego Rosynanta ściskając, bohaterski rycerz Don Kichot.

Jedzie, chudy i długi, spiczastością kolebiącej się w siodle postaci widnokręgi okrągłe kłując, z Rosynantem jak on kościstym niemal jedność tworząc, niezmożony Don Kichot, oby Bóg mu sprzyjał i Wszyscy Święci!

Parę kroków za nim, na osiołku brzuchem powłóczącym po ziemi, Don Kichota giermek, Sanczo Pansa jak miech pękaty, wypukłością kształtów mnąc i tłamsząc prostą krechę drogi, w skwar ten sam, a jakby nie tak doskwierający, w skwir ten sam i skwierczenie wjeżdża.

Jadą obaj, nierozłączni w tej opowieści i w pamięci świata, różni tacy, że trudno o większą różność, nie do pomyślenia wszelako – Don bez Sancza, Sanczo bez Dona.

Don Kichot, chudy i długi, niczym tyka grochowa ku górze pnie się.

Sanczo Pansa, bulwiasty ziemniak, bruzdy się trzyma.

Don Kichot, srebrny kłos wybujały, wiatr kołysze nim, ale nie, nie złamie!

Sanczo Pansa, nać przyziemna, z pędrakami ledwie-ledwie pełznąca, nie popędzisz jej, nie przepędzisz!

Jadą, nierozłączni i nieśmiertelni, rycerz przodem, giermek, jak przystoi, parę kroków za nim, w górze niebo rozpostarte jasność rozlewa, w dole – końskich i oślich kopyt bębnienie w skórę ziemi napiętą, a przed nimi – znów niewiadome przygody.

KONIEC

Korekta: Mariusz Hoffman